

Elaine Coffman

Przeciwieństwa

(When Love Comes Along)

Prolog

Północna Kalifornia, 28 kwietnia

Było już późno. W domu panowała całkowita cisza.

Fletcher Ramsay spał niespokojnie, dręczony przez koszmary. Sen nawiedził go znowu, po raz pierwszy od dziesięciu lat. Gwałtowny podmuch wiatru wdarł się do pokoju, wyjąc jak zawodząca płaczka i siekąc o podłogę wyimaginowanymi liśćmi.

Milczący gość wyłonił się z mroku i wsunął się do pokoju, poruszając się na granicy ciemności.

Fletcher otworzył oczy. Obudził się czy nadal śni? Przez chwilę nie widział kompletnie nic, aż nagle dostrzegł siebie, stojącego w nieznanym miejscu, na ciemnym wierzchołku obcej góry, i wpatrującego się w dzikie, wzburzone morze u swych stóp. Otaczający go świat zamarł w bezruchu.

Była noc, ciemne cienie zalegały nad pozbawionym drzew wrzosowiskiem, tylko strome skały klifu były białe jak mleko, a błądy księżyc miał barwę śmietany. Gwiazdy wisiały nisko nad głową, rozrzucone po niebie czarnym jak aksamit.

Wiatr niósł woń wzburzonego morza i uprzykrzony rytm dud. Fletcher zobaczył ojczyznę: kraj ponurych wrzosowisk i gęstych lasów, kraj wysoko położonych górskich dolin i burzliwego morza. W słabym blasku gasnącego światła wyłaniały się jak duchy zarysy strzelistych wież zamkowych, nieskończenie szarych, nieskończenie cichych. Czuł, że go wzywają.

Niebo rozdarła błyskawica. Zabłyśło jaskrawe, oślepiające światło i wydawało się, że coś wisi w powietrzu.

Nagle z jasności wyłonił się jakiś człowiek w bieli. Zdawał się płynąć nad ziemią. Bił od niego blask, a jego oblicze porażało niewyobrażalnym wręcz pięknem.

- Czekaj, Fletcher. Wkrótce nadejdzie czas...

Wiatr zamarł, ale dziwny, przejmujący grozą jękliwy głos wisiał jeszcze przez chwilę w nieruchomym powietrzu, twardy i suchy jak starożytne sylaby celtyckiej pieśni, zanim rozpląnął się jak dym. Zjawa przestała emanować jaskrawym światłem, upodobniła się do bladego obłoku, aż wreszcie rozwiała się całkowicie. Fletcher zamknął oczy. Zniknęła pełna

znaczeń cisza ze snu, więc odprężył się i wreszcie zaznał prawdziwego spoczynku.

Ale mózg nie odpoczywał. Dusza była całkowicie przytomna, a duch w pełnej gotowości.

Minęło właśnie dwadzieścia jeden lat od zabójstwa jego ojca, Bruce'a Ramsaya, księcia Glengarry. Był rok 1878. Fletcher Ramsay skończył dwadzieścia osiem lat.

Czas nadszedł.

1

Północna Kalifornia, czerwiec 1878

Fletcher stał na klifie i patrzył, jak ogromne, wzdęte fale rozbijają się o skały u jego stóp i kipiela zmienia się w pianę. Był umęczony i coraz bardziej tracił cierpliwość. W takim stanie był już od trzech miesięcy. Zaczęło się to wtedy, gdy przyśniło mu się to po raz pierwszy. Wiedział, dlaczego od tej pory cierpi na bezsenność, wiedział też, co ten sen oznacza. Nie wiedział tylko, co ma w związku z tym zrobić.

Zawsze czuł, że przyjdzie czas powrotu, czas zemsty za śmierć ojca, czas przywrócenia porządku. Rekompensata i restytucja. Nauczono go żyć dla tych dwóch pojęć. Te dwa słowa miały przemożny wpływ na całe jego życie.

Ojciec został zamordowany, a jemu skradziono przynależne z racji urodzenia dziedzictwo. Czuł, że nadszedł czas, by je odebrać. Wiedział o tym, a jednak, gdy zobaczył we śnie zjawę, odczuł silny niepokój.

„Czekaj, Fletcher. Wkrótce nadejdzie czas...”

- Czułam, że cię tutaj znajdę.

Odwrócił się i zobaczył nadchodzącą matkę. Maggie Mackinnon stanęła obok syna i wpatrzyła się w ocean. Porywisty wiatr rozwiewał jej włosy i szarpał spódnicę.

Miała taki wzrok, jakby była zahipnotyzowana, Fletcher uświadomił sobie, że matka wcale nie widzi tego, co ją w rzeczywistości otacza, że ma przed oczyma zupełnie inne miejsce.

- To miejsce zawsze przypominało ci Szkocję, prawda?

- Tak. Podejrzewam, że obie te krainy zostały zrodzone z gwałtownej walki

żywiółów. - Maggie nie powiedziała nic więcej, ale syn znał ją na tyle dobrze, że wiedział, iż niepokoi ją jakaś niebywale poważna sprawa.

- Czym się martwisz, mamó? O czym myślisz?

- Wspominam. - Odwróciła się do Fletchera, obrzuciła jego twarz spojrzeniem wyrażającym gorycz i słodycz jednocześnie i położyła rękę na policzku syna.

Uśmiechnął się do niej. To, kim był, a nawet kim miał nadzieję się stać, zawdzięczał matce.

- Co sobie przypominałaś? Westchnęła.

- Wiele różnych rzeczy, które ty zapewne uznałbyś za niemą dre... Dawno zapomniane wieczory, kiedy dreptałeś przy mnie jako malutki chłopczyk z ciepłą rączką w mojej dłoni i z kie szeniami pełnymi kamyków, kawałków sznurka i muszelek. - Spuściła głowę i mocniej owinęła ramiona szalem.

Fletcher wiedział, że matka walczy z napływającymi do oczu łzami.

- Za zimno tu dla ciebie, mamó. Pozwól, że odprowadzę cię do domu.

- Nie. Chcę się przespacerować z tobą po klifie.

- Dlaczego?

- Z pewnych względów wydaje mi się to stosowne.

- Stosowne?

- Tak. Jak sam stwierdziłeś, to miejsce zawsze przypominało mi Szkocję.

- I dlatego jest stosowne? Kiwnęła głową.

- Do czego?

- Do tego, co mam ci do powiedzenia.

Fletcher niemal widział serce matki, ściskające się z bólu, który dostrzegał w jej oczach. Maggie wygładziła kołnierz kurtki syna i dodała:

- Jaki ty jesteś podobny do ojca: wysoki i szczupły, choć już zaczynasz męźnieć. Masz jego uśmiech, jego rozum, jego inteligencję, jego wrażliwość i... - Uśmiechnęła się smutno. - I jego upór.

Już niejednokrotnie widział matkę w podobnym nastroju, ale dopiero teraz uświadomił sobie, jak ciężko było jej czasem patrzeć na dorastające dzieci.

- Pewnie powiesz, że mam takie same ciemnoniebieskie oczy jak ojciec.

- To prawda, ale nie ma w nich takiego przekornego błysku, jaki miał Bruce Ramsay. Ty byłeś zawsze bardzo poważnym chłopcem.

Teraz syn naprawdę się zaniepokoił, bo po jego uwadze melancholijny nastrój matki nie tylko się nie poprawił, ale nawet pogłębił się.

- Czy ty nie jesteś chora, mamó?
- Nie, to zupełnie nie o to chodzi.
- Więc w czym problem?

Podniosła rękę i odgarnęła mu włosy z oczu, jak to robiła wielokrotnie.

- Nawet twoje włosy są w dotyku takie same.
- Trochę jaśniejsze.
- To prawda. Mają troszkę jaśniejszy kasztanowy odcień.

Z uśmiechem ujął rękę matki i odwrócił, by ucałować wnętrze jej dłoni. Bardzo chciał rozproszyć te ponure myśli.

- Zawsze jesteś taka macierzyńska - powiedział i poprawił szal, otulający ramiona Maggie. Poglądził miękką wełnę i prze sunął frędzle między palcami. Na jego ustach pojawił się urokliwy uśmiech. - Zawsze się zastanawiałem, dlaczego mnie twoje ubrania wydają się w dotyku całkowicie inne niż stroje pozostałych ludzi.

Oczy Maggie wypełniły się łzami.

- Och, synku, jak ja zdołam się zmusić, by pozwolić ci odejść?
- Odejść? - Spojrzał z góry na twarz matki. Szukał oczyma jej wzroku, jakby chciał z jej spojrzenia odczytać smutek. -Mamo, stało się coś złego?

- Przejdźmy się tą ścieżką aż do końca - poprosiła, wzięła go pod rękę i ruszyła wydeptaną dróżką.

- Jesteś bardzo zmartwiona. - Fletcher nie ustępował.
- Dziś dostałam list ze Szkocji. - Maggie podniosła oczy na syna. - Od mojej siostry, Dorothy. Mój brat, Ian, nie żyje.

- Ian? Wujek Ian umarł? - Fletcher wyprostował się nieznacznie.
- Tak - potwierdziła Maggie. - Ian Alexander Sinclair, dwunasty książę Caithness, nie żyje. I ty, mój synu, jesteś od tej chwili trzynastym. Trzynastym! To zły omen.

Ale Fletchera w tej chwili niezbyt interesowała magia liczb.

- Co to znaczy, że jestem trzynastym?
- Od tej chwili jesteś księciem Caithness.
- Jakim cudem? Przecież nie jestem Sinclairem, mamó, tylko Ramsayem.
- Tak, jesteś Ramsayem do szpiku kości i puszysz się tym jak paw. Domyślam się, że to dla ciebie bardzo dziwnie brzmi, jako że nigdy nie widziałeś mojego brata.

- I bardzo niewiele o nim wiem.
- Był wdowcem. Nie miał dzieci. Moich dwóch starszych braci od dawna nie żyje. Z rodu Sinclairów pozostałam już tylko ja i moja siostra Dorothy.

- I dlatego ja odziedziczyłem tytuł?
- Jesteś najbliższym spokrewnionym mężczyzną. Fletcher osłupiał.
- Nie miałem pojęcia. Nigdy mi nie wspominałaś o takiej możliwości.

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałam, Ian nie był jeszcze taki stary. Zawsze myślałam, że pewnego dnia ponownie się ożeni i będzie miał dzieci. Pisał mi, że jest poważnie zainteresowany pewną młodą wdową.

- Ja... ja nie wiem, co powiedzieć.

Maggie uśmiechnęła się szeroko.

- To rzeczywiście ewenement: ty jesteś niepewny i zmieszany.
- Nieczęsto się dowiaduję, że właśnie odziedziczyłem tytuł.
- Wiem, że ta wiadomość zwała cię z nóg. Zresztą mnie także - dodała.
- Co jeszcze było w liście?
- Pytasz, co teraz będzie?

- Tak. Ja... - Fletcher zamilkł na chwilę. Odwrócił się do matki i ujął jej dłoń. - Muszę tam jechać, mam. To coś, o czym zawsze marzyłem. Powrót do Szkocji. Zdajesz sobie sprawę, że muszę wyjechać, prawda?

- Tak, choć przez znaczną część życia umierałam ze strachu, że pewnego dnia usłyszę właśnie te słowa. Serce pęka mi z bólu, synu. Gdyby to ode mnie zależało, nie pozwoliłabym ci dorosnąć. Wolalabym, żebyś na zawsze został małym chłopcem, trzymającym się mojej spódnicy...

- Wiem. Ale przecież zawsze zdawałaś sobie sprawę, że nie zostanę w Kalifornii na zawsze. Tu nigdy nie czułem się u siebie. Nigdy.

- Och, Fletcher, jak ja to zniosę?

Słyszac ból w głosie matki, uświadomił sobie, jakie to dla niej trudne. Maggie nie należała do kobiet, które kontrolują swoje dzieci i nadmiernie ingerują w ich życie. Jeśli teraz próbowała to zrobić, to kierowała nią jedynie miłość i lęk o niego.

- Muszę jechać.

- Zawsze zdawałam sobie sprawę, że kiedyś to zrobisz, ale wiedziałam także, że zrobię wszystko co w mojej mocy, by cię powstrzymać. Boję się o ciebie, synku. Boję się dokładnie tak samo jak w dniu, kiedy opuszczaliśmy Szkocję. Adair Ramsay jest już starym człowiekiem, ale nie przestał być groźny. Kiedy dowie się, że jesteś w Szkocji, nic go nie powstrzyma.

- Nie martw się. Potrafię zadbać o siebie.

- Te właśnie słowa powiedział twój ojciec w dniu poprzedzającym odnalezienie jego zwłok na klifie. Czy jest coś, co mogłabym powiedzieć bądź zrobić, żeby cię powstrzymać? -

zapytała Maggie, wycierając załzawione oczy i wpatrując się w syna.

- Nie - odpowiedział. - Nic.

- W takim razie powiedzieliśmy sobie już wszystko. Ty wrócisz do Szkocji, a mnie serce pęknie. Boję się, że mogę cię już nigdy nie zobaczyć. Mojego pierworodnego syna! - Głos Maggie załamał się.

- Nigdy nie dopuszczę, by stało się coś, co mogłoby cię zasmucić. Przecież wiesz. Pobłogosław mnie, mamó.

- Wiele cierpienia doznałam w życiu, nic jednak nie bolało mnie równie mocno jak twoja decyzja. Chciałabym dać ci błogosławieństwo, synu, ale nie mogę. Jak mogłabym błogosławić coś, od czego pęka mi serce?

Fletcher skinął głową. Rozumiał ją. Przecież była jedyną kobietą, którą zawsze kochał i podziwiał. To miłość do niego wywołała tę nadopiekuńczość. Od śmierci ojca matka żyła w nieustannym lęku.

Wydawało się, że to już straszliwie dawno, przed wiekami, choć w rzeczywistości zaledwie przed dwudziestu laty pewien człowiek nazwiskiem Adair Ramsay wkroczył w ich życie i je zniszczył. Chciwy mały człowieczek, który zapragnął odebrać ojcu Fletchera tytuł księcia Glengarry.

Obronę tytułu ojciec przypłacił życiem. I na co to się zdało? Kilka miesięcy po śmierci Bruce'a Adair Ramsay znowu wystąpił z roszczeniem do tytułu i tym razem sąd w Edynburgu mu go przyznał. Nikt nie był w stanie udowodnić, że to Adair odebrał życie Bruce'owi Ramsayowi, ale dla Fletchera to nie miało znaczenia.

W głębi serca był przeświadczony, że tak właśnie było.

Matka także była o tym przekonana, bo wielokrotnie powtarzała, że Fletcher stanowi dla Adaira Ramsaya zagrożenie.

Maggie położyła rękę na ramieniu syna. Odwrócił się do niej i zobaczył, że matka płacze.

Jakże drobna wydała mu się w tej chwili, jaka załamana. Serce mu się kroilo na myśl, że to on jest przyczyną jej cierpienia.

- Nie płacz, mamó. Proszę.

- Nie mogę się opanować. Fletcher, nie wyjeżdżaj, proszę. Adair to bardzo niebezpieczny człowiek. Jeśli tam wrócisz, twoje życie znajdzie się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Nawet dwadzieścia lat nie zatarło w mojej pamięci straszliwych słów, które wypowiedział w dniu, kiedy na zawsze opuściłam zamek Glengarry.

- Jakich słów? Nigdy mi o tym nie mówiłaś.

- Miałam nadzieję, że uda mi się wyperswadować ci pomysł powrotu bez powtarzania ci jego słów, które aż do śmierci będą mi brzmiały w uszach. - Urwała na chwilę. - Powiedział: „Ostrzegam cię, pani, nie próbuj podejmować jakichkolwiek prób odzyskania tytułu książęcego czy zamku Glengarry”. Odparłam, że jego ostrzeżenia są zbędne, bo mój mąż nie żyje, a ja nie mogę odziedziczyć tytułu.

- Co on na to?

- Powiedział: „Mówię o twoim synu”. Kiedy oskarżyłam go, że próbuje mnie nastraszyć, stwierdził: „Ja tylko udzieliłem ci dobrej rady, pani. Zostaw wszystko, jak jest. Jeśli ktoś poruszy gniazdo szerszeni, może zostać użądłony. Ty, pani, możesz nie mieć już nic do stracenia, ale twój syn ma”.

- Przecież nie można dwukrotnie stracić tego samego, a on już ma mój tytuł.

- Twierdził, że nie tytuł ma na myśli. A potem dodał: „Jeśli zaczniecie znów wtykać nos w nie swoje sprawy, dopilnuję, byście tego pożałowali. Nie ma miejsca, do którego moglibyście się schronić, nie ma zakątka, w którym byście się mogli ukryć, w którym bym was nie znalazł. Chłopak dziedziczy po ojcu. Nie chciałbym, żeby spotkało go to samo”.

Fletchera przeszył lodowaty dreszcz. Objął matkę i mocno przytulił. Stał, wsłuchując się w jej rozdzierający szloch.

- Nigdy nie mogłem znieść twojego płaczu. Trudno mi pogodzić się z tym, że to ja jestem tego przyczyną - powiedział.

- To nie ty jesteś tego przyczyną, to...

- Wiem - mruknął i podał jej chusteczkę. - Wiem, dlaczego opuściłaś Szkocję i dlaczego ukryłaś się na drugim końcu świata. Porzuciłaś wszystko, co było ci drogie, i wyszłaś za Adriana Mackinnona, żeby wywieźć mnie i moje siostry do Kalifornii. Drżałaś o moje życie i zdobyłaś się na najwyższą ofiarę i największe ryzyko po to, by mnie chronić.

- Tak. I ta sama trwoga o twoje życie każe mi teraz próbować zatrzymać cię tutaj.

Fletcher mocniej przytulił ją do siebie.

- He to już razy spacerowaliśmy razem wzdłuż tego klifu i rozmawialiśmy? - zapytała cicho. - I ileż to razy podczas tych spacerów bałam się, że pewnego dnia dorośniesz i odejdiesz?

Syn spojrzał na nią.

- Tak, wiedziałam o tym już wtedy, gdy byłeś małym chłopcem, który trzymał się mamusinej spódnicy. Ale to, że wiedziałam o tym od dawna, wcale mi teraz nie ułatwia sprawy. Powiedz, czy naprawdę nic nie mogę zrobić, by odwieść cię od tego postanowienia?

- Nie, nie jesteś w stanie zawrócić mnie z drogi mego przeznaczenia.

Maggie westchnęła z rezygnacją.

- To samo powiedział Adrian. Przeznaczenie. Jakże ja nienawidzę tego słowa! Ilekroć je usłyszę, mam ochotę krzyknąć i tupać nogami. Chciałabym wgnieść to przeznaczenie w ziemię obcasami, rozdeptać je na miazgę.

- Powiedz, że mnie rozumiesz.

Podniosła wzrok. Fletcher zdawał sobie sprawę, że matka musi dostrzegać w jego oczach nadzieję. Nie chciał opuszczać jej w taki sposób, bez błogosławieństwa. Wiedział, że ona go rozumie, bo jest wystarczająco bystra, by pojmować, że żaden człowiek nie jest w stanie uniknąć przeznaczenia. Nie mógł jej jednak winić, że uczucia macierzyńskie wzięły górę i nie pozwalają jej się z tym pogodzić.

- Fletcher, skoro już musisz jechać, nie pozostaje mi nic innego, jak modlić się, by jakimś cudem zniknęło twoje pragnienie zemsty. Bo inaczej będziesz żył z mieczem w dłoni.

Spoważniał. Wsunął ręce głęboko do kieszeni i wpatrywał się w odległe morze.

- Nic mnie nie powstrzyma.

- Nie możesz wiedzieć, synu, co się jeszcze wydarzy.

- Wiem, że nic mnie nie zwolni z osiągnięcia w życiu dwóch celów. Odzyskam tytuł i zniszczę Adaira Ramsaya. Nigdy nikomu o tym nie mówiłem, ale przed laty miałem sen, sen, który potwierdzał to, co i tak wiedziałem.

Maggie otarła wierzchem dłoni łzy z twarzy, podniosła oczy na syna i czekała.

- Sen nawiedził mnie przed dziesięcioma laty, kiedy dopiero ukończyłem osiemnaście lat, ale już wtedy byłem opanowany obsesją powrotu i odzyskania tego, co powinno należeć do mnie. Adair Ramsay odebrał mi nie tylko tytuł księcia Glengarry. Przede wszystkim odebrał życie memu ojcu. I to właśnie ten sen powstrzymywał mnie dotychczas od powrotu do Szkocji.

- Sen powstrzymał cię przed powrotem? Nie rozumiem.

- Śniło mi się miejsce bardzo podobne do tego, szczyt przypominający wieżę i fale rozbijające się o głazy u jego stóp. Potem pojawił się człowiek, który był samą dobrocią i światłem, o nieziemsko pięknej twarzy. Zawołał mnie po imieniu, położył mi rękę na ramieniu i zacytował fragment z Księgi Eklezjasty: Jest czas rodzenia i czas umierania; czas sadzenia i czas wrywania tego, co zasadzono; czas zabijania i czas leczenia; czas burzenia i czas budowania; czas płaczu i czas śmiechu; czas zawodzenia i czas płasów... A potem powiedział: Czeka, Fletcher. Wkrótce nadejdzie czas. Czeka, aż nadejdzie właściwa chwila.

- Może to był znak - szepnęła Maggie. - Dlaczego nigdy mi o tym nie mówiłeś?

- Nie chciałem martwić cię bez potrzeby. Pociągnęła nosem.

- Odpracowałam to z nawiązką w ciągu ostatnich dwóch godzin.

Fletcher uśmiechnął się do matki.

- Wiem. Jesteś jak kwoka, wodząca dwadzieścioro piskląt, która pewnego dnia doliczyła się zaledwie dziewiętnastu i zamartwia się o to jedno brakujące, jakby dziewiętnaścioro to było mało.

- Wydaje mi się, że jeszcze wczoraj byłeś małym chłopczykiem. Tylu rzeczy chciałam cię nauczyć, ale ciągle brakowało czasu, a teraz nagle jest już za późno.

- Twoje serce było dla mnie zawsze najwspanialszą salą wykładową, mamo. Nauczyłaś mnie o wiele więcej, niż możesz sobie wyobrazić.

- Zawsze dziękowałam Bogu za twoją miłość, synu. Opowiedz mi jeszcze o swoim śnie.

- Rozumiałem, że ten sen oznacza, iż pewnego dnia wrócę, ale na razie mam czekać na znak albo na jakąś wewnętrzną pewność, że przyszedł czas pomsty za śmierć ojca. Rozumiałem to, ale zrozumienie wcale nie czyniło oczekiwania łatwiejszym do zniesienia. Miałem osiemnaście lat, byłem młody i chciałem pokazać, ile jestem wart.

- Tak, zawsze byłeś bardzo niecierpliwy - szepnęła Maggie i wystarczyło na nią spojrzeć, by wiedzieć, że znów zatoneła we wspomnieniach.

- Ten sen się powtórzył.

- Ostatnimi czasy?

Kiwnął głową.

- Przed trzema miesiącami. - Kiedy wypowiedział te słowa, nagle zrodziło się w nim pewne podejrzenie. Odwrócił się i położył ręce na ramionach Maggie. - Mamo, kiedy umarł wujek? Czy znasz dokładną datę?

- Tak. Dwudziestego ósmego kwietnia.

Serce Fletchera zabiło mocniej. Krew zastygła na chwilę, a potem zaczęła szybciej krążyć w żyłach. Dłonie mu zwilgotniały. Wiedział, że od tej chwili jego życie nie należy już do niego, bo stało się częścią jakiegoś szerszego większego planu.

- Właśnie tej nocy, dwudziestego ósmego kwietnia, sen się powtórzył. Miałem osiem lat w chwili śmierci ojca, osiemnaście, kiedy po raz pierwszy nawiedził mnie ten sen, dwadzieścia osiem, kiedy się powtórzył. A mamy rok tysiąc osiemset siedemdziesiąty ósmy.

- To tylko zbieg okoliczności.

- To coś więcej niż zbieg okoliczności. To znak. Jesteś Szkotką i powinnaś to wiedzieć. W pierwszym śnie usłyszałem, że mam czekać, dopóki nie nadejdzie mój czas.

- A za drugim razem?

- Usłyszałem, że mam czekać, bo zbliża się już mój czas. Czy jeszcze nie rozumiesz? Wizja pojawiła się ponownie w dniu śmierci wuja. Miałem czekać, dopóki nie pojawi się

powód do powrotu, powód inny niż pragnienie pomszczenia śmierci ojca. Teraz wiem, że miałem czekać, aż zostanę księciem Caithness.

- Tak. - Maggie westchnęła. - Jesteś księciem i nic nie może tego zmienić.

Potrząsnął głową.

- Dotąd trudno mi w to uwierzyć. Nie rozumiesz, co to oznacza, mamó? Wreszcie, po tak długim czasie, wracam do domu... do Szkocji.

- Tak, chyba zawsze zdawałam sobie sprawę, że życie tutaj, na ziemi, którą Adrian wyrwał puszczy, nie jest dla ciebie. Twój przyrodni bracia kochają życie drwali, leśnych baronów, ale do ciebie to nie pasuje. Nie zapominaj jednak, mój drogi, że wyjeżdżasz jako księżę Caithness, a nie księżę Glengarry. I twoim domem będzie zamek Caithness, nie Glengarry.

Syn pogładził jej dłoń.

- Wszystko w swoim czasie, mamó. Wszystko we właściwym czasie.

2

Szkocja, sierpień 1878

Cathleen Lindsay wbiła widły w ziemię. Gdy dostrzegła w oddali ogniście rude włosy, uśmiechnęła się. Wiedziała, że zbliża się Maud Campbell i że idzie bardzo wolno, klucząc jak pies, który zakopał gdzieś w pobliżu kość i nie może jej teraz znaleźć.

Cathleen przez chwilę przyglądała się Maud. Człowiek, który nienawidzi przyjaciół, zawsze udaje niezwykle przyjaznego, przypominała sobie znane przysłowie.

- Witaj, Maud. Idziesz na pole Drummonda?! - zawołała, machając ręką na powitanie.

Maud spojrzała na nią z nieco nieprzytomnym wyrazem twarzy, jak zawsze, gdy zostawała przyłapana na snach na jawie.

- Tak! - odrzyknęła. - Ty też się tam wybierasz?

- Tak, w takim razie możemy iść razem, prawda? - Cathleen uśmiechnęła się na widok okrągłej czerwonej twarzy Maud.

Maud kiwnęła głową i ruszyła nieco bardziej energicznym krokiem. Wkrótce znalazła się obok Cathleen.

- Cieszę się, że cię spotkałam - rzekła. - Próbowałam cię wczoraj złapać po wyjściu z kościoła. Chciałam ci podziękować za sukieneczkę do chrztu, którą uszyłaś dla Mary. To była wyjątkowo śliczna sukieneczka... te wszystkie zakładeczki i hafty... Wyglądała, jakby uszyły ją wróżki. Albo przynajmniej aniołowie.

Cathleen spojrzała na nią za zdumieniem, a potem roześmiała się.

- Niestety, nie jestem aniołem, ale ta praca sprawiła mi mnóstwo przyjemności - powiedział i zrównała krok z Maud. - Muszę przyznać, że małeńka Mary wyglądała prześlicznie, choć nie była to raczej zasługa sukieneczki. Dziadek powiedział, że jeszcze nigdy nie chrzczył równie ślicznego dziecka.

Maud niemal pęczniała z dumy, słysząc takie pochwały pod adresem swej małeńkiej siostrzyczki.

- Podejrzewam, że David MacDonald mówi tak o każdym niemowlęciu, które pokropi święconą wodą... chyba że ten niemowlak najpierw pokropi jego.

Cathleen roześmiała się i już otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale jej uwagę zwrócił tętent galopującego drogą konia. Zeszły obie na pobocze i odwróciły się, by spojrzeć na pędzącego ku nim jak burza na wielkim czarnym rumaku Adaira Ramsaya, księcia Glengarry.

Minął je galopem, wzbijając kłęby dławiącego w gardle kurzu, i nawet nie raczył spojrzeć w ich stronę.

- Oto sam diabeł na końskim grzbiecie! - zawołała Maud. Ale natychmiast, jakby spłoszona faktem, że dała się ponieść uczuciom, spłonęła rumieńcem z zażenowania i ciągnęła już pozbawionym emocji głosem: - Ciekawa jestem, dokąd tak śpieszy?

- On, jak wszelkie zło, nienawidzi świata - powiedziała Cathleen.

- To z Biblii?

Cathleen kiwnęła głową.

- Z ewangelii świętego Jana.

- Pismo Święte czy nie, ale to prawda. Tacy jak on wychodzą tylko po zmroku. Mogę się założyć, że wszyscy są przekonani, że to diabeł wcielony, choć, prawdę mówiąc, nikt nie widział, by wyrządził jakieś zło.

- Gdyby ktoś to zobaczył, na pewno nie pożyłby na tyle długo, by komuś o tym opowiedzieć. Dziadek mawia: „Za wszystko będzie im odpłacone tą samą monetą”.

- Słyszałam, że przejął farmę wdowy McCutchin, zanim jeszcze biedny William ostrygł w grobie.

- Jej farmę? Jak mu się to udało? Wiem, że Margaret McCutchin nigdy w życiu nie sprzedałaby swojej farmy.

- Wcale jej nie sprzedała. Zdaje się, że ksiązę przedstawił jakieś dokumenty świadczące o tym, iż William dzierżawił od niego farmę jedynie dożywotnio. Cóż, jeśli William rzeczywiście podpisał taki dokument, to musiał czuć nóż księcia na gardle.

- Biedna Margaret. - Cathleen westchnęła. - Wiesz, dokąd się przeniosła?

- Zamieszkała u Elspeth, swojej córki.

- U Elspeth? Ale przecież jej mąż ma pomieszaną w głowie od czasu, gdy zeszłego lata wpadł do studni i spędził tam trzy dni. I tak nie jest w stanie utrzymać rodziny, więc jak sobie poradzi z jeszcze jedną gębą do wykarmienia?

- Nie mam pojęcia, jak sobie poradzą. Wszyscy tylko o tym mówią.

Zapadło ponure milczenie, jakby obie dziewczyny głowiły się nad sposobami zdobycia źródła utrzymania.

- Gadanie nie napełni ich brzuchów - stwierdziła po chwili Cathleen. - Porozmawiam z dziadkiem. Może w niedzielę uda nam się zebrać trochę pieniędzy w kościele. A dziś wieczór zaniosę im nieco warzyw z ogrodu. I udziec barani, który dał nam wczoraj Rob Stuart.

- Oddasz im udziec barani? Nie możesz!

- To o wiele za dużo dla mnie i dziadka. Nie zdążylibyśmy go zjeść, nawet gdyby cały miesiąc składał się wyłącznie z niedziel.

- Nie możesz oddać baraniny.

- Przestań zrzędzić - odpowiedziała Cathleen ze śmiechem. -Trzeba we wszystkim dopatrywać się jasnych stron.

- Jak można doszukiwać się jasnych stron w zagłodzeniu się na śmierć?!

- A nie przyszło ci do głowy, że gdybym nie oddała tej baraniny, to musiałabym ją upiec?

Maud bynajmniej nie wyglądała na przekonaną.

- Nie rozumiem twojej radości z powodu tego, że nie masz kompletnie nic do jedzenia.

- Miłość cierpliwa jest, łaskawa jest - powiedziała, a widząc pytające spojrzenie przyjaciółki, dodała: - Z listu do Koryntian.

Maud potrząsnęła głową.

- No cóż, skoro upierasz się, że chcesz głodować, nie będziesz osamotniona. Dam ci dwa bochenki chleba, które dziś rano upiekłam - rzekła w przychyłku. Zerknęła potem z ukosa na Cathleen i dodała: - Ale nie będę szczęśliwa z tego powodu.

- Ależ, Maud, przecież radość jest tak samo organicznie z tobą związana jak kolor twoich policzków - odpowiedziała z uśmiechem Cathleen.

Maud roześmiała się i razem wróciły na drogę. Wkrótce dotarły do pola Drummonda,

gdzie od rana koszono siano, i Cathleen niemal natychmiast zatraciła się w pracy, którą sobie wyznaczyła na ten dzień. Był przecież czwartek, a w czwartki zawsze „pracowała na rzecz bliźnich”.

Był upalny letni dzień, idealny na sianokosy. Jak zwykle gdy wieśniacy zgromadzili się razem i pracowali ramię przy ramieniu, Cathleen przyłączyła się do nich i podawała zgrzanym, spragnionym ludziom chłodną wodę, którą przed chwilą zaczerpnęła z pobliskiej studni. Stała właśnie na środku łąki i wlewając resztę wody z dzbana do metalowego pogietego kubka Mariah Duncan, cierpliwie słuchała gadaniny dziewczyny, która była święcie przekonana, że Cathleen wie wszystko z tej prostej przyczyny, iż jest wnuczką pastora.

- Fionn Alexander poprosił mnie o rękę - wydukała Mariah ze wzrokiem utkwionym gdzieś za plecami Cathleen. - Czy, twoim zdaniem, powinnam za niego wyjść?

Cathleen podążyła za jej wzrokiem. Fionn pracował widłami; mięśnie na jego plecach grały od wysiłku.

- Jest pracowity - stwierdziła. - Na pewno zarobi na twoje utrzymanie.

- Tak - potwierdziła Mariah, patrząc na Fionna w zamyśleniu i pocierając palcem dołeczek w brodzie. - Myślisz, że powinnam za niego wyjść?

Cathleen dostrzegła w wyrazistych oczach dziewczyny wahanie.

- Nie sądzę, aby moje zdanie miało jakiegokolwiek znaczenie w tej sprawie. Jeśli go kochasz, Mariah, to małżeństwo będzie naturalną konsekwencją tego stanu rzeczy, nie sądzisz?

- Chyba tak - odpowiedziała wieśniaczka takim tonem, jakby jej myśli podążyły w całkowicie innym kierunku. - Byłaś kiedyś zakochana?

Cathleen poczuła, że ściska jej się serce. Starła się, by głos nie zdradził przepełniającego ją niepokoju.

- Nie.

- Pewnie wyda ci się to głupie, ale czy mogłabyś mi powiedzieć, co sądzisz o małżeństwie?

- Uważam, że to błogosławiony i święty związek. To boży sakrament.

- To dlaczego nie wyszłaś za mąż? - Mariah była najwyraźniej bardzo zdziwiona.

- Z własnej winy - powiedziała Cathleen. - Przestań się wreszcie zamartwiać.

- Zmartwienia są dla mnie równie naturalne, jak oddychanie. Mama mówi, że gdybym nie martwiła się ślubem, martwiłabym się czymś innym. Ale powiedz, tak z ręką na sercu, czy mam za niego wyjść?

Cathleen spojrzała na Fiona, a potem przeniosła wzrok na Mariah, która niemal pożerała go oczami, i z trudem opanowała nieprzystojną chęć wybuchnięcia śmiechem.

- Tak. Lepiej jest bowiem żyć w małżeństwie, niż płonąć w ogniu - oznajmiła. - Z listu do Koryntian.

Fletcher początkowo miał zamiar natychmiast po wylądowaniu w Edynburgu wyruszyć do Caithness, ale gdy tylko postawił stopę na szkockiej ziemi, uznał, że to niemożliwe.

Coś w głębi duszy wzywało go, by odnalazł miejsce swego narodzenia, miejsce widziane w snach, miejsce, gdzie skały są białe jak mleko, a wiatr niesie zapach wzburzonego morza. Zobaczył czarne wrzosowiska i gęste lasy, wysokie klify i burzliwe morze, upiorne wieże warowni, wznoszące się wysoko, nieskończenie szare, nieskończenie milczące, a jednak przyzywające go.

Zamek Glengarry.

Zdawał sobie sprawę, że przywiodła go tu jakaś potężna siła, potężniejsza od niego, ale wiedział również, że nie powinien tu pozostać. Jeszcze nie teraz.

Kupił mocnego wierzchowca i objechał niebezpieczny teren z pełną świadomością, że nic nie uwolni go od pragnienia, by ponownie zobaczyć swój dom. Zatrzymywał się jedynie po to, by się trochę przespać, kiedy padał już ze zmęczenia, i znów ruszał w drogę, gnany jakąś przemożną siłą, która popychała go ku przeznaczeniu.

Był wczesny ranek, kiedy po raz pierwszy po dwudziestu latach obrzucił spojrzeniem sylwetkę zamku Glengarry. Miał osiem lat, gdy widział go po raz ostatni, ale teraz, mając go znów przed oczami, przypomniał sobie tamto poczucie lodowatej, trochę upiornej wyniosłości.

Zamek stał na szczycie wzgórza, które oddzielało go od położonej po jednej stronie zbocza wioski i gęstego lasu po drugiej. Pomiedzy nimi wyrastały wysokie wieże i dachy zamczyska.

Przeszył go dreszcz zachwytu, ale i zaniepokojenia. Poczł się nagle bezbronny, nagi. W tym obrazie było coś pociągającego i znajomego, ale było też jakieś zagrożenie; coś ciemnego i groźnego, co ostrzegało, by nie próbował się zbliżyć.

W tym momencie Fletcher zrozumiał, dlaczego najpierw musiał przyjechać tutaj. Musiał po prostu dowiedzieć się, o co przyjdzie mu walczyć, ale i przeciwko czemu ma wystąpić.

Długo wpatrywał się w zamek, zanim wreszcie zawrócił konia i ruszył ku Caithness i włościom, które już do niego należały. Na razie musiał się zadowolić tytułem księcia Caithness. Nagle poczuł spokój i pewność siebie, bo w głębi duszy nie miał wątpliwości, że przyjdzie czas, kiedy zostanie także księciem Glengarry.

Od dawna na to czekał. Będzie cierpliwy jeszcze przez pewien czas.

Odjechał około mili od Glengarry i urwistego wybrzeża, gdy zobaczył pole, na którym pracowała gromada wieśniaków. Mógłby w ogóle nie zwrócić uwagi na tę scenkę rodzajową, gdyby nie pewna głowa, która, rozświetlona promieniami słońca, jarzyła się wszelkimi odcieniami czerwonego wina.

Wyrwany tym widokiem z zamyślenia, Fletcher osadził konia w miejscu i zaczął się przyglądać kobiecie, stojącej nieco z dala od pozostałych wieśniaków. Nie należał do mężczyzn, których serca wariują na widok każdej napotkanej dziewczyny, ale czuł, że ta jest całkiem niezwykła.

Nie miał pojęcia, dlaczego powziął takie przekonanie, i postanowił to sprawdzić.

Przypatrywał jej się uważnie. W pierwszej chwili zaczął podejrzewać, że ma przywidzenia jak w gorączce albo że to wytwór jego wyobraźni, bo dziewczyna robiła wrażenie istoty eterycznej. Jej ruchy były zręczne i płynne; celowe i pełne wdzięku. Poruszała się i wyginała jak tańcząca na wietrze trzcina.

Suknia dziewczyny robiła wrażenie sfatygowanej i porządnie znoszonej, ale nawet z tej odległości Fletcher dostrzegwał, że hoża twarz nieznanym promienieje urodą. Mógł ruszyć dalej i minąć ją, ale coś w tej scenie przemówiło do niego.

Poczuł, że coś go do tej dziewczyny ciągnie. Nie jej uroda, tylko jakaś znacznie potężniejsza siła. Dziewczyna najwyraźniej nie czuła nic podobnego, bo nie zwróciła na Fletchera najmniejszej uwagi. Była zajęta czerpaniem wody ze studni. Widać w ten upalny letni dzień grabiła siano na słodko pachnącej łące.

Gdy ruszył konno w tamtą stronę, zapach torfu i siana zmieszał się z potem rozgrzanych ciał robotników. Zatrzymał się przy studni, w pobliżu dziewczyny. Odwróciła się, by na niego spojrzeć, i wtedy zauważył jej przepiękne oczy. Wielkie, niewinne, fiołkowe oczy, w których błyszczały iskierki radości, jakby cieszyła ją ciężka praca i niemiłosierny upał. Fletchera uderzyło, że dziewczyna patrzy na niego z wyraźnym onieśmieleniem.

Miała na sobie prostą niebieską sukienkę i białą chustę skrzyżowaną z przodu, strój typowy dla góralek. Mimo chusty zauważył apetyczne zaokrąglenia. Wbrew własnej woli zaczął sobie wyobrażać, jak pod tą chustą szybko pulsuje gorące życie.

Dziewczyna miała delikatną cerę w kolorze gęstej śmietany. Jej twarz promieniała jak na wizerunkach Madonny, jakby w jej ciele mieszkało coś cudownego i wspaniałego, co rozświetlało ją od wewnątrz. Fletcher poczuł nagle przemożne pragnienie, by pochwycić ją, przerzucić przez siodło i uwięzić w jakieś tajemne miejsce, w którym należałaby wyłącznie do niego.

Ale słowa, które pragnął wypowiedzieć, były zbyt ciężkie i zbyt obce, by mogły spłynąć

z jego ust. Pragnął stopić się z tą dziewczyną, być z nią tak blisko, by stali się jedną myślą, jednym ciałem.

Czyżby postradał zmysły?!

Zrób coś, przywołał się do porządku. Powiedz coś. Cokolwiek, byle nie siedzieć w siodle, szczerząc zęby w uśmiechu jak idiota.

- Witaj - powiedział.

Zauważył, że dziewczyna patrzy na niego tak, jakby nie mogła się zdecydować, czy ma zacząć krzyczeć, czy też uciekać. Dostrzegł w jej oczach przerażenie i to pozwoliło mu odzyskać równowagę. Nigdy dotąd nie przestraszył żadnej kobiety.

- Nie chciałem cię wystraszyć. Jestem tu obcy i nie znam waszych zwyczajów. Czy zachowałem się niewłaściwie? Czy w trawach na tej łące kryje się jakiś rozwścieczony ojciec, gotów wpakować mi kulkę między oczy?

Patrzyła na niego bez słowa. Fletcher nie miał do niej o to pretensji, wiedząc, że zachowuje się jak lunatyk. Uśmiechnął się tylko i uniósł ręce, jakby tym gestem chciał ją przekonać, że ma czyste intencje.

- Nie miałem zamiaru cię obrazić. Nazywam się Fletcher Ramsay. Jadę z Glengarry. Zobaczyłem, że czerpiesz wodę ze studni, i postanowiłem się zatrzymać. Jest bardzo gorąco.

Dziewczyna uśmiechnęła się nieśmiało.

- Chcesz pić? Woda jest bardzo zimna jak na tak upalny dzień.

Nawet brzmienie jej głosu było inne, niż kiedykolwiek słyszał. Była aniołem, zjawą. Fletcher zastanawiał się, czy to wszystko dzieje się naprawdę. Zerknął na robotników, by sprawdzić, czy zwracają na nich uwagę, jakby szukał potwierdzenia, że to nie fantazja, tylko rzeczywistość, ale oni po prostu kontynuowali pracę. Fletcher nie był w stanie pozbyć się z twarzy tego głupawego uśmiechu. Pozostawało tylko mieć nadzieję, że ta dziewczyna lubi szczerzących zęby idiotów.

- Rzeczywiście chciałbym się napić - powiedział w końcu.

Bez słowa odwróciła się do niego bokiem, dzięki czemu mógł podziwiać jej profil, równie doskonały, jak cała reszta, i ponownie wrzuciła wiadro do studni. Przedtem trzymała je tak, jak inne kobiety trzymają dzieci. Fletcher zamknął oczy; wyobraził sobie jej ręce na swym nagim ciele. Szybko otworzył oczy.

Był idiotą. Czystym, absolutnym idiotą.

Dziewczyna wyciągnęła po chwili wiadro i postawiła je na obramowaniu studni. Słońce zdawało się rozpalać ciemny mahoń jej włosów w czerwony ogień, kiedy pochyliła się, żeby napełnić blaszany kubek.

Zerwał się wiatr, który rozkołysał źdźbła traw na łące i sprawił, że kosmyki włosów zaczęły tańczyć na twarzy dziewczyny. Odwróciła się i podała mu kubek.

Sięgnął po wodę i ich dłonie spotkały się przelotnie. Dziewczyna szybko cofnęła rękę, zarumieniła się i spojrzała w dół, na swe bose stopy i znoszoną sukienkę.

- Jesteś bardzo nieśmiała - powiedział.
- Niewielu cudzoziemców spotkałam w życiu - odrzekła, nie podnosząc oczu.

Cudzoziemców? Nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Nie jestem cudzoziemcem. Wychowywałem się w Ameryce, ale urodziłem się niedaleko stąd.

Nie odezwała się, nie pozostało mu więc nic innego, jak wypić wodę i oddać jej kubek.

- Dziękuję. Woda była, jak obiecałaś, bardzo zimna.
- Chcesz jeszcze?
- Nie.

Wiatr, rozwiewający trawy na łące, przybrał na sile. Słońce schowało się za chmurą i już tam pozostało. Fletcher spojrzał na niebo.

- Te chmury wyglądają dość paskudnie.

Dziewczyna zerknęła w górę, a potem na jedną krótką chwilę jej ocienione długimi rzęsami oczy spoczęły na twarzy Fletchera.

- Deszcz - powiedziała. - Ale jestem pewna, że przejdzie równie szybko, jak się pojawi.

- Mieszkasz w pobliżu?
- Tak.
- I codziennie pracujesz na tych polach?
- Nie, przychodzę tu... czasami.
- Do pracy
- Żeby przynieść robotnikom jedzenie albo podać im kubek wody.

Fletcher uniósł brwi.

- W takim razie miałem szczęście, że zjawiłem się akurat wtedy, kiedy przyszłaś podać im wodę.

Fioletowe oczy spojrzały na niego pytająco, jakby dziewczyna nie zrozumiała jego słów. Boże, czy tutejsi ludzie są naprawdę tacy niewinni? Dziewczyna znów wbiła wzrok w swoje stopy, a Fletcher zauważył rumieniec, który ponownie zabarwił jej policzki. A więc była nieśmiała i niezbyt rozmowna. Z tego powodu zapewne ruszyłby w dalszą drogę, gdyby nie to, że była

równocześnie taka ładna.

Ale była ładna.

I zaintrygowała go ta nieśmiała istota o skórze tak czystej i nieskalanej jak jej dusza.

- Jak ci na imię?

- Cathleen - szepnęła. - Mary Cathleen Lindsay.

Fletcher podtrzymywał na siłę rozmowę, robiąc z siebie jeszcze większego idiotę niż dotychczas, aż wreszcie dziewczyna podniosła dzban. Pewnie zanudził ją na śmierć.

- Muszę już iść - powiedziała. - Robotnicy na pewno są spragnieni.

Fletcher nie poruszył się; siedział w siodle i nie odrywał od niej oczu. W scenie, którą miał przed oczami, było coś dziwnie znajomego.

- Kobieta przy studni - powiedział, sam nie mogąc wyjść ze zdziwienia, dlaczego nasunęło mu się to biblijne skojarzenie, bo jego myśli były nader odległe od świątobliwych rozważań.

- Tak. Ten, co we mnie wierzy, niech przyjdzie do mnie i pije. Ewangelia świętego Jana - mruknęła. Odwróciła się i odeszła z dzbanem na ramieniu.

Fletcher odprowadzał ją wzrokiem, potem zawrócił konia i już chciał odjechać, gdy wpadł mu w oczy leżący obok wiadra kawałek białego materiału. Podjechał bliżej, pochylił się i go podniósł.

To była chusteczka, którą pracujące w polu wieśniaczki zwykły nosić na głowie. Poglądził ją palcami. Materiał był całkiem zwyczajny i niezbyt drogi, ale delikatny i *na* brzegach pokryty przepięknym haftem.

Nie wiedzieć czemu, Fletcher był przekonany, że chustka należy do Cathleen, że ozdobiły ją te ręce, które czerpały wodę, że to ta dziewczyna godzinami pochylała się nad zwyczajnym kawałkiem płótna, haftowała go z miłością i zmieniała w dzieło sztuki.

Poszukał jej wzrokiem, zastanawiając się, czy i ona czuje równie niewytłumaczalny pociąg do niego.

Jeśli się teraz odwróci... Jeśli spojrzy na mnie, to znaczy, że tak, pomyślał.

Odwróciła głowę, rzuciła mu zaledwie przelotne spojrzenie, ale to wystarczyło.

Och, najdroższa, czy zdajesz sobie sprawę, co zrobiłaś?

Fletcher uśmiechnął się, podniósł chusteczkę, jakby oddawał honory, i zbliżył ją do nosa. Wdychał jej zapach, aromat letniego deszczu i świeżo skoszonego siana, woń tak świeżą i naturalną jak dziewczyna, którą poznał. Ucałował chustkę i schował ją do kieszeni.

Cathleen odwróciła się na moment, ale natychmiast puściła się biegiem przez pole, nie oglądając się za siebie, aż zniknęła w tłumie spragnionych robotników.

Fletcher zawrócił konia i ruszył drogą, którą przyjechał. Żałował, że nie wypytał jej dokładniej, gdzie mieszka. Uświadomił sobie jednak, że nietrudno będzie odnaleźć taką piękność. A potem przyszło mu do głowy, że dobrze się stało, iż ją spotkał, bo teraz ma już dwa powody, by tu -wrócić. Po pierwsze, z obowiązku, po drugie, dla przyjemności.

Nie marzył o niczym innym.

W drodze do domu Cathleen Lindsay próbowała skupić się na tym, co poda dziś na obiad, ale myślała tylko o spotkaniu z nieznanym przy studni.

Amerikanin o dziwnych manierach i równie dziwacznej wymowie.

Nie potrafiła przestać myśleć o jego ciemnoniebieskich oczach i uśmiechniętych ustach, i o jego denerwujących słowach, które przypomniały jej nagle o tych nocach, kiedy leżała w łóżku, obejmując się ramionami, i płakała w poczuciu samotności, rozpaczliwie pragnąc, by ktoś ją pokochał, mając jednak świadomość, że tak się nigdy nie stanie.

Zbesztala siebie nawet za samą myśl o miłosnym związku. Takie fantazje nie były dla niej. I nigdy nie będą. Była zadowolona ze swego życia; pielęgnowała w sobie zrodzony z cierpienia smutek, przywykła nawet do niego. Cathleen była taka, jaką ukształtowała ją przeszłość - stanowcza i wytrwała. Wiedziała, że powinna wyrzucić tego mężczyznę z serca, i postanowiła, że tak będzie.

Żeby oderwać myśli od niego, sięgnęła do włosów po chustkę, którą chciała otrzeć spoconą twarz. Nagle przypomniała sobie, że zostawiła ją na cembrowinie studni. Uświadomiła sobie nie tylko, gdzie chusteczka się teraz znajduje, ale także to, jak wyglądał nieznajomy w chwili, gdy unosił ją do ust.

Uznała, że był nieco ekscentryczny i stanowczo zbyt bliski jak na cudzoziemca. Był także niezwykle śmiały i rozmowny. Cathleen wiedziała, że jego świat jest całkiem inny od jej świata, bo nie dostrzegła w nim śladu ubóstwa. Jego maniery robiły wrażenie światowych i niezwykle eleganckich. Ubrany był jak dżentelmen, miał błyszczące buty i nienagannie związany fular, siedział na koniu czystej krwi, a siodło było niewątpliwie kosztowne.

Cathleen nie przywykła do takich ludzi jak on. Nie powinna zaprzętać sobie nim głowy. Absolutnie nie powinna. A jednak nie przestawała o nim myśleć.

Uznała to za żenujące.

Próbowała sobie wmówić, że jest po prostu pierwszym Amerykaninem, jakiego w życiu spotkała, i dlatego wzbudził jej zainteresowanie. Myślała o nim jako o Amerykaninie, mimo iż powiedział, że urodził się w Szkocji. Amerykański był zarówno jego akcent, jak i bezpośredniość.

Poczuła, że lubi Amerykanów.

Może dlatego, że miał dobre oczy. Albo dlatego, że często się uśmiechał. Albo dlatego, że przyjemnie było na niego patrzeć. Albo ze wszystkich tych powodów równocześnie.

Jego twarz zdradzała silny charakter, a oczy zrozumienie. I to takie zrozumienie, że Cathleen nie mogła się oprzeć przekonaniu, iż znał każdą jej myśl. To jedno ją w nim niepokoiło. Denerwowało ją, że ktoś potrafi czytać w jej myślach, co nie miało najmniejszego sensu, jako że najprawdopodobniej już nigdy więcej go nie zobaczy.

- Dzień dobry, Cathleen.

Wzdrygnęła się i podniosła wzrok. Widząc jadącego w jej stronę Henry'ego Darnleya, zatrzymała się i osłoniła oczy ręką przed ostrymi promieniami popołudniowego słońca.

- Dzień dobry, panie Darnley. Jak tam pańska noga? Henry spojrzał na nogę, którą przeszło dwa tygodnie temu

poharatał mu czarny byk.

- Ciągłe boli, ale, Bogu dzięki, mogę już na niej chodzić.

- Dlatego nieustannie dziękujemy Bogu, z listu do Tessaloniczan - powiedziała. - Pamiętam, że o mało nie przejechał się pan na tamten świat.

- Rzeczywiście, niewiele brakowało. Gdyby nie to, że się wówczas zjawiłaś, wykrwawiłbym się na śmierć.

- To niewątpliwie palec boży, że tamtego dnia tak wcześnie postanowiłam wrócić do domu.

- Tak, to prawdziwe błogosławieństwo. Dla mnie jesteś świętą, Cathleen. Rozumiem, dlaczego wszyscy uważają cię za anioła miłosierdzia.

Dziewczyna poczuła, że fala gorąca ogarnia jej twarz. Opuściła rękę i spojrzała na drogę.

- Chyba powinnam już wracać do domu. Nie chcę dawać dziadkowi powodów do niepokoju.

- Ja także nie chciałbym przysparzać mu zmartwień - powiedział Henry. - Przekaż ode mnie ukłony Davidowi.

- Przekażę - obiecała Cathleen.

- W takim razie życzę miłego dnia.

- Miłego dnia, panie Darnley.

Nie zaszła daleko, gdy jej myśli ziłów pobiegły ku spotkanemu przy studni nieznanemu. Była zdumiona, że wciąż go wspomina. Nigdy nie dopuszczała, by jej myśli krążyły wokół mężczyzny, a od pół godziny nic innego nie robiła.

Próbowała, ale nie była w stanie przestać. Nie potrafiła *tego* zrozumieć.

Próbując wymazać z pamięci obraz uśmiechniętego Amerykanina, starała się po raz drugi i trzeci skupić uwagę na tym, co poda dziadkowi na obiad.

Pewnie rzepę i owsiankę, jak zwykle.

Ale nagle między owsianką a rzepą pojawił się obraz nieznanego, pełne wyrazu rysy twarzy, piękny wykrój ust i oczy kryjące w sobie tysiące tajemnic. Te oczy miały najciemniejszy odcień granatu, były tylko o ton jaśniejsze od czerni, ale w ostrym słońcu przywodziły na myśl głębokie jeziora, w tafli których odbija się światło, przez co robią wrażenie o wiele jaśniejszych. Spojrzenie tych oczu przenikało ją na wskroś, przesuwając się po jej ciele, pozbawiając tchu, nie czuła jednak, że stara się przeniknąć warstwy materiału, by podejrzeć, co jest pod spodem.

„W takim razie mam szczęście, że pojawiłem się właśnie wtedy, gdy przyszedł tutaj zaczerpnąć wody...”

Jego słowa żyły w niej. Głos mężczyzny był powolny, niemal leniwy i nadawał słowom lekki ton. Jak dziwnie się czuła. Rozejrzała się wokół - te same drzewa, ten sam potok, spadający wodospadem w położoną niżej dolinę. Na świecie nic się nie zmieniło, ale wewnątrz niej wszystko wydawało się inne.

Dlaczego czuje się taka słaba i roztargniona, kiedy o nim myśli? Dlaczego wydaje jej się, że ten mężczyzna sięgnął w głąb jej duszy i dotknął czegoś, co rozpaczliwie pragnęło być dotykane? Znowu musiała przypomnieć sobie, że nie ma prawa myśleć w ten sposób.

Cathleen szła, zbierając polne kwiaty, i wmawiała sobie, że to pewnie ostatnie o tej porze roku.

Wreszcie dotarła do chaty na niewielkiej farmie, gdzie mieszkała z dziadkiem. Wyjrzała zza naręcza kwiatów i dostrzegła na frontowym dziedzińcu Pedaira Wassa. Przywiózł torf, który wyciął na bagnach.

- W ciągu godziny wyciąłem tysiąc brykietów torfu i pracowałem dalej - opowiadał dziadkowi.

- Jesteś prawdziwym mistrzem. Wejdiesz na herbatę z placuszkami jęczmiennymi?

- Mam brzuch pusty jak łóżko wdowy, ale żona czeka z obiadem, a zanim wrócę do domu, muszę dostarczyć jeszcze torf do trzech chałup. Powiedz Cathleen, że jesteśmy jej niezwykle wdzięczni za pomoc w gotowaniu, kiedy mały Jamie był chory.

- Sam jej to możesz powiedzieć. - David wskazał wnuczkę ruchem głowy. - Właśnie nadchodzi. To znaczy, mam nadzieję, że to ona, bo widzę tylko zbliżający się ogromny bukiet kwiatów.

Cathleen roześmiała się, słysząc słowa dziadka.

- Proszę powtórzyć pani Wass, że bardzo się cieszę, iż mogłam jej pomóc - powiedziała, opuszczając nieco bukiet kwiatów, by zerknąć ponad nim na gościa. - Jamie ma się już lepiej?

- Tak, rzeński jak skowronek - oznajmił Pedair, patrząc na Cathleen. Umieścił gruby brykiet torfu na stercie pozostałych, jakby ten dodatkowy kawałek opału był prezentem od Jamiego.

David odliczył monety i wręczył mu zapłatę, a on, nie przeliczając pieniędzy, wsunął je po prostu do kieszeni i uchylił czapki.

- Miłego dnia.

- Miłego dnia - odpowiedzieli chórem Cathleen i dziadek.

Odprowadzili go wzrokiem, a kiedy znikł im z oczu, weszli do domu.

- Potrzebujesz strzyżenia, dziadku - stwierdziła dziewczyna i lekko pociągnęła go za siwe włosy na karku. - Zajmę się tym przed obiadem.

David podniósł rękę.

- Wydaje mi się, że można się z tym wstrzymać jeszcze tydzień lub dwa.

Roześmiała się.

- Zawsze tak mówisz.

- I czasami to skutkuje.

- W takim razie w przyszłym tygodniu - ustąpiła. Wzięła dziadka pod ramię i ruszyli razem w stronę domku. Przed drzwiami zatrzymali się na chwilę, by przepuścić maszerujące powoli trzy tłuste kaczki.

- Te kaczki już chyba całkiem wydobrzały - zauważył David.

- Owszem, są jak nowo narodzone.

- To chyba już czas oddać je Mary McGregor.

- Już trzy razy je zwracałam, dziadku. A one ciągle wracają.

- To nie nasze kaczki, Cathleen.

- To prawda, ale one chyba o tym nie wiedzą.

- Musisz powiedzieć Mary, że są u nas.

- Wstąpiłam do niej dziś rano w drodze na łąkę.

- Przyjdzie po nie?

- Tak, mówiła, że wpadnie jutro.

David przyglądał się zmierzającym do jeziora ptakom.

- Nie martw się, dziadku. Mary przyjdzie po nie, obiecuję.

Patrzyli na pływające po jeziorze kaczki, dopóki nie skryły się za porastającymi brzeg

trzciniami.

- Mam nadzieję, że już do nas nie wrócą. - Starszy pan westchnął. - Założę się, że nie potrzebujesz trzech kaczek.

- Zwłaszcza tych - stwierdziła Cathleen. - Nie mogłabym ich zjeść po tym, jak je pielęgnowałam, by wróciły do zdrowia.

- Pewnie, że nie. - David odpędził pszczołę, która usiadła mu na rękawie.

Spojrzała na dziadka. Wiedziała, że myśli w tej chwili o trzech kociętach, które wyłowiała z rzeki, i o jelonku, którego znalazła na wrzosowisku obok zastrzelonej łani. Żadne z nich nie powiedziało jednak ani słowa.

Kiedy weszli do domku, Cathleen zostawiła dziadka w pokoju, a sama poszła do kuchni, która była jej ulubionym pomieszczeniem. Zdjęła *wiszący* na haku przy drzwiach fartuch, zawiązała go i umyła ręce.

Kuchnia była niewielka, ale bardzo miła. Nad głową, na belkach sufitu, zawiesiła pęki suszonych kwiatów i ziół. Warkocze cebuli zdobiły białe ściany. Jeden narożnik zajmowało kamienne palenisko. Obok stała maselnica, skrzynia na torf i dwa wielkie kotły, jeden wstawiony w drugi.

Przy przeciwległej ścianie stała skrzynia z naczyniami, należąca niegdyś do matki Cathleen, na środku kuchni zaś stół na mocnych nogach i trzy krzesła, bo czwarte połamało się przed pięcioma laty. Stary kołowrotek od setek lat zajmował ten sam narożnik.

Cathleen nie umiała prząść, ale lubiła kołowrotek, bo używało go kilka pokoleń kobiet z jej rodziny, które mieszkały przed nią w tym domu.

Napełniła garnek wodą, obrała kilka ziemniaków i rzep, i nastawiła je do gotowania. Wkrótce z żelaznego garnka zaczął się unosić strumień pary, a dziewczyna mechanicznie wykonywała czynności kuchenne, jak to robiła przez całe życie.

Pewne rzeczy pozostają niezmiennie, pomyślała, zastanawiając się równocześnie, dlaczego ma tak silne poczucie, że coś ważnego jednak się zmieniło.

3

Fletcher Ramsay stał przed zamkiem Caithness w sążnistej ulewie przez pełne dziesięć minut, zanim oznajmiono mu, że lady Dorothy Lamont zgadza się z nim spotkać.

Został wprowadzony do środka przez ubraną w szarą suknię i biały fartuch ogromną, tęga niewiastę, która przedstawiła się jako pani MacCaulay. Poprosił, by dała mu coś do wytarcia się.

- Stań przy ogniu, chłopcze, to wyschniesz. - Patrzyła na niego wyniośle, a jej małe bystre oczka zwęziły się.

Fletcher spojrział w stronę kominka, ale nawet nie drgnął.

- Wolalbym, żeby woda nie kapła ze mnie na dywan podczas pierwszego spotkania z ciotką - powiedział.

- Z ciotką?! Dlaczego od razu nie mówiłeś?

- Moja dobra kobieto, nie dałaś mi szansy, bym powiedział cokolwiek poza dzień dobry.

- Jak się rano zgubi godzinę, nie odzyska się jej przez cały dzień - wyrecytowała przysłowie. - Nie mogę sobie pozwolić na stratę czasu.

Fletcher wpatrywał się w panią MacCaulay. Matka ostrzegała go przed Szkotami i ich szorstkim, często niechętnym stosunkiem do obcych. Zapomniała tylko wspomnieć o ich zamiłowaniu do ostrych ocen.

- A teraz wybacz, chłopcze, pójdę zawiadomić twoją ciotkę... jeśli to naprawdę twoja ciotka.

- To jest moja ciotka - stwierdził Fletcher z głębokim przeświadczeniem.

- Czas wszystko weryfikuje - oznajmiła spokojnie i wyszła z godnością.

Został sam. Stał i rozglądał się po pomieszczeniu. Znajdował się w ogromnej komnacie, której stare kamienne ściany ozdobione były bogato malowidłami i gobelinami. Pod jedną z nich pysznił się elżbietański stół o malowanym blacie i rzeźbionych okrągłych podporach. Po obu jego stronach stały dwa wielkie orzechowe fotele na przepięknie rzeźbionych koźlich nóżkach. Naprzeciwko znajdował się masywny postument z urną, rzeźbioną i inkrustowaną w stylu neoklasycznym. Fletcher podszedł do ognia płonącego w kominku.

Przeglądał się spoglądającym nań ze ścian portretom, które musiały przedstawiać jego przodków. Potem zwrócił wzrok na kamienną podłogę pokrytą zniszczonymi perskimi dywanami i przyszło mu do głowy, że na tych kobiercach musiała się bawić jego matka jako mała dziewczynka.

Zwrócił uwagę na stojący w rogu fortepian i przypomniał sobie, jak matka opowiadała mu, że uczyła się na nim grać. Przemierzył pokój i stanął przy nim.

To musi być jej christofori.

„To wspaniały christofori, wyprodukowany w tysiąc siedemset dwudziestym roku. - Fletcher przypomniał sobie słowa matki. -Zaczęłam grać, kiedy miałam cztery lata. Twój dziadek, książę, był znakomitym pianistą. Osobiście uczył mnie gry na fortepianie”.

Fletcher dotknął klawiszy i odniósł wrażenie, że spłynęła na niego siła matki. Już miał wziąć akord, gdy dobiegł go jakiś dźwięk i odwrócił się do drzwi. Dorothy Lamont, która musiała być jego ciotką, weszła do pokoju i stanęła jak wryta.

- Boże miłosierny! - Wyglądała, jakby zobaczyła ducha. Szybko jednak odzyskała panowanie nad sobą i ruszyła do gościa. - Jestem lady Dorothy Lamont. A kim ty jesteś, do diabła?

- Twoim siostrzeńcem, Fletcherem Ramsayem - powiedział i przyszło mu do głowy, że pomysł sprawienia jej niespodzianki nie był być może najszcześniejszy.

- Fletcher? Fletcher Ramsay?

Z miny ciotki wywnioskował, że jego słowa zaszokowały ją, więc zapytał:

- Nie spodziewałaś się mnie, ciociu? Podniosła dłoń do szyi.

- Boże! Oczywiście, że spodziewałam się siostrzeńca, dziedzica zamku Caithness. Nie przypuszczałam tylko, że będzie tak ładząco podobny do ojca. - Zaczęła rozcierać ramiona, jakby miała dreszcze. - Aż dostałam gęsiej skórki. Miałam wrażenie, że widzę nieboszczyka, i mimowolnie zaczęłam się zastanawiać, czy mam przywidzenia, czy też księżę Glengarry rzeczywiście zmartwychwstał.

Fletcher uśmiechnął się i natychmiast przyszło mu do głowy, że pewnie ciotka w tym momencie pomyślała, że syn Bruce'a Ramsaya uśmiecha się tak samo jak ojciec. Wielokrotnie słyszał to z ust matki.

- W pewnym sensie jedno i drugie. Zostanę księciem Glengarry... i to niedługo - oświadczył. Z uśmiechu, jakim ciotka powitała jego słowa, wywnioskował, że zwróciła uwagę na siłę i głębokie przeświadczenie, z jakim je wypowiedział.

- Tak, twoja matka pisała mi o tym, jaki cel sobie postawiłeś - powiedziała. - To nie będzie łatwe, chłopcze. Twój ojciec przyplacił to życiem.

- Ja będę ostrożniejszy.

Dorothy Lamont wpatrywała się w niego uważnie i Fletcher zaczął się zastanawiać, o czym ciotka myśli.

- Chodź, usiądźmy przy kominku - zaproponowała. Usiadł we wskazanym fotelu.

- Uważasz, ciociu, że źle robię, pragnąc odzyskać ojcowski tytuł, który mi się słusznie należy?

- Na razie wstrzymam się z opinią. Jeśli odziedziczyłeś po ojcu nie tylko wygląd, ale i gorącą krew górali, to nie mogę cię winić. Szkoci mają tendencję do popadania w skrajności. Kompromis to dla nas coś całkowicie niezrozumiałego. Nawet w miłości zawsze mamy swoje racje. W rezultacie nasze życie to balansowanie na ostrzu noża.

- Będę o tym pamiętał.
- Nie byłabym do końca szczerą, gdybym ci nie powiedziała, że trochę mi cię żal, chłopcze.
- Dlaczego?
- Twoja gorąca góralska krew może się obrócić przeciwko tobie. Musisz być bardzo ostrożny, jeśli chcesz odnieść sukces.
- Będę ostrożny.
- Widzę, że jesteś bardzo podobny do ojca, co może się okazać większą przeszkodą niż pomocą. Góral nigdy nie wybiera najprostszej drogi do celu. A cele stawiamy sobie zawsze nieosiągalne.
- Mama bardzo często powtarzała te słowa. - Fletcher roześmiał się.
- A czy rozumiałeś, co Maggie chciała ci powiedzieć?
- Czasami - stwierdził i uśmiechnął się szeroko.
- Górale nie są pamiętliwi i z trudem przychodzi im na zimno zaplanować zemstę. Szybko wpadamy w złość i równie szybko udaje się nam z niej ochłonać.
- A więc znaleźliśmy punkt, w którym zdecydowanie różnię się od ojca, bo ja od bardzo dawna pielęgnuję w sercu gniew na Adaira Ramsaya - oświadczył Fletcher. - Przez dwadzieścia lat nie ochłonałem z tego gniewu.
- Weź sobie do serca moje słowa, chłopcze. Twój ojciec popełnił błąd, który kosztował go życie. Miał go we krwi i ty także możesz go mieć.
- Jaki to był błąd?
- Był zbyt skłonny do wybaczenia i zapominania win. Mimo ostrzeżeń twojej matki nie wierzył, że Adair Ramsay jest zdolny do zbrodni. I tego właśnie Adairowi było trzeba, to była dla niego uchylona furтка. Jesteśmy silnymi ludźmi i historia dowiodła, że nie mamy sobie równych w ataku, ale obrona aż nazbyt często jest naszym słabym punktem. Na ile znam Adaira Ramsaya, to nie jest człowiek, który będzie biernie czekał, aż ktoś odbierze mu tytuł. Wystąpi przeciwko tobie i to wystąpi z całą mocą. Nie mogę pozbyć się obaw, czy będziesz na tyle mocny, by stawić mu czoło.
- Jestem na to przygotowany - odpowiedział Fletcher. -A jeśli chodzi o to, czy okażę się wystarczająco silny i odporny, muszę stwierdzić, że te cechy odziedziczyłem po matce.
- Owszem, Maggie rzeczywiście miała te cechy silnie rozwinięte. - Ciotka skinęła głową. - Modłę się, byś je po niej odziedziczył. A z tego, co pisała o swym mężu, odnoszę wrażenie, że od Adriana MacKinnona nauczyłeś się trzeźwej oceny sytuacji.
- Fletcher uśmiechnął się w odpowiedzi na to stwierdzenie ciotki. Milczał przez chwilę.

- Wybacz, ciociu. Z tego, że skwapliwie byłem gotów dyskutować o utracie tytułu ojca, bynajmniej nie wynika, że spodziewam się bez wysiłku przejąć obowiązki wynikające z tytułu odziedziczonego po wuju lanie. Z twoją pomocą nauczę się najpierw, czego się tutaj po mnie spodziewają, zanim wystąpię z roszczeniami do Glengarry i tamtego tytułu.

- A więc masz nieco zmysłu dyplomacji, mój chłopcze. Cieszę się, że to widzę. Odziedziczyłeś to po matce. Maggie zawsze wiedziała, jaką drogę obrać. - Umilkła na chwilę.
- No, dosyć na razie. Masz za sobą daleką podróż i zostaniesz tu przez resztę życia. Proponuję, żebyśmy wrócili do tej rozmowy później.

Dorothy zadzwoniła po panią MacCauley i kazała jej przygotować pokój Fletchera.

- Jesteś zmęczony, chłopcze? Chciałbyś trochę odpocząć?

- Nie, ciociu. Chciałbym jeszcze trochę z tobą porozmawiać, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Wielu rzeczy muszę się dowiedzieć.

- Co racja, to racja - zgodziła się Dorothy. - Chodź zatem ze mną.

Podążył za nią długim, wąskim, ciemnym korytarzem, oświetlonym jedynie kilkoma lichtarzami, aż doszli do ogromnej biblioteki, pełnej książek i dokumentów.

- Usiądź przy ogniu. Twoje ubranie nadal jest nieco wilgotne.

Przyglądała się, jak siostrzeniec sadowi się w skórzanym fotelu, po czym wyjaśniła, że na tym właśnie miejscu siadały pokolenia książąt Caithness. Zapropowała mu whisky, której odmówił, a potem zieloną chińską herbatę, na co przystał z wielką chęcią.

Kiedy ciotka nalewała napój, prowadzili lekką rozmowę o matce Fletchera, jego siostrach, Ainsley i Barrie, i o reszcie rodziny Mackinnonów, a także o jego podróży i o życiu w Kalifornii.

Potem rozmowa zesłała na tytuł księcia Caithness, który odziedziczył po lanie, bracie Dorothy. Po dłuższej chwili Fletcher zmienił temat.

- Ciociu, co wiesz o śmierci mojego ojca i o utracie tytułu?

Ciotka odstawiała filiżankę na stojący obok stolik i zamyśliła się głęboko.

- Obawiam się, że będziesz rozczarowany, bo nie mogę zdradzić ci niczego, o czym byś już nie wiedział. Podejrzewam, że matka wszystko ci powiedziała.

- Mama mówi tylko wtedy, gdy ma ochotę podjąć jakiś temat. O tym nie rozmawiała. Rozumiem ją. Bała się, że taka rozmowa może tylko wzmocnić moją decyzję o powrocie. Chciałbym posłuchać, co ty pamiętasz.

Dorothy kiwnęła głową.

- Sądzę, że w tej sytuacji powinnam zacząć od początku - stwierdziła. - Ojciec był mniej więcej w twoim wieku, miał dwadzieścia siedem lat, kiedy Adair Ramsay po raz

pierwszy pojawił się na progu zamku Glengarry. Przywiózł ze sobą papiery, dowodzące, jego zdaniem, że jest w prostej linii potomkiem Alasdaira Ramsaya, ósmego księcia Glengarry.

- Synem Alasdaira był przecież Douglas, mój prapraprapradziadek.

- Owszem, ale czy powiedziano ci, że Adair Ramsay miał praprapradziadka o tym samym imieniu i że ten Douglas także był synem Alasdaira Ramsaya?

- Tak, mama mówiła mi, że było dwóch Douglasów Ramsayów, których ojciec miał na imię Alasdair. Twierdziła jednak, że to mój przodek był księciem.

- I tak właśnie było, tyle że to Adair miał udokumentowaną linię genealogiczną, a twój ojciec nie. Kiedy sprawa po raz pierwszy trafiła do sądu, roszczenia Adaira zostały odrzucone, bo twój ojciec odziedziczył tytuł po swoim ojcu, uznano więc, że stało się to zgodnie z prawem. W końcu twój ojciec żył i był w doskonałej formie.

- A kiedy został zamordowany...

Dorothy wyprostowała się.

- To nigdy nie zostało udowodnione.

- Ale mama mówiła...

- Wiem, w co Maggie wierzy, więc mogę sobie wyobrazić, co ci opowiadała. I w głębi serca sędzę, że ma rację. Twój ojciec był doskonałym jeźdźcem, a okolice Glengarry znał jak własną kieszeń. Trudno uwierzyć, że wjechał konno na klif, a jeszcze trudniej uwierzyć, że koń spadł...

- Chyba że został zepchnięty.

- Właśnie. - Dorothy odchyliła się do tyłu i położyła ręce na oparciach fotela. - Wkrótce po śmierci twojego ojca Adair ponownie wystąpił do sądu i tym razem uznano jego dowód za przekonujący.

- Odebrano tytuł mnie i przyznano go Adairowi.

- Tak właśnie się stało.

- Ale dlaczego? Kompletnie tego nie rozumiem. Jaki był ten jego dowód? Mama wspomniała, że chodziło o jakieś małżeństwo, które nigdy nie zostało zawarte.

- Tak. - Ciotka wdała się w długie i szczegółowe wyjaśnienia, w jaki sposób po śmierci ojca Fletchera, księcia Glengarry, odebrano tytuł jego synowi. Nie mając dokumentów na poparcie swoich racji, matka Fletchera nie mogła odeprzeć ataku Adaira Ramsaya i nie miała możliwości obrony dziedzictwa syna. Dorothy naszkicowała Fletcherowi drzewo genealogiczne rodu i starała się wytłumaczyć siostrzeńcowi, kto z kim i w jaki sposób był spokrewniony.

- Przestuduj to uważnie, potem porozmawiamy - powiedziała, podając kartkę siostrzeńcowi.

Wziął ją, złożył i schował do kieszeni.

- Dziękuję, ciociu. To - Fletcher poklepał się po kieszeni - ułatwi mi zrozumienie tej sprawy.

- To może i brzmi prosto, będzie jednak niezwykle trudne do udowodnienia.

- Możliwe, ale ja to udowodnię - odpowiedział.

Sposób, w jaki siostrzeniec wypowiedział te słowa, sprawił, że Dorothy podniosła na niego wzrok.

- Skąd się bierze twoja pewność, że udowodnisz coś, czego nie udało się zrobić twojemu ojcu?

- Bo to on będzie kierował moimi krokami. Nie mogę przegrać. - Spojrzał jej prosto w oczy. - Zaszokowałem cię? Uważasz, że jestem niespełna rozumu?

- Nie - odpowiedziała. Nagle zrozumiała wszystko. - My, Szkoci, zawsze mieliśmy zdolności paranormalne. Miałaś wizje?

- Tak - potwierdził Fletcher i opowiedział jej swoje sny.

- Musiałaś więc po pierwszym śnie czekać aż dziesięć lat, zanim nawiedził cię drugi.

- Tak, i nie było mi łatwo. Cierpliwość nigdy nie należała do moich mocnych stron.

Dorothy roześmiała się, jakby bez trudu mogła w to uwierzyć. Fletcher powiedział jej, że uznał odziedziczenie tytułu księcia Caithness za znak. Znak, że przyszedł czas powrotu.

- Cieszę się, że wspomniałaś o Caithness. Myślałam, że kompletnie o tym zapomniałaś. Boże! Przez ciebie nawet ja zapomniałam.

- Nie masz powodów do niepokoju - zapewnił skwapliwie Fletcher. - Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by przysporzyć honoru temu tytułowi. To, co mama opuściła, opowiadając mi o mych przodkach z rodu Ramsayów, nadrobiła z nawiązką w opowieściach o przodkach z rodu Sinclairów.

- Nasze dzieje są bogate i mogą stanowić powód do dumy - potwierdziła Dorothy i energicznie kiwnęła głową.

- Tak, wiem. I dlatego właśnie pokochałem to miejsce, zanim jeszcze je zobaczyłem, i nawet w tej chwili czuję z nim silną więź, wiedząc, że to tutaj urodziła się moja mama i tu ukształtowały się wszystkie cechy jej charakteru, które tak podziwiam... i te nieliczne, których podziwiać nie mogę.

Dorothy wybuchnęła śmiechem.

- Tak, twoja mama zawsze była dziewczynką o niezwykle silnej woli, a nasz ojciec psuł ją bezwstydnie. Widzisz, była najmłodsza, urodziła się ładnych parę lat później niż reszta rodzeństwa. Jest... było nas pięcioro: trzech chłopców, z których żaden już nie żyje, i dwie

dziewczynki. Dużo ci o nas opowiadała?

- Tak, często mówiła, że miała dwie matki i czterech ojców.

- To prawda. I wszyscy mieli z nią pełne ręce roboty, bo była wyjątkowo niesfornym dzieckiem.

Fletcher osłupiał.

- O tym najwyraźniej wołała mi nie mówić - stwierdził.

- Przypomnij mi, żebym któregoś dnia dokładniej ci o tym opowiedziała.

- Obiecuję. I obiecuję, że będę takim księciem Caithness, z którego będziesz mogła być dumna.

- Jestem absolutnie pewna, że tak będzie. Caithness to niezbyt zasobne dziedzictwo, ale pod innym, może bardziej istotnym względem, jest niezmiernie bogate. Są tu dobrzy ludzie, którzy będą wiernie ci służyć, jeśli będziesz ich należycie traktował.

- A ja dołożę wszelkich starań, aby tak się stało, szczególnie jeśli zgodzisz się służyć mi pomocą.

- Oczywiście. Mieszkam tu już tak długo... od śmierci męża, to jest blisko czterdzieści lat. Mój ojciec był stary i niewidomy, zastępowałam mu więc oczy i uszy. Kiedy Ian odziedziczył tytuł, ja nadal wszystkim kierowałam. - *Dorothy* zauważyła zaskoczenie siostrzeńca, więc dodała: - Iana bardziej pociągało życie towarzyskie na książęcym dworze w Edynburgu, więc uciekał tam z tych zimnych kamiennych murów.

- To znaczy, że ty byłaś przez kilkadziesiąt lat księżką Caithness - podsumował Fletcher.

- Tak. Nie jestem w stanie zrozumieć, dlaczego kobiety nie mogą dziedziczyć tytułu. Mogą dziedziczyć przywództwo klanu, ale nie tytuł. Dla mnie to bez sensu.

- Może kiedyś to się zmieni.

- Nie za mojego życia. Za twojego też nie.

Pani MacCauley weszła do biblioteki.

- Chce pan zagadać ciotkę na śmierć?

- Właśnie doszliśmy *do* miejsca, w którym możemy przerwać rozmowę - stwierdziła *Dorothy*, wstając z fotela. - Domyślam się, że ty mógłbyś gadać jeszcze przez parę godzin, ale moje stare kości dopominają się już odoczynku. Myślę, że długa i ciężka podróż dała ci się we znaki, choć jesteś taki młody. Tobie też przyda się odrobina snu.

- Oczywiście. - Fletcher zerwał się na równe nogi. - Przepraszam, ciociu, że zatrzymałem cię do późnej nocy.

- Rozmowa z tobą to dla mnie o wiele większa przyjemność niż godzina drzemki.

- Chciałbym jutro znów porozmawiać z tobą, ciociu... oczywiście, jeśli będziesz się czuła na siłach.

- Ach, ci młodzi! Jesteście niezmordowani - odpowiedziała Dorothy i uśmiechnęła się serdecznie.

4

Fletcher siedział przy jednym końcu długiego stołu w jadalni, a ciotka przy drugim. W czasie wielotygodniowego już pobytu na zamku Caithness przekonał się, że Dorothy jest osobą zarówno groźną, jak i frapującą.

Ta sześćdziesięcioośmioletnia siwa dama była wysoka i równie władcza, jak królowa Wiktoria. Cechowała ją rezerwa, która Fletcherowi wydawała się nieodłącznie związana ze Szkotami. Dorothy ubierała się zawsze na czarno lub szaro, a jej suknie były tyleż eleganckie, co niemodne. Zdecydowanie obstawała przy swych przekonaniach i uprzedzeniach, była surowa, uparta i niezwykle przywiązana do tradycji i przeszłości. Początkowo siostrzeniec uważał ją także za osobę wyjątkowo niegościnną; kazała mu przecież czekać na deszczu przez co najmniej dziesięć minut, zanim wreszcie zgodziła się wpuścić go za próg.

Teraz jednak, kiedy lepiej ją poznał, widział w niej najmądrzejszą, najsilniejszą i najbardziej kochającą kobietę na świecie. I podziwiał ją z całego serca. Uznał, że pod wieloma względami przypomina Maggie. I równie wiele go nauczyła. To właśnie ciotka całymi dniami opowiadała mu historię rodu matki; to ona radziła, by powściągnął niecierpliwość i postępował powoli i rozważnie, jeśli chce udowodnić, że Adair Ramsay to uzurpator.

Fletcher wiele się dowiedział o swoich przodkach od Dorothy, ale równie wiele opowiedział mu sam zamek Caithness. Zamieszkał, co prawda, w komnacie księżęcej, ale wiele czasu spędził w dawnym pokoju mamy, w którym mnóstwo przedmiotów pochodziło z czasów, gdy żyła z Bruce'em Ramsayem, przedmiotów, które przywiozła ze sobą z zamku Glengarry po śmierci męża. Wszystko w pokoju było takie samo, jak w chwili jej wyjazdu, i ilekroć Fletcher tam wchodził, miał wrażenie, że cofa się w czasie.

Kiedy przeglądał jej rzeczy, nie mógł powstrzymać uśmiechu. Matka miała dość rozsądku, by nie zabierać pamiątek po pierwszym mężu do domu drugiego, ale jako typowa kobieta chciała zachować wspomnienia minionej miłości. Była także Szkotką, która nie potrafi niczego wyrzucić.

Z całego dobytku Maggie Fletchera najbardziej interesował ogromny okuty kufer. Był bardzo stary, o wiele starszy niż schowane w nim przedmioty. Na samej górze leżały ubrania ojca i przedmioty osobiste: zegarek, szczotka i grzebień, głębiej znalazł dokumenty i rejestry Bruce'a Ramsaya. A na samym dnie, pod dokumentami, odkrył drugie dno. W schowku ukryto bardzo starą księgę. Natychmiast zorientował się, że to Biblia, ale napisana po francusku. Kiedy jej dotknął, ręka mu zadrżała. W pokoju nagle zrobiło się bardzo jasno i Fletcher odniósł wrażenie, że znajduje się w nim ktoś jeszcze, że nie jest już sam. Na wewnętrznej stronie okładki widniał jakiś napis po francusku, pisany brązowym wyblakłym atramentem. Fletcher zdołał odcyfrować słowa; *Brigitte de Compiègne, Honfleur, France, 1740.*

W tej Biblii było coś szczególnego. Wyczuwał to instynktownie, choć nie umiałby wytłumaczyć, na czym to polega.

Odłożył księgę na miejsce, spakował pozostałe rzeczy i zamknął kufer. Zamyślił się głęboko. Czy pamiętki po ojcu rzeczywiście przemówiły do niego z tak nieodpartą siłą, czy też tylko to sobie wyobraził?

Po kilku dniach wybrał się do Edynburga, żeby zatrudnić doradcę prawnego, i całe popołudnie strawił na wczytywaniu się w stenogramy przesłuchań ojca i Adaira Ramsaya w czasie ich sporu, a także późniejsze, już samego Adaira, kiedy po śmierci ojca sąd postanowił odebrać tytuł Fletcherowi i przyznać go Adairowi.

Kiedy zaczął rozumieć szkocką mentalność i zadania stojące przed księciem Caithness, pojął też słowa, które pewnego wieczoru wypowiedziała ciotka.

- Najlepiej przysłużą ci się siła i szacunek. Będziesz ich potrzebował, by zdobyć zaufanie tych, którzy mogliby ci pomóc. Odzyskanie tytułu będzie trudne i nie muszę ci chyba mówić, mój drogi, że niełatwą drogę sobie wybrałeś. Adair Ramsay jest bardzo potężnym człowiekiem.

- Nie boję się go - oświadczył Fletcher lekko, nakładając na talerz kawałek łososia.

Dorothy odstawiła kieliszek wina.

- Głupia gadanina. Im większa potęga, tym bardziej niebezpieczny człowiek. Lepiej by było, gdybyś dobrze to sobie zapamiętał.

Pamiętał, ale *nic* nie mogło go odwieść od dążenia do realizacji celu, który przed sobą postawił.

- Pewnie nie słyszałeś ani słowa z tego, co powiedziałam -mruknęła ciotka i ruchem ręki odprawiła lokaja, który chciał dolać jej wina.

- Słucham? Och... przepraszam, ciociu. Zamyśliłem się -sumitował się Fletcher.

- Założę się, że twoje myśli krążyły wokół Glengarry.

- Doszedłem do wniosku, że nadszedł czas, bym- złożył wizytę w Glengarry.
- Nie znajdziesz tam żadnych dowodów, ale wiem, że korci cię, by tam pojechać. Już od kilku dni zdaję sobie sprawę, że przyjdzie mi nieco dłużej pełnić rolę księcia Caithness. Kiedy chcesz wyruszyć, chłopcze?

- Pod koniec tygodnia.

- Nie muszę ci chyba przypominać, że powinieneś zachować ostrożność. Glengarry to niewielka miejscowość, a Adair Ramsay sprawuje tam władzę od dwudziestu już lat. Będzie tam miał wielu szpiegów.

- Wiem.

- Gdzie się zatrzymasz?

- Coś sobie znajdę na miejscu. Nie martw się o mnie.

- Też pomyśl! Będę się martwić bezustannie!

- Zdaję sobie z tego sprawę. - Fletcher opróżnił kieliszek. -Pod tym względem niczym się nie różnisz od mamy.

- Wszystkie kobiety drżą o bliskich sercu mężczyzn i jestem pewna, że wystarczająco dużo nasłuchałaś się o tym przed wyjazdem z Kalifornii. Masz jakiś plan?

Potrząsnął głową.

- Nie mam. Czuję tylko, że przyszedł czas, bym tam pojechał, bo w Glengarry jest coś... ktoś, w czyim ręku spoczywa klucz do tych wydarzeń.

- Nie ufaj nikomu, chłopcze - ostrzegła Dorothy. - Poza...

- Poza kim?

- Myślę, że mógłbyś złożyć wizytę pewnemu sympatycznemu pastorowi. Temu, który udzielił ślubu twoim rodzicom. Nazywał się MacDonald. David MacDonald. Oczywiście, teraz jest już człowiekiem mocno posuniętym w latach, mógłby jednak być ci pomocny. Ochrzcił cię... i twoje siostry także, jeśli dobrze pamiętam.

- Mama opowiadała mi o nim i, podobnie jak ty, radziła prosić go o radę. Korespondowała z nim przez te wszystkie lata.

- Założę się, że masz zamiar zastosować się do jej rady.

- Oczywiście. Jestem bardzo posłusznym synem, prawda? -Fletcher uśmiechnął się do ciotki.

- Tak, kiedy jest ci to na rękę.

- Poddaję się, ciociu. Mam zamiar zacząć od niego. Dobrze jest mieć po swojej stronie osobę duchowną.

- Powinieneś się modlić, by mieć Boga po swojej stronie -skwitowała Dorothy.

- Zawsze się o to modliłem.

Dwa dni później Fletcher otrzymał pierwsze zaproszenie jako nowy książę Caithness.

Wrócił właśnie z przejażdżki na ogierze, którego kupił na targu w zeszłym tygodniu, gdy pani MacCauley wręczyła mu kremową kopertę. Ze zmarszczonym czołem oglądał list ze wszystkich stron.

- Od kogo to może być?

- Znajdzie pan odpowiedź na swoje pytanie, jeśli go pan w końcu otworzy - stwierdziła pani MacCauley.

Fletcher rzucił pyskatej gospodyni karcące spojrzenie, poszedł z listem do gabinetu i dopiero tam otworzył kopertę.

- Kto to jest Annora Fraser? - zapytał przy kolacji ciotkę. Widelec z kawałkiem baraniny, który Dorothy niosła właśnie

do ust, zatrzymał się w pół drogi.

- Skąd wiesz o Annorze?

- Dzisiaj dostałem od niej zaproszenie na bal.

- Chcesz je przyjąć?

- Jeszcze nie wiem. A co ty o tym sądzisz?

- Nieważne, co ja sadzę. Dam sobie głowę uciąć, że i tak się wybierzesz, kiedy się dowiesz, że dom Annory znajduje się w sąsiedztwie Glengarry - stwierdziła Dorothy.

Te słowa natychmiast przykuły uwagę Fletchera. Odsunął się od stołu, zapominając o posiłku.

- Powiedz coś więcej.

- Ciąg dalszy na pewno ci się spodoba. Annora jest młoda, piękna i bogata. Jest wdową.

- Sugerujesz małżeństwo? - Fletcher uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Małżeństwo przychodzi do głowy każdemu mężczyźnie, który na nią spojrzy.

- A jej mąż? Co się z nim stało?

- Zmarł ze starości. - Dorothy zamilkła na chwilę. - Annora wyszła za niego dla pieniędzy.

Była biedną wieśniaczką, zanim wpadła w oko bogatemu ziemianinowi.

- Mają dzieci?

- Nie. Simon Fraser zmarł, zanim Annora zdążyła dać mu potomka.

- Co za pech.

- Może dla Simona, bo Annora dzięki temu stała się jeszcze bardziej atrakcyjną partią.

- Na tyle atrakcyjną, że i mnie zainteresowała. Po tym, co powiedziałaś, byłbym głupcem,

gdybym odmówił, nawet gdyby jej dom nie znajdował się tak blisko Glengarry.

Fletcher zamilkł na chwilę i zamyślił się głęboko.

- Coś cię martwi - zauważyła Dorothy.

- Zastanawiam się, w jaki sposób się o mnie dowiedziała.

- Nie przypadkiem stała się tym, kim jest. Możesz być pewien, że wie o tobie wszystko.

I mogę iść o zakład, że kiedy się z tobą spotka, będzie wiedziała jeszcze więcej. Zapewne kieruje nią nie tylko sąsiedzka gościnność. Ani na chwilę nie wolno ci zapomnieć, że jest równie sprytna, jak piękna.

- Z twoich słów można by wywnioskować, że to wiedźma.

- To nie jest zła kobieta. Jest tylko zdecydowana na wszystko, byle zdobyć to, na czym jej zależy. - Dorothy zamilkła na chwilę. - W jej żyłach musi płynąć nieco angielskiej krwi.

Fletcher roześmiał się i odsunął krzesło. Wstał od stołu.

- Przesadzasz, ciociu. Podejrzewam, że Annora Fraser nawet nie zauważy mojego przyjazdu.

Kto to jest? - zapytała szeptem Annora, nie odrywając zafascynowanego wzroku od pleców wysokiego ciemnowłosego mężczyzny, stojącego po drugiej stronie sali. Śledziła go od chwili, gdy wszedł do komnaty. Miał na sobie kilt i zawieszoną u pasa skórzaną torbę, stanowiącą element szkockiego stroju narodowego; w grubej, robionej na drutach skarpecie tkwił sztylet ze srebrną rękojeścią, a szerokie ramiona okrywała kraciasta peleryna, ozdobiona zapinką z książęcym emblematem.

Annora zerknęła w dół.

Mężczyzna miał długie, muskularne nogi i robił wrażenie doskonałego jeźdźca. Ciekawe, czy równie sprawnie ujeżdża kobiety, pomyślała.

- To księżę Caithness - odpowiedział lokaj.

- No, no, no - mruknęła z jeszcze większym zainteresowaniem. Oczami duszy widziała go z gęstymi kasztanowymi włosami potarganymi od snu i głosem ochrypłym z pożądania. Wyglądał wspaniale. Dlaczegoż by nie? Był wysoki, zgrabny, bogaty i wolny. - Księżę Caithness - powtórzyła i uznała, że zaproszenie tego nowego księcia było dobrym pomysłem. - Na szczęście należę do kobiet, które pilnie przysłuchują się ploteczkom. A on wygląda nawet lepiej, niż mi mówiono.

Annora odwróciła się, obciągnęła z przodu dopasowaną baskinkę, dzięki czemu kwadratowy dekolt sukni stał się jeszcze głębszy, i ruszyła na drugą stronę sali.

Fletcher zauważył zbliżającą się do niego kobietę i był więcej niż zainteresowany. Do diabła! Musiałby być kompletnie ślepy, by nie zareagować.

Dostrzegł ją, gdy tylko wszedł do sali, bo była tak piękna, jak twierdziła ciotka. A nawet bardziej. Zwrócił na nią uwagę, jeszcze zanim się odwróciła, bo nawet z tyłu robiła wrażenie. Była wysoka, smukła, rozkosznie zaokrąglona i kusząca do szaleństwa, w idealnie dopasowanej do figury szmaragdowozielonej sukni. W życiu nie widział tak czarnych włosów o granatowym połysku ani tak świetlistej, jasnej cery.

Kiedy odwróciła się, uznał, że tylko jedno słowo jest w stanie oddać piękno jej piersi: Wspaniale!

Gdy ruszyła w jego stronę, mało brakowało, a roześmiałyby się w głos, bo nasunęło mu się skojarzenie z sokołem spadającym na upatrzoną z góry ofiarę. Jednak ochota do śmiechu przeszła mu natychmiast, gdy uświadomił sobie, że to on jest ową upatrzoną zdobyczą.

Odczuł gwałtowną potrzebę schronienia się za jakimiś murami obronnymi. Pochwyił kieliszek z tacy przechodzącego obok lokaja i szybko go osuszył, po czym stanął na rozstawionych nogach i patrzył, jak kobieta zbliża się do niego. Wiedział, że Annora jest w pełni świadoma, iż on nie odrywa od niej wzroku, nie zareagowała jednak w sposób, w jaki zareagowałyby większość znanych mu kobiet. Nie zarumieniła się, nie spuściła oczu, nie zrobiła żadnej z tych głupich rzeczy, które zazwyczaj robią kobiety, kiedy mężczyzna wpatruje się w nie, myśląc o tym, o czym w żadnym wypadku myśleć nie powinien. Fletcherowi przyszło do głowy, że być może jej śmiałość wynika z faktu, iż była już mężatką, nie jest więc krygującą się dziewicą. Uznał zresztą za więcej niż prawdopodobne, że nie była nią już przed ślubem.

Było absolutnie oczywiste, że gospodyni jest kobietą doświadczoną i nie wstydzi się okazywać zainteresowania mężczyzną, który jej się podoba. Te dwa stwierdzenia nasunęły mu się, gdy tylko na nią spojrział. Zanim wieczór dobiegnie końca, będzie mógł na nią nie tylko patrzeć.

- Jak panu nie wstyd zjawiać się tak późno! - zawołała, zbliżając się do Fletchera. - Czekałam na pana cały wieczór. Nazywam się Annora Fraser, a pan jest zapewne księciem Caithness. Wszędzie bym pana poznała.

- Po czym?

- Jest pan niezaprzeczalnie przystojny, a poza tym już na pierwszy rzut oka widać, że jest pan Amerykaninem.

- To aż tak rzuca się w oczy?

Uśmiechnęła się i wzięła go pod rękę.

- Czy mówiłam, że to się rzuca w oczy? To po prostu widać.

- W czym? - zapytał, mając nadzieję, że Annora nie odpowie, iż po sposobie, w jaki nosi

kilt. Nie bez oporów włożył dziś strój narodowy i zrobił to wyłącznie dlatego, że zdawał sobie sprawę, iż po księciu Caithness wszyscy się tego spodziewają. Cholernie go pod wiewało!

Wzruszyła ramionami i Fletcher mimo woli zwrócił uwagę, że ten gest zdradza jej pochodzenie.

- Wy, Amerykanie, roztaczacie wokół siebie aurę pewności siebie, nonkonformizmu i zawsze trzymacie się z dala od tłumu.

- W takim razie muszą to być cechy nabyte, bo ja jestem Szkotem do szpiku kości.

- Och, wiem oczywiście, kim pan jest. I wiem, dlaczego przyjechał pan do Szkocji.

Zesztywniał.

- A dlaczego, pani zdaniem, przyjechałem? - zapytał o wiele ostrzejszym tonem, niż zamierzał.

Gospodyni rzuciła mu uwodzicielski uśmiech i przysunęła się o wiele bliżej, niż było to ogólnie przyjęte.

- Żeby odziedziczyć po wuju tytuł, oczywiście.

- Oczywiście.

Mocniej ujęła go za ramię.

- No, chodźmy, muszę panu przedstawić mnóstwo osób.

- Założę się, że samych mężczyzn.

Podniosła na niego wzrok i roześmiała się gardłowo. Aż zaćmiło mu się w oczach od migotliwych szmaragdów i brylantów spoczywających na jej piersi.

- Widzę, że się dogadamy - powiedziała. - Świetnie się rozumiemy.

- Czyżby?

- Tak. Niech mi pan powie, czy jeszcze zanim zaczęliśmy rozmawiać, wiedział pan, że pójdziemy razem do łóżka? - Przez podwójne drzwi wyprowadziła go na niewielki balkon.

- Wiedziałem. Niech mnie licho, chyba wszyscy w tym pokoju wiedzieli.

Roześmiała się i Fletcher stwierdził, że coraz bardziej mu się podoba ten gardłowy dźwięk. Był równie podniecający, jak bezwstydna śmiałość tej kobiety. Nigdy dotychczas nie spotkał nikogo podobnego.

- W takim razie musimy dopilnować, żeby się nie rozczarowali. Zostanie pan na noc, prawda?

- Być może - odpowiedział. Coś powstrzymywało go przed otwartym wyrażeniem zgody, choć wyraźnie domagało się tego jego ciało.

Annora uśmiechnęła się, wspięła się na palce i pocałowała go w usta. Jej wargi były ciepłe i miękkie, pieszczotliwe. Kusilo go, by rozchylić usta i przyjąć ten pocałunek, ale znów

coś go powstrzymało. Kobieta cofnęła się.

- Mężczyzna, który udaje trudnego do zdobycia? - szydziła. - Jestem zaintrygowana, stanowisz dla mnie wyzwanie. Chodźmy więc. Czas, by wszystkie panie w tym pokoju zaczęły się skręcać z zazdrości.

W tym momencie Fletcher nie wytrzymał, odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

Po kilku minutach stał już wraz z Annorą w centrum sporego kręgu osób, którym gospodyni przedstawiała swego nowego gościa. Wokół nich cisnęło się mniej więcej dwunastu mężczyzn, wszyscy w jego wieku lub starsi.

- Pragnę państwu przedstawić najnowszy szkocki nabytek, wprost z pokładu statku, który przyłynął z Ameryki. Panowie, oto księżę Caithness. Większość z was znała jego wuja, Iana, i zapewne słyszeliście o jego tragicznej śmierci. I oto mamy przed sobą nowego księcia i naszym obowiązkiem jest należycie przywitać go w kraju.

Mężczyźni bynajmniej nie rwali się, by należycie powitać Fletchera. Jeszcze parę miesięcy temu byłoby mu przykro, ale teraz już nie. Wkrótce po przyjeździe do tego kraju zrozumiał, że Szkoci nie lubią zbyt szybko wyrabiać sobie zdania o człowieku. Kilku z nich jednak uśmiechnęło się lekko, a dwóch posunęło się nawet do okazania umiarkowanej uprzejmości.

- Z jakiej części Ameryki pan przyjechał? - zapytał mężczyzna, który przedstawił się jako Fergus McAlpin.

- Z Kalifornii - odpowiedział Fletcher i zauważył, że zostało to niezłe przyjęte.

- Jest pan siostrzeńcem ostatniego księcia, musi więc pan należeć do rodu Sinclairów, a nie słyszałem o żadnych Sinclairach w Ameryce - zagadnął Colin Ferguson.

- Moja matka jest z domu Sinclair. Po śmierci ojca wyszła za Amerykanina.

To stwierdzenie ożywiło ciekawość zgromadzonych, szczególnie niskiego, tęgiego mężczyzny, który, o ile Fletchera pamięć nie myliła, został mu przedstawiony jako Gavin MacPhail.

- A więc pańskie nazwisko brzmi...

- Ramsay. Fletcher Ramsay. - Zauważył, że spojrzenie Gavina pobiegło natychmiast w drugi koniec pokoju, i także zerknął w tamtą stronę, ale nie zobaczył nic szczególnego.

- Ramsay - powtórzył Colin Ferguson. - Pański ojciec był...

- Księciem Glengarry.

Po sali rozszedł się szmer głosów.

Po każdym z obecnych znać było napięcie. Nawet Annorze zabrakło słów. Fletcher doszedł do wniosku, iż wyjaśnienie jest niezwykle proste: nikt z tych ludzi nie ma ochoty zostać

zamieszany w starą waśń rodzinną. Nie miał do nich o to pretensji.

Tak jak się spodziewał, panowie jeden po drugim bąkali jakieś usprawiedliwienie i odchodzili.

Kiedy wszyscy zniknęli, miał chwilę czasu, by spokojnie zastanowić się nad ich reakcją na wiadomość o tym, kim jest. Po paru minutach przestali go interesować wszyscy poza jednym osobnikiem: Gavinem MacPhailem.

Fletcher rozejrzał się po sali i zauważył, że Gavin znika właśnie za drzwiami prowadzącymi na zewnątrz; siedł z pochyloną głową, pogrążony w głębokiej rozmowie z niewysokim, siwym mężczyzną.

Nagle Fletcher odniósł wrażenie, że do komnaty wdarł się jakiś podmuch lodowatego powietrza.

Nie spuszczał wzroku z obu mężczyzn, dopóki nie znikli mu z oczu, i zastanawiał się, co właściwie uderzyło go w Gavinie MacPhailu. Doszedł do wniosku, że oczy. Rozbiegane, nie budzące zaufania. Tak, to te oczy, myślał, kiedy Annora prowadziła go wokół sali jak nabytego właśnie ogiera, który wygrał główną nagrodę. Bładoniebieskie i zimne jak lód.

- Kim był ten człowiek? - zapytał gospodynię.

- Który? - Odwróciła się do Fletchera i położyła mu ręce na ramionach.

- Ten, który wyszedł przed chwilą z Gavinem MacPhailem. Pobladła i uciekła w bok spojrzeniem, ale po chwili znów na

niego popatrzyła. Fletcher uznał, że ta kobieta doskonale umie nad sobą panować.

- Nie wiem, o kim mówisz. Jak wyglądał? - zapytała gładko.

- Nieważne. Później się dowiem.

Pół godziny później Annora wyszeptwała jakieś usprawiedliwienie i zostawiła go w gronie kilku panów i pań.

Rozmowa szybko zaczęła się rwać, po czym wszyscy, jeden po drugim, stopniowo się wycofali, poza pewną starszą kobietą, która z sympatią mówiła o Dorothy. W tym właśnie momencie Fletcher zauważył siwego mężczyznę, którego widział niedawno wychodzącego z Gavinem MacPhailem; ale teraz Gavina nigdzie nie było widać. Siwy człowiek rozmawiał z Annora. Raz czy dwa spojrzeli w jego stronę.

Fletcher poczuł ten sam lodowaty dreszcz co przed chwilą. Tym razem otrzymał odpowiedź na pytanie, kim jest ten mężczyzna, od damy, z którą rozmawiał o ciotce:

- Ten, który stoi obok Annory? To Adair Ramsay, książę Glengarry.

Nasunę go dnia po wydanym przez Annorę Fraser balu Adair Ramsay zasiadł za biurkiem w ogromnej bibliotece zamku Glengarry.

Pomieszczenie to, choć pełne bezcennych antyków i dywanów, było ponure i panowała w nim ciężka atmosfera. Nawet wykute w grubym murze małe okienko z tyłu za biurkiem raczej odgradzało wnętrze od światła, niż wpuszczało promienie słoneczne *do* środka.

Adair obracał w palcach srebrny nożyk do rozcinania listów. Stojąca na biurku lampa naftowa zalewała pokój złocistym blaskiem i rzucała na ścianę cień gospodarza. Książę był niskim człowiekiem o ciemnych, przenikliwych oczach, pochylonych ramionach, rzadkich siwych włosach i wąskiej twarzy łasicy, twarzy przebiegłej i groźnej zarazem. Nienawidził ze wszystkich sił tych, którzy mieli nieszczęście znaleźć się u niego w niełasce.

Czyścił paznokcie nożem do rozcinania papieru, odchylając się w skórzanym fotelu, i czekał.

Po kilku minutach otworzyły się drzwi biblioteki i wszedł Gavin MacPhail, mężczyzna w średnim wieku, o siwiejących już rudych włosach i krępej budowie, znamionującej celtyckie pochodzenie.

Po wypolerowanej do połysku podłodze podszedł do jednego z dwóch wyściełanych krzeseł, stojących przy biurku. Opadł na jedno z nich z miną człowieka, który odczuwa ulgę, że wrócił z dalekiej podróży do domu.

- Pewnie jesteś ciekaw, czego się dowiedziałem? - zagadnął.

- Skończony idiota! Myślisz, że czekałbym na ciebie do późnej nocy, żeby zapytać o zdrowie twojej żony? Gdzie on jest? Wiesz, dlaczego się tu pojawił?

- Jest w drodze do Glengarry. Wieść niesie, że chce złożyć wyrazy uszanowania Davidowi MacDonaldowi.

- Wyrazy uszanowania dla emerytowanego pastora? Po co on to robi?

- Jeśli wierzyć plotkom, przygnała go tu nostalgia. - Gavin wzruszył ramionami. - Najwyraźniej matka opowiadała mu o walebnym z ogromną sympatią i prosiła, by przekazał mu wyrazy szacunku.

Adair skrzywił się.

- Niezły pretekst. Ale, moim zdaniem, to nie jest prawdziwy powód jego podróży.

- Może się mylisz. W końcu stary MacDonald rzeczywiście ochrzcił zarówno jego, jak i

jego siostry. Udzielił też ślubu jego rodzicom.

- Odprawił także mszę podczas pogrzebu Bruce'a Ramsaya i był w zamku, kiedy Maggie spakowała manatki i na dobre się *stąd* wyniosła. Nie byłbym zbytnio zdziwiony, gdyby przez te wszystkie lata utrzymywali ze sobą kontakt.

- Zamiar odwiedzenia starego MacDonalda niczego jeszcze nie dowodzi.

- Ale dlaczego przyjechał do Szkocji?

- Bo został księciem Caithness.

Adair wstał i oparł się rękami o blat biurka. Nóż do rozcinania listów skaleczył go w palec.

- Idiota! To niezbyt ważny tytuł. I niewiele wart. Ojczym Fletchera Ramsaya jest milionerem, a do tego chłopak wychowywał się w Ameryce. Więcej w nim z Amerykanina niż ze Szkota, a Amerykanom tytuły nie imponują. Nie wierzę, że przyciągnął go tu ten nędzny tytuł.

- Więc co?

- Zemsta. Sprawiedliwość. Rozprawa ze mną. Odzyskanie ojcowskiego tytułu. - Adair opanował się i ponownie opadł na fotel, wpatrując się w lśniącą na czubku palca szkarłatną kroplę krwi. - Jest mścicielem krwi ojcowskiej, przybył, by wystawić mi rachunek za jego śmierć.

- Za śmierć ojca?

- Tak, idioto. A czy może istnieć lepsza zemsta za przelaną przed laty krew, jak odzyskanie tytułu?

- Przecież mówiłeś, że dla Amerykanów tytuły nie są zbyt ważne.

- Inne może nie, ale ten tytuł jest ważny, kretynie.

Gavin nie odpowiedział, lecz jego niepokój był wyraźnie widoczny. Po chwili wstał.

- Niezależnie od tego, co nim powoduje, niewiele w tej sprawie możemy zrobić. On jest tutaj i został księciem Caithness, czy nam się to podoba, czy nie. Nie mamy dowodu, że przyjechał w jakimkolwiek innym celu. Jeśli rzeczywiście tylko na tym mu zależy, wszystkie nasze troski są niepotrzebne.

- Jeśli on zadowoli się księstwem Caithness, to znaczy, jeśli będzie się trzymał z dala od Glengarry i moich spraw, nie będę zmuszony podejmować przeciwko niemu żadnych działań. Ale jeśli zrobi się zachłanny, jeśli zacznie wdychać do złowienia większej ryby, na przykład Glengarry, nie będę się temu przyglądał z założonymi rękami. Nie dopuszczę, by odebrał mi wszystko, na co tak ciężko pracowałem.

- O czym mówisz?

- Że byłoby szkoda, gdyby skończył jak ojciec.

- Masz na myśli utratę tytułu?

- Nie, życia.

Powiada się, że zaniki pamięci bywają dla umysłu błogosławieństwem i trochę prawdy w tym jest, bo Cathleen, która zamiatała podłogę w kuchni, nagle ocknęła się i stwierdziła, że wcale nie zamiata; stoi na środku kuchni, opiera podbródek na dłoniach, obejmujących czubek kija od szczotki, i wpatruje się w rosnącą na podwórzu jarzębinę, a jej myśli bujają gdzieś daleko... może nawet pobiegły aż do samej Ameryki. No, może nie do Ameryki, ale do pewnego Amerykanina, którego spotkała podczas sianokosów na łące Drummonda, gdy wyłonił się z błękitnej mgły, a ona podała mu kubek wody.

Zupełnie jak biblijna kobieta przy studni.

Myślała o tym dniu i nie mogła wyjść ze zdziwienia, dlaczego jej pamięć postanowiła wybudować pomnik temu właśnie wspomnieniu. Czy dlatego, że pomnik w pamięci był wszystkim, na co mogła w życiu liczyć?

Potrząsnęła głową i powiedziała sobie w duszy, że tacy mężczyźni jak on nie są dla niej i że nic dobrego nie może wynikać ze wzdychania do czegoś nieosiągalnego. Normalne życie, mąż, dzieci... to nie dla niej. A jednak ten dziwnie się wyrażający Amerykanin zmacił jej umysł i sprawił, że nie była już do końca zadowolona ze swego dotychczasowego życia.

Mocniej ścisnęła miotłę i nie przestając strofować się w duchu, energicznie wzięła się do zmiatania.

- *Fais toujours aucune chose de bien, que le diable ne te trouve oyseux.* Spełniaj codziennie dobre uczynki, by diabeł nie zobaczył, że jesteś beczynny - mruknęła do siebie. - Święty Hieronim, Listy Apostolskie, 125.

Zacytowała świętego Hieronima po francusku, bo nagle poczuła, że i ona ma prawo do odrobiny ekstrawagancji. Wymiotła brud za drzwi i zatrzymała się na chwilę w progu, by spojrzeć na drogę do Glengarry. Przypomniała sobie, jak to było, kiedy on wjechał tamtego dnia na łąkę, wyglądając tak pięknie jak regiment strzelców górskich. I nagle wyobraziła sobie, że widzi tego mężczyznę nadjeżdżającego gościńcem i zatrzymującego się na podwórzu. Jak by się czuła, gdyby ktoś taki jak on przyjechał do niej w konkury?

- No jasne, spróbuj sobie wyobrazić, jak byś się czuła, gdyby ktokolwiek przyjechał do ciebie w konkury - powiedziała do siebie. Podniosła wycieraczkę i znów położyła ją na progu. - Wiesz, Cathleen, problem z tobą polega na tym, że ciągle chciałabyś tego, czego nie możesz mieć. Nie gromadźcie sobie skarbów na ziemi, gdzie mól i rdza niszczą, i gdzie złodzieje włamują się i kradną. Gromadźcie sobie skarby w niebie, gdzie ani mól, ani rdza nie niszczą i gdzie

złodzieje nie włamują się i nie kradną. Bo gdzie jest twój skarb, tam będzie i serce twoje, święty Mateusz. Cytowałam Pismo Święte, dziadku - powiedziała wchodzącemu właśnie do pokoju Davidowi.

- A, tak. Zawsze miałem w najwyższym poważaniu nie niepohamowaną gadatliwość, a świętą prostotę.

- To nie był ten cytat. - Cathleen zarumieniła się i spuściła wzrok na podłogę.

David MacDonald odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

6

Podróż do Glengarry nie była zbyt męcząca, bo miejscowość leżała zaledwie w odległości pół dnia jazdy konnej od wielkiego domostwa Annory Fraser.

Fletcher w przyjemnością wyruszył w drogę, miał bowiem wielką ochotę wyrwać się z murów, a poza tym zbliżał się do tej części swego dziedzictwa, której dotychczas nie znał. Zmierzając do Glengarry, mijał pachnące, porośnięte wrzosem trzęsawiska, ciemne tajemnicze jeziora, nad brzegami których niespokojne wiatry szarpały gałęziami sosen, czarnych na tle jasnoszarego nieba, a w oddali rysowały się pokryte wrzosowiskami szczyty gór i pagórków, owiane mgłą, pogrążone w majestatycznej ciszy.

Przejeżdżał obok omszałych skał, wrośniętych w kipiące od kwiatów wrzosowiska, i obok nielicznych wiosek, na które po pewnym czasie całkiem przestał zwracać uwagę. Większą część życia spędził w lasach północnej Kalifornii, wołał więc ciszę leśnych jezior i wzgórz od zgiełku kipiących życiem wiosek.

Późnym popołudniem wjechał do Glengarry, skupiska typowych prezbiteriańskich białoszarych domków. Miejscowość przypominała gniazdko uwite między zamkiem Glengarry i wartkim strumykiem, który spadał kaskadą po okrągłych gładkich kamieniach w dół do leżącego niżej jeziora. Niedaleko stąd było do morza, którego zapach wyraźnie dawało się wyczuć w powietrzu.

Fletcher zatrzymał konia.

W miasteczku panował spokój. Spojrzał w stronę ponaddwustuletniego, zniszczonego ze starości krzyża. Kilkadziesiąt metrów dalej dostrzegł grupę rzeźbionych kamieni nagrobnych, na których widniały podobizny ziemian i tarcze rodowe. W dole głównej ulicy dostrzegł górującą nad domami kościelną wieżę, a naprzeciwko reklamę gospody, zachwalającą świeżego łososa i

pieczeń z dziczyzny. A ponad wszystkim wznosiło się jego dziedzictwo: zamek Glengarry, usytuowany na wysokich skałach, które odgradzały miasteczko od lasów sosnowych.

Przemówiła do niego ta panorama. Duch gór był tu niemal namacalny. Fletcher tutaj się urodził, podobnie jak jego ojciec i cały legion innych Ramsayów, którzy zostali pochowani na terenie zamku.

A jednak był kimś obcym w tych stronach.

Ruszył główną ulicą w stronę wieży i po pewnym czasie stanął przed prezbiteriańskim kościołem pod wezwaniem św. Andrzeja.

Gdy wszedł do świątyni, zobaczył, że jakiś człowiek w ciemnym stroju krząta się przy ołtarzu.

- Dzień dobry - powiedział. Jeszcze nigdy dotychczas nie zdarzyło mu się spotkać człowieka, którego strapienie byłoby widoczne z takiej odległości. - Przepraszam, że przeszkadzam. Nazywam się Fletcher Ramsay. Czy pan tutaj pracuje?

- Jestem pastorem, nazywam się Robert Cameron.

- Szukam wielebnego MacDonalda.

- Davida MacDonalda?

Fletcher kiwnął głową.

- Wiem, że był tu niegdyś pastorem.

- Owszem, był. Ale przeszedł na emeryturę. Już nie wygłasza kazań i nie głosi ewangelii.

- Czy wie pan, gdzie mógłbym go znaleźć? Mieszka gdzieś w okolicy?

- Tak. Mieszka z wnuczką na niewielkiej farmie na skraju miasteczka.

- Chciałbym mu złożyć wizytę. Jak tam dojechać?

- A jaką pan ma do niego sprawę?

- Jest wieloletnim przyjacielem mojej rodziny. Udzielił ślubu moim rodzicom, ochrzcił mnie i moje siostry. Pogrzebał mego ojca. Matka prosiła, bym zajrzał do niego, gdy będę w pobliżu, i przekazał mu pozdrowienia.

Gdy Robert Cameron zaspokoił wreszcie ciekawość, wyjaśnił, jak trafić na farmę Davida MacDonalda. Fletcher podziękował mu i ruszył z powrotem drogą, którą przybył, kierując się wskazówkami wielebnego Camerona. Najpierw prosto, potem przez most na rzece Garry, przy wodospadzie w prawo. Droga przez chwilę była kręta, ale potem znów biegła prosto, wzdłuż szeregu drzew, brzegu niewielkiego, ukrytego w szuwarach stawu, którego Fletcher wcale by nie zauważył, gdyby nie ptactwo wodne.

Na niebie zaczęły się kłębić groźne ciężkie, czarne chmury, a wiatr przyniósł woń wrzosowisk i świeżo skoszonego siana. Fletcherowi przyszła nagle na myśl spotkana na łące

dziewczyna. Ciekawe, czy teraz także podaje wodę zmęczonym robotnikom, zastanawiał się.

Szarpany porywami wiatru i smagany deszczem, daremnie starał się oderwać od niej myśli. Kiedy deszcz zmienił się w ulewę, nie był w stanie przestać myśleć o tym, czy ona też przemokła do suchej nitki.

Pamiętał apetyczne wypukłości pod białym stanikiem sukni. Wyobraził sobie, jak materiał nasiąka wodą i przykleja się do jej nagiej skóry. Stwierdził, że powinien natychmiast przestać myśleć o takich rzeczach, bo zrobiło mu się dziwnie niewygodnie i zaczął się wiercić w siodle. Wreszcie jego myśli pobiegły w innym kierunku.

Jadąc wzdłuż sypiącego się kamiennego muru, skręcił w bramę i, zgodnie z tym, co mówił wielebny Robert Cameron, ujrzał przed sobą pokryty strzechą domek, którego okna jaśniały od palącego się wewnątrz światła.

Zsiadł z konia i zapukał do drzwi.

Nie potrafiłby powiedzieć, kto był bardziej zaskoczony - czy on, gdy w kobiecie, która otworzyła mu drzwi, rozpoznał dziewczynę spotkaną na łące, czy też ona, gdy rozpoznała jego.

- Dzień dobry... to jest... dobry wieczór. Czy pani mąż... to jest... ojciec... czy ktoś jest w domu?

- Tak, ja - odpowiedziała z uśmiechem.

Fletcher poczuł się jak ostatni idiota. Odchrząknął i odezwał się celowo burkliwym tonem.

- Chciałbym się zobaczyć z Davidem MacDonaldem. Zastałem go?

- Owszem, dziadek jest w domu. Był pan z nim umówiony? - Cathleen znowu się uśmiechnęła.

- Nie.

Zmarszczyła czoło i obejrzała się za siebie. Fletcher zrozumiał, że dziewczyna troszczy się o dziadka, i postanowił nie dać jej czasu na odrzucenie swej prośby.

- Przyjaźnił się z moimi rodzicami. Odbyłem daleką podróż, by się z nim zobaczyć. Aż z Ameryki. Jeśli mu powiesz, że przyjechał Fletcher Ramsay, na pewno zgodzi się ze mną spotkać.

- Proszę wejść. - Cathleen szerzej otworzyła drzwi i cofnęła się, by wpuścić gościa.

Wszedł do środka, zdjął kapelusz i przeprosił za swe mokre ubranie.

- To żaden problem - powiedziała, biorąc jego kapelusz. — Przyzwyczajeni tu jesteśmy do deszczu. Proszę zaczekać. Zaraz przyniosę coś do wytarcia, a potem zawiadomię dziadka o pana przyjeździe.

Wyszła z pokoju zaledwie na chwilę i zaraz wróciła z długim, czystym, płóciennym ręcznikiem. Gdy Fletcher zaczął się wycierać, dziewczyna ponownie zostawiła go samego.

Po kilku minutach pojawił się starszy pan bardzo drobnej postury, o kompletnie siwych włosach i przygarbionych plecach, ale jego twarz była zadziwiająco gładka, niemal zupełnie niepomarszczona. Fletcher zauważył wszystkie te szczegóły, lecz sam był równocześnie poddany o wiele dokładniejszym oględzinom. Jeszcze nigdy nie widział oczu wyrażających taki spokój jak oczy Davida MacDonalda. Aż poczuł zazdrość.

- Cathleen powiedziała, że nazywasz się Fletcher Ramsay.

- Tak, moim ojcem był...

- Bruce Ramsay - dokończył starzec z uśmiechem i podał mu rękę. - Bardzo mi miło zobaczyć cię po tylu latach. Byłeś nie większy niż cielaczek, kiedy widziałem cię po raz ostatni.

Fletcher uśmiechnął się.

- Muszę pana ostrzec... podał pan rękę grzesznikowi.

- Robię to bez przerwy. - W oczach starego pastora pojawił się wesoły błysk.

- Mama wiele mi o panu opowiadała.

- Mam nadzieję, że pochlebne rzeczy.

- Oczywiście. Twierdziła, że był pan uważany za najlepszego pastora w szkockich górach.

- Obawiam się, że byłem raczej znany z najdłuższych nabożeństw i braku cierpliwości.

- Widzę, że w jeszcze jednym miała rację. - Fletcher roześmiał się.

- Tak? A w czym?

- Mówiła, że jest pan bardzo skromny. David na chwilę zatonął we wspomnieniach.

- Ach, Maggie... Po jej wyjeździe te góry pociemniały -szepnął i zamilkł na chwilę. - Wybacz staremu człowiekowi ten moment zamyślenia. Maggie jest tam, gdzie jej miejsce, i mam nadzieję, że jest szczęśliwa jak skowronek.

- To prawda. Jest szczęśliwa.

- A ty przyjechałeś tutaj. Aż trudno mi uwierzyć, że jesteś synem Maggie i Bruce'a. Oczywiście, domyśliłbym się, kim jesteś, nawet gdybyś nie podał nazwiska. Jesteś wierną kopią ojca, pewnie nieraz już ci to mówiono. Chodź, chłopcze, usiądź i opowiedz mi o mamie. Ostatnio nie pisuje do mnie tak często jak dawniej i nierzadko zastanawiałem się, co u niej słychać. -David zerknął na wnuczkę. - Cathleen, czy mogłabyś przynieść do gabinetu herbatę i trochę tych twoich kruchych ciasteczek?

Dziewczyna nie odpowiedziała. Fletcher zauważył, że się w niego wpatruje.

Starszy pan także zerknął na wnuczkę, a potem spojrzął na gościa.

Fletcher i Cathleen wyglądali tak, jakby nie byli w stanie oderwać od siebie wzroku.

- Wybaczcie, że was sobie nie przedstawiłem - powiedział cokolwiek oszołomiony pastor. - To moja wnuczka, Mary Cathleen Lindsay.

Dziewczyna szybko skłoniła głowę i wybiegła z pokoju, zanim Fletcher zdążył się odezwać.

- Czy wy już się kiedyś spotkaliście? - zapytał nieco zaintrygowany David.

- Tak, widziałem pańską wnuczkę jakiś czas temu. Stała na łące i czerpała wodę ze studni, kiedy przejeżdżałem.

- Założę się, że była bosa i zakurzona - mruknął starszek, zerkając w stronę drzwi.

Fletcher dostrzegł w jego wzroku głęboką miłość do wnuczki.

- Cathleen od dziecka chciała być użyteczna. Jeśli nie zajmuje się mną, stara się ulżyć doli innych. Wszyscy w miasteczku doznali już w ten czy inny sposób jej pomocy. Mówią o niej: anioł miłosierdzia. - David zawiesił głos i przeniósł spojrzenie na gościa. - No, dość już o tym. Jestem pewien, że nie przybyłeś z tak daleka, żeby wysłuchiwać, jak wychwalam zalety swojej wnuczki. A poza tym, chciałbym dowiedzieć się wszystkiego o Maggie. Przejdźmy do gabinetu, dobrze?

Fletcher wszedł za nim do niewielkiego pomieszczenia i natychmiast zauważył, że wolebny MacDonald nad czymś pracuje, bo cały stół był zarzucony papierami, a stołek przy pianinie pokrywały arkusze papieru nutowego.

David usadowił się w sfatygowanym, choć robiącym wrażenie niezwykle wygodnego fotelu przy kominku i wskazał gościowi, by usiadł naprzeciw niego.

- A teraz opowiadaj o swojej matce i siostrach.

Cathleen najpierw postawiła na ogniu garnek z wodą, potem wyjęła talerzyk i najlepsze filiżanki, ułożyła na talerzyku drobne ciasteczka i ustawiła to wszystko na tacy, która należała niegdyś do jej babki. Czekając, aż woda się zagotuje, łowiła uchem fragmenty rozmowy dziadka z gościem, ale docierały do niej tylko pojedyncze słowa i strzępy zdań.

Kiedy herbata była gotowa, postawiła dzbanek na tacy, obok filiżanek i ciasteczek, i zaniósła wszystko do gabinetu.

- Przy filiżance gorącej herbaty i ciasteczkach Cathleen świat nabiera jaśniejszych barw - stwierdził David na widok wnuczki. Odsunął na bok papiery, żeby zrobić miejsce dla tacy na niskim stoliku, przy którym stało małe krzeselko.

Dziewczyna usiadła na nim z wdziękiem, choć czuła się bardzo skrępowana, bo Fletcher Ramsay śledził każdy jej ruch.

- Jaką herbatę pan pije, panie Ramsay? - zapytała, nie podnosząc oczu.

- Bez cukru i śmietanki.

- Fletcher jest księciem Caithness i powinnaś zwracać się do niego w odpowiedniej formie
- upomniał ją dziadek.

Dziewczyna szybko zerknęła na gościa, ale niemal natychmiast znów spuściła wzrok. Poczula, że policzki płoną jej żywym ogniem, i nie miała wątpliwości, że księżę Caithness musiał zauważyć jej rumieniec, co tylko zwiększyło jej skrepowanie.

- Proszę zwracać się do mnie po imieniu - rzekł szybko Fletcher, zanim zdążyła poprosić go o wybaczenie.

Cathleen zerknęła na dziadka i kiwnęła głową, lecz nie odezwała się. Skupiła się na nalewaniu herbaty i była wściekła na siebie, że filiżanka brzęczała o spodeczek, kiedy podawała ją gościowi.

- Dziękuję, Cathleen - powiedział z ciepłym uśmiechem, jakby chciał ją uspokoić.

Spodobało jej się, w jaki sposób wymawia jej imię, ale skinęła mu tylko głową i popatrzyła spod oka na dziadka. Dostrzegła w jego oczach iskierki rozbawienia, kiedy wodził wzrokiem od niej do Fletchera i z powrotem.

Dziadek był niezwykle spostrzegawczy.

Raczej z zażenowania niż z jakiegokolwiek innego powodu dziewczyna wstała i ruszyła w stronę drzwi, by ukryć się w kuchni, ale David ją zatrzymał.

- Cathleen, przyłącz się do nas.

Usiadła na taborecie przy fortepianie. Bardzo często siadywała na tym miejscu, dzięki czemu poczuła się nieco swobodniej, a właśnie swobody najbardziej jej brakowało od chwili, gdy Fletcher Ramsay przekroczył próg jej domu.

Gdy tylko zajęła miejsce, dziadek zrelacjonował jej w skrócie, czego dowiedział się o gościu i jego rodzinie.

- Jestem pewna, że to, iż odziedziczył pan tytuł po wuju, podwójnie zasmuciło pańską matkę - powiedziała Cathleen,

- Jak to? - zapytał Fletcher, patrząc na nią ze zdziwieniem. Przeszedł ją dreszcz, więc szczerzej okryła ramiona szalem.

- Straciła równocześnie i brata, i syna - odparła. - Rodzicom trudno pogodzić się z odejściem dzieci, nawet kiedy są dorosłe. A Szkocja jest bardzo daleko od Ameryki.

- Masz dzieci?

- Nie, nigdy nie byłam mężatką - odpowiedziała cicho i zarumieniła się aż po cebulki włosów.

Czuła na sobie spojrzenie mężczyzny, wiedziała, że wpatruje się w nią przeciągłym wzrokiem. W końcu popatrzył w inną stronę, jakby wyczuwając, że ten temat jest dla niej

bolesny, więc pospiesznie podniosła się z taboretu.

- Wybaczcie, ale muszę jeszcze zająć się kilkoma sprawami w kuchni. Przyłączę się do was, jak będę wolna.

David i Fletcher odprowadzili ją wzrokiem i wrócili do przerwanej rozmowy.

- Mówiłeś, że przyjechałeś do Szkocji, bo zmarł twój wuj -przypomniał pastor.

- Po części tak, ale przyjechałbym i bez wujowskiego tytułu. Mam swój własny tytuł... ten, który nosił ojciec.

- Powinieneś uważać, do kogo kierujesz takie słowa - mruknął David. - Są tu tacy, którzy myślą inaczej niż ja. Dwa razy się zastanów, zanim się odezwiesz. Tak postąpiłby twój ojciec.

- Nie popełnię tego samego błędu, który on popełnił, nie zlekceważę Adaira.

Staruszek pokiwał głową.

- Bruce był człowiekiem czystego serca i przez to nadmiernie ufnym. Wiesz, zawsze zastanawiałem się, jak Adairowi udało się zdobyć tytuł. - Spojrzał uważnie na Fletchera. - Pewnie matka wszystko ci wyjaśniła.

- Tak, otrzymałem na ten temat drobiazgowy informacje, ale nie od matki.

David pytająco uniósł brwi.

- Mama niechętnie o tym mówiła, bo zawsze się bała, że pewnego dnia wrócę tu i upomnę się o tytuł.

- Jestem w stanie to zrozumieć. Maggie drętwiała ze strachu na myśl o twoim powrocie do Szkocji, bo drżała o twoje życie. To naturalne.

- Tak. Pewnie dlatego, że jest kobietą.

- Dlatego, że jest matką - skorygował David. - Ale dobrze, że znalazłeś kogoś, kto ci to dokładnie wyjaśnił.

- To ciocia Dorothy wypełniła wszystkie luki w mojej wiedzy. Była niezmordowana w dążeniu tematu.

- Podobnie jak Adair, jeśli pamięć mnie nie myli.

- To prawda. Ciotka mówiła, że musiał nieźle się natrudzić, zanim po raz pierwszy stanął przed moim ojcem.

- Na czym opierał swoje roszczenia?

- O ile wiem, istnieje świadectwo, że ósmy książę Glengarry pojął za żonę kobietę imieniem Maud, z którą miał czworo dzieci, w tym syna Douglasa, mojego prapraprapradziadka.

Ów Douglas, dziewiąty książę Glengarry, prawdopodobnie poślubił kobietę imieniem Bride, ale Adair dowiódł przed sądem, że nie istnieją pisemne świadectwa zawarcia tego małżeństwa, podobnie zresztą, jak nie istnieją zapiski dotyczące narodzin ich syna, Iana, mojego praprapradziadka, dziesiątego księcia Glengarry. Niestety, przodkowie Adaira nosili te same imiona.

- A ponieważ nie istniały pisemne świadectwa twojej linii genealogicznej, natomiast były świadectwa jego linii, tytuł przyznano jemu? - David pochylił się do przodu, najwyraźniej zainteresowany tematem.

- Owszem, Adair przedstawił swoje dokumenty, natomiast moja matka nie miała żadnych dowodów.

- Nigdy nie wiedziałem, jak do tego doszło, ale nawet teraz, kiedy wiem, trudno mi dopatrzeć się w tym sensu.

- To samo powiedziałem, kiedy usłyszałem o tym po raz pierwszy, lecz ciotka się ze mną nie zgodziła. Po jej wyjaśnieniach zrozumiałem, że sąd nie miał wyboru. Choć wszyscy sędziowie byli lojalni wobec pamięci mego ojca, musieli uznać dowody Adaira, ponieważ miał on niepodważalne świadectwa swego pochodzenia.

- Ale twój ojciec był księciem, a przed nim jego ojciec. Jak więc przodek Adaira mógł stracić tytuł?

- Adair twierdził, że mój przodek Douglas zdobył tytuł księcia Glengarry, który prawnie należał do jego przodka Douglasa.

- Ale jak?

Fletcher sięgnął do kieszeni i wyjął impregnowany tłuszczem woreczek. Wydobył z niego drzewo genealogiczne, które swego czasu narysowała mu ciotka Dorothy. Podał je rozmówcy i nie spuszczał wzroku z jego twarzy, kiedy ten wpatrywał się w zapiski.

- Jak pan widzi, był tylko jeden Alasdair Ramsay, ósmy książę Glengarry, ale dwóch Douglasów Ramsayów, przy czym każdy z nich miał ojca imieniem Alasdair i matkę Maud. I obaj ci Douglasowie spłodzili synów, którym dali na imię Ian - podsumował Fletcher, kiedy David skończył studiować drzewo genealogiczne.

Pastor jeszcze raz zerknął na kartkę.

- To dziwny zbieg okoliczności, który niezmiernie utrudni twoje poszukiwania.

- Utrudni, lecz nie uniemożliwi - stwierdził Fletcher. -Wiem, czego mam szukać, i znajdę to.

- Mówisz z takim niezmaconym przekonaniem. Muszę ci jednak przypomnieć, że twój ojciec przewrócił całą Szkocję do góry nogami, żeby coś znaleźć. Nie ma żadnych zapisków.

- Muszą być. Gdyby mój przodek był oszustem, nie pozwolono by mu sięgnąć po tytuł.

- A w jaki sposób tłumaczył to Adair? - zainteresował się David.

- Przekonywał, że ponieważ działo się to w okresie panowania księcia Karolka, a jego przodek zginął podczas bitwy pod Culloden Moorx, więc mój przodek bez trudu przywłaszczył sobie tytuł. Adair posunął się nawet do oskarżenia, że mój przodek walczył po stronie Anglików i tytuł był nagrodą za oddane im usługi.

Pastor pokiwał głową.

- Tak, to były bardzo smutne czasy, pełne zamętu. Wszystko wtedy mogło się zdarzyć. - Znow spoglądał na trzymany w ręku papier. - A więc kluczem do zdemaskowania tych wszystkich łągarstw jest znalezienie dowodu na to, że prapraprapradziadek Douglas ożenił się z kobietą imieniem Bride i miał z nią syna Iana.

- Tak.

David złożył papier i zwrócił go Fletcherowi.

- Cieszę się, że wreszcie dowiedziałem się, jak się to wszystko stało. Często się nad tym głowiłem, ale nie chciałem niepokoić Maggie pytaniami.

- Cóż, to nawet teraz jest dla niej drażliwy temat.

- Zafascynowała mnie ta sprawa. Zrobię wszystko co w mojej mocy, by ci pomóc.

Fletcher właśnie zaczął coś mówić, gdy nagle do pokoju weszła Cathleen.

Gdy zajęła swoje miejsce i uświadomiła sobie, że mężczyźni zamilkli, jakiś lęk ścisnął jej serce. Nie było to miłe uczucie. Przenosiła wzrok z gościa na dziadka.

- A co to wszystko ma wspólnego z tobą, dziadku? David uśmiechnął się, żeby ją uspokoić.

- Nic, kochanie. Fletcher pytał mnie o stare zapiski parafialne odnoszące się do jego przodków.

- Chcesz powiedzieć, że jego przodkowie mieszkali tutaj? W Glengarry?

- Tak - potwierdził starszy z taką miną, jakby chciał coś przed nią ukryć. Dziewczyna stała się jeszcze bardziej dociekliwa.

- Twoi rodzice także tutaj mieszkali? - zwróciła się wprost do Fletchera.

- Tak.

- A majątek i tytuł twojego ojca? Także wiązały się z Glengarry?

Kiwnął głową.

Cathleen miała jeszcze więcej pytań, ale dziadek westchnął i przerwał jej indagację.

- Powiem ci już resztę, bo i tak nie spocznesz, dopóki nie dowiesz się wszystkiego. Ojciec

Fletcher był księciem Glengarry.

- O rety! - Dziewczyna opadła na taboret, czując, że nie jest w stanie utrzymać się na nogach. Znów wodziła wzrokiem od Fletchera do dziadka. Nagle przed jej oczami pojawiła się twarz Adaira Ramsaya i aż się wzdrygnęła. Nie lubiła obecnego księcia Glengarry. Jego okrucieństwo wobec biedaków było powszechnie znane. - I chcesz, żeby mój dziadek ryzykował życie, pomagając ci odzyskać tytuł?

Fletcher wstał.

Cathleen widziała, że jej pytanie nieco wytrąciło go z równowagi. A niech sobie będzie zdenerwowany, pomyślała. Nie ma prawa wciągać w to mojego dziadka.

- Nie prosiłem o pomoc - rzekł gość. - Chciałem tylko znaleźć odpowiedzi na kilka pytań, nic ponadto.

Odetchnęła z ulgą. Dziadek był już starym człowiekiem i jedyną bliską osobą, jaką miała na świecie.

- Moja wnuczka bywa chwilami nadopiekuńcza - stwierdził David.

- A mój dziadek ma tendencję do ulegania cudzym zachciankom - odparła urażona dziewczyna.

- Cathleen jest zdania, że czasem przesadzam w dbałości o parafian.

- Przeszedłeś już w stan spoczynku, dziadku, i teraz to są parafianie pastora Roberta.

- Trudno nauczyć starego konia ciągnąć nowy pług - wtrącił Fletcher z rozbawieniem.

- Chodzi o całkiem co innego! - W głosie dziewczyny nie było śladu rozbawienia. Mówiła twardo, z determinacją. - Dziadek pozwala się wciągać w sprawy, od których powinien trzymać się z daleka. Nie jest już młody i czasami trzeba mu o tym przypominać.

Fletcher uśmiechnął się, jakby uznał to jej matkowanie za zabawne.

- Przestań wywlekać moje wady na światło dzienne - skarcił ją dziadek. Odwrócił się do gościa i mrugnął do niego porozumiewawczo. - Będę szczęśliwy, jeśli zdołam ci w jakikolwiek sposób pomóc.

- Nie śmiem prosić, bo mógłbym ściągnąć na siebie gniew pańskiej wnuczki - mruknął Fletcher.

Stary pastor roześmiał się głośno.

- Ona głośno szczeka, ale gryzie dość rzadko.

Cathleen westchnęła, widząc determinację w oczach dziadka.

- Deszcz przestał padać. Powiniennem już iść - stwierdził wreszcie Fletcher, jakby nie tylko wyczuwał panujące w pokoju napięcie, ale i potrafił czytać w myślach Cathleen.

Była zadowolona, że gość zbiera się do wyjścia, obojętne, z jakiego powodu. Odkąd

się pojawił, wciąż była niespokojna. Jej uczucia jeszcze nigdy nie znajdowały się w stanie takiego zamętu.

David zważym krokiem odprowadził gościa do drzwi, rozmawiając z niezwykle życzliwością, jaką zawsze okazywał ludziom.

Wnuczka towarzyszyła mu w milczeniu.

- Z przyjemnością spotkam się z tobą jutro w kościele i pokażę ci stare księgi parafialne - rzekł pastor. - Gdzie się zatrzymałeś?

- Jeszcze nigdzie. Miałem zamiar przenocować w pobliskiej gospodzie.

- Ojej, chłopcze, w Glengarry nie ma żadnej gospody. Najbliższa znajduje się piętnaście kilometrów stąd. Ale nic się nie martw. Mamy na farmie małą chatę zagrodnika. Jest wprawdzie bardzo skromna, ale oddaję ci ją ze szczerego serca.

Cathleen skuliła się. Ludzka życzliwość posuwa się niekiedy za daleko!

- Nie chciałbym się narzucać. - Fletcher zerknął na dziewczynę.

Zignorowała jego słowa, rzuciła natomiast wymowne spojrzenie dziadkowi, ten jednak udał, że go nie dostrzega.

- Nonsens! - zawołał. - Wcale się nie narzucasz. Chata stoi pusta od czasu, gdy usunięto z gór wszystkich zagrodników. Bardzo się cieszymy z twojego towarzystwa, prawda, Cathleen?

- O, tak - odpowiedziała całkiem bez entuzjazmu, starając się, żeby nie zabrzmiało to bardzo niemilo. Trochę nieuprzejma mogła być, lecz zbyt daleko posunięta niegrzeczność spotkałaby się z reprimendą dziadka i najprawdopodobniej pociągnęłaby za sobą coś w rodzaju wykładu z Pisma Świętego na temat pomagania bliźnim w potrzebie lub przyjmowania nieznajomych, którzy przecież mogą się okazać aniołami.

Obrzuciła Fletchera podejrzliwym spojrzeniem. Nie wyglądał na anioła.

- Nie chciałbym robić kłopotu - powiedział. - Popytam w miasteczku.

- Słyszałam, że wdowa Davidson ma pokój do wynajęcia - pospiesznie wtrąciła Cathleen.

- Nie chcę nawet słyszeć o tym, że zatrzymasz się gdzie indziej - nalegał David, kompletnie ignorując słowa wnuczki. - Właśnie wczoraj rozmawialiśmy z Cathleen o możliwości wynajęcia chaty zagrodnika.

Dziewczyna miała ochotę wsadzić mu knebel w usta. Pakował się w nie swoje sprawy, a ona nie mogła temu zapobiec. Można to nazwać kobiecą intuicją, ale czuła, że ten człowiek zamierza zrobić coś bardzo niebezpiecznego, z czym dziadek nie powinien mieć nic wspólnego. Nie umiała przestać się martwić ani opanować. Po prostu w tej sprawie nie mogła się poddać, choć sama nie wiedziała dlaczego.

- Dobrze - powiedział Fletcher i nie zdążył już nic dodać, bo w tym momencie wtrąciła się Cathleen.

- Chatka jest maleńka i bardzo skromna. Na pewno nie jesteś przyzwyczajony do tak spartańskich warunków - mówiła pospiesznie, mając nadzieję, że gość nie okaże się aż tak gruboskórny, jak był do tej pory, i nie zgodzi się na zamieszkanie u nich.

- Byłabyś zaskoczona, gdybyś wiedziała, do czego jestem przyzwyczajony - powiedział i przenosząc spojrzenie na jej dziadka, dodał: - Przyjmuję pańską propozycję z prawdziwą wdzięcznością, ale pod warunkiem, że zgodzi się pan wynająć *m\ tę* chatę.

- Cóż, nie byłbym Szkotem, gdybym odrzucił okazję, by zarobić parę groszy, prawda?
- David roześmiał się. - Słudzy boży do zamożnych nie należą.

Cathleen zauważyła porozumiewawcze spojrzenia, jakie mężczyźni wymienili między sobą.

- W takim razie spędzę tu dzisiejszą noc - stwierdził Fletcher. - Jeśli Cathleen nie ma nic przeciwko temu.

Popatrzyła na dziadka, którego spojrzenie wyrażało absolutną niewinność.

- Zrobię wszystko, czego dziadek sobie życzy - powiedziała, czując, że jej słowa brzmią nieco melodramatycznie. Spojrzawszy na gościa uświadomiła sobie, że i on jest podobnego zdania, bo na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

- Na jak długo się u nas zatrzymasz? - zainteresował się David.

- Sam nie wiem. Jestem pewien, że odpowiedź na moje pytania znajduje się tu, w Glengarry, więc zostanę tu tak długo, aż ją znajdę. Nie ma sensu, żebym wyjeżdżał i wracał.

- Oczywiście, droga z Caithness jest zbyt daleka, żeby jeździć codziennie - zgodził się David.

- Jestem pewna, że będziesz jeździł do domu... bardzo często - zaznaczyła Cathleen z naciskiem.

W oczach Fletchera zabłysło rozbawienie.

- Nie umiem powiedzieć jak często, ale rzeczywiście zamierzam od czasu do czasu wpadać do domu, żeby sprawdzić, co się tam dzieje, chociaż Caithness znajduje się w bardzo sprawnych rękach.

- O tak, jeśli rządy nadal sprawuje twoja ciotka, to trudno o sprawniejsze zarządzanie. - Pastor roześmiał się.

- Owszem, wiele się od niej nauczyłem.

- A więc masz jej błogosławieństwo na pobyt tutaj i poszukiwanie dowodu?

- Powiedziała, że na moim miejscu zrobiłaby to samo, ale... wcześniej.

Pastor roześmiał się i potrząsnął głową; wyglądał na zatopionego w miłych wspomnieniach.

- Mnie się też wydaje, że by to zrobiła.

- Jestem tego pewien - rzekł Fletcher. - Ciotka lubi podkreślać, że jest już stara i czuje brzemień wieku, ale zbyt przypomina moją mamę, by mogła wyprzeć się tego, w co wierzy.

David spowaźniał.

- A co będzie, jeśli nie uda ci się znaleźć tego, czego szukasz?

- Zacznę szukać gdzie indziej i będę szukał, dopóki nie znajdę. Ten dowód gdzieś istnieje. Jestem tego pewien.

- I ja tak sądzę. I chcę ci pomóc w poszukiwaniach.

Nie, dziadku! Nie ty! Nie wolno ci się do tego mieszać, pomyślała Cathleen i serce omal nie pękło jej z bólu, kiedy usłyszała jego słowa. Doskonale pamiętała, jak niegdyś młody człowiek, Ian Scott, wplątał się w sprawy księcia Glengarry. Ian miał przyjaciela, Andrew Stewarta. Andrew zaś miał śliczną siostrę, Fionę, która urodziła nieślubne dziecko. Fiona nie chciała zdradzić, kim jest ojciec dziecka, ale chodziły słuchy, że to sam książę Glengarry. Inna plotka głosiła, że ojcem był szatan. Cathleen uważała, że to niewielka różnica.

Nikt nie wiedział, dlaczego Fiona to zrobiła, ale kiedy jej dziecko miało dwa tygodnie, wzięła je w ramiona i rzuciła się z mostu. Utopiła się. Może ze wstydu, z powodu nienasyconej ciekawości wieśniaków i ich niekończących się spekulacji na temat ojca dziecka.

Po śmierci siostry Andrew przysiągł, że dowie się, kto był ojcem jej dziecka, Ian, ze względu na łączącą ich przyjaźń, przyłączył się do poszukiwań. Dwa dni później znaleziono ich obu na drodze łączącej zamek Glengarry z wsią. Mieli poderżnięte gardła. Następnego dnia matka lana przyszła do Davida MacDonalda i powiedziała, że na dzień przed śmiercią syn twierdził, iż udało im się znaleźć dowód, że ojcem dziecka Fiony był książę Glengarry. Nigdy nie powiedziała tego nikomu innemu, bo bała się o własne życie.

I oto teraz dziadek chciał się wplątać w coś, co niewątpliwie doprowadzi księcia Glengarry do furii.

Dlaczego on nie może zadowolić się dokończeniem wieloletniej pracy nad psalmami? Dlaczego tak się upiera, żeby wziąć w tym udział? Nie była w stanie tego zrozumieć. Patrzyła na Fletchera, jakby była pewna, że został wysłany przez samego diabła, by nieść zniszczenie.

Fletcher kierował swe słowa do Davida, lecz patrzył na Cathleen.

- Dziękuję, ale nie czułbym się w porządku, gdybym pana w to wciągnął.

- Chłopcze, ja sam wplątałem się w tę rozgrywkę przed laty, jeszcze za życia twego ojca. I nigdy nie zapomnę dnia, w którym twoja matka opuszczała zamek Glengarry. Przysiągłem sobie

wtedy, że jeśli kiedyś będę mógł pomóc w jakikolwiek sposób, to zrobię to z największą przyjemnością. Może dziś właśnie przyszła pora.

- Wówczas byłeś o wiele młodszy, dziadku. - Cathleen zaborczym gestem wzięła go pod rękę.

- Tak, byłem wtedy młodym pastorem i w moim życiu niewiele było podniecających wydarzeń. Teraz jestem starym człowiekiem i nadal w moim życiu niewiele się dzieje.

- Błogosławieni cichego serca - zacytowała Cathleen. - Święty Jan.

- To prawda. - David zaśmiał się. - Chciałbym jednak przeżyć dreszcz emocji, zanim udam się na spotkanie ze Stwórcą.

Dziewczyna nie mogła wyjść ze zdumienia, że podobne słowa wyszły z jego ust.

- A co z psalmami... z naszym przekładem? David otoczył ją ramieniem.

- Nie zapominam o psalmach, moja kochana Cathleen, ale dni są długie, noce też i jestem przekonany, że starczy mi czasu na oba zajęcia. A teraz, jeśli będziesz dobrą dziewczynką, pokażesz naszemu gościowi drogę do chaty, a ja dokończę tłumaczenie, które zaczęliśmy dziś rano. Życzę miłego dnia, chłopcze. Przyjdź rano na owsiankę i racuszki, a potem wybierzemy się razem do kościoła świętego Andrzeja.

- Dobrze, pójdę z wami - oznajmiła Cathleen z rezygnacją. Pochwyciła spojrzenie zaskoczonego Fletchera, ale nie ustąpiła; była zdecydowana nie spuszczać dziadka z oczu.

Fletcher poczekał, aż dziewczyna zabierze kilka rzeczy, po czym ruszył za nią do chaty zagrodnika. Kilka razy próbował zagaić rozmowę, ale jego wysiłki kończyły się tak, jak próby upieczenia ciasta przez jego mamę: zakalcem,

- Nie lubisz mnie, prawda?

- Nie znam cię, jak więc mogłabym cię nie lubić? - odpowiedziała, nie zwalniając kroku.

- Czy to oznacza, że zawsze jesteś tak odpychająca dla obcych? - Złapał ją za rękę.

Stała na środku ścieżki i zaczęła kołysać trzymanym w rękę koszykiem.

- Nie.

- Dlaczego więc tak się zachowujesz w stosunku do mnie? Dlatego, że zabrałem twoją chusteczkę?

- Nie, nie dlatego. Całkiem zapomniałam o chustce. Mój dziadek jest stary.

- Czyżbyś miała o to do mnie pretensję? - Uśmiechnął się szeroko.

- Nie - rzuciła bez śladu humoru.

- Nie przyjechałem tu po to, by go skrzywdzić.

- Może nie specjalnie. - Znów ruszyła przed siebie i dodała przez ramię: - Nie po słowach twoich sądzić cię będę. Święty Łukasz.

Dotarli wreszcie do chaty. Cathleen weszła do środka i postawiła na stole przyniesioną lampę. Fletcher wszedł za nią i szybko się rozejrzał. Niewiele było do oglądania. Tylko dwa pomieszczenia. Większe służyło za kuchnię i gabinet jednocześnie. Mniejsze było sypialnią z wąskim łóżkiem, kilku wbitymi w ścianę hakami na ubranie oraz stolikiem i krzesłem przy łóżku.

- Przed drzwiami jest sterta brykietów torfowych, jeśli chcesz rozpałić ogień. Uporządkuj tu trochę, a potem przyniosę pościel.

Fletcher wyszedł na dwór i przyniósł naręczę opału. Nie był przyzwyczajony do palenia brykietami, więc dobrą chwilę zajęło mu rozpalenie ognia. Potem przyjrzał się wnętrzu, żeby sprawdzić, co Cathleen tu zrobiła. Uśmiechnął się. Kuchenny stół przykryła żółtym obrusem i ustawiła dzbanek pełen kwiatów. Obok położyła bochenek chleba, filiżankę, łyżkę i miseczkę. Przy kominku stał fotel i otomana, a między nimi mały stoliczek, na którym postawiła zapaloną lampę.

Kiedy podszedł do drzwi sypialni, zobaczył kolejny haftowany obrus na stoliku przy łóżku, na którym paliła się mała lampka. Obok niej leżała Biblia. Mimo woli uśmiechnął się. Czy to aluzja? Był pewien, że dziewczyna podkreśliła odpowiednie wersy. Była dziwną istotą... i wyjątkowo śliczną.

Wzrok Fletchera powędrował ku Cathleen, która w tym momencie pochyliła się nad łóżkiem, by wygładzić prześcieradła. W złości miała zwyczaj poklepywać przedmioty wokół siebie. Zauważył, że strzepuje kołdrę o wiele energiczniej, niż to było konieczne. Potem solidnie przyłożyła poduszce i Fletcher zainteresował się, czy przypadkiem nie myśli w tej chwili o nim.

Miała wąską talię. Zbeształ się w duchu za takie myśli; a potem przypomniał sobie o kwiatkach. Ujęło go, że mimo ewidentnej niechęci do udzielenia mu gościny zatroszczyła się jednak, by ozdobić stół.

- Dziękuję za kwiaty.

Cathleen podskoczyła i odwróciła się tak szybko, że zawadziła o stolik. Lampa zachybotała się i Fletcher złapał ją w ostatniej chwili. Postawił ją z powrotem na stoliku i podniósł wzrok. Cathleen stała bardzo blisko, złapana w pułapkę między ścianą, łóżkiem a jego ramionami. Widział, że dziewczyna czuje się w tej sytuacji bardzo niepewnie.

- Pozwól mi przejść - poprosiła.

- Dlaczego? - Fletcher stwierdził, że, jego zdaniem, Cathleen jest wreszcie na właściwym miejscu.

- Bo jeśli tego nie zrobisz, zaboli cię druga noga.

Rzucił jej zdziwione spojrzenie.

- Przecież mnie żadna noga nie boli.

Wzięła zamach i kopnęła go z całej siły.

- Teraz już boli! - zawołała i przesunęła się obok niego.

Chwytał ją wpół i odwrócił twarzą do siebie. Mógłby szukać zemsty, ale dziewczyna drżała, a jej oczy pociemniały z lęku. Zastanawiał się, czy ona jest zdania, że zaraz rzuci ją na łóżko i zgwałci. Zastanawiał się też, dlaczego taki pomysł przyszedł jej do głowy.

- Nie chciałem cię przestraszyć.

- To pozwól mi odejść.

- Chcę tylko porozmawiać.

- Nie mam czasu. Dziadek czeka na kolację.

Fletcher ją puścił. Porwała z krzesła stertę pościeli i trzymała ją przed sobą jak tarczę, którą próbowała się przed nim odgrodzić.

- Jesteś wściekła. Dlaczego? Dlatego, że zatrzymałem się w tym domku?

Cathleen mocniej przycisnęła pościel do piersi.

- Tak - odpowiedziała cicho. - Znam dziadka. Jeśli tu zostaniesz, zrobi wszystko, by włączyć się w twoje sprawy.

- I o to masz do mnie pretensję?

- Słyszałam w jego głosie ostrzeżenie, kiedy powiedziałeś, że twój ojciec był księciem Glengarry. I wiele słyszałam o obecnym księciu. Cokolwiek postanowiłeś zrobić, to wyłącznie twoja sprawa i dziadkowi nic do tego. To może być niebezpieczne. Nie chcę, by stało mu się coś złego.

- Ja też nie chcę, ale nie sądzisz, że to do niego należy decyzja, czy pomoże mi w poszukiwaniach?

Cathleen zabrała się do składania i upychania w koszyku starych prześcieradeł.

- Nie spodziewałam się, że zrozumiesz.

- Może bym zrozumiał, gdybyś spróbowała mi wytłumaczyć. Z rozmachem postawiła koszyk na łóżku i odwróciła się do

Fletcher.

- Już wytłumaczyłam. Jest stary. Wykonał swoją pracę, poświęcił całe życie Kościołowi i zasłużył sobie na to, by przez ostatnie lata życia w spokoju zajmować się swoją książką.

- Jaką książką?

- Układem rytmicznym psalmów - odpowiedziała z westchnieniem.

- A co to jest?

Nawet nie starała się ukryć zniecierpliwienia.

- Za długiego życia dziadka w Niemczech, Anglii i Francji powstało wiele pieśni religijnych. Słowa niektórych z nich nigdy nie zostały zapisane. Gram je na pianinie i śpiewam, a dziadek zapisuje, tłumacząc je z francuskiego i niemieckiego na angielski.

- Rozumiem. Czy uspokoisz się, jeśli dam ci słowo, że nie przyjechałem tu po to, by stanąć pomiędzy tobą i dziadkiem, ani też po to, by zakłócić tok pracy nad książką?

- Wiem, że nie masz takich intencji, lecz liczą się skutki.

- Twój dziadek zaproponował, że pokaże mi kościelne rejestry. Dalej będę szukał sam. Nie masz się o co martwić.

- Może i nie, ale czuję wyraźnie, że stanąłeś między mną i nim. Odkąd przyjechałeś, wszystko się zmieniło.

Fletcher nie rozumiał, co Cathleen ma na myśli, ale nie zapytał jej o to.

- Zapewniam cię, że nie miałem takiego zamiaru.

- Więc dlaczego przyjechałeś?

- Rozmawialiśmy już o tym wcześniej.

- Słyszałam, jak mówiłeś, iż chcesz odzyskać tytuł, nie rozumiem tylko dlaczego. Masz już przecież tytuł i choć jest może nieco mniej zaszczytny, to jednak wiąże się z nim wystarczająco dużo obowiązków. Widziałam zamek Caithness, może pod każdym względem rywalizować z Glengarry.

- To prawda, jedno tylko przeoczyłaś.

- Co takiego?

- Caithness zawsze należało do Sinclairów, a Glengarry do Ramsayów. Ja jestem Ramsayem.

- W połowie. Twoja matka jest z Sinclairów.

- Nazywam się Ramsay. Mój ojciec był księciem, a przed nim jego ojciec. Tytuł księcia Glengarry należy się mnie. Problem polega chyba na tym, że nie rozumiesz, jak to jest dorastać w poczuciu, że utraciło się jakąś część własnej osobowości.

- Owszem, jestem w stanie to zrozumieć. Ty utraciłeś jedynie tytuł i ojca, ja zaś oboje rodziców i całą przeszłość.

Fletcher widział, że przy ostatnich słowach twarz dziewczyny kamienieje. Zrobiło mu się przykro, że był dla niej tak surowy.

- O czym ty mówisz? - zapytał cicho.

- Nieważne. - Miała taką minę, jakby uważała, że powiedziała za wiele. - To zupełnie

nieważne.

- A jeśli dla mnie jest ważne?

Dziewczyna najwyraźniej toczyła ze sobą wewnętrzną walkę.

- Przepraszam za swoje zachowanie. Takie nieprzejednanie i upór nie leżą w moim charakterze. Chyba rzeczywiście jestem nieco nadopiekuńcza w stosunku do dziadka. Ale wiem, jakimi ścieżkami biegną myśli Adaira Ramsaya, i widziałam, jakie są skutki jego gniewu. Jeśli to, co mówisz, jest prawdą, księżę nie będzie siedział z założonymi rękami. Wojna między wami dwoma jest nieunikniona, a wtedy najwyższą cenę mogą zapłacić osoby postronne. Nie chcę, by dziadka spotkało coś złego. Mam tylko jego na świecie.

- Już mówiłem, że też nie chcę, by stało mu się coś złego. Chcę tylko, by odpowiedział na kilka pytań i pokazał mi kościelne rejestry. Nic więcej. Obiecuję. -Fletcher podniósł dłoń w geście przysięgi.

Nie zwróciła najmniejszej uwagi na jego próbę rozładowania napięcia i zaczął się już nawet zastanawiać, czy wszyscy Szkoci są tacy ponurzy.

- Nie możesz ręczyć za mojego dziadka - powiedziała. - Kiedy uzna jakąś sprawę za swoją, nic go nie powstrzyma.

Fletcher uśmiechnął się. Bardzo chciał uciszyć obawy dziewczyny. Wydawała mu się taka drobna i krucha, że budziła w nim instynkt opiekuńczy.

- W takim razie postaram się, żeby nie uznał mojej sprawy za swoją.

- Problem w tym, że to już się chyba stało - szepnęła.

Zatonął w fiołkowych oczach Cathleen, niezbyt uważnie słuchając jej słów. Zastanawiał się, czy ona zdaje sobie sprawę, jak mało brakuje, by porwał ją w objęcia i całował tak długo, aż odpowie mu czymś innym niż gniew. Zastanawiał się też, czy w obecności innych mężczyzn czuje się równie skrepowana, jak przy nim. Czy została kiedyś uwiedziona? Czy w przeszłości jakiś mężczyzna sprawił jej ból, zachował się okrutnie, lubieżnie? A może po prostu postanowiła poświęcić życie dziadkowi i żaden mężczyzna nie miał szansy się do niej zbliżyć?

Jeszcze nie znał odpowiedzi na te pytania, ale postanowił, że zanim stąd wyjedzie, na pewno je pozna.

Następnego dnia z samego rana wybrali się do kościoła św. Andrzeja, który okazał się równie stary i opustoszały, jak noce starej panny.

Cathleen siedziała przy stole między Fletcherem i dziadkiem. Wpatrywali się pilnie w rejestr parafialny, ogromne tomisko w skórzanej oprawie. W tej księdze odnotowane były narodziny, zgony i chrzciny wielu pokoleń rodu Ramsayów, w tym rodziców, dziadków i pradziadków Fletchera.

Badał uważnie zapiski, ale nic mu to nie dało. Kiedy dotarł do swych praprapradziadków, lana Ramsaya i jego żony Moiny, znalazł jedynie informacje o ich ślubie, narodzinach i chrzcinach ich dzieci, wreszcie o śmierci.

Nie było w księdze parafialnej notatki o narodzinach lana ani żadnej wzmianki o tym, że był synem Douglasa Ramsaya i jego żony, Bride, podobnie zresztą, jak nie istniał zapis o małżeństwie Bride i Douglasa.

Fletcher nie potrafił ukryć rozczarowania.

- Obawiam się, że księgi parafialne są raczej dowodem przeciwko twoim roszczeniom. - David westchnął, kładąc rękę na ramieniu młodego mężczyzny.

- Bez dowodów nie mam co występować z roszczeniami. A dowody powinny znajdować się tutaj! - Fletcher uderzył pięścią w księgę parafialną. W jego głosie wyraźnie czuło się rozczarowanie i frustrację.

- Ale ich tu nie ma. Nie można stworzyć nieistniejących dowodów, podobnie jak nie można wyładowywać rozczarowania na niewinnej księdze - oświadczyła Cathleen i usunęła tom z zasięgu rąk Fletchera. - Może powinieneś poszukać gdzie indziej?

- Dowód musi być gdzieś w Glengarry. Tak nakazuje logika, bo to tu ród Ramsayów żył przez kilka wieków - powiedział do dziewczyny, po czym zwrócił się do jej dziadka: - Czy istnieje możliwość, że jakiś ślub bądź narodziny mogły zostać przeoczone i nie odnotowane w rejestrze?

David potrząsnął głową.

- Jeśli takie wydarzenie miało miejsce w tutejszej parafii i było celebrowane przez sługę bożego, musiało zostać odnotowane. I nie zapominaj, że mówimy o księciu Glengarry. Małżeństwo bądź narodziny w tej rodzinie stanowiły wydarzenie najwyższej wagi w naszej parafii.

- Nie rozumiem po prostu, jak to się mogło stać. Dlaczego brakuje zapisu, który stanowczo powinien tu być? - Fletcher przyciągnął znów do siebie księgę, nie zwracając uwagi na protest Cathleen. Przerzucił kilka stron. - Nie wygląda na to, by jakieś karty zostały wyrwane.

- Nie - zgodził się z nim stary pastor. - Te strony są w komplecie, brakuje natomiast kilku kartek w notatkach o zebraniach kościelnych w interesującym nas okresie. Często zadawaliśmy sobie pytanie, czy były na nich jakieś wzmianki o twoim Douglasie i Bride bądź o ich synu Ianie.

- Nigdy się nie dowiemy - mruknął Fletcher i zachmurzył się, zaskoczony brakiem informacji o swych przodkach. - Jeśli mam mieć jakąkolwiek nadzieję na odzyskanie tytułu, muszę zdobyć mocne, niepodważalne dokumenty. Sąd w Edynburgu zażąda jednoznacznego dowodu, że Douglas i Bride zostali sobie poślubieni zgodnie z prawem i ich syn Ian był legalnym spadkobiercą.

- Owszem, takich właśnie świadectw potrzebujesz. - David kiwnął głową. - To samo było po śmierci twego ojca. Bez takiego dowodu Maggie nie miała szans.

- Jak w takim razie Adair udowodnił, że nie byli legalnym małżeństwem? - zapytała Cathleen z podnieceniem i wyraźnym zainteresowaniem, stojącym w sprzeczności z jej demonstracyjną niechęcią do mieszania się w sprawę Fletchera.

Spojrzał na nią ze zdumieniem, ale też z widoczną aprobatą. Musiał przyznać, że zbiła go z tropu. W jednej chwili była nieprzejednana i chroniła dziadka jak lwica swoje młode, a w następnej przyłączała się do ich poszukiwań z taką skwapliwością, z jaką młodziak gnie się w pokłonie przed damą.

- Adair nie próbował dowodzić, że nie byli małżeństwem - odpowiedział z powagą. - Nie musiał. Twierdził, że to właśnie jego przodek, Ian żonaty z Isobel, powinien być dziedziczyć i w związku z tym to on, Adair, jest obecnie jedynym prawowitym dziedzicem.

- Miał na to dowody? - zapytała Cathleen.

- Miał. Mój ojciec był przekonany, że istniało dwóch ludzi, żyjących w tym samym czasie i noszących nazwisko Douglas Ramsay, z których jeden był góralem, a drugi mieszkańcem nizin, przy czym obaj byli synami Alasdaira.

Cathleen położyła rękę na czole.

- Nie! To zbyt skomplikowane. Dwóch Douglasów Ramsayów? A jak ich odróżnić?

- Istnieje tylko jeden sposób. Poprzez żony. Mój przodek ożenił się z Bride, podczas gdy przodek Adaira z Jean.

- I twój przodek, ten żonaty z Bride, był księciem Glengarry?

- Tak, ósmym księciem - potwierdził Fletcher.

- Bardzo trudno będzie to udowodnić. - Cathleen potrząsnęła głową. - Nawet gdyby nie było innych trudności, już ta jedna w zupełności by wystarczyła.

- Sprawę dodatkowo komplikuje fakt, że obaj Douglasowie dali synom na imię Ian...

- Dwóch Douglasów i dwóch Ianów! - zawołała. - Nic dziwnego, że to takie mylące. I jedynym sposobem, by ich odróżnić, są imiona żon! - Urwała na chwilę i zamyśliła się. - Ale to nadal nie dowodzi słuszności roszczeń Adaira.

- To prawda. Niestety, nie dowodzi też słuszności moich roszczeń. Sąd uznał, że skoro on jest w stanie przedstawić niepodważalne dowody legalności wszystkich małżeństw i narodzin, to znaczy, iż właśnie on pochodzi z prawowitej linii.

- No to dlaczego twój ojciec został księciem Glengarry, skoro był oszustem?

- Obawiam się, że nikt nigdy nie pozna odpowiedzi na to pytanie. Protokoły przesłuchań świadczą, że całe zamieszanie powstało w czasie bitwy pod Culloden. Adair miał przypuszczalnie dowód, że jego Douglas zginął pod Culloden. Miał też świadectwo, że w tym samym czasie istniał inny Douglas Ramsay, stronnik dynastii hanowerskiej, przeciwnik króla Jakuba. Adair twierdził, że ten Douglas, który popierał księcia Cumberland, był moim przodkiem, mężem Bride. Przekonywał też sędziów, że Cumberland, w dowód wdzięczności za oddane sobie usługi, dał mojemu przodkowi tytuł księcia Glengarry po śmierci prawowitego księcia, przodka Adaira. A ponieważ Adair przedstawił pełny rejestr wszystkich ślubów i narodzin w swojej linii, a mój ojciec nie był w stanie tego zrobić, sąd dał wiarę jemu, a nie nam.

- A ponieważ w chwili śmierci ojca miałeś zaledwie osiem lat i twoja matka bała się o twe życie, nie zrobiła nic, by obalić roszczenia Adaira - podsumowała Cathleen.

- Tak, Maggie się bała... bała się do tego stopnia, że dla zapewnienia bezpieczeństwa dzieciom poślubiła w ciemno człowieka, którego nigdy nie widziała na oczy, i popłynęła na drugi koniec świata, by tam rozpocząć nowe życie - dodał David. - Była niezwykle dzielną, odważną kobietą.

- I nadal jest - stwierdził Fletcher. - Wiem, że to dla mnie mama porzuciła wszystko, co było jej drogie. Bała się o mnie, bo wiedziała, że dopóki żyję, stanowią dla Adaira zagrożenie. Była młodą kobietą, gdy zostawiła ojca, siostry, braci i wyjechała do Ameryki. Już nigdy nie zobaczyła nikogo z nich.

- Ale wyszło jej to na dobre, bo w Ameryce jest szczęśliwa - przypomniał pastor.

Ponura mina Fletchera natychmiast znikła, a na jego twarzy pojawił się wyraz zachwytu.

- Jest bardzo szczęśliwa. Ona i Adrian kochają się głęboką miłością i są idealnie dobraną parą. Choć upłynęło trochę czasu, zanim Adrian to zrozumiał.

- Nie rozumiem? - rzekła Cathleen.

Fletcher roześmiał się, patrząc z góry na jej drobną zaciekawioną twarzyczkę.

- No cóż, o ile wiem, do tego małżeństwa doprowadził brat Adriana, Ross, książe Dunford, który zapomniał poinformować brata o pewnej ważnej sprawie dotyczącej mamy.

Cathleen położyła łokcie na stole, oparła brodę na dłoniach i pochyliła się do przodu. Fletcher o mało nie roześmiał się na ten widok. Poprzedniego wieczoru zamartwiała się, że dziadek wpłące się w jego sprawy, a dziś sama była zaintrygowana historią jego rodziny w o wiele większym stopniu niż David.

- No, powiedz wreszcie, czego to mu brat nie powiedział? - dopytywała się z wyraźnie wyczuwalną niecierpliwością w głosie.

- Że mama jest wdową z trójką dzieci.

Cathleen wyprostowała się gwałtownie; ręce opadły jej na stół.

- Więc był przekonany, iż ożenił się z dziewczyną...

- Która nigdy nie była mężatką - dokończył Fletcher. - O mało nie zniszczyłem tego małżeństwa. Adrian miał bardzo zdecydowany pogląd na to, jaką kobietę chciałby pojąć za żonę, i wdowa z trójką dzieci absolutnie nie wchodziła w grę.

- Biedak. Mogę sobie wyobrazić, jaki był wstrząśnięty, gdy przybyła twoja matka z trójką pociech u boku - powiedziała Cathleen ze współczuciem.

- No cóż, niezupełnie tak było. - Fletcher wybuchnął śmiechem.

- Prawda, było inaczej - wtrącił się David. - Teraz sobie przypominam. Maggie najpierw popłynęła sama, a dzieci wyruszyły w drogę z nianią po trzech czy czterech miesiącach.

- I mąż nie miał o was pojęcia, dopóki cała trójka nie stanęła na progu? - dopytywała się Cathleen.

- Coś w tym rodzaju.

- Dziwię się, że nie odesłał was wszystkich z powrotem.

- Chciał, ale moja najmłodsza siostra, Ainsley, poważnie zachorowała. I zanim wyzdrowiała, zdołała już owinać sobie Adriana dokoła małego paluszka.

Fletcher spojrział na Cathleen i dostrzegł w jej twarzy dziwny wyraz, jakby gorzkości i słodyczy jednocześnie. I zrozumienia.

- Tak - powiedziała. - Czasami dziecku uda się zmiękczyć najtwardsze *serce* i sprawić, że pustynia zmieni się w rajski ogród.

- Tak jak ty zmieniłaś moje - szepnęła David, ujął dłoń wnuczki i lekko ją uściskał.

- Ty nigdy nie miałaś twardego serca, dziadku. Tylko złamane.

- Tak, a ty je zlepiłaś.

Cathleen uśmiechnęła się do niego, a potem przeniosła spojrzenie na Fletchera.

- Wybacz - rzekł pastor. - Sprowadziliśmy rozmowę na inne tory.

- Nie mam nic przeciwko temu.

- Ale ja mam - oświadczyła Cathleen. - Twoja matka rozwiązała swoje problemy.

Chciałabym teraz wiedzieć, w jaki sposób rozwiążemy twoje?

Fletcher zerknął na Davida, który również wyglądał na zaskoczonego powagą, z jaką dziewczyna teraz obstawała przy jego sprawie.

- A więc, dopóki nie znajdziemy dowodów, że twój Ian był synem Douglasa i Bride oraz że Douglas i Bride byli małżeństwem, twoje szanse na odzyskanie tytułu są znikome? - podsumowała.

- My, my? - zapytał Fletcher. - Obowiązek zdobycia dowodów spoczywa na mnie, nie na was.

Cathleen wyłamywała sobie palce złożonych na podolku dłoni.

- Oczywiście myślałam o tobie - powiedziała cicho.

- I co teraz? - wtrącił się David.

- Będę szukał dalej. Gdzieś w okolicy muszą istnieć jakieś inne zapisy o mojej rodzinie, w rejestrach gruntów, aktach własności. Rozejrzę się po cmentarzach, może tam znajdę jakieś ślady... choćby rodzin, które wchodziły w związki małżeńskie z Ramsayami. Może w którejś z nich zachowały się jakieś zapisy w starych Bibliach albo w kufrach z dokumentami, do których od wieków nikt nie zaglądał.

- Stare dokumenty? O tym nie pomyślałem. Mnóstwo papierów zalega kościelny strych - oznajmił David.

- Co to za dokumenty? - zainteresował się Fletcher.

- Straszny galimatias. Niektóre nieczytelne, niektóre zniszczone, a inne leżą tam z niewiadomych powodów. Przekopanie się przez to wszystko zabierze sporo czasu. Będziesz musiał pracować powoli, bo ze względu na wiek papier może rozsypywać się w dłoniach. I przy wielu z nich nie obejdziesz się bez szkła powiększającego.

- Mam czas. Czy będziemy musieli przekopywać się przez zawartość tych kufrów na strychu, czy też mógłbym je przenieść w inne miejsce?

David przez chwilę rozważał sprawę.

- W innej sytuacji powiedziałbym, że muszą zostać na swoim miejscu, ale jeśli wytłumaczę nowemu pastorowi, że zostaną przeniesione do mojego domu i ręczę słowem, iż bezpiecznie wrócą na swoje miejsce, to chyba uda się coś załatwić.

Fletcher przypomniał sobie, jak to poprzedniego wieczoru obiecał Cathleen, że nie będzie wplątywać jej dziadka w swoje sprawy, i zmarszczył czoło.

- Nie chciałbym sprawiać kłopotu. Może byłoby lepiej, gdyby zostały przeniesione do chaty zagrodnika?

- Nonsens. Nie *ma* w niej miejsca na kufry, *nie* mówiąc już o rozkładaniu dokumentów. Przeniesiemy je do mojego domu. Cathleen zrobi dla nich miejsce, prawda, moje dziecko?

Fletcher zerknął na dziewczynę.

Zacisnęła usta i nie odezwała się ani słowem.

- Czy miałabyś coś przeciwko walającym się po domu starym papierzyskom? - zapytał w końcu.

- A co z psalmami? - zwróciła się do dziadka, nie zaszczycając Fletchera odpowiedzią.

- Myślę, że wystarczy czasu i miejsca dla jednego i drugiego - stwierdził staruszek, poklepując wnuczkę po ręce.

8

Kufry wreszcie nadeszły. Łącznie osiem. Były spore i wypełniły całą przestrzeń gabinetu, który został podzielony pomiędzy psalmy i to, co zostało nazwane poszukiwaniami.

Psalmy i poszukiwania. Fletcher odnosił wrażenie, że Cathleen czuje się rozdarta między jednym i drugim. Widząc jej wyraźną niechęć do przebywania w tym samym pokoju co on, stanowczo nalegał, by wraz z dziadkiem prowadziła taki sam tryb życia jak do tej pory.

Zgodziła się, że tak będzie najlepiej, David jednak był innego zdania. Cathleen czuła się nieco urażona, że dziadek woli pracować z Fletcherem niż z nią; zapewne dlatego postanowiła nie przyłączać się do nich.

W ciągu ostatnich dwóch dni podczas sortownia zawartości kufków Fletcher miał okazję przyglądać się dziewczynie, która kręciła się po pokoju, od czasu do czasu grała jakiś fragment melodii, nuciała go i zapisywała nuty i słowa pieśni. Dziadek w tym czasie badał stare dokumenty.

Czasami Fletcher zauważył jej ukradkowe spojrzenia rzucone w ich kierunku, a ilekroć udawało im się trafić na coś interesującego, przerywała pracę i patrzyła w przestrzeń, udając pogrążoną w rozmyślaniach. Zarówno dla niego, jak i Davida było oczywiste, że pilnie nadstawia

uszu, by dosłyszeć ich wymienione szeptem uwagi.

Bawiło go, że Cathleen jest tak bardzo zainteresowana jego poszukiwaniami, chociaż robiła, co mogła, by to ukryć.

Upierała się, wyraźnie wbrew sobie, ale Fletcherowi wydawała się przez to jeszcze bardziej krucha i wrażliwa. Chwilami pogrążała się w smutku, który robił na nim wstrząsające wrażenie. Początkowo przyciągała go do Cathleen jedynie jej niezwykła uroda, teraz jednak za najbardziej intrygującą uważał skrzętnie przez nią skrywaną tajemnicę jej życia. Nie mógł pozbyć się wrażenia, że przyczyną smutku dziewczyny jest inny mężczyzna. To jakiś mężczyzna musiał sprawić, że przybrała maskę spokoju i nieprzystępności, którą Fletcher pragnął z niej zderzyć. I nie tyle prowokował go sam spokój dziewczyny, ile fakt, że to nie on jest jego przyczyną.

Rozległo się pukanie do drzwi. Okazało się, że to sąsiad wpadł po drodze, by zamienić kilka słów z Davidem. Pastor wyszedł do niego przed dom i nie domknął za sobą drzwi, co trzy kociaki znajdujące się w pobliżu uznały za idealną sposobność, by wśliznąć się do domu.

Fletcher obserwował je, kiedy wsunęły się do pokoju i ruszyły w stronę siedzącej przy fortepianie Cathleen. Beżowy kotek przycupnął pod instrumentem, zafascynowany ruchem stopy dziewczyny, i zaczął na nią polować. Dwa pozostałe wskoczyły na wieko. Rudy zeskoczył na kolana dziewczyny i wpatrywał się w jej biegające po klawiszach palce tak zainteresowany, że nie pomyślał nawet, iż mógłby na nie zapolować. Natomiast szary nie mógł się oprzeć chęci skakania po klawiaturze i rzucił się w dół jak żbik. Cathleen przez chwilę nie zwracała na niego uwagi, ale kiedy stał się już całkiem nieznośny, podniosła go i ostro skarciła. Potem pochyliła się i złapała pozostałe dwa kociaki.

Fletcher nie mógł oderwać oczu od dziewczyny trzymającej w ramionach trzy wrywające się, miauczące maluchy. Stwierdził, że ma dla zwierząt o wiele więcej cierpliwości niż dla niego.

Zrobiło mu się gorąco, kiedy patrzył, jak puszysta ruda kuleczka wdrapuje się po staniku prostej szarej sukienki, jak wspina się po krągłej piersi i wbija pazurki w kołnierzyk. On za podobne zachowanie dostał ostrą reprymendę i stanowczą odprawę.

- Pomóc ci je zdjąć? - zapytał.

- Nie, poradzę sobie. - Wstała z taboretu i wyniosła kociaki z pokoju.

Wróciła po chwili i nawet nie spojrzała w stronę Fletchera. Zamykała się przed nim, odgradzała od niego murem niewzruszonego spokoju, a on koniecznie chciał go przełamać. Postanowił, że spróbuje wytrącić dziewczynę z równowagi.

- Co z nimi zrobiłaś? Utopiłaś?

Cathleen wreszcie na niego spojrzała.

- Nie. Ocalałam je od takiej właśnie śmierci.
- Anioł miłosierdzia.
- Zostało powiedziane: Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią, święty Mateusz.

- A nie słyszałaś o tym, że Miłosierdzie zabiło kota? - zapytał rozbawiony.
- Co?
- Opowiadano mi kiedyś o człowieku, który miał psa o imieniu Miłosierdzie. Pies zagryzł kota sąsiadów. Właścicielka kota przyszła na skargę i ostro zapukała, a kiedy otworzono drzwi, oznajmiła: „Miłosierdzie zabiło mojego kota”.

Cathleen wpatrywała się przez moment we Fletchera, a gdy nabrał już przekonania, że lada chwila usłyszy reprimendę za idiotyczne próby rozładowania napiętej atmosfery, dziewczyna nieoczekiwanie wybuchnęła śmiechem. Śmiała się tak serdecznie, że musiała przytrzymać się fortepianu, by nie spaść ze stołka.

W tym momencie do pokoju wszedł David.

- Widzę, że beze mnie świetnie sobie radzicie. Cathleen ocierała łzy rękawem.
- Nie słuchaj go, kiedy będzie próbował olśnić cię swym dowcipem - odezwała się słabym głosem.
- A dlaczegoż to? - zapytał staruszek z uśmiechem.
- Bo to jego najslabsza strona.
- Naprawdę jestem aż taki marny? - dopytywał się Fletcher.
- Okropny.

Wrócili do swych zajęć. Po godzinie Fletcher podniósł wzrok i przyłapał Cathleen na tym, że mu się przygląda. Spojrzał na nią zachęcająco.

- Będzie nam bardzo miło, jeśli się do nas przyłączysz - powiedział.

Szybko pokręciła głową. Nie uśmiechnęła się do niego, nie odezwała ani słowem, starała się natomiast robić wrażenie całkowicie zatopionej w pracy, ale on wiedział, że to tylko poza.

Wymienili z Davidem rozbawione spojrzenia i zaśmiali się pod nosem. Fletcher postanowił dać Cathleen jeszcze jeden dzień. W końcu przecież porzuci psalmy i weźmie się za poszukiwania, pomyślał.

W ciągu tych kilku dni, które tu spędził, sporo dowiedział się o tej dziewczynie i jej dziadku. Z oczywistych względów o wiele więcej uwagi poświęcał obserwowaniu Cathleen. Była rannym ptaszkiem i z wprawą wykonywała wszystkie wiejskie obowiązki. Zanim w południe podała drugie śniadanie, zdążyła już wydoić krowę, zebrać jajka, nakarmić

zwierzęta, zarówno własne, jak i przygarnięte sieroty, i popracować w ogrodzie. Popołudnia poświęcała bardzo urozmaiconej, jak stwierdził, pracy charytatywnej. A wieczorami zasiadała z dziadkiem, czytała nuty psalmów, grała i nuciła wysokim ładnym głosem. Najpiękniejszym głosem, jaki w życiu słyszał. Mniej więcej po godzinie David zostawiał ją samą przy psalmach i zabierał się za przeglądanie dokumentów.

Fletcher dopatrywał się wielu podobieństw między tą dziewczyną a swą matką i właśnie w chwilach, gdy Cathleen siadała przy fortepianie, śpiewała i grała, najmocniej tęsknił za rodziną, bo wieczorami Maggie Mackinnon miała zwyczaj grać i śpiewać zgromadzonym wokół niej dzieciom.

Fletcher często przyłapywał się na tym, że obserwuje ją, jakby chciał się jej nauczyć na pamięć - specjalnego pochylenia głowy, gdy była zamyślona; charakterystycznego zmrużenia oczu, kiedy grała; sposobu, w jaki patrzyła na dziadka, gdy ten nie wiedział, że wnuczka go obserwuje. Zastanawiał się, jak by się czuł, gdyby to na niego patrzyła z taką czułością i troską w oczach.

Jak zawsze, był rozbawiony manifestacyjną rezerwą i brakiem zainteresowania, które chwilami ustępowały miejsca naturalnej kobiecej ciekawości. Bardzo szybko zrozumiał, że Cathleen, podobnie jak dziadek, jest głęboko zainteresowana jego pracą. Był już całkiem pewien, że jej chłodny stosunek do niego wcale nie oznacza, iż kompletnie jej na nim nie zależy, ale że jest to po prostu próba chronienia siebie i dziadka.

Właśnie obrona tych, których kochała, była jedną z cech, jakie Fletcher najbardziej podziwiał w tej dziewczynie, i zarazem właśnie tym przypominała mu matkę, bo Maggie Mackinnon z determinacją walczyła o zapewnienie bezpieczeństwa swym najbliższym.

- W tym pliku dokumentów nie ma nic godnego uwagi - oznajmił David, przesuwając stertę papierów na lewą stronę. - A ty znalazłeś coś interesującego?

Fletcher westchnął, opuścił głowę i zaczął masować obolałe mięśnie karku.

- Nie. Krótkie zebranie kościelne poświęcone oznakowaniu cynowego naczynia do komunii. Jedyna wzmianka o ślubie dotyczyła Ann Granger i Adama Fife'a. - Pochylił się i zaczął masować krzyż. Nie był przyzwyczajony do wielogodzinnego siedzenia i rozboleły go plecy. W tej chwili jego oczy spotkały się ze wzrokiem Cathleen. Przez chwilę patrzyli na siebie, wreszcie dziewczyna odwróciła spojrzenie.

Zgodnie z przewidywaniami Davida, przeglądanie dokumentów ze skrzyń było powolną, nużącą pracą, za którą, poza bólem karku i krzyża, płacił także bólem oczu. Niejednokrotnie wzdychał i odchyłał się do tyłu w fotelu, zmieniał pozycję, przecierał zmęczone oczy. A gdy je podnosił, napotykał spojrzenie Cathleen. Ale kiedy wreszcie padło z jej ust pytanie, na które czekał, był bardzo zaskoczony.

- Chciałbyś, żebym ci pomogła?

Ledwo powstrzymał triumfalny uśmiech. A więc zajęło jej to tylko kilka dni.

- Bardzo by się przydała dodatkowa para dobrych oczu- powiedział tylko.

Skwapliwie wstała z taboretu, jakby tylko czekała na zaproszenie. Zamknęła klapę fortepianu i podeszła do stołu, przy którym pracowali David i Fletcher.

- A może chcielibyście, żebym najpierw podała wam herbatę i kruche ciasteczka? - zapyta.

- To by była jak najbardziej pożądana chwila przerwy -odparł Fletcher.

- Nie dla mnie - mruknął David, wstając od stołu. - Już czas, bym udał się na spoczynek. Dusza rwie się do czynu, ale oczy odmawiają posłuszeństwa.

- Dobranoc, dziadku - powiedziała Cathleen i pocałowała go w policzek. - Śpij dobrze.

- Będę spał jak niemowlę - zapewnił staruszek i puścił oko do Fletchera.

- Sen spracowanych będzie słodki, Eklezjasta - szepnęła do siebie jego wnuczka.

Fletcher wrócił do pracy, a Cathleen poszła do kuchni przygotować herbatę i ciasteczka.

Ustawiła na stole talerzyk z ciasteczkami i filiżanki i usiadła na miejscu dziadka.

- Co mam robić?

Ostrożnie położył przed nią plik kruchych pergaminów.

- Sprawdź to. Szukaj nazwiska Ramsay lub księżę Glengarry.

Kiwnęła głową i spojrzała na zegar. Pół do dziesiątej. Kiedy zaczęła czytać pierwszy dokument, zrozumiała, dlaczego Fletchera bolały oczy. Pożółkły ze starości papier zapisano wyblakłym jasnobrązowym atramentem. Pismo wydawało się aż nadto ozdobne i chwilami rękopis był trudny do odcyfrowania.

Od czasu do czasu pociągała łyk herbaty z filiżanki, ale praca tak ją wciągnęła, że nie podniosła oczu znad papierów, dopóki nie przejrzała całej serty, którą wyznaczył jej Fletcher.

Już miała sięgnąć po kolejny plik dokumentów, kiedy przykrył ręką jej dłoń. Ich palce się splotły. Cathleen cofnęła się i podniosła w górę oczy. Wpatrywała się we Fletchera jak zahipnotyzowana, dopóki nie uświadomiła sobie, co robi. Wtedy spojrzała w bok.

- Cathleen... - szepnął i dziewczyna znowu na niego spojrzała. Obdarzył ją swoim czarującym uśmiechem, tak dobrze jej już znanym. - Nawet ty musisz czasem odpocząć. Jest już po północy. Obawiam się, że rano będziesz mnie przeklinać za to, że zatrzymałem cię tak długo

w nocy.

Spuściła wzrok na ciemną, opaloną dłoń, spoczywającą na jej drobnej białej ręce. Nigdy dotychczas nie pozwoliła, by mężczyzna wziął ją za rękę, i była bardzo zdziwiona, że czuje efekty tego dotyku na całym ciele. Próbowała cofnąć dłoń, ale Fletcher ją przytrzymał.

- Dlaczego nie wyszłaś za mąż?
- Nikt mi się nigdy nie oświadczył - odpowiedziała i znów próbowała wyrwać rękę.
- Trudno mi w to uwierzyć.
- Może dlatego, że nie rozumiesz, co to znaczy być dobrym i delikatnym. Mężczyźni z

mojego otoczenia żadnej kobiecie nie narzucają się siłą.

- A sądzisz, że ja mógłbym to zrobić?
- Przecież robisz to właśnie w tej chwili.
- Naprawdę?
- Przytrzymujesz moją rękę... wbrew mojej woli.
- I żaden dobrze wychowany szkocki dżentelmen by się na to nie odważył?
- Nie, żaden. - Serce Cathleen waliło jak oszalałe.
- W takim razie nie mogę wyjść ze zdziwienia, że niektórzy z nich są żonaci - odparł. -

Kobieta często sama nie wie, czego chce... dopóki mężczyzna jej tego nie pokaże. - Puścił rękę dziewczyny.

- Mogę sobie wyobrazić, że masz bardzo bogate doświadczenie z kobietami.
- Wystarczające. Mam matkę i dwie siostry. - Uśmiechnął się, jakby doskonale wiedział, o czym Cathleen myśli. - Chyba nie robiłaś aluzji do moich doświadczeń erotycznych?
- Oczywiście, że nie! - Prychnęła i ściągnęła usta tak, że wyglądały jak suszona śliwka.
- Tak właśnie sądziłem. Nie mógłbym sobie nawet wyobrazić, że twoje myśli krążą wokół czegoś takiego jak reprodukcja czy cudzołóstwo.

- To zabawne, boja także nie mogę sobie wyobrazić, że twoje myśli mogłyby krążyć wokół tych spraw. Nie, nie jestem sobie w stanie wyobrazić, że twoje myśli mogłyby w ogóle wokół czegokolwiek krążyć. One się tarzają. Tak, to o wiele lepsze określenie.

Fletcher wybuchnął serdecznym śmiechem, Cathleen natomiast zamarła, kiedy w pełni dotarło do niej, co przed chwilą powiedziała. Gdyby dziadek wiedział...

- Szszszsz - szepnęła błagalnie. - Obudzisz dziadka.
- A za nic w świecie nie chcielibyśmy, żeby mu przyszło do głowy, że dobrze się bawimy w swoim towarzystwie, prawda?

Wstała.

- No, na mnie już czas. Dobranoc, wasza lordowska mość.

- Prosiłem, żebyś mówiła mi po imieniu - Fletcher wstał. Zanim zdążyła się odwrócić, położył ręce na jej ramionach.

Powoli wodził oczami po jej twarzy, jakby czegoś w niej szukał.

- Cathleen, czy całowałaś się z kimś kiedyś?

- Przed chwilą powiedziałam ci, że żaden mężczyzna nie trzymał mnie nawet za rękę, a ty pytasz, czy się całowałam? -Roześmiała się.

Fletcher przechylił na bok głowę i przypatrywał się jej uważnie, jakby chciał coś z jej twarzy wyczytać.

- Nienawidzisz mężczyzn?

- Oczywiście, że nie. Bardzo ich lubię... pod warunkiem, że przyzwycię się zachowują.

- I nie boisz się ich?

- Nie, chyba że mam powody do obaw.

- Mimo to nie pozwalasz im się do siebie zbliżyć, prawda?

- Nie widzę żadnego powodu.

Fletcher zauważył, że dziewczyna wyraźnie zeszywniała.

- Nie marzysz, by wyjść za mąż i mieć rodzinę? Skuliła się. Nie dla niej rodzina. Nigdy.

- Moja rodzina to dziadek.

- Nie to miałem na myśli i doskonale o tym wiesz. On jest stary. Co zrobisz po jego śmierci?

- Będę żyła tak jak dotychczas. Jestem zadowolona ze swego życia.

- Jesteś szczęśliwa?

- Oczywiście. Ciągłe jestem zajęta...

- No tak, życie wypełnione opieką nad zabłąkanymi i osieroconymi zwierzętami oraz chrześcijańskim miłosierdziem dla bliźnich. Najwyraźniej dostrzegasz potrzeby wszystkich, tylko nie własne. Dlaczego?

- Jestem szczęśliwa, nie wiem więc, skąd twoja troska?

- Mogłabyś być jeszcze szczęśliwsza - wyjaśnił. - Co cię tak zniechęciło do małżeństwa?

- Nie jestem przeciwniczką małżeństwa. Po prostu to nie dla mnie.

- Co się stało z twoimi rodzicami?

- Mama umarła.

- Kiedy?

- Jak miałam sześć lat.

- A ojciec?

- Zginął na Krymie.

Fletcher wpatrywał się przez chwilę w twarz dziewczyny, wreszcie potrząsnął głową.

- I co się z tobą stało? Dlaczego jesteś tak przeciwna małżeństwu?

Próbowała odsunąć się od niego, ale ją przytrzymał. Nie mogli oderwać od siebie wzroku.

- Uważam, że moje poglądy na małżeństwo to nie twoja sprawa. Zresztą jesteś ode mnie starszy, a też nie masz żony.

Fletcher puścił jej rękę i przesunął czubkami palców po jej policzkach. Zadrżała. Gorące palce zdawały się parzyć. Dostała gęsiej skórki na całym ciele i z trudem oddychała. Była już bliska uduszenia, gdy wreszcie udało jej się nabrać powietrza, aż poczuła ból w płucach. Nie umknął jej jednak wyraz rozbawienia w oczach Fletchera.

- Nie, nie jestem żonaty, ale w przeciwieństwie do ciebie już się całowałem i mam nadzieję, iż pewnego dnia ożenię się i będę miał rodzinę.

Dziewczynę przeszył dreszcz. Przed oczami stało jej bolesne wspomnienie. Wspomnienie, które jasno jej uświadomiło, jak głęboka dzieli ich przepaść. Pod każdym względem stanowili swoje przeciwieństwo. On był odważnym, zuchwałym, pewnym siebie Amerykaninem, który wie, czego chce, i bez wahania po to sięga. Chciał dostać wszystko, co życie może zaoferować: bogactwa, tytuły, żonę, dzieci. A ona? Nieśmiała i bojaźliwa Szkotka, stara panna z bolesną przeszłością, pozbawiona nadziei na to wszystko, czego Fletcher miał prawo oczekiwać. Jej życie upłyne na tej biednej farmie, na opiece nad wiekowym dziadkiem, trosce o potrzeby bliźnich i szukaniu pociechy w zdaniu: „Błogosławieni, którzy dają więcej, niż otrzymują”.

Cathleen cofnęła się o krok. Fletcher to tylko zepsuty, rozpieszczony Amerykanin z wyższych sfer, któremu sprawia jakąś przewrotną przyjemność dręczenie nieśmiałej, staroświeckiej szkockiej starej panny. Dobrze, pokaże mu, że ma odrobinę odwagi.

- Jest wiele rzeczy gorszych niż nie wyjść za mąż, ale to inna sprawa. Staram się spełnić swój chrześcijański obowiązek i pomóc ci uporać się z przeszłością, ale twoją przyszłością nie jestem zainteresowana. I będę ci wdzięczna, jeśli i ty nie będziesz interesować się moją.

Instynkt ostrzegł ją, że powinna uciekać, odezwał się jednak zbyt późno i nie zdołał jej uchronić. Została porwana w męskie ramiona i przytulona do piersi. Całym ciałem przylgnęła do Fletchera i kiedy zdała sobie z tego sprawę, poczuła się jeszcze bardziej skrępowana.

Wszystko w niej zamarło, nie była nawet w stanie odwrócić wzroku od bezdennie głębokiego błękitu oczu Fletchera. Oddychała szybko i płytko, wreszcie dopływ powietrza do jej płuc ustał całkowicie, gdy jego wargi spoczęły na jej ustach. Nie byłaby w stanie uchylić głowy,

nawet gdyby chciała, bo jedną ręką obejmował ją w talii, druga natomiast przytrzymywała tył jej głowy, błędząc wśród włosów.

- Nie było to takie straszne, prawda? - wyszeptał.

Odwróciła głowę; jej twarz płonęła. Przyciągnął ją i znowu pocałował. Entuzjastycznie przyjęła kolejny pocałunek i własna reakcja była dla niej takim zaskoczeniem, że poczuła gniew.

Uderzyła go.

Usłyszała kłaśnięcie dłoni o policzek i poczuła mrowienie w ręce. To nie był gest przemyślany, nie podjęła takiej decyzji. To był zwykły odruch, ale i tak zmartwiała. Nigdy w życiu nikogo nie uderzyła i teraz aż skręcała się ze wstydu, że okazała się zdolna do podobnego czynu.

A najbardziej wyprowadzał ją z równowagi fakt, że miała ochotę znów go uderzyć, że pragnęła wziąć zamach i z całych sił rąbnąć go w policzek. Fletcher, jakby czytał w myślach dziewczyny, pochwycił jej dłoń i ścisnął tak mocno, że aż zaboląło. I natychmiast ją puścił.

- Przepraszam. Nie zamierzałem tego zrobić. To dlatego, że ilekroć na ciebie spojrzę, przychodzi mi na myśl pocałunek.

Cathleen wierzchem dłoni starła ślady jego ust ze swych warg.

- Bawisz się czymś świętym, jakby to było zwykle świecidelko sprzedawane przez Cyganów na jarmarkach.

Nie powiedziała ani słowa więcej, odwróciła się i poszła do swego pokoju, nie zaszczycając go nawet spojrzeniem, nie zwracając sobie głowy zamykaniem drzwi, gaszeniem lamp ani żadną z tuzina innych czynności, które wykonywała codziennie przed położeniem się do łóżka. Zresztą dlaczego miała zaprzętać sobie tym głowę? Dzisiejsza noc różniła się zasadniczo od wszystkich poprzednich.

Dzisiejszej nocy ktoś ją pocałował.

Zamknęła drzwi swego pokoju i postanowiła poczekać, aż zobaczy światło w chacie zagrodnika, i dopiero wtedy wyjść z pokoju i zamknąć drzwi domu. Przez ten czas przygotuje się do snu.

Podeszła do toaletki i wlała do miski wodę, by umyć twarz i ręce. Spojrzała na swoje odbicie w zmatowiałym nieco lustrze. Ręce same, wbrew woli, uniosły się ku twarzy i pogładziły policzki gestem podobnym do tego, jaki wykonał Fletcher.

Czynność była ta sama, ale wrażenie, o dziwo, zupełnie inne.

Następnego dnia Cathleen wróciła do domu późnym popołudniem i zastała obu mężczyzn pochylonych nad rozłożonymi na stole dokumentami. Kiedy weszła, obaj równocześnie podnieśli na nią oczy.

- Długo cię nie było, Cathleen. Zaczynałem się już martwić - powiedział David i jego oczy rozbłysły na widok wnuczki.

Dziewczyna westchnęła i zdjęła czepek. Miała zarumienione policzki, a jej oczy błyszczały radością. Przechodząc przez pokój, pochyliła się i pocałowała dziadka w policzek.

Na Fletchera nawet nie spojrzała.

- Spieszyłam się rano z robotą, bo miałam dziś mnóstwo zajęć - oznajmiła. - Pani MacElroy zachorowała, więc wysprzątałam jej dom i ugotowałam tyle jedzenia, żeby starczyło im do przyszłego tygodnia. Potem wpadłam do wdowy Bennie.

- A co dolega wdowie Bennie? - Pastor pytająco uniósł brwi.

- Reumatyzm zaatakował jej stawy. Doktor Scott zapisał jej proszek Jamesa, na nogi trochę pomaga, ale jeśli chodzi o ręce, to nie widać efektów. - Cathleen potrząsnęła głową. - Biedna kobieta.

- A więc zastępowałaś dziś jej ręce?

- Tak. Za bardzo ją bolało, żeby mogła wyrabiać świece.

- A to co? - David wpatrywał się w dłonie wnuczki ze zmarszczonym czołem.

- Indygo - wyjaśniła, kiedy uniosła ręce do góry i przyjrzała się intensywnie niebieskim plamom. Zerknęła na Fletchera, ale szybko odwróciła wzrok.

- Indygo? A gdzie się tym pobrudziłaś? - dopytywał się dziadek.

Roześmiała się serdecznie. Fletcher dopiero drugi raz usłyszał jej głośny śmiech i doszedł do wniosku, że może on konkurować z grą na fortepianie, bo brzmi zupełnie jak muzyka.

- Nie wpadłam w farbę. Natomiast Myles Ballantyne wpadł. Pomalował tym swego małego braciszka, Robbiego, od stóp do głów. Doktor Scott obawiał się, że może to dziecku zaszkodzić, więc poprosił, bym mu pomogła zeskrobać farbę. Robbie piszczał, ale kiedy skończyliśmy robotę, był różowutki jak malutki prosiaczek.

- A Myles?

Śmiech dziewczyny był tak zaraźliwy, że Fletcher nie mógł się powstrzymać i też się roześmiał.

- Jego pupa także była różowa. Założę się, że nieprędko znów pomaluje małego Robbiego. - Opadła na fotel kompletnie wyčerpana.

Fletcher nie spuszczał z niej wzroku. Zauważył szare cienie pod oczami. Za dużo na

siebie bierze, pomyślał. Najwyraźniej David był tego samego zdania.

- Dobrze ci zrobi, jeśli jutro sobie odpoczniesz. Ani tobie, ani ludziom na wsi nic nie przyjdzie z tego, że zaharujesz się na śmierć. Cathleen, nie możesz wyręczać wszystkich. Tyle razy ci to mówiłem.

- Owszem, mówiłeś, ale z jutrzejszego odpoczynku nic nie będzie. Umówiłam się już, że zaniosę wodę ludziom, którzy będą kosić siano na łące Ashtona. - Dziewczyna zerwała się z fotela. - Zajmę się kolacją.

- Daj nam po kawałku zimnej baraniny i połóż się wcześniej spać.

- Miałabym stracić wasze rozmowy? - zapytała i wybiegła z pokoju ze śmiechem, który nie był jednak ani tak lekki, ani tak wesoły jak jeszcze przed chwilą.

- Martwisz się o nią? - zapytał Fletcher, odprowadzając dziewczynę wzrokiem.

- Tak. Za dużo pracuje. - Staruszek westchnął. - To prawda, co przed chwilą mówiłem.

Ona naprawdę wyręcza wszystkich.

- Dlaczego tak *jest*?

- Nie wiem. Może chce się czuć potrzebna, a może chce czymś wypełnić pustkę swego życia.

- A jest puste?

- A czy taki słaby stary człowiek jak ja może wypełnić serce i życie młodej dziewczyny? -

David uśmiechnął się ze smutkiem.

- Cathleen wydaje się szczęśliwa, ale zastanawiałem się nad tym, dlaczego nie wyszła za mąż.

- Ona nie wyjdzie za mąż. - Z twarzy starego pastora zniknął uśmiech.

- Dlaczego?

- Mam pewne podejrzenia, ale ona nie chciała o tym mówić i uszanowałem to. Nie mogę więc nic powiedzieć - odparł mocno zatroskany.

- Ale znasz powód?

Staruszek westchnął i zerknął na drzwi kuchenne.

- Jak powiedziałem, mam pewne podejrzenia, a może nawet coś więcej. Jeśli mam być całkiem szczery, to chyba powinienem rzec, że znam przyczynę. W przeszłości zdarzyło się coś, co sprawiło, że ona myśli tak, jak myśli. - Spojrzał na Fletchera. - To nie z braku starających si^a o rękę.

- Wierzę. Ma śliczną buzię i dobry charakter. Założę się, że przyciągała wielu adoratorów.

- Owszem, więcej niż inne dziewczyny.

- I żaden jej nie zainteresował?
- Nie dopuściła, by któryś wzbudził jej zainteresowanie. Tego typu zainteresowanie. Czasem ktoś jej się podobał, ale kiedy tylko sprawy zaczynały wykraczać poza czystą przyjaźń, natychmiast kończyła znajomość.
- I to cię nie martwiło?
- Owszem, martwiło, ale nic nie mogłem w tej sprawie zrobić. Nie zmuszę jej do małżeństwa... nigdy.
- Nie, oczywiście, że nie. Ale *to* dziwne. Zupełnie jakby się bała.
- Tak, ona się boi.
- I to cię nie niepokoi?
- Oczywiście, że niepokoi. Niepokoi mnie to jako jej dziadka, jako człowieka, który zaznał kiedyś miłości, i jako sługę bożego, który wie, że Pismo Święte mówi: Prawdziwa miłość niczego się nie boi. - David wstał. - Umyję się trochę przed kolacją. Mamy jeszcze sporo do zrobienia, a o pustym żołądku nie najlepiej się pracuje.

Fletcher przyglądał się wychodzącemu z pokoju pastorowi i w głowie kołatały mu słowa: Prawdziwa miłość niczego się nie boi.

Wydawało mu się, że te słowa zostały wryte w jego sercu i nieustannie odbijają mu się echem w mózgu. Zastanawiał się, czy w wypadku Cathleen silniejszy okaże się lęk, czy też miłość.

Nie był takim głupcem, by żywić przeświadczenie, że nauczy tę dziewczynę miłości, choćby tylko platonicznej. Ale może z czasem zdoła zdobyć jej zaufanie? Na dobry początek.

W tym momencie w uchylonych drzwiach pojawiła się głowa Cathleen.

- Kolacja gotowa - zawiadomiła i cofnęła się do kuchni.

9

Zwabił go śmiech Cathleen.

Następnego dnia Fletcher wcześniej wyszedł przed chatę i dobiegł go dźwięczny jak muzyka śmiech dziewczyny. Zaintrygowany, podążył za dźwiękiem, który doprowadził go do Cathleen.

Siedziała na walącym się kamiennym murku, otaczającym niewielką łączkę, na której pasło się stado tłustych owiec. Uschnięte drzewo zwieszało nad jej głową szare gałęzie. Na

kolanach dziewczyny dokazywały trzy kociaki. Wyraźnie nie zdawała sobie sprawy z obecności Fletchera.

Siedzący na gałęzi ptak szczebiotał i wyśpiewywał na cały głos. Cathleen odpowiadała mu, jakby rozumiała jego pieśń, obyczaję i duszę.

Fletcherowi jeszcze nigdy nie wydała się taka śliczna. Długa biała szyja i zaróżowione policzki kontrastowały z prościutką w kroju suknią i intensywną barwą włosów.

Jej uroda pozostawała w idealnej harmonii z otoczeniem. Profil nasuwał skojarzenie z doskonale wyrzeźbioną kameą. Uczesała się gładko, ale niesfornie drobne loczki przy twarzy wyrwały się z uwięzi. Reszta gęstych falujących włosów została związana z tyłu żółtą wstążką, przy czym czarującego efektu nie psuł fakt, iż wstążka była już zniszczona i postrzępiona na końcach. Obok Cathleen na murku leżał słomiany kapelusz, równie stary i zużyty, jak żółta wstążka, lecz cudownie przybrany kwiatami i gałązkami dzikiego wina. Na żółtą muślinową sukienkę narzuciła białą chustę.

Cała dziewczyna była biało-żółta, dziewiczo czysta. Fletcher nie był w stanie oderwać od *niej* wzroku.

Po cichutku przesunął się w jej stronę, starając się poruszać bezszelestnie, by nie niepokoić jej swą obecnością.

W pobliżu stada owiec brykały jagnięta, którym przyglądała się z żywym zainteresowaniem. Za każdym razem, kiedy podskakiwały do góry albo puszczały się biegiem, stawiały ogonki na sztorc, a dziewczyna zaśmiewała się na ten widok.

Fletcher stał i obserwował z rozbawieniem nie błazeństwa jagniąt, tylko dziewczynę, będącą ucieleśnieniem niewinności.

Zatrzymał się o kilka kroków od niej i całkowicie zatracił się w kontemplacji cudownej krzywizny ucha, różanej barwy policzka... miękkiej linii szyi. Był już na tyle blisko, że gdyby się pochylił, mógłby dotknąć ustami tej szyi w miejscu, gdzie cudowne drobne loczki wyrwały się *na wolność* z uwięzi *żółtej* wstążki.

W tej chwili Cathleen nie była nieśmiałą wnuczką pastora, która uważa go za niebezpiecznego, złego człowieka. Tu, na łonie natury, wydawała się nimfą, słonecznym duszkiem.

Ta myśl sprawiła, że usta Fletchera rozciągnęły się w uśmiechu, ale serce ogarnął smutek. Nie zmieniało to jednak faktu, że widok dziewczyny i tak cieszył jego oczy. Zbliżył się jeszcze bardziej, już prawie jej dotykał, z góry patrzył na niezwykle bogactwo jej włosów o barwie dojrzałych wiśni i zapachu róż.

Przez chwilę miał wrażenie, że nie zdoła zapanować nad sobą, że pochyli się,

przyłgnie ustami do tej prześlicznej twarzy, będzie całować wargi i szeptać czułe słówka wprost do ucha. Ale wiedział, że Cathleen uciekłyby od niego w jednej chwili.

Musiał zadowolić się tym, co miał. Przynajmniej na razie. Jednego nie był w stanie sobie odmówić, tak jak nie byłby w stanie zrezygnować z poszukiwania potrzebnych mu dowodów. Musiał przy niej usiąść.

Przeszedł przez murek w miejscu, w którym stare kamienie się wykruszyły, i podszedł do Cathleen. Kiedy stanął tuż przy niej, zrobiła ruch, jakby chciała wstać, ale przewidział to, położył jej rękę na ramieniu i usiadł obok.

Dopiero w tym momencie zauważył jelonka, spokojnie śpiącego jakiś metr dalej. Zwierzątko podniosło nagle łeb i z zainteresowaniem zaczęło mu się przyglądać wielkimi, wilgotnymi oczami, a jego duże uszka stanęły na baczność, jakby w pełnej gotowości.

- To twój przyjaciel?

- Batszeba.

- Kolejna sierota?

- Tak. Matka została zastrzelona.

- Policzmy. Razem mamy trzy kociaki, trzy kaczki i jelonka.

- Kaczek już nie ma. Mary MacGregor je zabrała.

- Masz jeszcze jakichś podopiecznych w żłobku?

- Króliki.

- O, rany. Ile?

- Ostatnio doliczyłam się pięciu... z tym będzie sześć. -Uniosła ciemnoszarego królika, który zaczął wściekle kopać. Postawiła go na ziemi i przyglądała się, jak kica. Zatrzymał się i spojrzał na nich z odległości kilku kroków. Podświetlone z tyłu ostrym słońcem długie uszy króliczka wydawały się niemal przezroczyste.

- Widzę tylko uszy i długie nogi. Cathleen roześmiała się.

- To bardzo ważne części ciała - powiedziała. - Ale ma też nosek, który ciągle się porusza, i cudownie miękkie futerko.

- Idealne na ciepłe rękawice.

Pochyliła głowę na bok i spojrzała na Fletchera.

- Nie mogłabym nigdy...

Roześmiał się i podniósł ręce, jakby się poddawał.

- Przecież tylko się z tobą droczę. - Jeszcze raz spojrzał na królika. - A poza tym jest za mały na parę rękawic. Potrzebowałbym przynajmniej dwa.

- Jak będziesz tak dalej mówił, to puciekają.

- Tak czy owak, powinny już uciekać. Moim zdaniem, wyglądają całkiem zdrowo. Coś im dolega?

- Nic... teraz już nic. Ale wszystkie mają lub miały kiedyś jakieś problemy.

- Mówisz o normalnych zjawiskach w świecie zwierząt, takich jak zbyt liczny miot?

- Nie, były chore lub osierocone. Jeden miał złamaną łapę. Ten czarny. Opiekowałam się też ptakiem ze złamaną łapką. I wiewiórką.

- Ale one, jak sądzę, już dawno odeszły?

- Większość tak, jednak czasem zdarzają się i takie, które nie chcą wrócić na wolność, nawet kiedy są już w doskonałej formie.

- Mogę je zrozumieć - odpowiedział Fletcher, obejmując Cathleen ciepłym spojrzeniem.

- Wstydz się! - Wy buchnęła śmiechem.

- Uwielbiam twój śmiech.

- Dlaczego? - Przestała się śmiać, odwróciła się i spojrzała na niego dziwnym wzrokiem.

- A dlaczego mężczyźni lubią towarzystwo pięknych kobiet? -Wzruszył ramionami. - Dlaczego kochasz dziadka? Dlaczego śmieszą cię figle tych jagniąt? Dlaczego żal ci rannych zwierząt? Dlaczego rozmawiasz z ptakami? To kwestia uczuć. Ot i cała tajemnica.

- Dziwne, że takie stwierdzenie pada z ust mężczyzny. -Cathleen wpatrywała się w twarz Fletchera, jakby chciała się w niej czegoś doszukać.

- Dlaczego? Uważasz, że mężczyźni są pozbawieni uczuć? Że nie są w stanie odczuwać wzruszenia, że nie wyczuwają subtelności?

- Niewielu to potrafi. - Spuściła oczy.

- Nie jestem taki jak większość.

- Tak - powiedziała takim tonem, jakby jej myśli błądziły gdzieś bardzo, bardzo daleko.

Ale Fletcherowi to w najmniejszym stopniu nie przeszkadzało, bo dzięki temu mógł przyjrzeć się dziewczynie z bliska. Słońce oświetlało twarz, podkreślając ametystowy kolor oczu. Zapragnął zatracić się w ich fiołkowej głębinie. Czyżby oszalał? Nie pamiętał, by jakkolwiek kobieta tak na niego działała. Przez moment zastanawiał się, czy dziewczyna domyśla się, jak rozpaczliwie jej pragnie.

Wiedział, że nie. W ciągu ostatnich dni przekonał się niezbitnie, że interesuje się wyłącznie jego śledztwem. Uważała, że to jest również jej sprawa, nie oznaczało to jednak, niestety, że dzieliła też jego pragnienie, nie mówiąc już o pożądaniu.

Znów na niego spojrzała. Może było coś w jej wzroku, może sprawiła to bliskość, a może jedna z setek innych przyczyn, dość że Fletcher wziął ją w objęcia.

- Pozwól mi odejść - poprosiła.
- A jeśli nie pozwolę?
- Znajdź sobie inną zabawkę. Mnie zostaw w spokoju.
- Naprawdę tak myślisz? Naprawdę uważasz, że się tobą bawię? - Puścił ją.
- Oboje o tym wiemy. W dodatku domagasz się respektowania swoich uczuć, kompletnie ignorując moje.

- Ignoruję twoje uczucia? Możesz mnie odepchnąć, ale wcale tego nie chcesz.
- Owszem, właśnie tego chcę. Kiedy mnie dotykasz, nie czuję nic. Nic!

Położył ręce na ramionach dziewczyny i kciukami pogładził delikatne, wrażliwe włoski na karku.

Cathleen podniosła ramiona, jak żółw chowający głowę do skorupy. Fletcher nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Widzisz? Coś jednak czujesz.
- Tak, irytację i mdłości.
- Myślałem, że taka dobra, szczerza chrześcijanka jak ty powinna umieć odróżnić prawdę od kłamstwa. A ty najwyraźniej wierzysz w rzeczy, które nie są prawdziwe.
- Są prawdziwe.
- Zobaczmy - powiedział i odwrócił ją twarzą do siebie. -Pocałuj mnie, a zobaczymy, czy to, co mówisz, jest prawdą. Pocałuj mnie, Cathleen, a przekonamy się, czy naprawdę robi ci się niedobrze.

Zobaczył w jej oczach gniew. Czuł, że ją podszedł. Dla obojga stało się oczywiste, że właśnie obalił jej nieudolne wyjaśnienia.

Nie zrobił żadnego ruchu, by ją pocałować, ale po chwili dostrzegł w jej twarzy niepokój, przeradzający się stopniowo w zażenowanie. W oczach Cathleen wzbierały lśniąco łzy, lecz nie pozwoliła im popłynąć.

- Chodzi nie tylko o ciebie - odpowiedziała po dłuższym milczeniu.
- Wiem - odparł cicho. - Opowiesz mi o tym?
- Nie.
- Boisz się?
- Tak. Boję się, że mogłabym się rozplakać. Boję się, że mogłabym w końcu zacząć się nad sobą użalać. Boję się, że zrobię z siebie idiotkę. Nie znam cię, Fletcher... nie znam cię na tyle, by o tym z tobą mówić. Zwierzanie się z intymnych przeżyć nie leży w mojej naturze.

- Może już niedługo będziesz myślała inaczej. - Przyciągnął ją i pocałował. Jego język powoli badał usta dziewczyny. W końcu przerwał pocałunek i roześmiał się. - Przynajmniej tym razem nie uderzyłaś mnie w twarz. Powiedziałbym, że zrobiliśmy krok naprzód. Dowiedziałaś się paru rzeczy, o których dotąd nie miałaś pojęcia.

Wyrwała się z jego ramion.

- O, tak. Dowiedziałam się tego i owego. Wystarczająco, by już więcej ci nie zaufać. - Wstała. Fletcher chciał pochwycić jej rękę, ale tym razem Cathleen była szybsza. - Dziadek zawsze powtarzał, że nie jesteśmy w stanie zmienić przeszłości, ale możemy czerpać z niej nauki.

- I wyciągnęłaś z przeszłości jakieś nauki?

- Tak, zrozumiałam, że należysz do mężczyzn, którzy lubią zdobywać kobiety.

- Nie kobiety, Cathleen. Tylko ciebie. Odwróciła wzrok.

- Nie mogę zmienić tego, co się stało, ale mogę zapobiec powtórzeniu się takiej sytuacji.

- Naprawdę tego chcesz?

- Tak. I dla nas obojga byłoby lepiej, gdybyś zajmował się wyłącznie tym, po co tu przyjechałeś. Lubię cię, Fletcher. Lubię cię bardziej, niż powinnam, bardziej, niż mi wolno, ale nie zamierzam tolerować twoich awansów. Jeśli będziesz przy nich obstawał, zniszczysz tylko naszą przyjaźń.

Odwróciła się i złapała słomkowy kapelusz. Bez słowa włożyła go na głowę i ruszyła do domu, zawiązując po drodze troczki. Szła przez łąkę, płosząc owce. Po chwili kapelusz zsunął jej się z głowy na plecy.

Fletcher obserwował przez chwilę jej sylwetkę, rysującą się ostro na tle rozświetlonego słońcem nieba. Wreszcie wstał i ruszył za dziewczyną. Zrównał się z nią i szli w milczeniu ramię przy ramieniu, dopóki nie zbliżyli się do owcy, która oddaliła się od reszty stada. Cathleen dobiegła do leżącego na ziemi zwierzęcia.

Zawsze skora do pomocy, pomyślał, ale w tej chwili dziewczyna zatrzymała się gwałtownie. W tym nagłym zatrzymaniu się, w sposobie, w jaki patrzyła na owcę, było coś tak dziwnego, że stanął i zaczął się jej przyglądać. Nawet z tej odległości widział, że jest spięta i drży na całym ciele.

- Cathleen! - zawołał i podbiegł do niej. Chciał otoczyć ją ramieniem, ale odskoczyła jak oparzona. Jej oczy były pełne grozy.

- Nie dotykaj mnie! - krzyknęła przeraźliwie, cofając się. - Nigdy więcej mnie nie dotykaj!

Zanim podjął decyzję, co powinien zrobić, o co zapytać, odwróciła się na pięcie i pobiegła z powrotem, znów płosząc stado.

Fletcher patrzył przez chwilę w ślad za dziewczyną, a potem przeniósł wzrok na leżącą na ziemi owcę. Zastanawiał się, co takiego zobaczyła Cathleen, że wpadła w tak straszliwe przerażenie.

Z owcą nie działo się nic złego, jeśli nie liczyć tego, że właśnie rodziła młode. Na ile mógł stwierdzić, była w połowie porodu. Wszystko przebiegało normalnie, więc oderwał spojrzenie od zwierzęcia i rozejrzał się za Cathleen. Wspiwała się na murek, na którym poprzednio siedziała.

Zerknął jeszcze raz na owcę i podążył za dziewczyną.

Siedziała pod urwistą skałą, górującą nad niewielką sadzawką, utworzoną przez wartki potoczek. Robiła wrażenie samotnej i opuszczonej, bardziej osamotnionej niż jakakolwiek osoba, którą w życiu widział. Podszedł, powodowany pragnieniem, by ją pocieszyć. Ukląkł przy niej.

- Odejdź - wykrztusiła wśród łkań. - Idź sobie i zostaw mnie samą.

- Nie mogę. Wiesz, że nie mogę. - Położył rękę na plecach Cathleen i zaczął je gładzić, uspokajając dziewczynę w jedyny sposób, jaki znał. Czuł się nieporadny i nieudolny. Ten sposób skutkował jednak w wypadku jego matki i sióstr, pomyślał więc, że Cathleen jako kobieta nie powinna się zbyt od nich różnić. - Co się stało? Co cię tak zdenerwowało?

Nie odpowiedziała, potrząsnęła jedynie głową, jakby mówienie było dla niej zbyt wielkim wysiłkiem. Fletcher siedział więc na ziemi przy Cathleen i masował jej plecy, a ona nie przestawała płakać. Miał nadzieję, że dzięki temu dziewczyna zrozumie, że on nie jest takim lubieżnym sukinsynem bez serca, za jakiego go uważała.

Po pewnym czasie łkania zaczęły cichnąć i wreszcie całkiem ustały. Kiedy Cathleen się uspokoiła, Fletcher pomyślał, że może być zbyt onieśmielona lub zażenowana, by na niego spojrzeć, i zastanawiał się nawet, czy nie powinien w tym momencie wstać i odejść, by uratować jej dumę.

W końcu jednak uznał, że nie może jej zostawić, przynajmniej zanim się nie dowie, co się z nią dzieje, co takiego wydarzyło się w jej życiu, że tak straszliwie się boi.

- Chcesz o tym porozmawiać?

- Nie.

- Chcesz porozmawiać o czymś innym?

- Nie.

- Chcesz porozmawiać o czymkolwiek?

- Nie, ja... Dlaczego nie zostawisz mnie samej?

- Cathleen, kiedy wreszcie zrozumiesz, że chcę ci tylko pomóc?

- A kiedy ty wreszcie zrozumiesz, że nie chcę twojej pomocy? - zapytała i odwróciła głowę, by na niego nie patrzeć.

- Co się stało? Co takiego zobaczyłaś, że zdenerwowałaś się do tego stopnia?

- Niczego nie widziałam. - Zdjęła listek, który przyczepił się do jej spódnicy, i wrzuciła go do strumyka.

- Nie umiesz dobrze kłamać. - Fletcher uśmiechnął się. - Pewnie dlatego, że brakuje ci praktyki. Jestem pewien, że coś zobaczyłaś. Może myślałaś, że ta owca jest chora? Może wydawało ci się, że zdycha? - dopytywał się. Przyszło mu do głowy, że myśl o śmierci przypomniawszy Cathleen utratę rodziców. Może dlatego była tak opiekuńcza w stosunku do dziadka? Może przerażała ją myśl, że i on umrze?

- Ta owca wcale nie była chora! - Cathleen spojrzała na niego z irytacją. - Wiem, jaka jest różnica między chorobą i... Nie jestem idiotką. Wiem, co się z nią działo.

Zwrócił uwagę na załamanie głosu dziewczyny. Czyżby jej przerażenie wiązało się z faktem, że owca rodziła?

- Cathleen, na co umarła twoja matka? To był wypadek? Choroba?

Zdawał sobie sprawę, że dziewczyna jest wstrząśnięta, bo zaczęła szybciej oddychać, omiatała też wzrokiem teren, jakby chciała sprawdzić, jakie ma szanse na ucieczkę.

- Daleko nie uciekniesz - rzucił. - Jestem wyższy od ciebie i szybko biegam. Dość już ucieczek. Jeśli będę musiał przerzucić cię przez ramię i zanieść do domu, by skonfrontować cię z dziadkiem, zrobię to. Ewentualnie możemy zostać tu, na tej łące, i pozwolić, by słońce spaliło nas na węgiel. Więc jak będzie? Rozmowa czy smażenie się?

- Czy wszyscy Amerykanie są tak skorzy do... do rozmowy?

- Przypuszczalnie tak. Ale o tym pogadamy kiedy indziej. Jak umarła twoja matka?

Cathleen odwróciła głowę i wpatrywała się w wodę. Nie odpowiadała przez długi czas. W końcu zerknęła na Fletchera i zobaczyła w jego oczach taką determinację, że westchnęła z rezygnacją.

- Moja mama umarła... przy porodzie.

- Rozumiem.

Zerwała się na równe nogi.

- Nie, nie rozumiesz! - krzyknęła i zacisnęła dłonie w pięści. - Za kogo ty się uważasz? Za cudotwórcę, który uleczy mój biedny, chory umysł? No cóż, skoro chcesz podjąć wyzwanie, proszę bardzo. Tak, moja matka umarła przy porodzie, kiedy miałam sześć lat, i ojczym o mało nie zatłukł mnie za to na śmierć. I nic... słyszysz, nic nie możesz w tej sprawie

zrobić. Zadowolony?

Fletcher podniósł się i stanął przy Cathleen. Dziewczyna objęła się ramionami i kiwała się jednostajnie do przodu i do tyłu, a jej oczy miały nieprzytomny wyraz, jakby nie zdawała sobie sprawy, gdzie i z kim jest. Utkwiła wzrok w łące za plecami Fletchera, w jakimś tajemniczym punkcie w przeszłości, który tylko ona mogła dostrzec.

Nie, nie stała przy nim na łące. Była znów sześciolatkiem i znów przeżywała koszmar, który ją zламаł i napełnił grozą.

- Chodź, przejdziemy się. Tak się łatwiej rozmawia - powiedział, pilnując się, by jej nie dotknąć.

- Nie chcę rozmawiać ani spacerować.

- To jest ci potrzebne.

Milczała, nawet *nie* spojrzała, ale niczego innego się nie spodziewał. Dobrze przynajmniej, że od niego nie uciekła.

- Nasz dom w Kalifornii stoi na wybrzeżu, w miejscu bardzo przypominającym Szkocję. Drzewa rosną tam na samym skraju ostro spadającego do morza klifu. Moja mama lubi spacerować i co wieczór przechadzała się wzdłuż klifu z wielkim żółtym psem. Robiła to zawsze, gdy była zdenerwowana albo chciała coś przemyśleć. A jeśli miała problemy z którymś z nas, brała nas ze sobą na klif i zmuszała do spacerowania. Chodziliśmy i rozmawialiśmy, dopóki nie wyrzuciliśmy z siebie wszystkiego, co nas trapiło.

Cathleen stała w milczeniu i przyglądała się Fletcherowi. Jego słowa chyba działały na nią uspokajająco, więc nie przerywał.

- Zawsze z kroków mamy mogłem wywnioskować, w jakim jest nastroju. Kiedy czuła się szczęśliwa, szła dość szybko, stawiając lekkie, żywe kroki. Kiedy była czymś przygnębiona, szła wolniej, ciężko stawiając stopy. Najbardziej lubiłem gniewny krok mamy, szybki, pełen wściekłości. Mówiła wówczas do siebie i gestykulowała rękami. Zawsze byłem ciekaw, co mówiła, kiedy starała się „wychodzić” z siebie wściekłość.

Fletcher ruszył przed siebie. Powoli, z rękami w kieszeniach. Dziewczyna poszła za nim, nie obok niego, a właśnie nieco z tyłu.

- Kiedy przyjechała do Kalifornii, była jedyną osobą, która regularnie spacerowała po klifie, ale wkrótce już wszyscy łąziliśmy tą samą ścieżką, „wydeptując” z siebie złość czy frustrację. - Urwał i spojrzął przez ramię na Cathleen.

Zatrzymała się i popatrzyła na niego sceptycznie.

- Uważasz, że chodzenie pomoże? Przecież nic innego nie pomogło.

- Wiem, że pomoże. - Uśmiechnął się do dziewczyny, a potem odwrócił wzrok i znów

ruszył przed siebie. - A poza tym czego próbowałaś poza duszeniem tego wszystkiego w sobie?

Nie odpowiedziała, ale i tak był zadowolony, bo stanęła u jego boku i szła z nim krok w krok.

- Założę się, że bardzo tęsknisz za rodziną.

- Tak, bardzo. Nie sądziłem, że tak będzie.

- Mówiłeś, że masz dwie siostry?

- Barrie i Ainsley. Obie wyszły już za mąż i mieszkają w pobliżu teksaskiej gałęzi rodu Mackinnonów.

- Nie masz braci?

- Mam trzech przyrodnich. Są ode mnie sporo młodszy, ale jesteśmy ze sobą bardzo zżyci. Zawsze byłem dla nich wzorem do naśladowania. Mama twierdzi, że swoje pierwsze cztery siwe włosy zawdzięcza właśnie nam.

- Wrócisz tam? - Cathleen uśmiechnęła się nieśmiało.

- Nie na stałe. Teraz tutaj jest mój dom. I tutaj pragnę żyć.

- To chyba musi być miłe mieć wybór... mieszkać, gdzie się chce.

- A gdzie ty chciałabyś mieszkać, gdybyś mogła wybierać? Zamyśliła się na chwilę, po czym roześmiała się.

- Chyba tutaj.

- Dlaczego ojciec cię bił? - zapytał Fletcher, nie patrząc na Cathleen.

- Ojczym. Ojciec zginął podczas wojny krymskiej. Mama wyszła powtórnie za mąż trzy lata po jego śmierci.

- Nie lubiłaś go?

- Nie. Ciągłe bił mamę.

- Uderzył ją tej nocy, kiedy straciła dziecko?

- Tak, kilka razy. Potem wyszedł i wiedziałam, że poszedł się upić.

- Dużo pił?

- Bez przerwy. Tej nocy był pijany. Zawsze był pijany.

- Po jego wyjściu twoja mama zaczęła rodzić?

- Płakała, kiedy wyszedł, a potem płakała jeszcze bardziej i zawołała mnie. Kiedy podeszłam, powiedziała, że dziecko jest już w drodze i że potrzebna jej moja pomoc. Pomogłam jej położyć się do łóżka, ale nie wiedziałam, co robić. Wszędzie było mnóstwo

krwi. Próbowałam zagotować wodę, jak prosiła mama, ale nie umiałam rozpalić ognia. A potem mama ciągle powtarzała, że dziecko już się rodzi, ale ono nie mogło się urodzić. Wszędzie była krew, coraz więcej krwi. Wszędzie... na łóżku, na podłodze, na mnie. Nie wiedziałam, co robić, więc usiadłam na łóżku przy mamie i trzymałam ją za rękę. Nawet nie wiedziałam, że umarła, dopóki ojczym nie wrócił do domu. Kiedy ją zobaczył, zdjął pas i zaczął mnie okładać. Sprzączka od pasa rozcinała mi skórę. Wkrótce nie wiedziałam, czy krew, która po mnie spływa, jest mamy, czy moja. Pamiętam, że płakałam skulona w kącie pokoju, a on nie przestawał mnie bić. Nie pamiętam, kiedy przestał.

- A potem po prostu wyszedł?

- Dziadek mówił, że jeden z sąsiadów przechodził w pobliżu i wstąpił do nas. Znalazł martwą mamę i mnie nieprzytomną w kącie pokoju. Kompletnie pijany ojczym leżał na podłodze. Zanim oprzytomniał, przyszedł dziadek, a ludzie ze wsi skrzyknęli się przeciwko ojczymowi, wygnali go i zagrozili, że jeśli jeszcze raz postawi stopę w górach, nie ujdzie z życiem.

- I nigdy już o nim nie usłyszałaś?

- Nigdy.

- Bardzo ci współczuję - powiedział.

Cathleen odwróciła się i spojrzała na Fletchera.

- Czy mogę cię objąć? - zapytał.

- Dlaczego? Myślisz, że dzięki temu poczuję się lepiej?

- Nie, to ja dzięki temu poczuję się lepiej.

Stali na środku łąki i patrzyli na siebie, jakby każde z nich próbowało przeniknąć myśli drugiego. Ona pewnie podejrzewa, że muszę być kompletnym idiotą, skoro pytam, czy mogę ją objąć, podczas gdy mógłbym wypowiedzieć tyle wspaniałych, poetycznych i romantycznych słów, pomyślał. Ale nie był teraz w stanie ubrać uczuć w słowa, odczuwał natomiast ogromną potrzebę otoczenia dziewczyny ramionami i pocieszenia. Miał wrażenie, że właśnie milczący uścisk drugiego człowieka mógłby w tej sytuacji mieć działanie uzdrawiające, a tego Cathleen potrzebowała najbardziej.

- Nie potrafię cię zrozumieć - stwierdziła.

- A co tu jest do zrozumienia? Moje serce jest zbyt wezbrane uczuciem, by to wytłumaczyć, ale czasami więcej można powiedzieć spojrzeniem czy dotykiem niż słowami.

- Ale dlaczego uściski?

- Bo nie jesteś już małym dzieckiem, które mógłbym wziąć na kolana, by złagodzić cierpienie, nie mogę też przemyć twoich ran wodą lawendową i pocałować, by nie bolało.

Cóż więc mi pozostało?

- Tak właśnie zachowywała się twoja matka? - Popatrzyła na niego z serdecznością.

- Zawsze... - Fletcher uśmiechnął się. - Przynajmniej do czasu, gdy stałem się zbyt duży, by usiąść na jej kolanach, i zbyt męski, by znosić zapach wody lawendowej. Ale także i potem zawsze była przy mnie w ciężkich chwilach, zawsze miała na podorędziu pełne miłości pieśczoć oraz słowa zrozumienia i pocieszenia. I to właśnie dzięki jej miłości nabrałem odwagi, by dorosnąć, i oderwać się od mamusinej spódnicy i stać się niezależnym człowiekiem.

Cathleen popadła w przygnębienie.

- Nigdy nie spotkałam kogoś takiego jak ty. Masz uczucia i intuicję, o których większość mężczyzn nawet nie ma zielonego pojęcia. Jak ja ci zazdroszczę! Twoja matka musi być wspaniała.

- Jest.

- Przejdziemy się jeszcze? Chciałabym więcej o niej usłyszeć.

- Przez długi czas była dla mnie najważniejszą osobą na świecie. Ilekroć komuś z nas stało się coś złego, natychmiast była przy nim. Kochała nas, kiedy tego potrzebowaliśmy, i pomagała odejść, gdy przychodził czas, byśmy stanęli o własnych siłach. Jej kuchnia także była miejscem szczególnym, w którym na każdą dolegliwość powstawała specjalna lecznicza potrawa. Uczyłem się przeważnie przy dużym kuchennym stole, gdzie mama przygotowywała posiłki. I nawet dzisiaj, kiedy coś piszę, wydaje mi się, że czuję zapach ciasteczek orzechowych czy cynamonowych gwiazdeczek. Gdyby nie argumenty i determinacja mamy, przyjechałbym do Szkocji, żeby zabić Adaira Ramsaya, a nie po to, by odebrać mu tytuł.

- Tak bardzo go nienawidziłeś?

- Tak. Nadal go nienawidzę. Odebrał mi coś, czego nie da się odzyskać.

- Ojca?

- Tak.

- Przynajmniej miałeś matkę i kochającego ojczyma.... czego ja nigdy nie miałam.

- Pamiętasz matkę?

- Staram się, ale im bardziej próbuję ją sobie przypomnieć, tym bardziej umyka mi jej obraz. Kiedy pytam o nią dziadka, mówi, że była delikatna i czuła. I że kochała mnie ponad wszystko. Ale trudno na podstawie takich słów stworzyć sobie w wyobraźni obraz czyjejś twarzy. Nie ma żadnych portretów mamy, tylko jej imię wypisane w Biblii i wycięta z czarnego papieru mała sylwetka mamy jako ośmio- czy dziesięcioletniej dziewczynki. Często siedzę i wpatruję się w tę wycinankę, pragnę tchnąć w nią życie, sprawić, by przemówiła i opowiedziała mi trochę o

sobie. Pamiętam, że próbowałam doszukać się w sobie podobieństwa do tego profilu o małym nosku i wypukłym czole. To dziwne, minęło już tyle lat, wyrosłam, jestem dojrzałą kobietą, a mama pozostała nadal małą dziewczynką.

Fletcher dojrzał strumyczki łez spływające po policzkach Cathleen.

Cierpiał razem z nią. Teraz rozumiał ją lepiej i doszedł do wniosku, że nigdy nie zaufa człowiekowi, który będzie tylko jej współczuł, będzie się nad nią użalał. Pozostanie uparta, samotna, skryta i nieufna, dopóki nie podda go próbie. Z wrodzoną delikatnością i zrozumieniem postanowił nie upokarzać dziewczyny współczuciem. Różniła się od kobiet, jakie spotkał w życiu. Była po prostu sobą, człowiekiem żyjącym w osamotnieniu, izolacji, porzuconym, skrzywdzonym, zranionym i wstrząśniętym, ale jednak pełnym energii i niewiarygodnej siły.

Zapomniał na chwilę o Adairze Ramsayu i przyczynie, dla której przyjechał do Szkocji. Przez tę chwilę mógł myśleć jedynie o tym, jak bardzo pragnie dotknąć Cathleen. Ale nie śmiał tego zrobić.

- Wygląda na to, że oboje wiemy, co to jest strata kogoś bliskiego - powiedział, czując, że te słowa są tylko słabym cieniem słów pocieszenia, jakie pragnął jej ofiarować.

Zatrzymała się gwałtownie i odwróciła do Fletchera.

- Czy mógłbyś mnie teraz objąć? - zapytała cichutko drżącym głosem.

- Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności - stwierdził i szeroko otworzył ramiona.

Wsunęła się w jego objęcia.

Tej nocy Cathleen leżała w łóżku i wpatrywała się w ciemność, a jej myśli krążyły wokół Fletchera Ramsaya i nie pozwalały zasnąć. Jak to możliwe, że dwudziestoosmioletni mężczyzna ma w sobie tyle tkliwości, zrozumienia, współczucia? Była w nim cudowna delikatność. Jeszcze nigdy nie spotkała nikogo takiego.

Przeżył, jak ona, utratę bliskiej osoby i dotknęła go tragedia, a jednak był zupełnie inny od niej. Był człowiekiem gotowym zmierzyć się z życiem, człowiekiem silnym i odważnym, który przyjmuje to, co mu niesie życie, i patrzy rzeczywistości prosto w twarz. Ona natomiast za wszelką cenę unikała konfrontacji i uciekała przed wszystkim, co mogłoby sprawić ból. On stawiał czoło własnym lękom, rzucał im wyzwanie i nie cofał się przed niczym. Ona pozwalała, by jej życiem kierował lęk, i nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, że mogłaby z tym walczyć.

Przewracała się w łóżku, wspominając dotyk Fletchera, jego wargi na swoich ustach. Pamiętała pożądanie, ale przede wszystkim brak Jęku. Ten mężczyzna znalazł do niej dojście, co nie udało się jeszcze nikomu, nawet dziadkowi, a mimo to nie obawiała się go.

Dlaczego?

Zamknęła oczy, żeby odmówić modlitwy, i nagle w jej świadomości pojawiły się słowa, które mocno do niej przemówiły:

- Nie lękajcie się - szepnęła. - Księga Genesis. Odmówiła pacierze i jej myśli znów pobiegły ku Fletcherowi

Ramsayowi. Znała go bardzo krótko. Za krótko, by wyrobić sobie o nim opinię. Teraz wydawał się delikatny, dobry i pełen zrozumienia, ale czas pokaże, czy to prawda. Wiedziała, że metodą najczęściej stosowaną przez diabła jest podsuwanie człowiekowi pokus. Czy temu właśnie miał służyć Fletcher Ramsay?

Czy w takim razie oszukiwała samą siebie? Czy Fletcher, jak diabeł wcielony, czarował ją tylko i zwodził?

- Chleb kłamstwa miły jest człowiekowi, ale potem usta napelni kamieniem - szepnęła do siebie, - Księga Przysłów.

I Cathleen Lindsay odpłynęła w sen, łagodnie jak woda obmywająca kamienie.

10

Kiedy Fletcher przyszedł następnego dnia do domu, stary pastor ślęczał już w gabinecie nad dokumentami.

- Wczesnie wzięłeś się do pracy.

- Wczesnie wstaję - odparł pastor. - Jadłeś już?

- Nie.

- Cathleen zrobiła śniadanie, zanim wyszła z domu. Jeśli jesteś głodny, idź do kuchni, zostało mnóstwo jedzenia.

- Chyba cię posłucham - odparł Fletcher z uśmiechem.

Wszedł do przytulnej ciepłej kuchni. Stół nakryty był zwykłym obrusem, ale na środku stał dzban z pięknie ułożonymi kwiatami, a obok czekała na niego gliniana miska i łyżka. Rozejrzał się po kuchni, jakby znalazł się w niej po raz pierwszy. Poczłł niemal dotykálną obecność Cathleen, która była w tym pomieszczeniu nawet wtedy, kiedy fizycznie znajdowała się gdzie indziej.

Ta kuchnia to cała ona... pełna miłości troska, czuły dotyk, porządek i celowe działanie.

Zjadł racuszki i owsiankę, które dla niego zostawiono, i wrócił do gabinetu.

- Dokąd poszła Cathleen? - zapytał.

- We wtorki zawsze zajmuje się biednymi - mruknął David, nie podnosząc oczu znad pracy.

- Musiała bardzo wcześnie wyjść.

- Tak, we wtorki zawsze wychodzi z rana. Była niezmiernie podniecona. Serce mi rośnie, kiedy widzę ją tak szczęśliwą.

Fletcher ucieszył się, że była dziś w tak doskonałym humorze, ale nie mógł pozbyć się myśli, że chyba nie ma takich dni, które wnuczka pastora poświęca sobie. Słowo „nie” zdawało się w ogóle dla niej nie istnieć. Codziennie obserwował, jak niezmordowanie poświęca czas, by wspomagać innych, nie myśląc o tym, by choć trochę czasu zarezerwować dla siebie.

Fletcher usiał naprzeciwko Davida i zagłębił się w dokumentach. Wkrótce całkowicie zatonął w pracy i stracił poczucie czasu. Dopiero kiedy usłyszał westchnienie zmęczonego pastora, uświadomił sobie, że minęły już trzy godziny.

- Znalazłeś coś? - zapytał, podnosząc wzrok znad papierów.

- Nic, żadnej wzmianki o rodzinie Ramsayów. - David potrząsnął głową.

Fletcher zwrócił uwagę na nutę zmęczenia w głosie starego człowieka i przyjrzawszy się uważniej jego twarzy, dostrzegł wyczerpanie i ciemne kręgi pod oczami. Poczul wyrzuty sumienia, że do tego dopuścił. Pastor był już niemłody i Fletcher dostrzegł wreszcie, że zmusza się do pracy ponad siły.

Wiedział, że ten człowiek nigdy w życiu nie przyzna się do zmęczenia, więc wstał i symulując krańcowe wyczerpanie, zaczął masować kark.

- A może zrobilibyśmy sobie dziś wolne? - zapytał. - Trudno mi się skoncentrować. Po pięciu czy sześciu godzinach czuję się jak wyżęty. Może pojeżdżę trochę konno. Zostałem wychowany na drwała i nie przywykłem do spędzania całych dni w domu.

Wyszedł na dwór z poczuciem, że spełnił dobry uczynek, bo David skwapliwie wstał z fotela, mrużąc coś o małej drzemce.

Fletcher rażno wskoczył na siodło i ruszył galopem. Zanim się zorientował, dokąd zmierza, jechał już gościńcem do Glengarry.

Wysłał napisany poprzedniego dnia list do matki i już miał wracać, kiedy dostrzegł tłum zbierający się w każdy wtorek na wielkie targi owiec. Postanowił skręcić w wąską uliczkę, żeby nie utknąć w cizbie ludzi i zwierząt, które całkowicie zablokowały drogi, wiodące do zagród. Nie miał pojęcia, dokąd prowadzi zaułek, w który wjechał, ale już wkrótce miał się o tym przekonać.

Znalazł się w najbardziej niebezpiecznej części miasta, gdzie domki zbudowane były jeden przy drugim, a ścieki płynęły rynsztokiem wykopanym pośrodku ulicy. Nawet pachniało tu inaczej

niż w pozostałych częściach miasteczka, jakby dla podkreślenia degradacji i niedoli mieszkających tu biedaków. Gdziekolwiek Fletcher zwrócił wzrok, dostrzegał biedę, ciemnotę i gnuśność.

Dostrzegł też Cathleen.

Kiedy przejeżdżał wzdłuż długiego rzędu walących się domów na przedmieściu, gdzie grupa umorusanych dzieci grała na ulicy w hokeja, popychając kamyk zwykłymi patykami, dostrzegł ją, a właściwie jej włosy barwy czerwonego wina, które lśniły w ostrych promieniach słońca. Stała otoczona grupką obdartych dzieciaków i nie zauważyła go.

Zatrzymał konia. Chciał tylko przez chwilę popatrzeć na dziewczynę, ale w chwili, kiedy jego oczy spoczęły na niej, odniósł wrażenie, że eksplodowała w nim tęcza jaskrawych, intensywnych barw. Jakie to dziwne, że nawet w tłumie potrafił wyczuć jej obecność; jakie to dziwne, że wypatrzył ją w grupie dzieci, jakby czas specjalnie dla niego sprawił cud.

Codziennie dowiadywał się o Cathleen czegoś nowego. Dziś także. Zobaczył, że ci biedacy znają ją doskonale. Znają i kochają, bo każdy, kto ją dostrzegł, machał do niej ręką na powitanie i mówił:

- Niech cię Bóg błogosławi.

Mimo rzucającej się w oczy biedy był jakiś niezwykle urok w tej scenie, w garnących się do Cathleen dzieciach, w ich ładnych buziach, takich niewinnych i szczerych. Te niewykształcone, dotknięte ubóstwem dzieci, kompletnie nie umiejące ukrywać uczuć, wydawały mu się w tym momencie równie piękne i czyste, jak Cathleen.

Z mieszaniną podziwu i zachwytu obserwował oszczędne, pełne gracji ruchy dziewczyny. Odrzuciła na plecy kapelusz i słońce wydobyło całą gamę barw z bogactwa jej włosów. Jaka piękna i słodka była twarz Cathleen, jak żywy kolor włosów, które wiły się wokół jej czoła jak u niewinnego dziecka.

Fletcher jeszcze nigdy nie widział tak promiennej Cathleen jak w chwili, gdy pochyliła się i otarła rąbkiem fartuszka ciemne smugi brudu z buzi małej dziewczynki. Dziecko objęło ją, a ona mocno je przytuliła. Poczul w głębi serca ostre ukłucie zazdrości.

Nawet ze znacznej odległości widział, że Cathleen jest wzruszona niemal do łez. Jakie to smutne, że przeznaczeniem kobiety, która tak kocha dzieci, jest staropanieństwo.

A mimo to potrafiła wnosić tyle nadziei w życie ludzi. Ileż dobra czyniła dla tych, którym działo się niewyobrażalnie źle. Obserwując ją, otoczoną gromadką dzieci, stwierdził, że poznaje duszę i charakter dziewczyny także poprzez jej kontakty z innymi.

Chociaż otaczały ją dzieci, wydała mu się bardzo samotna. Serce ścisnęło mu się w piersi, poczuł nagły przyływ czułości i szacunku dla tej dziewczyny. Uderzyło go, że doświadcza tak silnych uczuć i wrażeń jak nigdy dotychczas. Czuł na twarzy ciepło

słonecznych promieni, widział poruszane wiatrem liście drzew, słyszał spokojny oddech konia, zauważył nawet rosnącą na poboczu trawę - rzeczy, na które nigdy dotychczas nie zwracał uwagi. To było nowe i dziwne doświadczenie. Doświadczenie, które pragnął zatrzymać na zawsze, tak jak pragnął zatrzymać rodzące się w nim uczucie.

Cathleen nie była piękniejsza od setek kobiet, które spotykał wcześniej, ale miała w sobie coś, co go pociągało, coś, co sprawiało, że przyglądał się uważniej i sięgał głębiej niż kiedykolwiek, by znaleźć ukryty na dnie jej duszy skarb, w istnienie którego nie wątpił ani przez chwilę.

Inne znane mu kobiety zachowywały się w sposób konwencjonalny, lecz Fletcher wiedział, że nie wolno dać się zwieść ich skromności bądź skłonności do flirtu. Cathleen nie miała ani czasu, ani ochoty stosować typowych kobiecych sztuczek. Dla niej życie to nie zabawka, po którą sięgamy, by sprawić sobie przyjemność, to nie frywolna suknia, którą odrzucamy po balu. Ta dziewczyna miała silny instynkt przetrwania. I instynkt opiekuńczy.

Fletcherowi przypominała gołębicę, która leci w przeciwną stronę niż jej gniazdo, by odciągnąć napastnika od dzieci. Podejrzewał, że taka właśnie jest Cathleen. Podejrzewał, że spełnia dobre uczynki, akty chrześcijańskiej dobroczynności, żeby odwrócić uwagę od swej samotności i niespełnienia, od tego, czego w jej życiu tak bardzo brakuje.

Obserwował ją, gdy opowiadała dzieciom bajkę. Mówiła miękkim, uspokajającym głosem, a jej ręce poruszały się w sposób bardzo kobiecy, ale równocześnie przykuwający uwagę. Fletcher zauważył, że w pewnej chwili dziewczyna podniosła oczy i dostrzegła go. Najwyraźniej poczuła się niepewnie, jakby straciła poczucie bezpieczeństwa. Chyba chciała się z nim zaprzyjaźnić, ale nie miała zamiaru pozwolić mu posunąć się o krok dalej.

Dlaczego tak cholernie mu zależało, żeby to zmienić? Pragnął, by spojrzała na niego inaczej, niż patrzy na sąsiadów czy zwierzęta, inaczej nawet niż na dziadka. Pragnął, by jej oczy rozjaśniały się na jego widok, by szukała jego towarzystwa. Pragnął, by dała mu najmniejszy choćby znak, że fakt jego pojawienia się w jej życiu ma dla niej jakiegokolwiek znaczenie.

Odwróciła od niego wzrok i znów skoncentrowała uwagę na dzieciach, a Fletcher pomyślał, że zapewne nigdy nie spełni jego pragnień. I stwierdził, że nie ma to dla niego znaczenia. Nie był już w stanie wyrzec się swej fascynacji, tak jak nie byłby w stanie zrezygnować z dążenia do odzyskania ojcowskiego tytułu. Spiał konia i ruszył w stronę Cathleen.

Cathleen miała nadzieję, że Fletcher będzie się trzymał z dala. Teraz, kiedy się do niej zbliżał, zdała sobie sprawę, że nawet ta część jej życia, zajmowanie się biednymi dziećmi, nie

należy już od tej chwili wyłącznie do niej. Fletcher zaraz przerwie bajkę, którą opowiadała właśnie maluchom.

Takie myśli krążyły po jej głowie, nic więc dziwnego, że osłupiała, kiedy minął ją, nie pomachawszy nawet ręką, i podjechał do starszych chłopców, grających w hokeja.

Obserwowała Fletchera, który zatrzymał konia, uwiązał go i podszedł do dzieci. Chwilę z nimi porozmawiał i zrobił najdziwniejszą rzecz na świecie: zaczął z nimi grać. Uderzył kijem mechatą kulkę i posłał ją daleko w głąb ulicy.

Młodsze dzieci szybko straciły zainteresowanie hokejem i Cathleen podjęła wątek przerwanej baśni. Kiedy skończyła, rozbiegły się, ona zaś została w miejscu i przyglądała się grze.

Gdy zabawa dobiegła końca, Fletcher odwiązał konia i ruszył pieszo w stronę Cathleen. Miał brudną twarz, a ubranie podarte i zaplamione.

- Nie wiedziałam, że grasz w hokeja - powiedziała z uśmiechem na jego widok.
- Ja też nie wiedziałem, ale teraz już gram. - Roześmiał się głośno.
- I to całkiem niezłe jak na pierwszy raz - odparła.
- Jutro pewnie cały będę w sińcach i obolały. I może podejmę stanowczą decyzję, że grałem pierwszy i ostatni raz.

Cathleen roześmiała się wesoło.

- Odwieźć cię do domu?
- Chcę się przejść.
- Mogę iść z tobą?
- Oczywiście.

Fletcher przywiązał wodze do paska i dostosował krok do kroków dziewczyny.

W drodze rozmawiali o dzieciach, o problemach biedoty, o pogodzie i o Kalifornii.

Wreszcie rozmowa zamarła i dalej szli w milczeniu.

- Jesteś głodny? - przerwała ciszę Cathleen, gdy zbliżali się do domu.
- Umieram z głodu. Mógłbym zjeść suszonego bizona.
- Co? - Zatrzymała się i spojrzała na niego z zaciekawieniem.
- Suszonego bizona.
- Co to jest, na Boga, suszony bizon?
- To mięso bizona, które zostało ususzone.
- Rozumiem. A co to jest bizon? - Spojrzała na Fletchera okrągłymi ze zdumienia oczami.
- To wielkie zwierzę z garbem...
- Jak wielbłąd?

- Nie, kompletnie nie przypomina wielbłąda. Jego garb zaczyna się tuż za rogami.
- Rogi? W takim razie bardziej chyba przypomina krowę?
- No, niezupełnie. To raczej coś w rodzaju skrzyżowania między... to znaczy, przypomina... jest bardziej podobny do...
- Tak?
- Co jest na obiad?
- Może kiedyś spróbujesz mi narysować to zwierzę. -Cathleen roześmiała się, skrzyła w bramę i ruszyła alejką w stronę domu.

Następnego dnia Fletcher zjawił się w domu pastora dopiero po dziesiątej i spotkał gospodarza w drzwiach.

- Wejdz - zaprosił David. - Wybieram się do miasta. Robert Cameron przysłał wiadomość, że chce porozmawiać ze mną o jakichś ważnych sprawach kościelnych. Zostanę u niego na obiedzie.

Fletcher kiwnął głową.

- W takim razie biorę się do roboty. Pozdrów ode mnie Roberta.
- Pozdrowię. O, byłbym zapomniał, Cathleen poszła do pani Drummond. Jej mąż miał wypadek z kosiarką i moja wnuczka pomaga doktorowi złożyć nogę.
- Kiedy wróci?
- Kto to wie? - David wzruszył ramionami. - Wróci, jak będzie mogła. I jeszcze jedno. Nie zdziw się, kiedy wejdiesz do kuchni, i starannie zamknij drzwi. Pani Tawesson przysłała Cathleen coś wyjątkowo słodkiego.
- W takim razie może powinienem zaraz tam zajrzeć. Właśnie zaczynam być głodny.
- Jeśli nie przeszkadzają ci pióra... - David roześmiał się.
- Pióra? Ptasie?
- Sowie. W koszyku są dwa pisklaki sowy. Zdaje się, że wypadły z gniazda i pani Tawesson bała się, że zginą.
- Więc przyniosła je do Cathleen?
- Tak, to dość typowe zachowanie.
- A dlaczego mam pilnować zamykania drzwi? Ze względu na koty?
- Tak.
- Co jedzą pisklęta sowy?
- Cathleen będzie wiedziała. - David wzruszył ramionami.

Tak, pomyślał Fletcher, ona na pewno będzie wiedziała. Spojrzał na sadowiącego się w gigu Davida i wszedł do domu, żeby wziąć się do pracy. Po dwóch godzinach znalazł kartkę z imieniem Douglasa Ramsaya, ale była zalana wodą i kompletnie nieczytelna. Z tej stroniczki nie mógł mieć żadnego pożytku, ale znalezienie wreszcie nazwiska przodka w dokumentach kościelnych dodało Fletcherowi skrzydeł,

Zaburczało mu w brzuchu. Stwierdził, że umiera z głodu, postanowił więc przerwać pracę i ruszył do kuchni, przechodząc nad śpiącym na środku podłogi beżowym kotem. Zwierzę prychnęło i schroniło się pod najbliższym krzesłem.

Fletcher wszedł do kuchni, podszedł do stołu i zajrzał ciekawie do postawionego tam koszyka. Pani Tawesson z wierzchu przykryła go białym płótnem. Uniósł materiał na tyle tylko, by zajrzeć do środka, i spojrzał w mrugające od nagłego światła ślepka dwóch małych sówek, które popatrzyły na niego bardzo zaspane.

Jeśli nie liczyć łebków, ptaszków było tyle co nic, to były kuleczki szarego puchu, z ogromnymi żółtymi oczami, otoczonymi krezą.

- Cześć - powiedział. - Cieszę się, że mogę was poznać. Jesteście głodne?

Mrugały do niego maślane żółte oczka; sówki poruszały łebkami i spoglądały na niego, ale miały takie miny, jakby chciały dać mu do zrozumienia, że sama próba nawiązania przyjaznej rozmowy to za mało, by uzyskać wybaczenie za to, że je obudził. Zaniepokojone, że człowiek nie zrozumie wymowy spojrzenia, zaczęły przemawiać do niego piskliwymi głosikami, które do złudzenia przypominały jazgot przekupek.

Fletcher z uśmiechem rozejrzał się po kuchni.

- Obawiam się, że chwilowo nie dysponuję świeżymi mysz kami - powiedział i podniósł pokrywkę stojącego na palenisku garnka. - Nie przypuszczam, byście lubiły owsiankę, więc mu sicie poczekać, aż mama wróci do domu.

Sówki zareagowały na te słowa kolejnym atakiem gderania. Fletcher zakrył koszyk i w tym momencie zauważył, że nie zamknął kuchennych drzwi, co wykorzystał biało-rudy kociak, który usadowił się na krześle. Fletcher wyniósł go z kuchni i tym razem starannie zamknął za sobą drzwi.

Zrezygnował z owsianki, zjadł na obiad zimne ziemniaki z baraniną, a potem zajrzał jeszcze raz do piskląt, stwierdził, że śpią, i wrócił do pracy.

Jednak nie mógł się skupić na dokumentach, bo jego myśli nieustannie krążyły wokół Cathleen.

Była niezwykle skrytą osobką, która niestrudzenie poświęcała się dla innych. Poczul pretensję do rodziców dziewczyny, że umarli i zostawili ją samą na tym okrutnym świecie. Miał nawet cień

pretensji do Davida, że jest taki stary i niewrażliwy, że nie dostrzega, jaki wpływ wywiera na wnuczkę taki tryb życia. Boże, przecież ta dziewczyna zasługuje na lepszy los. Raz, jeden jedyny raz chciałby ją zobaczyć w szkarłatnej sukni i z rozpuszczonymi włosami.

W końcu jednak przypomniał sobie, po co tu przyjechał, i postanowił, że choć jest bardzo zainteresowany Cathleen, nie dopuści, by to uczucie odrywało go od pracy. Zamknął oczy i sięgnął do najgłębszych zakątków mózgu, by przywołać okruchy wspomnień, jakieś sceny z odległych szczęśliwych czasów, gdy był razem z ojcem.

Przypomniał sobie, z jaką miłością podnosił go z ziemi i sadzał w siodle pierwszego w życiu kucyka, przypomniał sobie srebrzysty połysk łusek wyskakującego z wody łososia i plusk, gdy ryba udowodniła, że jest silniejsza od małego chłopca, i wróciła do rzeki.

Słyszał odległe echo wystrzałów ze swego pierwszego w życiu polowania; słyszał delikatne wskazówki ojca, jak obedrzeć ze skóry jelenia, którego właśnie zastrzelił. Pamiętał szerokie ramiona Bruce'a Ramsaya i to, że świat z wysokości ojcowskich ramion wydawał się o wiele większy. Pamiętał też dumę w oczach ojca, kiedy bezbłędnie wyrecytował lekcję łaciny.

Przywoływał wspaniałe czasy, kiedy rodzina gromadziła się przy kominku i siostry bawiły się u stóp mamy, podczas gdy on wdrapywał się na kolana ojca. Nawet teraz wydawało mu się, że czuje na głowie uspokajający ciężar ręki gładzącej jego włosy. Zasypiał z policzkiem wtulonym w szorstki tweed marynarki ojca, czuł zapach tytoniu, który dawał mu poczucie pewności, że tata zawsze przy nim będzie. Zawsze.

Tylko że go nie było.

Bruce Ramsay został wyrwany z życia Fletchera z brutalnością, z jaką wilk rozszarpuje gardło jelenia. Odebrano mu ojca, jego miłość, opiekę i przykład. I dlatego właśnie pragnął odzyskać tytuł.

Nie z powodu tego, co mógł zyskać, lecz tego, co stracił.

Nigdy nie zapomniał przysięgi, że pomści śmierć ojca. Długo żył myślą o zemście, aż wreszcie stała się częścią jego osobowości, równie integralną, jak krążąca w jego żyłach krew. Nic nie stanie między nim a jego życiowym posłannictwem. Nic. Nawet Cathleen.

Wróciła tego wieczoru o wiele później niż zwykle i zastała ciemny dom, jeśli nie liczyć wąskiej smużki światła sączącej się spod kuchennych drzwi.

Powiesiła na hakach przy wejściu pelerynę i czepek, po czym lekko uchyliła drzwi do kuchni. Fletcher pochylał się nad krzesłem, na którym stał koszyk z dwiema małymi sówkami.

Patrzyła z zachwytem, jak ostrożnie bierze pisklę, sadza je w zwiniętej dłoni i delikatnie gładzi palcem w ulubionym przez ptaki miejscu poniżej łebka. Sówka, która w pierwszej chwili wyraźnie zaczęła mu wymyślać, uspokoiła się natychmiast, a dziewczynę niespodziewanie naszło wspomnienie, jak Fletcher bawił się poprzedniego dnia z wiejskimi dziećmi. W pewnym momencie dzieci opuściły ją i otoczyły jego. Kaleki mały chłopczyk z powykręcanyimi nóżkami włókł się, ciągnąc za sobą poły płaszcza, a Fletcher posadził go na grzbiecie konia i pozwolił mu się przejechać. Uśmiechnęła się na wspomnienie wrzawy, jaką podniosły pozostałe dzieci, którą uspokoiła dopiero obietnica Fletchera, że przyjedzie następnym razem i pozwoli przejechać się konno wszystkim po kolei. Przypomniała sobie także, jak grał w hokeja ze starszymi chłopakami.

Stały jej przed oczami twarze tych chłopców, do których nie umiała trafić nawet ona. Te oblicza wyrażały zarówno zachwyt, jak i przestrasz, i Cathleen podejrzewała, że ona też ma teraz taką minę.

Wyglądało na to, że kochają go i dzieci, i sowy.

Przyczajony na podłodze beżowy kociak wskoczył nagle Fletcherowi na kolana i aż miauknął z wrażenia, gdy spostrzegł dwie małe sówki. Wygiął się w łuk, najeżył sierść na grzbiecie i zasyczał.

Cathleen zakryła ręką usta, ale nie zdołała całkowicie zdusić śmiechu, bo Fletcher odwrócił się.

- Cześć - powiedział z uśmiechem. - Cieszę się, że jesteś już w domu. Przydałaby mi się jakaś pomoc. Obawiam się, że sam nie jestem w stanie opanować sytuacji.

- Na to wygląda. - Podeszła, zdjęła kociaka z jego kolan i pochyliła się, by zajrzeć do koszyka. Wzięła puchate kuleczki w dłonie, ale sówki natychmiast zaczęły kłótliwie protestować, bardzo rozgniewane, że zostały zabrane z ciepłutkiego miejsca, w którym przed chwilą spoczywały. - Och, jakie one kochane. Są takie maleńkie! Muszą być bardzo młode.

- I chyba bardzo głodne. Nie mam pojęcia, czym sieje karmi, a podniosły taki raban, że nie byłem w stanie pracować. Musiałem je wziąć w ręce, żeby uciszyć.

- Gdzie je znalazłeś?

- Tutaj, w kuchni - oznajmił i roześmiał się na widok osłupiałej miny Cathleen. Opowiedział jej o tym, jak pani Tawesson zostawiła pisklęta Davidowi. - Czym będziesz je karmić?

- Suszonym bizonem - odparła ze śmiechem i przytuliła do siebie pisklęta.

- A jeśli tego nie znajdziesz? - zapytał cicho.

- Siekaną baraniną. - Uśmiechnęła się do niego nieśmiało, ale przyjaźnie, i zapytała: -

Wolisz je potrzymać czy siekać mięso?

- Daj je. W trzymaniu mam większą wprawę. - Popatrzył na sówki i usiadł na stole.

- Proszę. - Cathleen podeszła do niego i podała mu pisklęta. I nagle zauważyła, jak blisko niego stanęła, jakim ciepłem promieniuje męskie udo, o które otarła się nogą. Sprawilo jej to tak szokującą przyjemność, że wstrzymała oddech. Mimowolnie zerknęła na nogi Fletchera i zafascynowana przyglądała się, jak materiał spodni napina się na mięśniach szczupłych nóg. Przesunęła wzrok wyżej... i nagle uświadomiła sobie, co robi. Poczula, że palą ją policzki, i wiedziała, że zrobiła się czerwona jak burak.

Pewnie uciekłyby z kuchni, gdyby nie takt Fletchera. Udał, że nic nie zauważył, spojrzal tylko pytająco na sówki i zapytał:

- Hm, czy one przypadkiem nie potrzebują czegoś... to znaczy, może powinienem podłożyć pod nie jakiś materiał? Czy... o, do licha! Przecież wiesz, o co mi chodzi.

Cathleen śmiała się tak serdecznie, że kompletnie zapomniała o zażenowaniu.

- One nie używają pieluch, jeśli o to ci chodzi.

- Czy nie mógłbym po prostu wrzucić ich na powrót do koszyka? - Zerknął na sówki.

- Nie, chciałabym, żeby przywykły, że są brane do ręki.

- A czy nie powinny raczej przyzwyczaic się, że to ty je trzymasz?

Przerwała krojenie mięsa i odwróciła się do Fletchera.

- Nie sądzę, by robiło im jakąkolwiek różnicę, kto je trzyma w dłoni. - Odkroiła kawałek baraniny i znów zwróciła się do Fletchera: - Jesteś wspaniałym ojcem.

- Nie mam zamiaru być ojcem sówek. - Naburmuszył się.

- Różnica między dziećmi a pisklętami nie jest taka znowu wielka. Jedne i drugie są całkiem bezradne. - Zaczęła siekać mięso. - Muszę przyznać, że mnie zaskoczyłeś.

- Dlaczego?

- Myślałam, że należysz do tych, którzy od dziecka strzelają do wszystkiego, co się rusza.

- Rzeczywiście, polowałem w dzieciństwie - odpowiedział z lekkim uśmiechem. - I wbrew twoim obawom, wyrosłem z tego... ku wielkiej radości mamy.

Ich oczy spotkały się i zatoneły w sobie na dobrą chwilę. Cathleen dostrzegła w źrenicach Fletchera czulość i zaproszenie. Odwróciła się szybko i w zawrotnym tempie znów zaczęła siekać baraninę.

- Trzymaj je, a ja spróbuję je nakarmić - powiedziała. Usiadła na krześle obok niego i podała jednemu pisklęciu odrobinę posiekanego mięsa na trzonku starej drewnianej łyżki.

Sówka dość szybko pojęła, że choć zbliża się do niej jakieś bardzo dziwne urządzenie, to na

jego końcu Jeży coś pysznego. Wkrótce oba ptaszki łączywie pożerały siekaną baraninę.

- Może to i sowy, ale jedzą jak prosiaki - stwierdził Fletcher.

- Były strasznie wygłodniałe, biedactwa. - Cathleen skończyła karmienie dopiero wtedy, gdy żadne z piskląt nie chciało już patrzeć na jedzenie. Przyglądała się, jak Fletcher wkłada je z powrotem do koszyka. - Jutro postaram się znaleźć im jakieś lepsze gniazdko, ale na razie muszą zadowolić się tym, co mają -stwierdziła i przykryła koszyk płótnem.

Fletcher ujął jej ręce i Cathleen natychmiast poczuła się tak skrępowana, że zadrżała. Wyczuł jej niepewność, podniósł na nią wzrok i wpatrzył się w jej oczy, jakby chciał wyczytać z nich powód zdenerwowania.

- Boisz się mnie?

- Nie - szepnęła i próbowała cofnąć dłonie, niepewna, czy to dotyk rąk Fletchera sprawia, że poczuła się tak dziwnie, czy też ciepło jego nogi, przyciśniętej do jej uda. - Przestań, proszę. Nie życzę sobie tego.

Natychmiast ją puścił. Stał i przyglądał się, jak dziewczyna płucze kotlety baranie. Zerknęła na niego tylko raz, ale zauważyła dziwny wyraz jego twarzy. Zaczęła się zastanawiać, czy to dlatego, że jest nieprzyzwyczajony do tego, by mu odmawiano, czuła jednak, że nie o to chodzi. Z niewiadomych przyczyn była głęboko przekonana, że niezależnie od tego, ile Fletcher miał przed nią kobiet, nie ma to wpływu na to, co się dzieje między nimi.

Umyła ręce i starannie je wytarła. Usłyszała, że Fletcher wstaje; skrzypnęło krzesło. Zamknęła oczy i przez chwilę nasłuchiwała jego kroków. Zatrzymały się tuż za nią, na tyle blisko, że poczuła jego zapach i ich ciała leciutko się dotykały. Z trudem opanowała pokusę, by oprzeć się o niego plecami, by poczuć jego ciepło i siłę, by poczuć się bezpiecznie. Położył ręce na ramionach dziewczyny i zaczął je gładzić, a potem przysunął się bliżej. Cathleen owładnęło dziwne uczucie. Zdezorientowana, próbowała się odsunąć.

- Cathleen, dlaczego tak straszliwie to utrudniasz?

Nie odpowiedziała. Odwrócił ją do siebie i poczuł, że topnieje w jego ramionach. Gdy pochylił się, była pewna, że zaraz ją pocałuje, ale nie zrobił tego.

- Jeśli dojdiesz do wniosku, że możesz mi zaufać, przyjdź do gabinetu, to powiem ci, co znalazłem - powiedział.

Nie mogła oderwać od niego wzroku, kiedy brał na ręce beżowego kociaka i starannie zamykał za sobą drzwi. Została sama, z miękkimi kolanami i mocno walącym pulsem. I z obrazem Fletchera pod powiekami. Nie miał zamiaru zmuszać jej do niczego siłą. Zostawił jej wybór. Tylko że jej ten wybór nie odpowiadał. Zaufać mu? Jak miała mu zaufać, skoro powód, dla którego tu przyjechał, mógł sprowokować księcia? A co stanie się później z nią i z dziadkiem?

Zakryła usta wierzchem dłoni i zacisnęła powieki w nadziei, że dzięki temu zdoła powstrzymać łzy. Lubiała Fletchera. Pragnęła go. Tylko czy mogła mu zaufać?

Pociąg, jaki do niego czuła, okazał się silniejszy od lęku, bo zanim się zorientowała, co robi, szła już w stronę drzwi.

- Cóż, może spróbuję mu zaufać... troszeczkę - szepnęła, kładąc rękę na klamce.

Po chwili stała już przy stole w gabinecie dziadka. Fletcher zdjął kota z krzesła, by mogła usiąść.

- Co znalazłeś?

- Dokument, na którym widnieje nazwisko Douglasa Ramsaya, ale papier był zalany wodą i nie da się go odczytać. A całkiem niedawno trafiłem w jakimś piśmie na nazwisko Bride Ramsay. Mam wrażenie, że jest to sprawozdanie z zebrania kobiet w kościele. Niestety, nie ma żadnych wzmianek o członkach jej rodziny, nie wspomina się nawet, że jest mężatką. Ale wreszcie mam jakiś dowód, że Bride Ramsay istniała naprawdę. I nic więcej.

Słyszac w głosie Fletchera rozczarowanie, Cathleen zaczęła się gorączkowo zastanawiać, w jaki sposób dodać mu otuchy, jak go pocieszyć. I nagle uświadomiła sobie ze zdziwieniem, że choć wie chyba wszystko o opiece nad kociętami, królikami i sowami, to nie ma zielonego pojęcia, jak postępować z mężczyzną, który nie jest jej dziadkiem.

- Widzę, że jesteś rozczarowany. Niestety, nie wiem, co powiedzieć.

- Może: „Szukaj dalej”. - Uśmiechnął się, choć Cathleen wiedziała, że wcale mu nie do śmiechu.

- Ile kufrów jeszcze zostało?

- Tylko trzy. - Westchnął.

- Wiem, ile czasu strawiłeś na przekopywaniu się przez tę górę papierów. Przykro mi, że ten trud okazał się bezowocny.

- Mnie też przykro. - Fletcher przechylił głowę na ramię i spojrzał na dziewczynę. Jego nastrój wyraźnie się zmienił. Zniknęło bez śladu smutne, melancholijne spojrzenie. Teraz w jego oczach pojawiło się rozbawienie. Uśmiechał się.

- Czemu się uśmiechasz? - Widząc, jak na nią patrzy, Cathleen poczuła dziwne podniecenie.

- Do ciebie.

- Dlaczego?

- Wiesz, chyba po raz pierwszy zobaczyłem cię z brudną twarzą.

Jej ręka sama powędrowała do policzka i zaczęła go pocierać.

- Z drugiej strony. - Wstał, podszedł do Cathleen i stanął tuż przed nią. Podniósł ją z

krzesła, a potem polizał palec i starł brud z jej twarzy.

Miał palce ciepłe i gładkie jak jedwab. Zalała ją fala gwałtownych uczuć, krew tętniła w jej mózgu i pewnie dlatego nie mogła znaleźć żadnych powodów, dla których nie powinna tak stać tuż przy nim ani odwzajemniać jego uwodzicielskiego spojrzenia.

Nie była w stanie poradzić sobie ze sobą.

Przecież on tylko dotknął kciukiem jej policzka, dlaczego więc jej serce tak waliło, jakby chciało rozsadzić żebra? A ubranie... dlaczego nagle stało się tak cienkie, że czuła ciepło ciała mężczyzny, choć przecież wie, że to idiotyzm, bo Fletcher nawet jej nie dotykał. Zrozumiała, że pierwszy raz w życiu zaczyna dowiadywać się różnych rzeczy o sobie.

Popatrzyła w pełne czułości oczy Fletchera i zaczęła się zastanawiać, co by powiedział, gdyby mu wyznała, że pierwszy raz pozwoliła sobie myśleć o tym, o czym teraz myśli, i czuć to, co czuje. Żeby złagodzić zażenowanie, roześmiała się, ale był to raczej nerwowy chichot.

Fletcher zachował się taktownie i udał, że nie zwrócił na to uwagi. Stał tak blisko, że miała wrażenie, iż jego oddech pieści jej policzki.

- Wyglądam śmiesznie? - zapytał.

- Tak - odpowiedziała, nagle onieśmielona. - Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby jakiś mężczyzna to robił.

- Co? - wyszeptał. Smukłym, długim palcem odsunął niesforny lok z twarzy dziewczyny.

- Polizał palec, żeby zetrzeć brud?

- Tak. - Głos Cathleen był zupełnie ochryply.

- Nie umiałbym zliczyć, ile razy to mnie wycierano w ten sposób twarz. - Wzruszył ramionami. - Dla mnie to zupełnie naturalny odruch.

- Jesteś taki inny. - Westchnęła, czując, że tonie w bijącym od niego ciepłe.

- To znaczy?

- Jesteś bardzo męski. Masz wszystkie typowe atrybuty mężczyzny, jesteś wysoki i silny, masz niski głos, jesteś odważny, zdecydowany i umiesz ciężko pracować. Ale jest też w tobie coś miękkiego, pewna delikatność, której nie spotkałam dotychczas u żadnego mężczyzny, nawet u dziadka.

- I uważasz to za dziwaczne?

Cathleen czuła się coraz słabsza, bliskość Fletchera odbierała jej siły. Odpowiedź na to pytanie wymagała od niej ogromnego wysiłku, tym większego, że starała się ukryć uczucia.

- Tak, bo większość mężczyzn zrobiłaby wszystko, by nie okazywać tej delikatności - odpowiedziała, nie patrząc mu w oczy.

Fletcher przyglądał się jej przez chwilę, wreszcie podniósł brodę dziewczyny i zmusił,

by spojrzała mu w oczy.

- Uczono mnie, że mężczyzna powinien być delikatny. Po trafię jednak być twardy i bezwzględny, jeśli to konieczne.

Otworzyła usta, chcąc odpowiedzieć, lecz nagle poczuła, że jej osłabłe ciało pochyła się ku niemu. Jakie by to było uczucie, gdyby przestała się opierać, gdyby oparła się o niego, zamknęła oczy, gdyby ich ubrania ocierały się o siebie, a jego ręce pieściły jej ciało? Co by pomyślał, gdyby zarzuciła mu ręce na szyję i dotknęła mocnych, napiętych mięśni jego barków i ramion? Coś popchnęło ją naprzód wbrew jej woli i nagle przytuliła się do niego, popychana pragnieniem, głęboką potrzebą lepszego poznania tego wspaniałego mężczyzny.

Wtem ktoś głośno zastukał do drzwi i nastrój prysł.

- A niech to! - mruknął Fletcher.

Popatrzyła na niego i dostrzegła w nim zmieszanie.

- Cathleen...

Tylko tyle, tylko jej imię wyszeptane ochryłym głosem, a tyle dało jej do zrozumienia, zawierało takie bogactwo znaczeń. Położyła dłoń na piersi Fletchera i trzymała ją tam przez chwilę, jakby odczuwała potrzebę tego kontaktu.

Pukanie powtórzyło się, jeszcze głośniejsze i bardziej natarczywe, i twarz Fletchera powoli zaczęła nabierać ostrych konturów.

- Ciekawa jestem...kto... - wymamrotała Cathleen niewyraźnie i ruszyła w stronę drzwi. - Tak nie puka dziadek.

- Może chcesz, żebym to ja otworzył?

- Nie, ja to zrobię - oświadczyła, choć nie miała pewności, czy nogi jej nie zawiodą i czy zdoła dojść do drzwi.

Otworzyła. Za drzwiami stał Alex Monzie w stanie skrajnej rozpacz. Dyszał tak ciężko, że przez chwilę nie mógł wykrztusić ani słowa. Cathleen wyszła za próg.

- Co się stało?

- Chodzi o mamę, panno Lindsay. Ona rodzi, ale dziecko nie może wyjść. Tata pojechał po doktora, lecz nie było go w domu, więc posłał mnie po panią. Mama potrzebuje pomocy. Tata boi się, że mama umrze. Musi pani przyjść. Niech pani nie pozwoli jej umrzeć.

Serce Cathleen zaczęło walić jak oszalałe. Dłonie jej zwilgotniały. Stała jak wmurowana, a przed oczami miała nie Alexa, tylko swoją matkę. Opuściła powieki, ale obraz nie zniknął: szara twarz; zapach potu; krzyk agonii; ciepło krwi wsiąkającej w ubranie. Nawet teraz czuła uderzenia metalowej sprzączki pasa ojczyma, która rozrywała jej skórę. Nie, nie mogę, nie mogę! - coś krzyczało jej w środku.

- Panno Lindsay? - Alex patrzył na nią z przerażeniem. -Przyjdzie pani? Nie pozwoli pani, żeby mama umarła?

- Nie mogę -jęknęła, wyciągnęła przed siebie ręce i cofnęła się. - Błagam, nie mogę. Nie prosź mnie.

Odwróciła się, chcąc uciec, lecz natknęła się na Fletchera, który pochwycił ją w ramiona.

- Cathleen...

- Nie prosź mnie o to! - krzyknęła. - Nie mogę tego zrobić! Przecież wiesz, że nie mogę! - Wybuchnęła płaczem.

Fletcher przyciągnął ją do siebie.

- Nie będę cię do tego zmuszał - powiedział, głaszcząc ją uspokajająco po głowie. - Czy wiesz, gdzie może być doktor?

- Tak. - Koszula Fletchera tłumiała jej słowa. - Pojechał do Finlaysonów.

Spojrzał na chłopca.

- Wiesz, gdzie oni mieszkają?

- Tak.

- Pojadę z Alexem. Ty wracaj do domu.

Cathleen cofnęła się za próg. Nienawidziła swej słabości, ale nie była w stanie jej przezwyciężyć. To nie w porządku. Tak wiele zrobiła dla mieszkańców Glengarry, biegła zawsze i wszędzie, kiedy tylko była potrzebna. Zrobiłaby dla tych ludzi wszystko. Wszystko.

Tylko nie to.

Stała w progu, dygotała i patrzyła, jak Fletcher odjeżdża z Alexem. Kiedy weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi, świat wydał jej się nagle bardzo mały i bardzo, bardzo samotny.

11

Następnego dnia, kiedy tylko minął poranny chłód i opadła mgła, zrobiło się niezwykle ciepło i słonecznie. Fletcher postanowił wykorzystać piękną pogodę.

Stał pod konarami ogromnej starej jarzębiny i czyścił konia. Nagle położył lewą rękę na szerokim grzbiecie wierzchowca i oparł na niej brodę, a prawą, w której trzymał zgrzebło, opuścił, i zamyślił się. Jego wzrok pobiegł ku linii drzew, porastających odległe wzgórze. Przez

dłuższy czas rozmyślał o Cathleen, potem przeskoczył w myślach do zamku Glengarry.

- Najwyraźniej nie tylko konie śpią na stojąco.

Wierzchowiec parsknął i odskoczył w bok. Fletcher drgnął i z wyrazem zaskoczenia na twarzy zaczął się rozglądać dokoła. Wreszcie dostrzegł Cathleen. W fioletowej sukni wyglądała prześlicznie.

- Masz zamiar wyczesać konia czy też będziesz się cały dzień nad tym zastanawiać? - zapytała ze smutnym, pełnym gorzkości, ale słodkim uśmiechem.

Fletcherowi na ten widok ścisnęło się serce. Odłożył zgrzebło na murek i klepnął konia w zad, żeby zszedł mu z drogi, po czym przeszedł przez padok do Cathleen, która stała po drugiej stronie ogrodzenia.

- Po prostu nie myślałem o tym, co robię.

- Wyglądało na to, że się zamyśliłeś - powiedziała i odwróciła wzrok.

Uderzyło go, jak bardzo wydaje się samotna, jak bardzo izoluje się w swym dumnym odosobnieniu. Podszedł bliżej i stanął po drugiej stronie płotu, ale w takiej odległości, że mógł jej dotknąć.

- Rozmyślałem...

W oczach dziewczyny czytał wyznanie, że i ona nie może się opędzić od refleksji nad wczorajszymi wydarzeniami, lecz kiedy się odezwała, jej głos był niemal spokojny, choć Fletcher dosłyszał w nim jakąś nową nutę.

- Zawsze rozmyślasz, stojąc na jednej nodze z zamkniętymi oczami? - zapytała. - O czym tak rozmyślałeś?

- O wczorajszej nocy.

- Nie myśl o tym! Tego nie da się wyjaśnić, a jeśli się szuka odpowiedzi, można tylko wpaść w jeszcze większe zażenowanie.

Uświadomił sobie, że Cathleen jest zawstydzona.

- A gdybym nalegał?

Zapadła cisza. Tym głębsza, że nie rozumiał, co się stało. Postanowił przerwać to męczące milczenie.

- A jeśli będę nalegał, byśmy o tym porozmawiali? Co wtedy? Dziewczyna zamknęła oczy, jakby chciała tym samym pozbyć

się swych myśli. Najwyraźniej poskutkowało, bo kiedy podniosła powieki, jej wzrok był czysty i nie zdradzał kłębiących się w niej uczuć. Fletcher dostrzegł zbierające się jej w oczach łzy, ale czuł, że nie pozwoli sobie na to, by się przy nim rozplakać.

- Odejdę.

Nie naciskał. Ze spojrzenia, jakim go obrzuciła, wywnioskował jednak, że i ona ma świadomość, że coś się w ich wzajemnych stosunkach zmieniło. Powie mi, pomyślał. Może nie dziś i nie jutro, ale kiedyś na pewno mi powie. Przyjdzie taki dzień, kiedy usłyszę z jej ust to, co chcę wiedzieć.

Usatysfakcjonowany tym przeświadczeniem, postanowił zmienić temat.

- Zastanawiałem się, jak się dostać do zamku Glengarry.

Jeśli była zaskoczona zmianą tematu, nie dała tego po sobie poznać, lecz spojrzenie, jakim go obrzuciła, wyrażało niezadowolenie.

- Zapomnij o tym - zażądała. - Wszyscy wiedzą, że Adair Ramsay zawsze ma na usługi gromadę ludzi. Zamek jest pilnie strzeżony. Pomysł, by dostać się do środka, nie należy do najszcześniejszych.

- Zgadzam się... ale do czasu - mruknął Fletcher, lecz widząc minę dziewczyny, zapytał: - Dziwi cię to?

- Owszem. Rzadko się ze sobą zgadzamy.

- Może zaczynam dojrzewać? - Zaśmiał się.

- Założę się, że powód jest całkiem inny - odpowiedziała, nie spuszczając z niego wzroku.

Uśmiech Fletchera utwierdził ją w przekonaniu, że ma rację.

- W porządku. Nie jestem jeszcze gotów zdradzić Adairowi swych zamiarów.

- Myślisz, że on nie wie o twoim przyjeździe?

- O, wie doskonale! Mam jednak nadzieję, że jeszcze nie zdaje sobie sprawy, dlaczego tu przyjechałem.

- Podejrzliwość to taki pies, który kąsa bez powodu. To kompan nikczemnych duszyczek, a duszyczka Adaira należy do szczególnie nikczemnych.

- Mam nadzieję, że on nie wie. Może coś podejrzewa, ale dopóki nie zaczną działać, nie będzie pewien.

- Między podejrzewaniem a pewnością czai się głęboki cień i spokojnie czeka na swą chwilę.

Fletcher uniósł brwi.

- Czeka na swą chwilę? Zaskoczyłaś mnie, Cathleen. Myślałem, że wnuczka bogobojnego pastora powie raczej: A w cieniu kryje się Bóg, który czuwa nad swą owieczką.

- Owszem, kryje się Bóg, jednak z moich doświadczeń życiowych wynika, że człowiek jest jak zamknięta w pokoju pszczoła. Obija się raz za razem o szybę okienną, ale Bóg ma mniej miłosierdzia niż ludzie. Nigdy nie otwiera okna.

Fletcher posmutniał. Czy w tej dziewczynie w ogóle nie ma optymizmu, nie ma żadnej nadziei? Czyżby przeszłość wyciągała po omacku ręce, by dosięgnąć jej przyszłości? Jeszcze nigdy nie spotkał osoby, która by bez sprzeciwu akceptowała taki marny los, takie żałosne perspektywy. Ale czemu tu się dziwić? Ta kobieta nigdy nie zaznała matczynej miłości i opieki, nigdy nie czuła na szyi dotyku brabantkich koronek, nie słyszała cichego szeptu namiętnego kochanka. Jej życie było zawsze ciężkie i ponure, jak smagane wichrem wrzosowisko.

- Może Bóg nie otwiera okna, bo wie, że w pobliżu jest drugie, otwarte na oścież?
- Dla mnie wszystkie są zamknięte - stwierdziła. - I zawsze były zamknięte na głucho.

Nie dodała już nic więcej. Odwróciła się plecami do padoku i ruszyła w stronę domu.

Fletcher przesadził mur i podążył za nią.

Z niewiadomych przyczyn czuł się odpowiedzialny za to, że prysła krucha harmonia między nimi.

- Zaczekaj, Cathleen!

- Nie staraj się mnie rozbawić, nie potrzebuję tego! - zawołała, nie zwalniając kroku. - Zostaw mnie w spokoju.

- Obawiam się, że moje pobudki są o wiele bardziej egoistyczne. Poświęcisz mi chwilę?

- O co chodzi? - Dziewczyna zatrzymała się, ale westchnęła przy tym tak głęboko, jakby spełnienie prośby Fletchera wymagało od niej ogromnego wysiłku.

Wahał się przez chwilę. Wiedział, że musi dobrze to rozegrać, bo miał tę jedną jedyną szansę. Na drugą nie mógł liczyć.

- Czy widziałaś kiedyś cmentarz przy zamku Glengarry?

Cathleen spojrzała na niego podejrzliwie, lecz odpowiedziała dość chętnie.

- Tak, ale tylko tamtędy przechodziłam.

- Mógłbym dostać się tam niezauważony?

- Cmentarz jest na tyłach kaplicy, oddzielony od zamku brzoźowym gajem.

- Dobrze ukryty?

- Dość dobrze. Chcesz się tam wybrać?

- Myślę o tym.

- Pójdę z tobą! - zawołała z entuzjazmem.

Udało się! Choć sprawy nie do końca potoczyły się tak, jak planował. To prawda, że udało mu się oderwać Cathleen od rozpamiętywania bolesnej przeszłości i ponurej przyszłości, że zdołał wzbudzić jej zainteresowanie dniem dzisiejszym, nie mógł jednak dopuścić, żeby wybrała się z nim do zamku. Bał się, że jeśli jej to powie, ponownie zepsuje jej humor. Co do tego nie miał żadnych wątpliwości.

W zdenerwowaniu przeczesał palcami włosy i rozważał różne możliwości. W końcu stwierdził, że niezależnie od konsekwencji nie może podjąć ryzyka zabrania dziewczyny ze sobą.

- Nie - rzucił i oczywiście dostrzegł w oczach Cathleen rozczarowanie. - I bez tego masz za dużo zajęć.

- Przecież muszę ci pokazać, gdzie to jest. Beze mnie będziesz szukać cmentarza godzinami.

- Znajdę. Nie mogę cię w to wplątywać.

- Już jestem w to wplątana. I to bardziej, niż sądzisz. - Rzuciła mu spojrzenie, jakiego jeszcze u niej nie widział. Przyspieszyła kroku i po chwili skręciła w wydeptaną ścieżkę prowadzącą do ogrodu. Jelonek, którego znalazła na wrzosowisku przy ciele martwej matki, wtykał miękki pyszczek pomiędzy sztachety płotu, a jego delikatne wargi poruszały się szybko, jakby za wszelką cenę starał się skubnąć coś o wiele smaczniejszego od trawy.

Fletcher obserwował idącą w stronę jelonka dziewczynę. Zwierzątko zauważyło ją i podbiegło. Cathleen objęła je i osunęła się na trawę, a malec wyciągnął się przy niej i położył jej łeb na kolanach jak dziecko.

Zafascynowany Fletcher nie mógł oderwać od niej wzroku, jak zwykle, gdy widział ją ze zwierzętami. Zrobiło mu się gorąco, kiedy jelonek zaczął wtulać się w fałdy jej sukni i niecierpliwie szturchać Cathleen łebkiem. Pogłaskała go, jakby wiedziała, o co malec prosi. Nagle zwierzątko podniosło łeb i zaczęło się rozglądać.

Fletcher jeszcze nigdy nie widział człowieka, który miałby tak wspaniały kontakt z dzikimi zwierzętami. Kiedy tak stał, przyglądając się dziewczynie i jelonkowi imieniem Batszeba, przyszło mu na myśl, że pewnie po to właśnie Pan Bóg stworzył zwierzęta i dał człowiekowi władzę nad nimi.

Cathleen pochyliła się i cicho powiedziała coś, co tylko oni dwoje rozumieli. Jelonek znowu położył jej łeb na kolanach, a dziewczyna oparła policzek na jedwabistej sierści zwierzęcia.

Fletcher pomyślał, że byłoby cudownie, gdyby to jego uspokajała w ten sposób?

Cathleen stała w kuchni i patrzyła na Fletchera, który właśnie wyjeżdżał. Wiedziała, dokąd zmierza. Wytarła ostatnią filizankę, zdjęła fartuch i powiesiła go na haku przy drzwiach.

Poszła do gabinetu, by powiedzieć pracującemu nad psalmami dziadkowi, że idzie

kogoś odwiedzić. Stary pastor spał głęboko w swym ulubionym fotelu przy kominku. Położyła mu kartkę z informacją na kolanach, żeby jej nie przeoczył, i poszła do swojego pokoju, żeby się przebrać w brązową sukienkę.

Potem ruszyła na padok, gdzie jej tłusty kucyk, imieniem Flora, spokojnie żuł owies. Po chwili truchtała już aleją w tym samym kierunku, w którym udał się Fletcher.

Kiedy znalazła się na rozstaju dróg, skręciła w lewo, na mniej uczęszczany trakt, i przejechała przez stary kamienny most, odbijający się w tafli jeziora jak w lustrze. To był skrót i miała nadzieję, że dzięki niemu dotrze do zamku Glengarry równocześnie z Fletcherem.

Wkrótce z mgły wyłoniła się sylwetka zamku, jak ponure wspomnienie minionych czasów, pełnych wojen i oblężeń. Cathleen miała wrażenie, że ciężki ciemny dach krzywi się do niej z niechęcią. Przeszył ją dreszcz. Wiatr poruszył drzewami, zaskrzypiała żelazna brama. Dziewczyna drgnęła i popędziła kucyka, zdążyła jednak zauważyć mdłe światło lampy w oknach biblioteki.

Ciemność zdawała się tak gęstnieć, jakby chciała ją pochłonąć. Kiedy dotarła do linii drzew, odetchnęła niespokojnie i zaczęła okrążyć potężną twierdzę z szarego kamienia, zmierzając na tyły, gdzie za kaplicą leżał zamkowy cmentarz. Podążając zwirowymi alejkami i pokrytymi rosą trawiastymi duktami, minęła miejsce, w którym Fletcher uwiązał konia, i zostawiła kucyka nieco dalej w obawie, że zwierzęta będą do siebie rżały i niepotrzebnie zwrócą czyjąś uwagę.

Po paru minutach przemykała się już wśród rosnących za kaplicą brzoź. Kiedy dotarła do polany i dostrzegła stare tablice nagrobne, zatrzymała się i rozejrzała uważnie, żeby się upewnić, że nie ma w pobliżu żadnego z ludzi Adaira Ramsaya.

Przyglądała się także ziemi, próbując w gęstniejącym mroku dostrzec ślady Fletchera. Kiedy ich nie znalazła, zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie dotarła na miejsce przed nim. Czowała się tu dość nieswojo, mimo to ruszyła naprzód i po chwili otworzyła żelazną furtkę, dziękując Bogu, że nie zaskrzypiała.

Szła wzdłuż omszałych grobowców, odczytując napisy na tablicach. Nie mogła zrozumieć własnych obaw. Przecież wiedziała, że nie ma się czego bać, bo ze strony umarłych nie grozi żadne niebezpieczeństwo, o wiele ryzykowniejsze jest przebywanie wśród żywych. A jednak nie mogła pozbyć się niepokoju.

W pewnym momencie wydawało się jej, że słyszy jakiś dźwięk, więc dała nura w cień, za ogromny kamienny nagrobek, na którym anioł rozpościerał szeroko skrzydła. Czekając, wodząc drżącym palcem wzdłuż inskrypcji:

*Elizabeth Ramsay, ukochana córeczka, która zesłała
Z tego świata 20 czerwca 1757 w wieku trzech lat*

Nagle wyczuła czyjąś obecność. Puls jej przyspieszył, zrobiło jej się gorąco. Strach sparaliżował ją tak, że nie była w stanie się poruszyć. Znów coś usłyszała, tym razem był to wyraźny odgłos kroków, zaczęła więc gorączkowo zastanawiać się nad tym, co powie ludziom księcia Glengarry, jeśli odkryją jej obecność.

Znów dobiegł jakiś dźwięk, już całkiem blisko. Serce waliło jej jak młotem, a w gardle zaschło tak, że nie była w stanie przełknąć śliny. Wyczuła jakiś ruch za plecami, gdy nagle ktoś rzucił się na nią, przewrócił na ziemię i przygniół swoim ciężarem. A potem zaklął.

Cathleen spojrzała w pełne wściekłości niebieskie oczy. Nie była pewna, czy bardziej zdumiał ją wulgarny język, czy też widok leżącego na niej mężczyzny.

- Do diabła, co ty tu robisz? - zapytał szeptem. Fletcher! Aż osłabła z ulgi.

- Tylko nie waż mi się teraz zemdleć! - szepnął głośniejszym głosem i potrząsnął nią jak lalką.

Cathleen otworzyła oczy, z trudem rozpoznała jego zmienione wściekłością rysy twarzy.

- Ja nigdy nie mdleję - szepnęła. - Ale zaraz zrobię to pierwszy raz w życiu, jeśli ze mnie nie zejdziesz. Przygniatasz mnie tak, że nie mogę oddychać.

Fletcher sturlał się na bok.

- Chciałbym wtłoczyć ci trochę oleju do głowy. O niczym innym nie marzę. Cathleen, czy ty nie masz ani krzty rozsądku? Co by było, gdybyśmy zostali schwytani? Ciekawe, jak byś wytłumaczyła swój udział w tej eskapadzie? I powiedz mi, dlaczego za mną przyjechałaś?

- Wcale za tobą nie przyjechałam.

- Co to, do diabła, ma znaczyć?

- Byłam tu pierwsza, więc to raczej ty przyjechałeś za mną.

- Przestań się wymądrzać. Ty nie masz najmniejszego powodu, żeby tu być.

- A ty nie masz powodu, by kląć.

- Dobrze. Ja przestanę kląć, a ty przestaniesz kłamać. Co tu robisz?

- Ciii. Nie mów tak głośno. Przyjechałam, żeby ci pomóc -szepnęła cichutko.

- Nie chcę twojej pomocy! - Fletcher podniósł głos niemal do krzyku.

- Nie musisz się z tego powodu wściekać. - Była urażona. Przecież naprawdę próbowała mu pomóc. Czy był tak gruboskórny, że tego nie widział?

Westchnął.

- Przepraszam. Ale nigdy bym sobie nie wybaczył, gdyby coś ci się stało. To nie jest twoja sprawa. Nie chciałbym, żebyś ponosiła konsekwencje moich poczynań.

- Nie wiem, jak możesz mówić, że to nie moja sprawa -szepnęła gorąco. -I to po tym, jak oboje z dziadkiem udzieliliśmy ci wszelkiej możliwej pomocy. Siedzimy w tym po uszy. Pomagaliśmy ci i znalazłeś u nas schronienie. Nie wiem, czy można bardziej się zaangażować. A

teraz powiedz, czy będziemy dalej turlać się po ziemi jak dwa kasztany, które spadły z drzewa, czy też zaczniemy się wreszcie rozglądać za tym, po co tu przyjechaliśmy?

Fletcher rozejrzył się i wstał, po czym podał Cathleen rękę i pomógł jej się podnieść.

- Masz rację. Musimy się pospieszyć. Wkrótce zrobi się ciemno... zbyt ciemno, by odczytać napisy.

Zrobiła krok naprzód, lecz zaraz potknęła się i upadła. Ukucnął przy niej i zapytał troskliwie:

- Cathleen, nic ci nie jest?

- Nie.

- Już drugi raz upadłaś. Może powinnaś zostać tutaj i poczekać na mnie. Obejrzę nagrobki i wrócę po ciebie.

- I upadł siedem razy, i za każdym razem powstawał -mruknęła, podała mu rękę i wstała. - Księga Przysłów.

Odchrząknął, odwrócił się i ruszył wzdłuż rzędu nagrobków. Cathleen nagle doznała olśnienia.

- A czego właściwie szukamy? - zapytała.

- A niech to piekło pochłonie! Chcesz powiedzieć, że odbyłaś całą tę drogę z narażeniem życia i nawet nie wiesz, po co?!

- No cóż, przed przyjazdem tutaj raczej nie mogłam cię o to zapytać, prawda?

Wyglądał tak, jakby ktoś porządnie rąbnął go w głowę. Mamrotał coś o dzieciach Izraela i mannie z nieba, wreszcie rozejrzył się i rzucił tylko jedno słowo:

- Bride.

Ruszyła w przeciwną stronę niż on i sumiennie czytała inskrypcje na wszystkich mijanych nagrobkach.

- Znalazłeś coś? - zapytała, kiedy doszła do końca.

- Nie, nic.

W tym momencie Cathleen usłyszała głosy.

- A niech to! - mruknął Fletcher, który najwyraźniej również je usłyszał.

- Myślisz, że nas widzieli? - zapytała, rzucając mu ukradkowe spojrzenie.

- Nie wiem i nie zamierzam stać na widoku, żeby się przekonać. Chodź! - Chwycił ją za rękę i pociągnął w stronę małej kamiennej kaplicy.

Boczne drzwi nie były zamknięte na klucz, więc uchylił je, wepchnął dziewczynę do środka, wszedł za nią i zatrasnął za sobą drzwi. W środku było niemal całkiem ciemno, tylko słabiutkie promienie światła wpadały przez dwa wąskie okna.

Głosy zbliżały się.

Fletcher chwycił Cathleen za ramię i pociągnął za starą kamienną chrzcielnicę.

Wielkie wrota z tyłu kaplicy otwarły się z przeraźliwym skrzypieniem i do wnętrza wpadł ostry promień światła, wydobywając z mroku średniowieczną podobiznę świętej Heleny. Smugi światła obramowały ich z obu stron, więc Fletcher pochylił się nad Cathleen i niemal przygniótł ją własnym ciałem do podłogi, tak że znów nie mogła oddychać.

- Widzisz coś? - zapytał ktoś głębokim barytonem.
- Nikogo tu nie ma. Jesteś pewien, że kogoś widziałeś?
- Przysiągłbym, że widziałem na cmentarzu dwie osoby.
- Może zmyliły cię cienie?
- Nie, jestem pewien, że to byli ludzie.
- Może to kłusownicy albo wiejskie dzieciaki, które uciekły przed laniem.
- Może.

Drzwi znowu skrzyknęły. Światło stało się słabsze, wreszcie całkiem zniknęło.

Cathleen spróbowała zepchnąć z siebie Fletchera.

- Wstawaj - szepnęła. - Zaczyna ci to wchodzić w nawyk.
- Jeszcze nie - powiedział.
- Dlaczego? Widzisz coś?
- Nie, ale coś czuję... i jest to piekielnie miłe uczucie.
- Wstawaj, zbierzniku! Mamy robotę do wykonania.
- Doszedłem do wniosku, że podoba mi się leżenie na tobie - mruknął, wtulając twarz w szyję Cathleen.

- Jeśli sądzisz, że to romantyczne, to ja...
- Ciii - szepnął, zasłaniając jej usta dłonią.

Drzwi nagle otwarły się i ponownie pojawiła się smuga światła.

- A teraz coś widzisz? - zapytał znów ten mówiący barytonem.
- Nie, nic.
- W takim razie chodźmy już stąd. Po zmroku to miejsce przyprawia mnie o dreszcze.

Drzwi skrzyknęły i w kaplicy znów zapadła ciemność.

Fletcher próbował się podnieść, ale tym razem to Cathleen uczepiła się go kurczowo.

- Chyba jeszcze nie chcesz wstać? - szepnęła.
- Czy mam przez to rozumieć, że lubisz, kiedy na tobie leżę? - zapytał i dziewczyna wiedziała, że uśmiecha się do niej, choć w ciemności nie mogła dostrzec jego twarzy.
- Nie, ale oni mogą zaraz wrócić.

- Nie wróca.
- Jesteś pewien? - Wbiła mu palce w ramię.
- Jestem, lecz jeśli szukasz pretekstu, żebym nadal na tobie leżał, wystarczy powiedzieć. Jestem bardzo uczynny. - Roześmiał się.

Gdy dała mu kuksańca, stoczył się z niej i przez chwilę leżał na ziemi, zaśmiewając się w ciemności.

Cathleen zerwała się i lekko trąciła go nogą.

- Przestań wreszcie rechotać i wstawaj. Chciałabym stąd wyjść.
- Jak na panienkę wychowaną w kościele, dziwnie nieswojo czujesz się w kaplicy.
- Chodziłam do kościoła, ale nigdy w nim nie mieszkałam. Idziesz czy nie?
- Może. A może nie - odparł cichym, leniwym głosem. - Ciekaw jestem, dlaczego tak bardzo ci zależy, żeby wyjść stąd ze mną? Przyjechałaś tu przecież sama.

- To co innego.

- A jaka jest różnica? - Fletcher wstał wreszcie.

- Nie było jeszcze ciemno - szepnęła niespokojnie i przysunęła się bliżej.

- Mary Cathleen, czyżbyś bała się ciemności?

- Może odrobinę. - Chwyliła go za rękę i nie wypuściła, dopóki nie wyszli na zewnątrz.

Pobiegli do furtki. Tam dopiero zatrzymali się na chwilę i przyczaili w krzakach, żeby sprawdzić, czy nie są obserwowani. Potem znów biegli, nisko pochyleni, by uniknąć światła zamkowych lamp. Gdy wreszcie oddalili się od twierdzy, zapadła już ciemna noc, widać było tylko upiorne czarne zarysy drzew na tle jeszcze ciemniejszego nieba.

- Gdzie zostawiłaś konia?

- W pobliżu twojego.

- W pobliżu mojego? - Fletcher zatrzymał się nagle. - A mówiłaś, że przyjechałaś przede mną. Czyżbyś skłamała?

- To nie kłamstwo - oświadczyła z przekonaniem. - Powiedziałam, że byłam tam przed tobą. Nie twierdziłam, że przyjechałam przed twoim koniem.

Odchrząknął, jakby próbował doszukać się w jej słowach logiki. Cathleen uśmiechnęła się, zadowolona, że zastanawianie się nad tym zabierze mu trochę czasu.

Nagły łopot skrzydeł nad głową sprawił, że podskoczyła. Natychmiast wyciągnęła rękę i chwyciła Fletchera za ramię. I nieoczekiwanie zrobiło jej się nieziemsko przyjemnie.

Wzięła go za rękę i nagle poczuła się bezpiecznie. Teraz mogła już spokojnie wsłuchiwać się w nasilający się wiatr, który wył w gałęziach sosen. Szli w milczeniu, dopóki nie dotarli do

miejsca, w którym zostawiła kucyka.

Okazało się, że zniknął.

Dziewczyna obróciła się dokoła, rozglądając się w ciemności i starając się przebić wzrokiem cienie pod drzewami. Była pewna, że to właśnie w tym miejscu zostawiła Floreę.

- Przecież to tutaj ją zostawiłam.

- Pewnie nie przywiązałaś jej porządnie.

- Podejrzewam, że ją zabrali. -Cathleen znów chwyciła rękę Fletchera i uczepliła się jej kurczowo.

- Nie chciałbym ranić twoich uczuć, ale za to, żeby ktoś zgodził się wziąć tego wierzchowca, musiałabyś nieźle zapłacić.

- Flora to bardzo pożyteczne zwierzę. - Dziewczyna zeszywniała.

- To zapasiony kuc - szepnął Fletcher, pochylając się do jej ucha.

- Przywiozła mnie tutaj.

- To prawda, ale z powrotem już cię nie zawiezie. Powstaje problem, jak wrócisz do domu?

- Dziękuję za troskę, mogę się przejść piechotą.

- Przecież masz mnie u boku - oświadczył i zanim zdążyła zaprotestować, delikatnie uniósł ją w ramionach.

- Co robisz?!

- Zabieram cię do domu.

- Zamierzasz nieść mnie na rękach?

- Tylko do konia.

Cathleen poczuła się rozczarowana.

- Mogę iść sama.

- Wiem, ale noszenie cię na rękach sprawia mi przyjemność, a jestem większy - szepnął jej do ucha.

- To jedyny powód?

- Nie... lecz prawda przyprawiłaby cię o omdlenie. W najlepszym wypadku uparłabyś się, że wrócisz do domu na piechotę.

Dotarli wreszcie do konia i postawił Cathleen na ziemi, ale nie puścił jej ani na chwilę. Nawet w ciemnościach widziała, iż wpatruje się w nią w taki sposób, że przyprawia ją to o szybsze bicie serca.

Miała wrażenie, że oczy Fletchera robią z nią to wszystko, na co nie mógł się odważyć. Jej wargi nagle nabrzmiały i same się rozchyliły. Poczowała na ustach chłód i dziwną suchość.

Gwałtownie złapała powietrze.

- Cathleen, moja ty przedziwna, frapująca dziewico - powie dział miękko. - Czy wiesz, że nie przyjechałem tu, by cię skrzywdzić?

Wolno, bardzo wolniutko okrywał pocałunkami całą twarz dziewczyny, wreszcie jego wargi spoczęły na jej ustach.

Cathleen miała wrażenie, że zaraz wyfrunie z własnego ciała; kurczowo złapała się ramienia Fletchera, by nie unieść się nad ziemię. Gdy przysunął się bliżej, została uwięziona pomiędzy nim a jego wierzchołkiem.

- Nie.

- O co chodzi? Nie lubisz być ze mną?

- Lubię być z tobą - odpowiedziała roztrzęsionym głosem. - Ale nie chcę tego lubić. Zrozum, nigdy nie pozwoliłabym ci na takie bezeceństwa, gdyby nie lęk przed ciemnością.

Spodziewała się zaskoczenia, lecz nie wybuchu śmiechu. Była z siebie niezadowolona i zde gustowana. Postanowiła przecież, że odrzuci jego awanse, a tymczasem znowu mu uległa. Była w niej jakaś słabość, jakaś bezwolność, z którą wprawdzie próbowała walczyć, ale niestety nieodmiennie bez powodzenia.

Serce jej się ścisnęło. Pomyślała o przeszłości, która zmieniła bieg jej życia i skazała na staropanieństwo. Była rozdarta pomiędzy tym, jak uformował ją los, a naturalnymi potrzebami kobiety w jej wieku, która pragnie kochać i być kochaną, wyjść za mąż i zostać matką.

Nagle odżył w jej pamięci odwieczny lęk przed porodem. Wielokrotnie modliła się o bezpłodność, bo tylko dzięki temu mogłaby kochać się z mężczyzną bez ryzyka, że będzie miała dziecko. Ale nawet modląc się o to, zdawała sobie sprawę, że nie jest to wyjście. Mężczyzna taki jak Fletcher zasługiwał na lepszy los niż małżeństwo z bezpłodną kobietą. Zasługiwał na kogoś z wyższych sfer, córkę księcia. Dame. Na kobietę, która z radością rodziłaby mu dzieci. Ona taką kobietą nie była.

Udręczona własnymi uczuciami, wtuliła twarz w ramię Fletchera, jakby to mogło powstrzymać napływające do oczu łzy.

Źle zrozumiał jej gest, bo przytulił ją i pocałował w czubek głowy.

- Tak lepiej - powiedział.

Owszem, tak było lepiej. Znajdowała się w jego ramionach, czyli w miejscu, gdzie powinna czuć się szczęśliwa. I poczuła się szczęśliwa. Ale to uczucie zaprawione jednak było odrobiną bólu, świadomością, że za obecne szczęście zapłaci kiedyś smutkiem. I to wielkim. Bała się, że za chwilę nie będzie już w stanie powstrzymać łez, wtuliła więc nos w szyję Fletchera i z całej siły zacisnęła powieki.

Och, Fletcher, Fletcher, jesteś taki cudowny, taki kochany. Jakże chciałabym, aby wszystko wyglądało inaczej...

Wsadził ją na konia, po czym usiadł przed nią.

- Trzymaj się mocno - mruknął.

Cathleen posłusznie objęła go ramionami i oparła policzek o jego muskularne plecy. Znowu stał się oficjalny, udawał, że nic się między nimi nie stało. Dziewczyna zacisnęła powieki, czując, jak narasta w niej poczucie osamotnienia. Ma, czego chciała. Odrzucił ją. Zostawił samą. Odniosła zwycięstwo.

Dlaczego jednak sukces smakował tak gorzko?

Jego problem coraz bardziej stawał się ich wspólną sprawą, ale tak będzie tylko jakiś czas. On wkrótce wyjedzie i znowu wszystko będzie jak dawniej. Ona wróci z dziadkiem do pracy nad przekładem pieśni religijnych i oboje zapomną, że był taki czas, gdy niejaki Fletcher Ramsay stanowił część ich życia.

12

Dzień chylił się już ku zachodowi, gdy Fletcher wrócił do chaty zagrodnika z wyprawy do Glengarry. Pojechał do miasteczka pełen optymizmu, przekonany, że uda mu się tam coś ciekawego znaleźć, jakieś zapiski w Bibliach czy dokumentach ziemskich, coś, co da mu wskazówkę, gdzie prowadzić dalsze poszukiwania. Wrócił sfrustrowany i zły, jakby niemożność znalezienia dowodu, którego tak potrzebował, była policzkiem wymierzonym pamięci ojca.

Przecież złożył przysięgę tamtego dnia, gdy stał nad grobem ojca i ledwie słuchał słów pocieszenia, którymi David MacDonald zwrócił się do ludzi przybyłych na pogrzeb księcia. Fletcher nie słuchał pastora, bo już wówczas, choć miał zaledwie osiem lat, wiedział, że nie zazna spokoju, dopóki nie odzyska ojcowskiego tytułu. Teraz był zły nie tyle z powodu nietrafienia na żaden dowód, bo nie miał wątpliwości, że wcześniej czy później uda mu się jednak go znaleźć, ile z faktu, że przez dwadzieścia lat żył w mylnym mniemaniu, iż będzie to dość proste.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jakie zadanie go czeka.

Kiedy wjechał na padok i zobaczył, że w pobliżu nie ma ani Cathleen, ani Davida, odetchnął z ulgą. W obecnym stanie ducha nie byłby najlepszym kompanem.

Zdejmując z konia siodło, rozmyślał o tym, że przez całe życie był rozdarty pomiędzy

dwoma pragnieniami: pragnieniem, by wrócić do Szkocji i udowodnić Adairowi Ramsayowi fałszerstwo, oraz pragnieniem, by spełnić marzenie matki i na zawsze pozostać w Kalifornii. I oto teraz znów czuł się rozdarty. Obsesyjna wręcz chęć udowodnienia Adairowi, że jest mordercą i kłamcą, bynajmniej nie osłabła, została jednak nieco złagodzona przez namiętność do pewnej płomiennowłosej dziewczyny o imieniu Cathleen. Te dwa pragnienia były całkowicie rozbieżne, choć równie silne.

Zdenerwowanie Fletchera nie było wywołane uczuciem do Cathleen, nie wynikało też z obsesji na tle odzyskania tytułu, męczyła go natomiast niemożność poświęcenia się bez reszty jednemu celowi. Czuł się jak człowiek, który próbuje jechać równocześnie na dwóch koniach.

Nadal roztrząsając swój dylemat, nasypał koniowi miarkę owsa i zamknął za sobą bramę padoku. Gdy po chwili wszedł do chaty zagrodnika, zupełnie osłupiał.

Okazało się, że kiedy go nie było, ktoś nieproszony złożył mu wizytę.

Wszędzie panował straszliwy bałagan. Kawa i sól, wysypane z pojemników na podłogę, chrzęściły mu pod stopami. Słoik miodu zostawił lepka smugę na obrusie, a potem spadł na podłogę i leżał w złocistej kałuży. Kuchenne krzesła zostały powywracane, stojące przy kominku fotele miały porozcinaną tapicerkę. Obrazki zostały zrzuczone ze ścian, skrzynie przewrócone, a ich zawartość wałała się po podłodze.

Fletcher spojrział na pudełko, w którym przechowywał listy. Otworzył pokrywę. Wszystkie listy od matki i dwa dokumenty, na których były nazwiska Douglasa i Bride Ramsayów, zniknęły.

- Sukinsyn! - krzyknął i kopnął krzesło tak mocno, że przeleciało przez cały pokój. Wściekłość eksplodowała w nim. Kopnął leżący mu na drodze but, podniósł z podłogi naręczce ubrań, a że w złości nie mógł znaleźć na nie miejsca, cisnął je z powrotem na podłogę.

Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek czuł się równie wściekły. I równie bezradny. Był tak oburzony, zły, rozgniewany, że mógłby zabić. W pierwszym odruchu chciał jechać do Glengarry i rzucić się na Adaira. Chciał wreszcie zakończyć to, co zostało rozpoczęte dwadzieścia lat temu. Klnąc jak szewc, wypadł z chaty zagrodnika, nie trując się zamykaniem drzwi, i popędził na padok.

Zanim skończył siodłać konia, nieco ostygł i uświadomił sobie skutki tego, co zamierzał zrobić.

Adair do tego właśnie chciał go sprowokować. Cokolwiek się wydarzyło, cokolwiek jeszcze się może wydarzyć, Fletcher poprzysiągł sobie, że nie straci panowania nad sobą. Jeśli

da się ponieść złości i będzie działał na oślep, kierując się gniewem, nigdy nie osiągnie celu. Może tego dokonać jedynie dzięki jasnemu, precyzyjnemu, racjonalnemu myśleniu.

Wrócił do chaty zagrodnika w pełni świadom, że wróg nie tylko wie o jego przyjeździe do Glengarry, ale i zna przyczyny, dla których tu przyjechał. ,

Porządkował chatę do czwartej nad ranem, bo wiedział, że jeśli zostawi bałagan, to Cathleen rano natychmiast włączy sprzątanie jego mieszkania do niekończącej się listy swych obowiązków.

Kiedy wreszcie skończył, padł zmordowany na łóżko, ale odczuwał zadowolenie, że zakończył dzieło. Cathleen potrzebowała wielu rzeczy, bez jednego wszakże z całą pewnością mogła się obyć: bez dodatkowego zajęcia.

Kilka dni później David i Fletcher długo siedzieli przy stole w kuchni, mimo że Cathleen już dawno sprzątnęła nakrycia po kolacji. Dyskutowali o rewizji przeprowadzonej w chacie.

- Wiesz, w pewnym sensie cieszę się, że wszystko już stało się jasne - wyznał Fletcher. - Skoro Adair wysłał ludzi, żeby przetrząsnęli chatę, to znaczy, że zaczyna się denerwować.

- Mówisz tak, jakbyś się z tego cieszył.

- W pewnym sensie tak. W zdenerwowaniu ludzie popełniają błędy.

- Jak daleko masz zamiar się posunąć? Usatysfakcjonuje cię odzyskanie tytułu czy też w twoim sercu wypisane jest pragnienie zemsty?

- Matka od dawna próbowała mi wyperswadować zabicie Adaira.

- Udało jej się?

- Chyba tak. - Fletcher zamilkł na moment. - Czasami wydaje mi się, że tak, ale potem zdarza się coś takiego jak to i muszę przyznać, że z rozkoszą wyobrażam sobie, jak zaciskam palce na jego żylastej szyi i powoli wyduszam z niego życie.

- Są inne sposoby szukania odwetu... i żaden nie jest mądry.

- Wiem. Od kiedy pamiętam, żyłem myślą o powrocie do Szkocji i wyrównaniu rachunków z Adairem Ramsayem. Jeśli ma to oznaczać jego śmierć, niech i tak będzie.

- Nie przejmujesz się tym?

- Owszem, przejmuję się, ale chwilami podejrzewam, że tylko dlatego, iż moja mama tak bardzo to przeżywa. Ciągle mi powtarzała: Jeśli chcesz, by twoje modlitwy zostały wysłuchane, unikaj grzechu.

- Miała rację.

Przez twarz Fletchera przemknął lekki uśmiech, ale zaraz zniknął. Maggie stanęła mu przed oczami jak żywa.

- Mama zawsze była bardzo religijna i lubiła raczyć mnie cytatami. Wbijała mi je w głowę, kiedy jeszcze byłem w powijakach. A jak dorosłem, powtarzała: zemstę pozostawiam Bogu.

- Ale nie wpłynęło to na twoją decyzję?

- Nie, chociaż kto wie? Może jej sentencje ostudziły moją gwałtowną potrzebę dokonania zemsty, choć sam nie zdawałem sobie z tego sprawy? W każdym razie mama jest przekonana, że to jej zasługa.

David wybuchnął śmiechem.

- Tak, to podobne do Maggie. Wychowuj dziecko na prawego człowieka, to nigdy nie zejdziesz z właściwej drogi, powtarzała. Takie były jej zasady wychowawcze.

Fletcher zmarszczył czoło.

- Owszem, jej zasady, ale nie moje! - zawołał z pasją. - Być może śmierć Adaira nie jest już moją obsesją, lecz ani na chwilę nie przestałem pragnąć odzyskania tego, co do mnie należy. Zostałem pozbawiony ojcowizny tak samo jak Ezaw.

Staruszek uśmiechnął się i Fletcher uświadomił sobie, że namiętny ton jego głosu nie umknął jego uwagi.

- A może wszystko, co ci odebrano, zostanie ci zwrócone w trójnasób, jak Hiobowi.

Fletcher pomyślał, że już wie, dlaczego David był powszechnie uważany za tak znakomitego duszpasterza.

- Całkiem by mi się to podobało - przyznał. - Zdecydowanie tak.

Zapadło milczenie.

Od czasu rewizji w chacie zagrodnika coraz częściej myślał o tym, że powinien się stąd wyprowadzić i rozpocząć poszukiwania gdzie indziej. Wiedział, że nie może już dalej z czystym sumieniem mieszać Davida i Cathleen do swoich spraw, bo może się to dla nich stać zbyt niebezpieczne. A poza tym zrozumiał, że w Glengarry jest już spalony.

Pastor zaproponował mu kolejną filiżankę herbaty, ale odmówił.

- Dziękuję, nie mam dziś ochoty na herbatę. Gdybyś na przykład miał porządną szkocką whisky...

- Coś cię gnębi - stwierdził David. - Może powinniśmy o tym porozmawiać?

- Za kilka dni wyjeżdżam - wypalił Fletcher, który nie zwykł nigdy niczego owijać w bawełnę.

- Wracasz do Caithness? - Staruszek był wyraźnie zaskoczony.

- Chciałem, ale moje plany zmieniły się. Pomyślałem, że dobrze byłoby zajrzeć do

Lowlands, gdzie mieszkał Adair Ramsay przed przyjazdem do Glengarry.

- To niegłupie, muszę przyznać, choć mnie nie przyszło do głowy.
- Skoro nie jestem w stanie wywieść własnej linii genealogicznej, może uda mi się przynajmniej podważyć wiarygodność jego.

- Dokąd pojedziesz?

- Do St. Abb's.

- St. Abb's to o rzut kamieniem od opactwa świętego Bathana. - Na twarzy starego pastora znów malowało się zaskoczenie.

- Nigdy nie słyszałem o opactwie świętego Bathana. Czy istnieje jakiś powód, dla którego powinienem, twoim zdaniem, tam pojechać? - Fletcher odnosił wrażenie, że starszy wpadł na jakiś pomysł.

- Nie, przynajmniej mnie żaden nie jest znany. Uznałem to po prostu za zbieg okoliczności.

- Co mianowicie?

- To, że St. Abb's leży w pobliżu opactwa świętego Bathana. - David zdał sobie sprawę, że w jego słowach trudno doszukać się sensu, więc dodał: - Mogę ci zaoszczędzić trudu podróży.

- W jaki sposób? Chcesz mi wyperswadować ten wyjazd?

- Nie, pojedę tam za ciebie.

- Nie mogę się na to zgodzić.

- I tak się tam wybierałem.

- Wybierałeś się do St. Abb's? - Fletcher nawet nie próbował ukryć zaskoczenia.

- Właściwie nie do St. Abb's. Za dwa dni wyjeżdżam do opactwa świętego Bathana. Bez trudu mogę wpaść przy okazji do St. Abb's. To mała miejscowość. Jeśli są tam jakiegokolwiek zapiski, z łatwością je odnajdę.

Fletcher miał wyraźnie sceptyczną minę, ale w jego oczach migotały isierki humoru.

- A od kiedy planujesz ten wyjazd? Od pięciu minut? David wybuchnął śmiechem.

- Koresponduję z Jamesem Buchanem, pastorem mieszkającym koło opactwa świętego Bathana. Jest on w posiadaniu starych papierów, kopii pieśni... hymnów francuskich, z których wiele stanowi adaptacje psalmów. Jest przekonany, że zostały tu przywiezione przez jednego z ludzi Wilhelma Zdobywcy. Wczoraj dostałem list, w którym zaprasza mnie, bym przyjechał i sam obejrzał oryginały.

Fletcher zdawał sobie sprawę, że absolutnie nie powinien zgodzić się na propozycję Davida. Skoro Adair kazał przeszukać chatę zagrodnika, należąca przecież do pastora, to trzeba było szalenie uważać, żeby już nikogo nie narażać.

- I jaka jest twoja decyzja? Powierzysz mi tę misję czy nie?
- Nie.
- Ale dlaczego? - Staruszek był bardzo zaskoczony.
- Postanowiłem się stąd wyprowadzić właśnie dlatego, że nie chciałem dalej cię w to wciągać.
- Z powodu tego, co się stało w chacie zagrodnika?
- Moim zdaniem, to wystarczający powód.
- Rozumiem twoją troskę i jestem ci wdzięczny, że stawiasz nasze bezpieczeństwo na pierwszym miejscu przed własnym interesem, wybieram się jednak do opactwa świętego Bathana w swoich sprawach i pojedę tam niezależnie od tego, co postanowisz. Kto będzie wiedział, że w drodze powrotnej wstąpię do St. Abb's?
- A co z Cathleen?
- Już nieraz zostawała sama.
- Ale wtedy nikt nie wdzierał się na twój teren. W obecnej sytuacji nie jest to mądre posunięcie.
- Może masz rację. - David zamyślił się. - Z uwagi na to, co powiedziałaś, sędzę, że najlepiej byłoby, gdybyś ty mógł z nią zostać. Czy uznałbyś to za odpowiednią zamianę, gdybym ja za ciebie wybrał się do St. Abb's, ty zaś zostałbyś tutaj do mojego powrotu? W ten sposób mógłbyś mieć oko na Cathleen.
- Czy chcesz przez to powiedzieć, że masz do mnie tyle zaufania, żeby zostawić mnie tu z nią samego? - Fletcher uśmiechnął się szeroko.
- Nie, ale mam zaufanie do Cathleen. A poza tym nie proponuję wcale, byś zamieszkał z nią pod jednym dachem. Zostań w chacie zagrodnika... w bezpiecznej, przyzwoitej odległości od domu.
- Czy naprawdę chcesz to zrobić? Jeśli pojedziesz do St. Abb's, włączysz się w moje sprawy.
- Chłopcze, przecież siedzę w twoich sprawach po uszy i to całkowicie dobrowolnie, pragnę dodać. A teraz, kiedy upewniłem się, że nie chcesz zabić Adaira, mogę już z czystym sumieniem ci pomagać. I co ty na to?
- Sam nie wiem. Kilka dni temu skakałbym z radości, ale po tym, co się stało... Musisz chyba przyznać, że mam powody do obaw. Przyjechałem tu, żeby uporządkować swoje sprawy, lecz nie chcę narobić ci kłopotów.
- Nie narobiłeś nam żadnych kłopotów. Prawdę mówiąc, twój przyjazd stanowi miłą odmianę w naszym monotonnym życiu. Widzisz, w życiu emerytowanego pastora i starej

panny niewiele jest podniecających wydarzeń.

Fletcher osłupiał, usłyszawszy, że David nazwał Cathleen starą panną. Wiedział, że dziewczyna nie ma zamiaru wyjść za mąż, nie był jednak w stanie do końca w to uwierzyć. Był tak zaszokowany słowami pastora, że zaniemówił.

- W takim razie ubiliśmy interes. Ty zostajesz tu z Cathleen, a ja pojedę do opactwa i w powrotnej drodze zajrzę do St. Abb's. A przy okazji może uda mi się złowić parę łososi.

- Jeszcze jedno słowo na ten temat i zacznę żałować, że ja nie jadę.

- Już milczę. Od dawna marzę o wyprawie na ryby.

- A nie sądzisz, że Cathleen może mieć zastrzeżenia co do pozostania tu ze mną sam na sam?

- Zostawała już sama. Szybko zrozumiałem, że nie zdołam jej oderwać od działalności dobroczynnej na rzecz ludności Glengarry. Łatwiej byłoby wyrwać królika z paszczy wilka, niż oderwać ją od tych zajęć. A co do ciebie, wydaje mi się, że moja wnuczka lubi cię na tyle, by tolerować cię tu przez jakiś tydzień.

- Kiedy wyjeżdżasz?

- Za dwa dni. A więc dogadaliśmy się? Zostaniesz tutaj, a ja jadę do St. Abb's?

- Tak, choć nadal mam zastrzeżenia. -Fletcher wstał i ruszył do wyjścia.

- Nie martw się, ja jestem bardzo zadowolony z takiego obrotu sprawy. - Gospodarz odprowadził go do drzwi i poklepał po plecach. - A teraz muszę wysłuchać, co nasza śliczna Cathleen będzie miała do powiedzenia, kiedy się dowie o mojej planowanej podróży.

- I o tym, że ja zostanę tu trochę dłużej.

- Tak, o tym także.

- Może nie być zachwycona, że mam tu zostać w charakterze psa stróżującego, i prawdę mówiąc, cieszę się, że to ty jej o tym powiesz - rzekł Fletcher.

- Tak. - David zrobił taką minę, jakby szedł na ścięcie. -Nie będzie zachwycona, ale nic na to nie mogę poradzić. Pozostaje tylko spokojnie przeczekać burę, prawda?

Następnego dnia wstał rześki, słoneczny, najpiękniejszy niedzielny poranek, jaki Fletcher w życiu widział, nawet to jednak nie mogło go zmusić, by przyjął propozycję Davida i wybrał się wraz z nim i Cathleen do kościoła św. Andrzeja w Glengarry.

Przypomniał pastorowi, że uprzedzał go już podczas pierwszego spotkania, iż jest grzesznikiem, po czym osiodłał konia i pojechał obejrzeć kilka starych grobów, które, jak mu mówiono, znajdowały się obok ruin starożytnej twierdzy, a które kompletnie go nie interesowały,

dopóki nie dowiedział się, że na jednym z nich widnieje nazwisko Ramsay.

Późnym popołudniem wrócił do chaty zagrodnika. Tym razem był nie tylko rozczarowany i sfrustrowany - do tych uczuć już zdążył przywyknąć - ale i zdezorientowany. Nie miał pojęcia, co robić dalej.

Nie zamierzał oczywiście się poddać, był całkowicie zdeterminowany osiągnąć swój cel, zaczynał się jednak irytować, że dotychczas nie udało mu się znaleźć nawet najsłabszego cienia dowodu.

Zsiadł z konia i wprowadził go na padok. W tym samym momencie dostrzegł zbliżającego się ścieżką Davida.

- Jak było w kościele? Pastor Robert przestrzegał tradycyjnej prezbiteriańskiej teologii, czy też udało mu się zaskoczyć cię jakimiś nowymi poglądami?

- W kościele nie było żadnych niespodzianek, niespodzianka czekała na nas w domu - oświadczył David.

- Tak?

- Wygląda na to, że kiedy byliśmy w kościele, mieliśmy gości.

- Dom został przeszukany? - Fletcher miał ponurą minę.

- Nie tylko splądrowany, ale i zrujnowany. Cathleen stara się wszystko pozbierać.

- A kufry?

- Kufry są, lecz zniknęły wszystkie dokumenty. Wiele z nich spalono w kominku.

Fletcher starał się ukryć gniew, żeby dodatkowo nie rozdrażniać Davida, ale był to próżny trud. Miał ochotę krzyknąć, że Adair Ramsay jest sukinsynem. I to tak, żeby cały świat go usłyszał. Zdawał sobie sprawę, że wróg stara się za wszelką cenę go sprowokować, zmusić go, by wystąpił otwarcie, z podniesioną przyłbicą. Fletcher wiedział, że w pewnym momencie będzie musiał podjąć rękawicę, nie było mu jednak z tego powodu ani trochę lżej na duszy.

- Strasznie mi przykro. Czy jakieś twoje rzeczy uległy zniszczeniu? - zapytał ze szczerą troską.

- Nie, nic nie zostało zniszczone, natomiast wszystko jest porozrzucane.

Fletcher zmarszczył czoło.

- To całkowicie zmienia nasze wczorajsze uzgodnienia, chyba zdajesz sobie z tego sprawę. Nie mogę dopuścić, żebyś jechał za mnie do St. Abb's. Nie po tym, co się dziś wydarzyło.

- Przypuszczałem, że tak właśnie zareagujesz, i zastanawiałem się nad sytuacją. I wpadłem na doskonały pomysł - oświadczył David.

- To znaczy?... - Fletcher skrzyżował ramiona na piersi i wpatrywał się w starego

pastora.

- Nie możemy dopuścić, żeby strach kierował naszym życiem. Biblia uczy nas: Nie lękajcie się. Uważam, że powinienem, zgodnie z wcześniejszym planem, wybrać się do opactwa świętego Bathana, ty natomiast, zamiast siedzieć w chacie zagrodnika i pilnować Cathleen, powinieneś wrócić do Caithness.

- Co?! Mamy zostawić ją tutaj całkiem samą, kompletnie bez opieki?! - zawołał osłupiały Fletcher.

- Wysłuchaj mnie do końca. Jeśli Adair robi to wszystko, by wykorzystać twoją troskę o nas i zmusić cię do rezygnacji z zamiarów, to co mogłoby skuteczniej przekonać go, że się poddałeś? Jeśli wrócisz do Caithness, pomyśli, że dałeś sobie spokój z poszukiwaniami, przynajmniej w Glengarry. Nasze życie wróci do normy i wszystko będzie po staremu. Po twoim wyjeździe Adair nie będzie już miał powodu nas podejrzewać. Ja pojedę w podróż zgodnie z planem, a Cathleen jak zwykle zostanie w domu i będzie się zajmować swoją pracą charytatywną. To najrozsądniejsze wyjście.

- No, nie wiem.

- Ale ja wiem. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości -oświadczył David.

Fletcher zastanawiał się przez chwilę. Może pastor miał rację?

- Chciałbym móc stwierdzić, że się mylisz, ale rzeczywiście sędzę, że ty i Cathleen po moim powrocie do Caithness będziecie bezpieczniejsi.

- Właśnie, i dlatego to jest najlepsze rozwiązanie. Nie możesz tu zostać, a jeśli pojedziesz do Lowlands w tym samym czasie co ja, niechybnie wzbudzisz podejrzenia. Najrozsądniejszym wyjściem jest więc twój powrót do Caithness.

- Co do jednego zgadzam się całkowicie. Jeśli zostanę tutaj, zainteresowanie Adaira moimi poczynaniami jeszcze wzrośnie.

- Tak, nie spuści cię z oka, jestem pewien. Uważaj na siebie podczas podróży. Oni wiedzą, że tu jesteś, i wiedzą też, po co przyjechałeś.

- Będę ostrożny.

Ze względu na stan domu Cathleen była zmuszona zignorować biblijne przykazanie, aby dzień święty święcić. Gdy tylko wróciła z dziadkiem z kościoła, zdjęła kapelusz i najlepsze niedzielne ubranie, włożyła starą granatową sukienkę, przepasała się białym fartuchem, związała włosy w węzeł i zabrała się do roboty.

Kłęczała na podłodze, wygarniając z kominka popiół ze spalonych dokumentów, gdy

usłyszała hałas za plecami.

Odwróciła się i zobaczyła wchodzącego do pokoju Fletchera. Był sam. Wyglądał tak wspaniale, że aż skuliła się z wrażenia. Nie chciała mu się zbyt natarczywie przyglądać, żeby nie domyślił się, co do niego czuje.

- Gdzie dziadek? - zapytała, by przerwać to niezręczne milczenie.

Spojrzał na nią tak, jakby chciał dać do zrozumienia, że jej wybieg na nic się nie zdał. Najwyraźniej znał jej myśli, czym doprowadzał ją do rozpacz.

- Prosił, żebym ci przypomniał, że został zaproszony na obiad do MacPhearsonów.

- Ja... no tak, przypuszczam, że mówił mi o tym wcześniej... pewnie zapomniałam - jąkała nieskładnie Cathleen, wyrwana z zamyślenia.

Nadal siedziała przy kominku na podkulonych nogach i obserwowała, jak Fletcher obchodzi pokój dokoła i ogląda panujący w nim rozgardiasz. Otumaniona miłością, oszołomiona intensywnością własnych uczuć, Cathleen mogła tylko gapić się na niego cielecym wzrokiem. Poczula w sercu tak ostry ból, jakiego jeszcze nigdy nie doznała, i zaczęła się zastanawiać, czy kiedykolwiek zdoła przejść do porządku dziennego nad swymi uczuciami do Fletchera.

Był piekielnie przystojny, to prawda, lecz nie uroda pociągała ją najbardziej, nie jego długie nogi, zaraźliwy uśmiech ani żadna z setki innych cech, które bez trudu mogłaby wyliczyć. Właściwie trudno byłoby jej powiedzieć, co ją w nim fascynuje.

Westchnęła. Tak bardzo była zaprzętnięta roztrząsaniem powodów, dla których coraz trudniej było jej oprzeć mu się, że początkowo nie zwróciła nawet uwagi na hałas. Gwałtownie złapała powietrze, kiedy podniosła wzrok i zobaczyła, że Fletcher zamiata podłogę. Oczy dziewczyny zrobiły się okrągłe ze zdumienia. Jeszcze nigdy nie widziała, by mężczyzna zamiatał podłogę. Nie mogła uwierzyć własnym oczom.

- Co ty, do diabła, robisz? - wyjąkała w osłupieniu.

- Pomagam ci - mruknął, zamiatając podłogę wokół fotela dziadka.

- Nie musisz tego robić.

- Ale chcę. Czuję się odpowiedzialny za to, co tu się stało.

- To nie była twoja wina, a poza tym zamiatanie podłogi to nie jest sprawa mężczyzny - stwierdziła Cathleen. Wstała i otrzepała popiół z dłoni. - Daj, ja to zrobię.

Chciała sięgnąć po miotłę, lecz usunął ją poza jej zasięg.

- Oddaj mi!

- Chodź i sama ją weź. - Uśmiechnął się i schował miotłę za plecami.

Przechyliła głowę na ramię i spojrzała na Fletchera. Wszystkiemu mogła się oprzeć,

ale nie temu chłopięcemu, rozbawionemu wyrazowi twarzy. Mogłaby się założyć, że gdyby ktoś zadał sobie trud, by ustawić w szeregu wszystkie kobiety, które oczarował wdzięk Fletchera, łańcuszek ciągnąłby się do Londynu i z powrotem.

- Nie mam zamiaru wdawać się w gierki z kimś takim jak ty - oświadczyła. - Odstaw szcztokę tam, skąd ją wzięłeś. Żaden mężczyzna nie będzie sprzątał mojego domu. Nie zgadzam się na to.

Wybuchnął serdecznym śmiechem, lecz nie przerwał pracy.

- Darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby. Wróć do swojego popiołu, Kopciuszkę, a ja zajmę się zmiataniem.

- Ale...

Fletcher przerwał swoje zajęcie i oparł się na trzonku miotły, a Cathleen pomyślała nagle, że jeszcze nigdy nie wyglądał tak wspaniale jak w tej niebieskiej koszuli, która podkreślała kolor jego oczu. Ubrany był w spodnie z kozłęcej skóry, długie buty do konnej jazdy i koszulę rozpiętą przy kołnierzyku. Włosy miał potargane i nagle zapragnęła wsunąć w nie palce i przyglądać fryzurę.

- Cathleen, skończmy już z tym tematem - zażądał. - Jestem tak wściekły po tym, co się tu stało, że albo pozwolisz mi wyładować złość na tej miotle, albo wskoczę na siodło i pognam do Adaira, by rzucić mu wyzwanie.

Była w stanie to zrozumieć.

- Dlaczego od razu tak nie mówiłeś? - zapytała. Odwróciła się do niego plecami i wygarnęła z kominka na szufelkę resztę popiołu. Ale nie myślała o tym, co robi. Nie mogła oderwać myśli od Fletchera.

Pokazał jej się z jeszcze innej strony. Ciekawe, czego jeszcze się dowie?

Tak bardzo różnił się od innych. Z takim mężczyzną mogłaby się zestarzeć.

- Daj, pomogę ci - powiedział, kiedy wzięła wiadro popiołu, by wynieść je na dwór.

Cathleen znów osłupiała. Z otwartymi ustami przyglądała się, jak Fletcher opiera miotłę o ścianę i idzie ku niej przez całą szerokość pokoju. Poruszał się cicho i z wdziękiem.

Zatrzymał się przed nią. Już miał się pochylić i podnieść wiadro, coś go jednak powstrzymało. Obrysował palcem kształt ust Cathleen, a potem zsunął palec pod jej brodę, uniósł ją i rzucił dziewczynie takie spojrzenie, że nie mogła złapać powietrza.

- Zamknij usta, jeśli nie chcesz, żebym cię pocałował, moja słodka.

Szybko zacisnęła wargi, ale nic więcej nie była w stanie zrobić. Fletcher nic nie powiedział. I nie poruszył się. Stał tylko i patrzył na nią z góry. Wreszcie wyciągnął rękę i pochwycił niesforny kosmyk jej włosów. Musnął przy tym szyję Cathleen, na co jej serce

zareagowało oszalałym łomotem.

- Nie bój się mnie - powiedział. - Powinnaś już zrozumieć, że nie zrobię ci krzywdy.

- To nie ciebie się boję, tylko siebie, a raczej tego, co się ze mną dzieje, gdy jesteś blisko.

Tak intensywnie wpatrywał się w jej twarz, że mimo woli zaczęła się zastanawiać, co tam zobaczył. Czy te jego ciemnoniebieskie oczy potrafią zajrzeć w głąb jej duszy? Czy widzą uczucia, jakimi go obdarza, czy widzą snujące się jej po głowie fantazje o tym, jak by to było być kochaną przez niego?

Utkwiła wzrok w ustach Fletchera i zaczęło jej się kręcić w głowie. Jak długo wspomnienie dotyku tych warg będzie napełniać ją tęsknotą i rozpaczą? A kiedy on zniknie już z jej życia, czy to wspomnienie będzie jej towarzyszyć przez długie lata?

- O czym myślisz?

Cathleen podniosła szybko wzrok i w oczach Fletchera dostrzegła wyraz, który mogła określić tylko jednym słowem: pragnienie. Miłość, którą czuła do tego mężczyzny, była niszcząca, intensywna, wręcz namacalna. Jak ból. Bała się, że Fletcher odczyta prawdę z jej oczu, więc odwróciła głowę.

- Spójrz na mnie, Cathleen. - Słowa były ciche jak tchnienie, które musnęło jej policzek.

- Nie mogę.

- Ciekawe, czy zdołam ci w tym pomóc. - Ujął dłonie Cathleen i podniósł je do ust. Rozchyłał palce dziewczyny, jeden po drugim, wreszcie ucałował wnętrze dłoni i zamknął palce na powrót, jakby dzięki temu mogła na zawsze zatrzymać jego pocałunki.

Przez chwilę gładził kciukami wrażliwą skórę po wewnętrznej stronie nadgarstków, a potem podniósł ręce dziewczyny i zarzucił je sobie na szyję. Gdy przesunął wargami po czole Cathleen, zachwiała się i oparła o niego. Delikatnie pocałował ją w usta.

- Chciałbym się dowiedzieć, dokąd to nas zaprowadzi, ale coś mi mówi, że nie byłabyś tym zachwycona - szepnął. Puścił ją i cofnął się o krok, obrzucając dziewczynę pełnym żalu spojrzeniem. - Może to nie był wcale taki dobry pomysł. Przy szedłem tu, żeby ci pomóc, ale sądząc po twojej minie, udało mi się tylko wprawić cię w zakłopotanie.

Patrzyła na niego w milczeniu.

- Ach, Cathleen... śliczna Cathleen... moje pragnienie nie zazna ukojenia.

Puścił ją, odwrócił się i szybko wyszedł. Nim zdążyła go zawołać, już go nie było. Została sama na środku pokoju, a powietrze wokół było ciężkie od popiołu.

Kiedy dziadek powiedział, że Fletcher wraca do Caithness, Cathleen ogarnął smutek. Patrzyła na staruszkę, otępiła i sparaliżowana, jak człowiek, który zaraz zostanie ugryziony przez psa i nie jest w stanie nic zrobić, by się obronić.

Poczucie porzucenia było dla niej czymś nowym, bo nigdy dotychczas nie obdarzyła uczuciem żadnego mężczyzny. Zaciśnęła pięści. Żałowała, że tu przyjechała. Chciała znów czuć się wolna; chciała odzyskać swobodę, pędzić beztrudne dni, nie wpatrywać się w kształt jego nosa lub zarys szczęki; chciała zajmować się działalnością charytatywną bez wypatrywania co chwila, czy na drodze nie mignie jego sylwetka; chciała spokojnie przesypiać noce, nie śniąc o tym, co mogłoby być, gdyby...

Do diabła z tobą, Fletcher. Szkoda, że zjawiłeś się w moim życiu i sprawiłeś, że zaczęło mi na tobie zależeć, myślała nieraz.

Wieczorem, po uprzągnięciu domu i pozmywaniu po kolacji, wyszła przejść się po wrzosowiskach. Nie odeszła jeszcze daleko, gdy usłyszała za sobą odgłos kroków.

Ktoś za nią szedł.

Zatrzymała się. Z mocno bijącym sercem zastanawiała się, czy to nie złoczyńcy Adaira. Odwróciła się, by stawić im czoło.

- Fletcher! - zawołała i odetchnęła z ulgą.

Był tak niezwykle wysoki i smukły. Rysy twarzy miał rzeźbione jakby ręką mistrza, a lekko opalona skóra stanowiła idealne tło dla intensywnie niebieskich oczu. Jak zawsze na jego widok, gorąca krew szybciej zaczynała krążyć w żyłach Cathleen. Szedł ku niej śmiało i z pewnością siebie, jak mityczny bohater.

Ale wyjeżdżał.

Zamknęła oczy; ścisnęło ją w gardle.

- Dokąd się wybierasz? - zapytał łagodnie. - Dokąd ode mnie uciekasz?

To ty chcesz ode mnie uciec, pomyślała z rozpaczą.

- Po prostu wyszłam na spacer - odpowiedziała ochryłym głosem, zmuszając się do patrzenia w dół, na własne stopy, bo czuła, że spojrzenie na niego odebrałoby jej resztki sił.

- W takim razie pójdę z tobą.

- Dziadek powiedział mi, że wracasz do Caithness.

- Tak. Jeśli były tu jakiegokolwiek dowody, już ich nie ma. Adair umiejętnie zatarł za

sobą ślady.

- Kiedy wyjeżdżasz?
- Za dwa dni.
- Razem z dziadkiem?
- Tak. Czy on nie powiedział ci, że...
- Owszem, mówił, że zdołał cię przekonać, byś pozwolił mu pojechać do St. Abb's. -

Mówiła to z wielkim bólem. W tej chwili pragnęła jego współczucia. Obaj jednocześnie zamierzali ją opuścić i tego było jej już za wiele.

- Próbowałem go przekonać.
- Wiem - powiedziała. - Dziadek potrafi być bardzo uparty, kiedy mu na czymś zależy.
- Masz pretensję, że on to robi... to znaczy, że jedzie do St. Abb's?
- Jest stary i zawsze mam pretensję, kiedy coś mi go odbiera. Ale nie mogę powiedzieć, że jestem zła z powodu jego zaangażowania w tę sprawę. Jak mogłabym mieć pretensję? On jest jak młody psiak. Twoje poszukiwania dodały mu tyle energii i wigoru. Nie byłabym w stanie tego dokonać, grając na fortepianie psalmy. Nie zdawałam sobie dotychczas sprawy, że jest w nim żyłka detektywistyczna. Zaczęłam się nawet zastanawiać, czy byłby dobrym adwokatem.

- Myślę, że wybrał właściwą drogę. Nie można nikogo winić za to, że obrał służbę bożą.
- Chyba nie.
- Poradzisz sobie, kiedy on... kiedy my wyjedziemy?
- Przecież wiesz, że już dawniej zostawiał mnie samą. Jestem dorosła, ale będę za nim tęsknić. - Uśmiechnęła się niewesoło. - Bez niego jest tu bardzo samotnie, a teraz, kiedy przyzwyczałam się, że mam was obu...

Cathleen zamilkła, nie mogąc dalej mówić. Jej gardło stało się nagle tak wąskie, że słowa, które chciała wypowiedzieć, nie mogły się przez nie precyzyjnie przedostać. Poczuli, że oczy ją pieką od łez. Odwróciła głowę, by Fletcher nie dostrzegł, jak bardzo polubiła jego towarzystwo, jak bardzo zaczęła jej na nim zależeć. Narastało w niej przerażenie, że domyśli się, iż go pokochała.

- Cathleen... - Pochylił się z wahaniem, jak jelonek zbliżający się, by przyjąć jedzenie z jej ręki, niepewny reakcji dziewczyny, i pocałował ją.

Ciepłe, cudowne odczucia oszałamiały ją jak narkotyk, spływały w dół, ku biodrom. Chciała mu powiedzieć, że nie powinien jej całować, że musi pozwolić jej odejść, ale uświadomiła sobie, że gdyby spełnił tę prośbę, chyba przewróciłaby się na ziemię, bo to jego silne ramiona podtrzymywały ją i dzięki nim była w stanie stać prosto. Zaczęła w niej narastać panika.

- Uspokój się, kochanie. Przecież wiesz, że nie zrobiłbym ci krzywdy. Wiesz o tym.

Jego słowa brzmiały w jej uszach jak melodia. Pocałował ją znowu. I jeszcze raz. Cathleen

wydawało się, że jej ciało płynie w powietrzu, jest nieważkie, zakotwiczone jedynie w tym żarze, który stapia ich ciała ze sobą. Fletcher dotykał jej piersi, pocierał brodawki, a przez jej ciało zaczęły przepływać fale całkiem nowych doznań. Próbowwała go odepchnąć. Odsunął się nieco.

- Przepraszam. Zawsze się zapominam, gdy jestem przy tobie. Jesteś jak narkotyk, który przenika w głąb mego ciała i sprawia, że myślę o tym, o czym nie powinienem myśleć, i robię to, czego sobie nie życzysz. Widzisz? Sprawilem ci przykrość, choć wcale tego nie chciałem. Wybacz mi.

Cathleen przetarła oczy wierzchem dłoni.

- Wszystko w porządku. Nie sprawileś mi przykrości. Naprawdę. Żałuję tylko, że obaj opuszczacie mnie tego samego dnia.

- Jesteś pewna, że tylko o to chodzi? - Ujął ramiona dziewczyny i odwrócił ją twarzą do siebie.

- Nie doszukuj się w tym więcej, niż jest - szepnęła. - Polubiłam cię. To wszystko.

- Tak jak lubisz swojego wierzchowca?

- Tak, tak jak Floreę. - Zmusiła się do słabego uśmiechu.

- Cóż, świadomość, że stoję w jednym rzędzie ze spasionym kucem, jest dość upokarzająca.

Wyraźnie próbował ją rozbawić, ale Cathleen czuła się przez to jeszcze smutniejsza i bardziej rozbita.

To za wiele. Nie była w stanie jasno myśleć.

Chciała w tej chwili tylko płakać, chociaż do tej pory nie była płaczliwa. Zawsze uważała, że jest na to zbyt silna, ale w obecności Fletchera ciągle miała ochotę zalewać się łzami.

Otoczył ją ramionami i mocno przytulił. Ich ciała idealnie do siebie pasowały. Cathleen myślała tylko o tym, jak dobrze, ciepło i pewnie czuje się w jego objęciach i jak straszliwie będzie za nim tęskniła. Całował jej policzki, oczy, czoło, usta. Zaczęła oddychać szybko, urywanie.

Odchyliła głowę do tyłu, żeby spojrzeć mu w oczy, i nie mogła wręcz uwierzyć, że kiedyś była w stanie oprzeć się pokusie tych cudownych ust, które oferowały złośliwe słowa i słodkie pocałunki.

Spojrzał na nią z czułością oczami równie błękitnymi, jak niebo nad ich głowami; oczami, które pieściły, obiecywały to wszystko, o czym wprost nie śmiała marzyć.

- Nie patrz na mnie w taki sposób - wyszeptała.

Usłyszała, jak Fletcher wzdycha, i zrozumiała, że na to jest już nieco za późno.

Opuściła głowę i ukryła twarz w dłoniach. Nie wiedziała, co robić. Była rozdarta między przeszłością a teraźniejszymi pragnieniami. Wydawało jej się, że jej umysł i ciało nie są już w stanie ze sobą współistnieć.

- Za wiele myślisz - mruknął Fletcher, unosząc jej głowę.

I, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, pocałował ją. W pierwszej chwili dotyk jego warg był jak tchnienie. Muskał jej usta, jakby chciał nauczyć się ich kształtu na pamięć. Uniósł ją w ramionach i przyciągnął do siebie jeszcze bliżej, jego ciało napierało na nią, dotyk stawał się *coraz* bardziej intymny. Kiedy Cathleen wyczuła drżenie Fletchera, dreszcz trwogi przebiegł jej po krzyżu. Jego tors napierał na jej piersi, biodra na jej biodra. Język pieścił wnętrze jej ust.

Popatrzyła na Fletchera, ale widziała tylko jasne jak gwiazdy punkciki, jakby spojrzała prosto w słońce. Chciał ją znów pocałować, lecz zakryła mu usta ręką. Westchnął, opuścił ją na ziemię i oparł brodę na czubku jej głowy.

- Ze wszystkich kobiet na świecie musiałem wpaść właśnie z tobą... i to teraz. Cathleen, ty tak strasznie wszystko komplikujesz. Naprawdę komplikujesz.

- Jestem twoim przeciwieństwem. Opowiedziałam ci o swojej przeszłości i wyjaśniłam, dlaczego nigdy nie wyjdę za mąż, ale kiedy mnie dotykasz, całkiem się zatracam. Nie rozumiem samej siebie. Mam wrażenie, że płynę na krze, która powoli topnieje. Nie mogę na niej zostać... lecz nie umiem też pływać.

- Cathleen, nieważne, co podpowiada ci rozum. Twoje ciało mnie pragnie.

Spojrzała na niego. Wiedziała, że zauważył, iż troczki czepka zaczęły ją nagle dusić, bo powiódł po nich palcem. Nie zważając *na* to, próbowała mu odpowiedzieć.

- Tak, moje ciało cię pragnie. Wiem o tym i nic nie mogę na to poradzić. Ale ono kieruje się własnym rozumem. Niestety, nie może wziąć za mnie odpowiedzialności. - Oderwała się od Fletchera. - Może twój powrót do Caithness to najlepsze wyjście. Kiedy wyjedziesz, będę w stanie myśleć jaśniej niż w tej chwili. Będę jak strumyk, który został zmacony końskimi kopytami, ale kiedy tabun przejdzie, piasek opadnie na dno i woda znów stanie się czysta. Teraz wszystko wydaje mi się zmacone, ale kiedy wyjedziesz i życie wróci do normy, oczyszczą się także moje myśli.

- Na twoim miejscu nie liczyłbym na to. Mogę okazać się trudniejszy do zapomnienia, niż ci się w tej chwili wydaje - powiedział i uśmiechnął się tym swoim czarującym, nieco krzywym uśmiechem, od którego jej serce topniało jak wosk. - A poza tym mogę wrócić.

Cathleen ze smutkiem potrząsnęła głową.

- Nie, nie wrócisz. Nie masz powodu, by tu wrócić. - Odwróciła się i ruszyła w stronę domu, zostawiając go samego na środku kwitnącego wrzosowiska.

Następnego dnia Fletcher pojechał do Glengarry do kowala. Zabawił w miasteczku kilka godzin. Zostawił konia w kuźni i ruszył na spacer po ulicach. Kiedy przechodził przez jezdnię do sklepu z obuwem, dostrzegł elegancki lśniący powóz Annory Fraser, do którego zaprzęgnięty był koń we wspaniałej uprzęży.

- Fletcher Ramsay! Mam szczęście, skoro spotkałam cię natychmiast po przyjeździe do Glengarry! - zawołała.

- Witaj, Annoro. - Zmrużył oczy, bo kobieta miała słońce za plecami. - Co cię tu sprowadza w tak piękny dzień?

- Wizyta u krawcowej. Chciałam mieć pewność, że będę wyglądać wyjątkowo ładnie na wypadek, gdybyś zechciał mnie pewnego dnia odwiedzić.

- Zawsze wyglądasz pięknie, Annoro - stwierdził Fletcher i pomyślał, że bynajmniej nie minął się z prawdą. Była śliczna jak laleczka, miała regularne rysy, różowe usta, zarumienione policzki, skórę jak najjaśniejsza kość słoniowa, a włosy tak czarne, że aż wpadały w granat. Ubrana była w suknię w czerwono-zieloną kratę, obramowaną czarnym aksamitem, o dopasowanym stanie, który uwypuklał obfity biust i talię wąską, tak że miało się ochotę objąć ją dłońmi. Była skończoną pięknością.

Ale to nie była Cathleen.

- Naprawdę? - Uśmiechnęła się i na jej policzkach pojawiły się urocze dołeczki. Była najwyraźniej zachwycona, że Fletcher powiedział jej komplement. - A ja myślałam, że prawie mnie nie dostrzegasz.

Uśmiechnął się w odpowiedzi na próbę wymuszenia kolejnych komplementów.

- Każdy mężczyzna zwróciłby na ciebie uwagę, nawet leżący na łożu śmierci. Musiałbym być ślepy, by cię nie zauważyć.

Najwyraźniej i te słowa sprawiły jej przyjemność.

- Więc powiedz mi, co robisz w Glengarry? - zapytała z uśmiechem.

- Moja mama była zaprzyjaźniona z Davidem MacDonaldem. Prosiła, bym złożył mu wizytę.

- Tak? Od dawna tu jesteś?

- Nie, od niedawna.

- Kiedy przyjedziesz z wizytą do Dunston?

- Jak tylko znajdę wolną chwilę. Byłem bardzo zajęty.

- Czym?

- Zajmowałem się pewnymi starymi rodzinnymi sprawami. Podoba mi się twój powóz. Nowy?

- Dziękuję za uznanie. To prawda, jest nowy, ale nie myśl, że uda ci się tak łatwo zmienić temat. Kiedy masz zamiar złożyć mi wizytę?

- Jak tylko znajdę trochę czasu.

- Nie przyjmuję do wiadomości takich mglistych obietnic. Co byś powiedział na ten weekend?

Niestety, nie mogę. Jutro wracam do Caithness.

- W takim razie może to ja wybrałabym się do ciebie?

- Za miesiąc wracam do Glengarry. Może zatrzymałbym się u ciebie po drodze? - zaproponował Fletcher, któremu perspektywa odwiedzin Annory w Caithness kompletnie nie przypadła do gustu.

- No, no, jeśli tak szybko masz zamiar tu wrócić, to widać twoja matka musiała być bardzo bliską przyjaciółką Davida MacDonalda - stwierdziła, rzucając mu zaciekawione spojrzenie. Milczała przez chwilę z taką miną, jakby nagle coś ją olśniło. - Oczywiście! Ależ gapa ze mnie! Zapomniałam o tej małej wnuczce MacDonalda. Choć, prawdę mówiąc, nie przy-szłoby mi do głowy, że może być w twoim typie.

- To nie z jej powodu mam zamiar tu wrócić.

- Więc dlaczego?

- David MacDonald ma dla mnie załatwić pewien drobiazg w St. Abb's.

- W St. Abb's?

- Wybiera się do opactwa św. Bathana, a to niedaleko St. Abb's.

- Tak? Nie wiedziałam, że masz tam jakieś interesy.

- Jeszcze wielu rzeczy o mnie nie wiesz, Annoro - mruknął Fletcher, który właśnie uświadomił sobie, że i tak powiedział już za wiele.

- Możesz zatrzymać się u mnie, dopóki MacDonald nie wróci. Zaoszczędzisz sobie trudów podróży - kusila Annora.

- Dziękuję za zaproszenie, ale moja ciotka zaczyna się niecierpliwie i chce, żebym wracał. Są pewne sprawy, którymi muszę się zająć w Caithness.

- Dobrze. - Westchnęła i zerknęła na niego z ukosa. - Tym razem przyjmuję odmowę. Wiem, kiedy się wycofać.

- Przecież nie odmawiam, odraczam tylko wizytę - powiedział z uśmiechem.

- To już brzmi lepiej. Obiecuj, że odwiedzisz mnie zaraz po powrocie.

- Obiecuję.

- Jakoś trudno mi w to uwierzyć. - Uśmiechnęła się, dając woźnicy znak, by ruszył.

Powóz potoczył się uliczką. Fletcher stał bez ruchu i odprowadzał go wzrokiem,

podziwiając biegłość Annory w zdobywaniu informacji. Potrząsnął głową.

Była wyjątkowo ciekawską kobietą.

Przeszedł przez ulicę i nagle się zatrzymał, wspominając słowa, które matka powtarzała zawsze, gdy któreś z dzieci zdradzało nadmierną ciekawość:

- Pamiętaj, co się przydarzyło żonie Lota.

14

Dwa tygodnie po przyjeździe do Caithness Fletcher dostał wiadomość o śmierci Davida MacDonalda. Natychmiast po wyjściu posłańca poszedł powiadomić o tym ciotkę.

Dorothy zacisnęła palce na poręczach fotela i w milczeniu wysłuchiwała ponurej nowiny. Potem wstała, objęła siostrzeńca i zajrzała mu w oczy.

- Zdaję sobie sprawę, że będziesz chciał tam pojechać i że nie jestem w stanie cię powstrzymać. Dobry Bóg wie, że to biedne dziecko będzie potrzebowało wsparcia. David był całą jej rodziną. Ale ty, mój chłopcze, jesteś całą moją rodziną, przynajmniej tu, w Szkocji. Zdażyłam się bardzo do ciebie przywiązać i cierpię na myśl o tym, co może cię spotkać, jeśli wrócisz do Glengarry.

- Będę ostrożny, ciociu.

- Jedź z Bogiem, chłopcze, i pamiętaj, że jeśli coś ci się stanie, to ja będę musiała przekazać tę wiadomość twojej matce. I nie wyobrażam sobie, jak mogłabym *to* zrobić

Fletcher natychmiast wyjechał do Glengarry.

Deszcz przedłużył jego podróż, bo drogi zmieniły się w głębokie błotniste bajora i nawet konie miały trudności z poruszaniem się. Fletcher postanowił zboczyć z głównej drogi i pojechać przez góry. Wreszcie zjechał w dół, minął kępę sosen i stary kamienny most, przerzucony nad wąskim strumieniem. Deszcz ustał, opadła natomiast mgła, jednak zanim wjechał w zaułki Glengarry, mgła rozwiała się i zaświeciło słońce.

Z powodu przedłużającej się podróży przyjechał do miasteczka zbyt późno, by zajechać do Cathleen. I tak ledwo zdążył do kościoła św. Andrzeja na pogrzeb.

Zsiadł z konia na dziedzińcu kościelnym i uwiązał wierzchowca. Żołądek zaciskał mu się w supeł zarówno z poczucia winy, jak i z niepokoju.

Jak zareaguje Cathleen na jego widok?

Czy będzie nim gardzić, winić za śmierć dziadka, jak on obwinił siebie? A może spotka pełną miłości i przebaczenia dziewczynę, jaka zawsze była?

Mały kościółek był pełen ludzi. Fletcher stanął z tyłu z kapeluszem w ręku i słuchał wypowiedzianych przez pastora Roberta słów pocieszenia i pochwał pod adresem Davida MacDonalda, jakich nikt nie może usłyszeć za życia.

Spojrzał na prostą sosnową trumnę. Z tej odległości nie mógł widzieć zmarłego, zresztą wcale tego nie pragnął. Wołał zachować go w pamięci takiego, jakiego zapamiętał z ich ostatniego spotkania. Słuchając słów pastora, rozglądał się za Cathleen, za jej niezwykle włosami barwy czerwonego wina. Nigdzie nie mógł jej dostrzec i jego frustracja i trwoga zdążyły urosnąć do niebywałych rozmiarów, zanim uświadomił sobie, że ta okryta czarnym welonem postać na przedzie to pewnie ona.

Taka drobna i złamana. Nie musiał widzieć twarzy dziewczyny, by wiedzieć, że jest biała jak płótno, a fioletowe oczy są zamglone i przepełnione bólem. W tym momencie marzył tylko o jednym: żeby to on został znaleziony na skałach martwy, ze skrzyconym karkiem, a nie David. Jakże mógł powiedzieć tej dziewczynie o swoim smutku, o sercu, które bolało, jakby miało zaraz pęknąć, skoro to on naraził ją na takie cierpienie? Cathleen... Cathleen... wybacz mi... kochaj mnie! - wołał w duchu i serce ścisnęło mu się w bólu.

Modlił się, by David mu wybaczył, i obiecywał, że będzie się opiekował Cathleen aż po kres swoich dni. Myślał o człowieku, który za życia tak wielu osobom udzielał wsparcia i którego odejście tylu ludzi pogłężyło w smutku. O człowieku, którego śmierć z pewnością nie była skutkiem wypadku.

Oczywiście mówiono, że to wypadek, że coś musiało spłoszyć konia Davida, kiedy jechał brzegiem urwiska, opadającego niemal pionowo ku morzu. To były najwyższe klify na wschodzie Szkocji, ponad dziewięćdziesięciometrowe. Młody człowiek, przez którego Robert Cameron przysłał do Caithness tę wiadomość, mówił, że nie wiadomo, dlaczego powóz spadł w przepaść i roztrzaskał się o skały. Posłaniec jedno tylko mógł powiedzieć:

- Pastor skrzył kark. Kiedy go znaleziono, leżał spokojnie na posłaniu z firletki i korzeni dzikiej róży. Straszny, tragiczny wypadek.

Tragiczny wypadek...

Fletcher niemal prychnął, bo zbyt wiele podobieństw łączyło śmierć Davida i Bruce'a Ramsaya, by można było je uznać za przypadkowe.

Po nabożeństwie, kiedy żałobnicy zaczęli wychodzić z kościoła, by udać się na cmentarz, stanął z boku i próbował zwrócić na siebie uwagę Cathleen w nadziei, że uda mu

się spędzić z nią parę chwilę. Patrzył, jak dziewczyna przyjmuje kondolencje, co chwila otwierając ramiona i obejmując ludzi, wyrażających smutek i żal.

Fletcher czuł, że nie potrafi dłużej trzymać się od niej z daleka, i właśnie próbował utworować sobie drogę przez tłum, ale kiedy dotarł do kościelnych drzwi, jej już tam nie było. Rzucił się pędem, jakby go sam diabeł gonił, roztrącał ludzi i deptał im po nogach, by dogonić Cathleen, zanim opuści kościelny dziedziniec.

- Cathleen! - zawołał, kiedy udało mu się dostrzec dziewczynę, stojącą pod uschniętymi gałęziami drzewa, przez co wydała mu się jeszcze bardziej samotna, a czerń sukni żałobnej i szara kora drzewa sprawiały, że jej twarz była upiornie blada. Gdy podniosła wzrok, zobaczył przez okrywający ją czarny welon cień smutku na jej twarzy. Była taka blada i taka śliczna w swej rozpacz. Taka niesamowicie piękna.

Wiedział, w którym momencie go dostrzegła. Serce mu stanęło. A jeśli odwróci się od niego? Z przerażeniem obserwował, jak Cathleen zamiera i przez chwilę nie jest w stanie wydobyć z siebie głosu. Potem jednak odwróciła się, powiedziała coś do stojącej obok kobiety i ruszyła w jego stronę. Serce znów zaczęło mu bić. Odetchnął z ulgą.

- Och, Fletcher! - zawołała przez łzy. Podniosła welon i zaczęła ocierać oczy wierzchem dłoni. Serce mu się ścisnęło na ten widok.

Chodź do mnie, Cathleen, śliczna Cathleen, tak przeraźliwie smutna. Chodź do mnie i pozwól mi dzielić swoją rozpacz. Złóż głowę na moim ramieniu. Pozwól, bym dodał ci sił. Pozwól mi trzymać cię w ramionach, dopóki ból nie ucichnie. Pozwól, bo muszę wiedzieć, że widzisz moje cierpienie. Pozwól, żebym miał pewność, że nie winisz mnie za swoje nieszczęście. Nie odtrącaj mnie. Kocham cię... Dobry Boże, spraw, by nie było za późno.

- Cieszę się, że jesteś tutaj - powiedziała, podniosła głowę i spojrzała na niego.

Nie mógł wydusić z siebie ani słowa, bo te, które przychodziły mu na myśl, nie były w stanie wyrazić jego bólu. Te niewypowiedziane słowa splątały się razem, tworząc kulę dławiącą go w gardle. W milczeniu otworzył ramiona i Cathleen wsunęła się w jego objęcia. Dopiero kiedy przycisnął ją do piersi i usłyszał jej cichy płacz, był w stanie się odezwać.

- Tak mi przykro, Cathleen. Tak strasznie mi przykro.

- Och, Fletcher, bałam się, że nie przyjedziesz.

Spojrzał w jej fiołkowe oczy, zasnutę mgłą smutku.

- Nie wiedziałas, że gotów byłbym przebyć choćby piekło, by przyjechać do ciebie? -
Aż do bólu pragnął ją teraz pocałować.

- W głębi serca wiedziałam, ale i tak się bałam. Och, Fletcher, tak strasznie za nim tęsknię. Jak ja mam bez niego żyć?

Chciał coś powiedzieć, ale w tym momencie podszedł do nich pastor Robert, przywitał się z nim i powiedział, że czas jechać na cmentarz. Cathleen spojrzała jeszcze przeciągłym wzrokiem na Fletchera, a potem odwróciła się do pastora i pozwoliła mu wziąć się pod rękę. Ruszyli wolno w stronę karawanu, który miał zabrać jej dziadka w ostatnią podróż.

Nagle dziewczyna stanęła i obejrzała się przez ramię na Fletchera.

- Będziesz na cmentarzu, prawda?
- Oczywiście, że będę - odpowiedział miękko.

Stał na dziedzińcu kościelnym i odprowadzał wzrokiem procesję żałobników, ciągnącą krętymi uliczkami w stronę cmentarza. Potem mszył w stronę swego konia, by zająć miejsce w orszaku pogrzebowym.

- Fletcher! Fletcher Ramsay! - usłyszał kobiecy głos.

Zobaczył spowitą w czarne jedwabie Annorę Fraser, pospiesznie torującą sobie drogę. Jego serce było ciężkie od smutku. Kobieta, którą kochał, bardzo go teraz potrzebowała. Nie miał najmniejszej ochoty na pogawędkę z Annorą.

Kiedy podeszła bliżej, zauważył, że czarny jedwab jej sukni ma zielony połysk, a czarny kapelusz, przybrany mieniącymi się zielonymi piórami, to najnowszy krzyk mody. A jednak na jej widok serce nie biło mu tak, jak na widok Cathleen w prostej muślinowej sukience i słomianym kapeluszu z postrzępionymi satynowymi wstążkami.

- Nie do wiary! Cieszę się, że cię widzę.

Westchnął. Nie chcę być z tobą, potrzebuję Cathleen, pomyślał.

- Witaj, Annoro. - Jego głos był bezbarwny, wyprany z wszelkich emocji.

- Miałam nadzieję, że cię tu spotkam. To okropne, co się stało. - Było nieco zdyszana po szybkim marszu.

- Tak, to straszne. Nie wiedziałem, że tak dobrze znałaś starego pastora.

Annora uśmiechnęła się i pogładziła go po ramieniu.

- Wszyscy w górach dobrze go znali. Był tego typu człowiekiem. Ale porozmawiajmy o czymś przyjemniejszym. Bardzo się cieszę, że cię widzę. Tęskniłam za tobą.

Fletcher usunął ramię spod dłoni Annory, ona jednak zdawała się tego nie zauważać.

- Widzieliśmy się dwa tygodnie temu.

- Dla mnie to bardzo długo, zwłaszcza że czekałam na ciebie w Dunston. Nieładnie z twojej strony, że nie przyjechałeś. - Kroczyła z uśmiechem u jego boku.

- Byłem zajęty.

- Nie w Caithness - rzuciła. - Wpadłam na pogawędkę z twoją ciotką... oczywiście w nadziei, że cię tam spotkam. Powiedziała, że nie będzie cię przez dłuższy czas, lecz nie

chciała mi zdradzić, dlaczego i dokąd wyjechałeś.

Fletcher nie był w stanie powstrzymać uśmiechu, rozbawiony tym, że ciotka Dorothy odesłała Annorę z niczym, a jemu nawet słówkiem nie pisnęła o tej wizycie. Trzeba czegoś więcej niż wdzięki Annory Fraser, by skłonić do kapitulacji tę srogą i wierną szkocką fortecę, ciotkę Dorothy, którą zdążył już poznać i pokochać.

- Ciotka nie lubi rozmawiać ani o swoich sprawach prywatnych, ani o interesach. Jest niezwykle skryta - odpowiedział.

- Bardziej pasowałoby do niej określenie: buldog. Ale nie zamierzam rozmawiać o twojej ciotce, która pilnuje cię jak pies. Powiedz, co cię sprowadza z powrotem do Glengarry?

- Pogrzeb.

- To wiem. Czuję jednak, że masz zamiar zostać tu dłużej. -Spojrzała na niego z domyślnym uśmiechem.

- Dlaczego tak sądzisz?

Przez ułamek sekundy miała niepewną minę, lecz natychmiast pokryła niepokój uśmiechem.

- Ja... rozmawiałam przed pogrzebem z pastorem Robertem. Powiedział, że wynajmowałeś od Davida chatę zagrodnika, o czym nie raczyłeś mi powiedzieć tego dnia, gdy spotkaliśmy się w mieście. Uznałam więc, że załatwiłeś swoje sprawy w Caithness i wracasz do swej przytulnej małej chatki.

- Przyjechałem na pogrzeb - powtórzył. - Jeszcze nie wiem, jak długo zostanę.

- Tylko coś szalenie ważnego mogło cię zmusić do porzucenia wspaniałego zamku Caithness i zamieszkania w chacie zagrodnika.

- Przecież wtedy, jak spotkaliśmy się w Glengarry, mówiłem ci, dlaczego przyjechałem, pamiętasz?

Annora pogładziła palcem policzek Fletchera, a potem przesunęła dłoń na jego usta.

- Jaki tajemniczy. Chyba wiesz, że to tylko pobudza kobiecą ciekawość.

- Doprawdy?

- Oczywiście, a ponieważ jestem nie tylko ciekawa, ale i bezwstydna, nie przestanę się dopytywać, co też może cię interesować w takiej nudnej małej dziurze jak Glengarry.

Nie miał zamiaru niczego jej wyjaśniać. Na szczęście doszli właśnie do miejsca, w którym uwiązał konia.

- Zaproponowałbym ci podwiezienie, ale sama widzisz, że przyjechałem konno - rzekł, wskakując na siodło.

- Mam tu swój powóz. Muszę ci jednak powiedzieć, że gdyby to była jakakolwiek

inna uroczystość, a nie pogrzeb, zebrałabym spódnice i usiadłabym za tobą w siodle.

Fletcher nie odezwał się. Wiedział, że ta kobieta byłaby gotowa to zrobić.

- Do widzenia. - Uchylił kapelusza i skierował konia na drogę. Jego myśli były już przy Cathleen. Zastanawiał się, co jej powie, gdy zostaną sami.

Pogrążona w smutku Cathleen jechała u boku Roberta Camerona. Och, dziadku, dlaczego musiałeś umrzeć? Dlaczego musiałeś mnie zostawić? Co ja teraz zrobię? Dokąd pójdę? Co będzie z twoimi ukochanymi psalmami? Nie zgadzam się na twoją śmierć...

Ale on był martwy i żadne żale ani zaprzeczenia nie mogły tego zmienić. Cathleen ogarnęła rozpacz. Nie rozumiała, jak ludzie dalej żyją po takiej stracie. Gdzie szukają sił, by wstawać co rano z łóżka i stawiać czoło nadchodzącemu dniu?

- Jak się czujesz, moje dziecko? - Robert nakrył ręką dłoń dziewczyny i lekko ją uściskał.

- Jak ktoś, komu pękło serce - odpowiedziała cicho.

- Nic nie może złagodzić takiego bólu - rzekł, kiwając głową. - Jedyne czas. W pewnym sensie rozpacz jest lekiem na samą siebie.

- Moje serce umarło.

- Jest tylko odrętwiałe, lecz ciągle bije. Bóg nie pozwoli, byś cierpiała zbyt długo.

- W tej chwili trudno mi w to uwierzyć.

- Z czasem uwierzysz.

- Tak, kiedy cukier zmieni się w sól.

- Bóg ześle ci spokój.

Ale Cathleen, pogrążona w żalu i rozpaczach, już go nie słuchała.

Na cmentarzu, podobnie jak w kościele, Fletcher trzymał się z tyłu. Wolał zachować dystans nie dlatego, że nie chciał być przy Cathleen, ale ze względu na Adaira. Wolał, by ten nie widywał go zbyt często przy dziewczynie. Chodziło mu także o Cathleen. Zawsze była rozważna, ale bał się, że gdyby go w tej chwili zobaczyła, mogłaby stracić panowanie nad sobą. Obserwował ją z daleka i nawet przez zasłaniającą twarz woalkę widział zagubione spojrzenie i rozpaczliwy smutek, zasnuwający jej śliczne rysy.

Na siłę opanował się i zmusił do pozostania z tyłu. W tej chwili marzył tylko o tym, by porwać ją w objęcia i trzymać w ramionach, dopóki Adair Ramsay nie sześcnie w piekle.

Rozglądał się po tłumie zebranych i nagle krew zakrzepła mu w żyłach, bo kilka

metrów od Cathleen dostrzegł tego drania. Adair we własnej osobie.' Fletcher wpadł w furie, gdy uświadomił sobie, że człowiek odpowiedzialny najprawdopodobniej za śmierć Davida najspokojniej w świecie przyszedł na jego pogrzeb. Mało brakowało, a przystaby cieniutka nie samokontroli i Fletcher nie zdołałby się powstrzymać od natychmiastowej konfrontacji.

Po lewej ręce jego wroga stało dwóch mężczyzn, których nie znał. Po prawej rozpoznał Gavina MacPhaila. W tej samej chwili Adair podniósł wzrok, pochwycił spojrzenie Fletchera i w jego oczach pojawił się błysk triumfu.

Fletcher poczuł, że twarz mu czerwienieje i ręce same zaciskają się w pięści. Adair był winien tej zbrodni, teraz już nie miał najmniejszych wątpliwości. Czas najwyższy, by dowiedzieli się o tym także wszyscy obecni. Powie im to natychmiast po rozkwaszeniu gęby tego mordercy. Pchany furia, jakiej jeszcze nigdy dotychczas nie doświadczył, zrobił krok w stronę Adaira, ale w tym momencie Cathleen poruszyła się i jej głowa znalazła się w polu jego widzenia.

Zaklął bezgłośnie i zatrzymał się.

Widok Cathleen przywołał go do porządku równie skutecznie jak wylany na łeb kubek zimnej wody. Nie wolno mu rzucić wyzwania Adairowi tutaj, podczas pogrzebu, bo to tylko przysporzyłoby jej cierpienia, a Bóg jeden wie, że doznała go już i tak więcej, niż mogła znieść.

Zacisnął zęby i powiedział sobie, że jeszcze będzie miał okazję.

Po chwili znów zerknął na wroga. Ten sukinsyn był winien jak sto diabłów. Fletcher jeszcze nigdy w życiu nie musiał okiełznać tak potężnej furii. Mógłby go zabić gołymi rękami i, na Boga, niczego bardziej nie pragnął. Chciał dusić go tak długo, aż oczy wyjdą mu z orbit. Chciał patrzeć na jego śmierć, jak tamten patrzył na śmierć jego ojca i Davida.

Fletcher sam nie wiedział, skąd znalazł w sobie taką siłę woli. Popatrzył na Cathleen i dzięki temu udało mu się usunąć z głowy myśli o konfrontacji z Adairem, o morderstwie, oszustwie, kradzieży, o małym draniu, który zniszczył życie tylu ludziom. Z żelazną wolą zepchnął te myśli w najodleglejsze zakątki mózgu i opanował się. Zdawał sobie sprawę, że gdyby Cathleen rzuciła mu jedno spojrzenie, natychmiast dostrzegłaby w jego twarzy gniew. Patrząc na nią z oddali, błagał w myśli: Cathleen, ty jesteś moim schronieniem i moją siłą. Daj mi swą miłość, wspaniałomyślność i zrozumienie. Złagodź gniew i obsesyjne pragnienie zemsty, które toczy mnie jak robak. Kochaj mnie. Wybacz mi. Pomóż mi być człowiekiem.

Podszedł do dziewczyny, ujął jej dłoń i lekko ją uścisnął. Nie odezwał się; stał w milczeniu u jej boku i miał nadzieję, że wyczuje jego miłość, jakby ręka, w której trzymał jej dłoń, mogła przekazać wszystkie jego uczucia, których nie potrafił przekazać słowami.

Kiedy nadszedł czas, by Cathleen rzuciła garść ziemi na trumnę dziadka, ramiona jej zadrżały. Fletcher usłyszał ciche łkania, mimo że dziewczyna zasłoniła usta chusteczką. Pragnął objąć ją i mocno przytulić, udzielić jej wsparcia, na jakie tylko było go stać, ale nie śmiał. Gdyby zachował się tak na oczach Adaira, naraziłby ją na niebezpieczeństwo. Robił więc, co mógł, by przekonująco odegrać rolę oddanego przyjaciela: puścił rękę Cathleen, ale trzymał się blisko dziewczyny, mając nadzieję, że ona zrozumie, Adair zaś nie.

Rozejrzał się i zobaczył, że wszystkie twarze wyrażają smutek. Nawet najtwardsi Szkoci, najbardziej skryci mężczyźni nie byli w tej chwili w stanie ukryć uczuć.

Jeden tylko człowiek wydawał się nieporuszony. Pozbawionymi wyrazu oczami wpatrywał się w czarną dziurę w ziemi, do której spuszczano trumnę Davida MacDonalda, jakby chciał się upewnić, że stary pastor zostanie w niej już na wieki.

Fletcher przesunął się nieco, by znaleźć się za plecami Cathleen i dać jej oparcie swym silnym, ciepłym ciałem. Starał się wesprzeć ją na duchu, szepcząc cicho słowa pocieszenia i zapewnienia, że jest przy niej.

Raz tylko spojrzał ponad głowę dziewczyny na swego wroga, który stał obok swego powozu i obserwował ich. Adair odwrócił się, jakby wyczuł jego wzrok. Zanim wsiadł do czarnego powozu z herbem księcia Glengarry, zatrzymał się, by powiedzieć kilka słów do Annory.

Fletcher nie mógł ich dłużej obserwować, bo w tym momencie Cathleen odwróciła się do niego. Z sercem pełnym pragnienia zemsty Fletcher Ramsay, noszący szkocki tytuł książęcy i stare szlacheckie nazwisko, stał i patrzył na twarz kobiety, którą pokochał, na jej smutek i cierpienie, i czuł się całkowicie bezradny.

- Przepraszam. Chciałabym tu z tobą zostać, ale muszę iść. - Cathleen otarła łzy. Wspięła się na palce i pocałowała go w policzek. - Pastor Robert na mnie czeka. Dziękuję, że przyjechałeś. Nie wiesz, ile to dla mnie znaczy. Proszę, przyjdź później zobaczyć się ze mną.

I podeszła do wielebnego, który czekał, by pomóc jej wsiąść do powozu.

Wiatr przywiał znad morza gęste kłęby ciężkiej mgły, która po chwili zgęstniała jeszcze bardziej i zmieniła się w ołowiane chmury. Zaczęły kapać pierwsze krople deszczu. W oddali rozległ się niski, ponury grzmot. Fletcher stał bez ruchu jeszcze dłuższy czas po odjeździe Cathleen i zastanawiał się, co dalej ze sobą robić.

Gdy błyskawica rozdarła ciemne niebo, rzucił ostatnie pożegnalne spojrzenie na grób Davida. Podeszedł do tańczącego nerwowo konia, którego płoszyły grzmoty i błyskawice, i wskoczył na siodło, cały czas zastanawiając się nad tym, co zrobić.

Pragnął zostać w Glengarry i udowodnić, że Adair miał coś wspólnego ze śmiercią

Davidą. Z drugiej jednak strony chciał znaleźć się tak daleko od Cathleen, jak to tylko możliwe... by ją chronić. Zdawał sobie bowiem sprawę, że teraz, po śmierci jej dziadka, Adair nie zawaha się skrzywdzić dziewczyny, jeśli dojdzie do wniosku, że jest w jakiś sposób związana z Fletcherem, choćby więzami przyjaźni. Ten wzgląd zadecydował i Fletcher postanowił osobiście udać się do St. Abb's.

Ale przecież kiedy zmierzał do Glengarry, myślał jedynie o tym, żeby spotkać się z Cathleen.

Teraz modlił się, by Bóg dał mu dość siły, żeby trzymał się od niej z daleka.

Adair Ramsay był człowiekiem śmiertelnie niebezpiecznym. Nie próbował tego ukrywać. Jego dom był doskonale strzeżony. Książę był silnym, okrutnym człowiekiem, bez krzty współczucia, człowiekiem, który już dawniej zabijał. Nie wzdragał się przed zrobieniem tego, co uznał za konieczne. Gotów był zrobić wszystko, by usunąć każdego, kogo uważał za wroga.

A teraz wiedział, że ma wroga. Wroga nazwiskiem Fletcher Ramsay. Podjął już decyzję, co należy zrobić. Wezwał Annorę Fraser, by pomogła mu wprowadzić w życie jego plan.

Annora przybyła do zamku Glengarry późnym wieczorem. Adair czekał na nią w gabinecie.

Zatrzymała się kilka kroków od biurka i zaczęła zsuwać z dłoni skórkowe rękawiczki. Adair zdawał sobie sprawę, że za wszelką cenę próbuje robić wrażenie spokojnej i niewzruszonej, ale dostrzegł spojrzenie, jakim omiotła pokój, zauważył także leciutkie drżenie jej rąk. Łatwo nią będzie manipulować. Wiedział o tym już w chwili, gdy weszła do gabinetu. Lęk, który w niej dostrzegł, wywołał w nim poczucie triumfu.

- Spóźniłaś się - powiedział.

- Nie mogłam przyjechać wcześniej. - Jej głos był chłodny i niewzruszony, lecz dłonie nerwowo skręcały rękawiczki.

- Nie lubię spóźnialskich. Usiądź. - Wskazał jej miejsce po drugiej stronie biurka.

- Dziękuję. - Osunęła się z wdziękiem na obite skórą krzesło. Zauważył, że siedzi wyprostowana, a jej drobna sylwetka robi

wrażenie zagubionej i łatwej do zranienia. To mu się spodobało.

- Przypuszczam, że jesteś ciekawa, dlaczego po ciebie posłałem.

- Owszem, jestem.

- O czym rozmawiałaś z księciem Caithness?

- Chodzi ci o dzisiejszą rozmowę podczas pogrzebu?

- Tak- odpowiedział, zastanawiając się, czy były i inne rozmowy.
- Zapytałam go, co robi w Glengarry.
- Co odpowiedział?
- Że przyjechał na pogrzeb.
- I uwierzyłaś mu?
- A nie powinnam?

Adair siedział w milczeniu. Zwrócił uwagę, że Annora woli nie patrzeć mu w oczy. Bała się.

- Wasza wysokość zapewne pamięta, że kiedy spotkaliśmy się poprzednio w miasteczku, Fletcher powiedział, że matka prosiła go, by pojechał do Glengarry i odwiedził starego pastora. -Mówiła z pewnością siebie, ale Adair wiedział, że wcale się tak nie czuje.

- Zdradził ci dlaczego?
- Powiedział tylko, że bardzo go lubiła.
- Co wiesz o przeszłości Fletchera Ramsaya?
- Tylko tyle, że jego matka była siostrą ostatniego księcia Caithness i że wyszła za

Amerykanina.

- Wiesz, że ojciec Fletchera był przede mną księciem Glengarry?

Annora robiła wrażenie całkiem zaszokowanej.

- Nie... ja... to znaczy... nie miałam pojęcia. Jeśli ojciec Fletchera był księciem Glengarry, to w jaki sposób ty...

- Nieważne, w jaki sposób. Dość powiedzieć, że rodzina Fletchera bezprawnie odebrała tytuł mojej kilka pokoleń temu. Dopiero po latach intensywnych poszukiwań udało mi się znaleźć przekonujące dowody oszustwa. Sprawa trafiła przed sąd, który przyznał mi tytuł. Działo się to przed laty, zanim jeszcze wyszłaś za mąż i przyjechałaś w te strony. Dzisiaj wszyscy znają i uznają jedynie mnie za prawowitego księcia Glengarry.

- Co to ma wspólnego ze mną? - zapytała ze ściągniętą, zaniepokojoną twarzą.
- Dlaczego interesujesz się Fletcherem Ramsayem?

- To chyba oczywiste. - Annora uśmiechnęła się lekko. Gdy Adair na nią spojrzał, uśmiech natychmiast zniknął z jej

ust. Siedziała bez ruchu, z nieprzeniknioną twarzą, jak kamienny posąg.

- To oczywiste, owszem, ale nie odpowiedziałaś na moje pytanie, Annoro. Jakiego rodzaju jest twoje zainteresowanie?

- Osobiste.
- Na ile osobiste? - Świdrował ją oczami.

- Tak bardzo, jak to tylko możliwe. - Próbowała być dowcipna, ale on nawet się nie uśmiechnął. - Intryguje mnie. Jest bardzo atrakcyjnym i pociągającym mężczyzną. Skłamałabym, gdybym powiedziała, że nie chciałabym, aby sprawy między nami zaszły odrobinę dalej. Nie rozumiem natomiast twojego zainteresowania tą sprawą.

- To może mieć wpływ na los hipoteki na Dunston. Annora pochyliła się do przodu i położyła ręce na blacie biurka.

- Obiecywałeś, że nigdy nie będziesz żądał ode mnie cała kowitego i zupełnego podporządkowania. Po śmierci mojego męża dobiliśmy targu. Weksle hazardowe Simona w zamian za moje łaski od czasu do czasu. Jedno spotkanie, jeden weksel. Nie możesz...

- Uspokój się, Annoro. I pozwól mi dokończyć. Mam dla ciebie propozycję. Wiem, że nie byłaś zachwycona koniecznością ogrzewania mojego łóżka przez ostatnie kilka lat po śmierci mojej żony. Co byłabyś gotowa zrobić, żebym oddał ci wszystkie pozostałe weksle z hipoteki na Dunston?

- Wszystkie naraz? - Była wyraźnie podejrzliwa.

- Tak, wszystkie naraz.

Spojrzała mu prosto w oczy. Nie była głupia. Adair wiedział doskonale, że byłaby zachwycona, gdyby udało jej się spłacić wszystkie długie karteciane sędziwego męża, lecz była na tyle inteligentna, że zachowała ostrożność. Wiedział także, że zna go na tyle dobrze, by nie spodziewać się po nim dobrych uczynków, jeśli nie widział w tym własnego interesu.

- A dlaczego miałbyś to dla mnie zrobić?

Uniósł w górę brew.

- Dlaczego? Bo chcę w zamian czegoś od ciebie.

- Czego?

- Chcę, żebyś związała się z księciem Caithness. Chcę znać każdy jego krok, każdy jego plan.

- Innymi słowy chcesz, bym była twoim szpiegiem - podsumowała z kamienną twarzą.

- Owszem, jeśli koniecznie chcesz tak to ująć. - Uśmiechnął się zimno. - Ja wolę uważać to za korzystną wymianę. Ty chcesz mieć księcia w łóżku... i ja chcę żebyś go miała.

Widział, że ten pomysł z każdą chwilą bardziej przypada Annorze do gustu. Obserwował Fletchera i Cathleen Lindsay w czasie pogrzebu. Bez trudu dostrzegł, że łączy ich nie tylko żałoba. Jeśli Annora tak interesuje się księciem, jak twierdzi, to także musiała to dostrzec.

- I co ty na to? - zapytał Adair.

- Podoba mi się ten pomysł.

- Zawsze uważałem cię za bystrą kobietę - oświadczył, wstając z fotela. - Jestem pewien, że nie będziesz miała nic przeciwko zaproszeniu go do Dunston.

- Już go zaprosiłam - odpowiedziała z ulgą.

- Kiedy przyjedzie, pamiętaj o swoich interesach. Wolę nawet nie myśleć o tym, co mogłoby się wydarzyć, gdybyś próbowała mnie oszukać.

Twarz Annory pobrała, ręce zaczęły jej drżeć. Adair na widok jej lęku i słabości poczuł przypływ sił.

- Rozumiem - wydusiła rozdygotanym głosem.

- To dobrze. Cieszę się, że się porozumieliśmy. Wstała.

- Ale ty... nie masz zamiaru go zabić, prawda?

Adair obszedł biurko.

- Oczywiście, że nie. Przecież w takim wypadku nie zaprzętałbym sobie głowy nakłanianiem cię, byś informowała mnie o jego planach. Chcę go tylko zniechęcić, rzucać mu kłody pod nogi.

- Skąd mam wiedzieć, że to prawda?

- Moja droga Annoro, gdybym chciał wyrządzić temu chłopcu krzywdę, już dawno bym to zrobił. - Z miny Annory wywnioskował, że ją przekonał.

- Tak, przypuszczam, że masz rację.

- Zawsze mam rację - stwierdził z uśmiechem, czując przypływ energii.

Po kilku minutach Annora weszła do stajni i poprosiła chłopca stajennego, by wyprowadził jej konia.

- Witaj, Annoro.

Zadrzała. Ten głos wydawał jej się znajomy.

Odwróciła się i ze zdziwienia głośno wciągnęła powietrze. Mężczyzna był bardzo wysoki, masywnie zbudowany, o dużej, czerstwej twarzy i pełnych dobroci, niebieskich oczach.

Znała te oczy. Stała, mrugając z niedowierzaniem.

- Nie poznajesz mnie, Annoro?

- Mój Boże! Angus McTavish!

- Właśnie.

- Nie miałam pojęcia, że tu jesteś. To już tyle lat!

- Tak, sporo. Ściśle mówiąc, dziesięć.

Rozejrzała się po stajni.

- Co tutaj robisz?

- Pracuję u księcia. Zajmuję się końmi.

- Mogłam się domyślić. Zawsze przepadałeś za końmi, jeśli dobrze pamiętam - odparła z uśmiechem.

- Skoro o tym pamiętasz, powinnaś pamiętać także i to, że swego czasu byłem w tobie zakochany.

- To było bardzo dawno. Jesteśmy już innymi ludźmi. -Annora odwróciła wzrok.

- To prawda, jesteśmy. A przynajmniej ty jesteś, bo są tacy, którzy nie potrafią zapomnieć.

- Są sprawy, o których lepiej nie pamiętać - powiedziała i wyjęła z kieszeni rękawiczki. - Tamto życie zostawiłam za sobą. I nie chcę, byś mi o nim przypominał.

- Tak, widzę, że teraz jesteś elegancką damą, ale nie byłaś taka, kiedy przyszedłem udzielić ci rady. I nie dałbym dwóch pensów za osobę, którą się stałaś. Teraz wtrącam się tylko dlatego, że nie mogę zapomnieć tamtej dziewczyny, którą byłaś niegdyś, i tego, co nas wówczas łączyło.

- Do czego się wtrącasz? O czym ty właściwie mówisz?

- Nie wiąż się z księciem Glengarry. To przerażający człowiek. Rozgrywka między nim a synem Bruce'a Ramsaya to nie twoja sprawa. Nie wplątuj się w nią. To mogłoby być dla ciebie niebezpieczne.

Annora roześmiała się.

- Widzę, że mimo wszystko niewiele się zmieniłeś - powiedziała, wkładając rękawiczki. - Zawsze byłeś w stosunku do mnie nadopiekuńczy, troszczyłeś się o mnie jak kwoka.

- Kochałem cię.

Głos Annory zmiękł, a w oczach pojawił się wyraz zadowolenia.

- Owszem, wiem, że mnie kochałeś... kiedyś. Ale to już dawno minęło. Upłynęło mnóstwo czasu. Wszystko się zmieniło. Ja też się zmieniłam. Przeszłość już dla mnie nie istnieje. I nie chcę, byś mi ją przypominał.

Odwróciła wzrok, lecz pamięć podsuwała jej dawno zapomniane wspomnienia. Przypomniała sobie ciało ojca, wydzielające ciężki, zgniły zapach whisky i dymu, spoconych mężczyzn i ich głośny śmiech, obmacujące ją ręce...

Tylko Angus McTavish był inny. Był wówczas taki przystojny, wysoki i dobrze

zbudowany. I traktował ją jak damę.

Dzięki pracy u ojca Annory mógł przebywać w pobliżu ukochanej. Była młoda i wrażliwa. On także był młody i pełen optymizmu. Zawrócił jej w głowie wyssanymi z palca opowieściami o tym, jak to kiedyś będzie miał wspaniałą stadninę koni, która da mu dość pieniędzy, by utrzymać Annorę na poziomie, na jaki zasługiwała.

Domyślała się już wówczas, że Angus jest w niej zakochany, i odkryła, że pociąga ją ta przystojna twarz, te fantastyczne opowieści, szacunek, z jakim się do niej odnosił. Odwzajemniła jego uczucia, pokochała go i to dzięki Angusowi poznała piękno miłości fizycznej, to on pokazał jej, jak może wyglądać wzajemny stosunek kobiety i mężczyzny.

Często się kochali i równie często rozmawiali o małżeństwie.

Ale potem pojawił się bogaty właściciel ziemski, Simon Fraser. Zaczął okazywać Annorze względy, znęcony jej młodością i niepospolitą urodą. Odwzajemniła zainteresowanie, zafascynowana jego bogactwem i pozycją społeczną, popychana też ku niemu przez ojca. Wkrótce Fraser zaczął ją otwarcie adorować. Angus poszedł w zapomnienie.

Kilka miesięcy później została żoną Simona Frasera.

I choć wyszła za kogoś innego, Angus McTavish przysiągł jej w dniu ślubu, że nigdy jej nie zapomni i że skoro nie może mieć jej, nie będzie miał żadnej i się nie ożeni.

Obrazy z przeszłości rozwiały się i Annora znów zwróciła wzrok na Angusa.

- Masz żonę?

- Nie. Mówiłem ci, że nigdy się nie ożenię, skoro nie mogę mieć ciebie.

Nie sądziła wówczas, że Angus mówi poważnie. Teraz dopiero uświadomiła sobie w pełni, jak bardzo, jak głęboko ją kochał, i poczuła ból.

- A udało ci się kiedykolwiek zdobyć wymarzone stado koni?

- Nie - odpowiedział. - Po twoim ślubie przestałem marzyć. Położyła mu rękę na ramieniu i wypowiedziała słowa, płynące

z głębi serca:

- Przykro mi, Angusie. Nigdy nie chciałam cię skrzywdzić. Zawsze byłam przekonana, że znajdziesz prawdziwą miłość, na jaką zasługujesz, że staniesz się bogaty i będziesz miał śliczną żonę i mnóstwo ukochanych i kochających dzieci.

- Mówiłem wtedy poważnie, ale czułem, że mi nie wierzysz.

- Rzeczywiście, nie wierzyłam. Ale dzisiaj to już żadna różnica - stwierdziła.

- To prawda - zgodził się Angus.

- Przepraszam - szepnęła i poczuła coś, co bardzo rzadko jej się zdarzało: wyrzuty sumienia.

Angus był grubokościstym mężczyzną o czerwonej twarzy, który przypominał jej przeszłość.

Nie potrafiła być dla niego niedobra. Przecież kiedyś go kochała.

15

Cathleen rozpaczała po stracie dziadka. Rozpaczała także po stracie Fletchera, bo jak inaczej mogła nazwać jego przedłużającą się nieobecność?

Nie rozumiała, dlaczego był tak delikatny i kochający w dniu pogrzebu, a potem stał się chłodny i obcy? Dlaczego trzymał się od niej z daleka?

Miała złamane serce, czuła się zimna i pozbawiona życia jak kamienny posąg. Straciła wszelką radość, ciepło, poczucie sensu życia. Nie potrafiła uwierzyć, że dziadek odszedł. Był wszystkim, co miała na świecie. Ciągle nie była w stanie pojąć, dlaczego musiał umrzeć.

- Bóg dał, Bóg wziął; błogosławione niech będzie imię Pańskie - szepnęła do siebie. -
Z Księgi Hioba.

Nagle stanęła jej przed oczami twarz księcia i znowu zaczęła analizować ostatnie wypadki. Czy Adair Ramsay miał coś wspólnego ze śmiercią dziadka? Czy dziadek zginął dlatego, że pomagał Fletcherowi? Serce waliło jej coraz mocniej. Nie, to niemożliwe. Nawet książę nie mógłby upaść tak nisko, by skrzywdzić człowieka Kościoła, sługę bożego. Nawet Adair nie mógłby popełnić takiej zbrodni.

Cathleen podniosła króliczka i ukryła twarz w puszystym szarym futerku. Tylko dzięki ciepłu drobnego ciała i rytmicznym uderzeniom serca zwierzątka miała poczucie, że nadal żyje. W głębi była martwa jak nadzieja, która w niej umarła, i męczące ją sny.

Postawiła królika na ziemi i poszła do kuchni. Fletcher nie przyszedł i nie przyjdzie. Zabrała się do zmywania, ale przyłapała się na tym, że raz po raz odrywa się od pracy i wygląda przez okno.

Słońce zdawało się toczyć wojnę z sunącymi po niebie ciemnymi chmurami. I nagle, w jednej chwili, słoneczny dzień zmienił się w ponury i ciemny.

Jak moje życie, pomyślała.

A potem, ni stąd, ni zowąd, słońce przedarło się przez chmury i zalało kuchnię ciepłym, jasnym blaskiem. Dziewczyna poczuła jego dotyk na twarzy i zrodziła się w niej

maleńka iskierka nadziei.

- Jeśli masz choć taką wiarę jak ziarenko gorczycy... - szepnęła. - Ewangelia według świętego Mateusza.

Tego dnia słońce nie schowało się już za chmurami.

Fletcher nie wrócił natychmiast do Caithness z dwóch powodów. Pierwszym była chęć powęszczenia w okolicy zamku Glengarry; drugim zaś Cathleen.

Po pogrzebie Davida zdał sobie sprawę, że nie powinien wrócić do chaty zagrodnika, by nie narazić reputacji dziewczyny i, co ważniejsze, nie wzbudzić podejrzeń Adaira.

Nie chciał ściągać na nią uwagi wroga. Musiał ją chronić.

W końcu doszedł do wniosku, że skoro nie może być przy niej osobiście, powinien przynajmniej znaleźć kogoś, kto będzie jej pomagać. Opłacił sąsiada dziewczyny, by pomagał jej w pracy na farmie i w opiece nad inwentarzem.

Po śmierci Davida Cathleen potrzebowała kogoś do pomocy, a Fletcher zdawał sobie sprawę, że nikogo o to nie poprosi. Ów sąsiad, Robert Skene, miał szesnastoletniego syna, Fionna, który miał świetny kontakt ze zwierzętami. Fletcher uznał, że chłopak znakomicie nadaje się do pomocy przy inwentarzu i rozmaitych osieroconych stworzeniach, które nadal znajdowały schronienie u Cathleen. Przy najmniejszej choćby wzmiance o jelonku Batszebie oczy chłopca błyszczały.

Fletcher miał jeszcze inny, ukryty motyw, szukając pomocników dla Cathleen. Wiedząc, że ktoś przy niej jest, spał o wiele spokojniej.

Zapłacił Robertowi i jego synowi za pół roku z góry i wynajął pokój w miasteczku u wdowy MacAllister, roztargnionej starszej pani, która przedstawiała mu się za każdym razem, gdy wchodził do domu.

Po dwóch dniach od pogrzebu gospodyni zatrzymała go przy wejściu.

- Dzień dobry - powiedziała. - Jestem wdowa MacAllister. A kim pan jest?

Uśmiechnął się do niej.

- Nazywam się Fletcher Ramsay, jestem księciem Caithness. Pamięta mnie pani?

- Nie - oświadczyła, przyglądając mu się krytycznie. - Czy spotkaliśmy się już kiedyś?

- Owszem, kilka razy. Wynajęła mi pani pokój, jestem więc gościem w tym domu.

- A, jesteś gościem księcia! - Uśmiechnęła się radośnie, odsłaniając przydługie przednie zęby, upodabiające ją do królika. - Jak miło! W takim razie powiedz księciu, jak

przyjdzie, że ma gościa... kobietę, która czeka na niego w salonie.

Fletcher spojrzął na panią MacAllister, na jej związany na czubku głowy koczek, który przekrzywił się na bok i zwisał nad lewym uchem, i zastanowił się, czy ma znów przypominać jej, że to on jest księciem, uznał jednak, że nie warto. Za godzinę i tak o tym zapomni. Podziękował więc pani MacAllister, obiecał powtórzyć wszystko księciu i zaproponował, że zajmie się gościem do czasu jego powrotu.

- To bardzo miło z pańskiej strony - oświadczyła starsza pani. - Jestem pewna, że księżę będzie zachwycony.

- Niewątpliwie - zgodził się Fletcher. - Gdzie jest ta młoda dama?

- W salonie.

Spodziewał się Cathleen, więc widok czekającej na niego Annory zaskoczył go całkowicie. Aż ciężko mu się zrobiło na sercu z rozczarowania. Wyglądała pięknie, jak zawsze, czarnowłosa, w niebieskiej aksamitnej sukni, przybranej czarnymi wstążkami i dżetami.

- Annoro! Cóż za miła niespodzianka - powitał ją, starając się, by w jego głosie zabrzmiała radość. - Skąd wiedziałaś, gdzie mieszkam?

Wszedł do pokoju i usiadł w fotelu naprzeciw niej. Uśmiechnęła się olśniewająco.

- Glengarry to mała miejscowość. Wszyscy tu wszystko o wszystkich wiedzą. Nietrudno było cię odnaleźć. Przeszkadzam ci?

- Ależ skąd. Ja nie z tych, którzy krzywią się na wizyty pięknych kobiet. Co cię sprowadza z Dunston?

- Ty.

- Ja?

- Nie udawaj, Fletcher. Jesteś przystojny i utytułowany... najlepsza partia w okolicy. Jestem pewna, że doskonale zdajesz sobie sprawę, iż uwodzę cię całkiem bezwstydnie. I nie próbuj mi wmawiać, że jesteś zaskoczony, iż kobieta robi, co w jej mocy, żeby się z tobą spotkać.

Uśmiechnął się, jak zwykle zaskoczony jej powalającą z nóg szczerością.

- I właśnie po to przyjechałaś? Żeby się ze mną spotkać? W oczach Annory pojawiły się iskierki rozbawienia.

- Zawsze czujny, co? No, dobrze. Będę z tobą szczerą. Przyjechałam, by zaprosić cię do Dunston na cały czas, jaki chcesz spędzić w tych stronach, aż do powrotu do Caithness. Dunston ma ci o wiele więcej do zaoferowania niż ta licha chałupina wdowy MacAllister. Ona ma okropną pamięć, ciągle zapomina na przykład, że postawiła obiad na ogniu... Nie zdziwię się, jeśli pewnego dnia spali cały dom. - Umilkła na chwilę. - A ja słynę w okolicy z gościnności. Ręczę, że w czasie wizyty nie będziesz miał powodów do narzekań na brak... rozrywki.

Fletcher był szczerze rozbawiony i nie próbował tego ukrywać. Mimo iż Annora waliła kawę na ławę, lubił ją. Może właśnie za prostotę obejścia. Może za urok osobisty, a może za uderzającą urodę. A może ze wszystkich tych przyczyn jednocześnie.

- I co pan na to, wasza lordowska mość?

- Pomyślę o tym - obiecał.

Wyraźnie przygasała.

- A o czym tu myśleć?

- Nie należę do ludzi błyskawicznie podejmujących decyzje.

- To przez nią, prawda?

- Przez kogo?

- Fletcher, jestem z tobą zupełnie szczerą i tego samego oczekuję od ciebie. Żywisz uczucie wobec wnuczki Davida MacDonalda, prawda?

- Oczywiście. Martwię się o nią. David MacDonald był długoletnim przyjacielem mojej rodziny, a ta dziewczyna nie miała poza nim nikogo. Teraz została całkiem sama. I oczywiście martwię się, co z nią teraz będzie.

Annora wstała z fotela, szeleszcząc taftową spódnicą. Obłok jej perfum zdawał się otaczać głowę Fletchera. Ta kobieta mogła należeć do niego i przez mgnienie oka ta myśl wydała mu się kusząca. Tylko umarli nie uznaliby jej za godną pożądania.

- Mylisz się, mówiąc, że jest całkiem sama. Ma ciebie.

- Dla Cathleen jestem wyłącznie przyjacielem - stwierdził Fletcher, także wstając z miejsca.

- Może tak, a może nie - skomentowała. - Ale nie o tym mówimy. Nadal chciałabym gościć cię w Dunston. Jutro znów wybieram się do Glengarry i przyjdę po twoją odpowiedź. Mam nadzieję, że będzie pozytywna.

- Niezależnie od tego, co postanowię, dziękuję za zaproszenie. - Podeszedł do drzwi.

Annora odwróciła się, podeszła do niego i uśmiechnęła się zachęcająco.

- Wiesz, że mógłbyś mi dziękować nie tylko za to zaproszenie. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

- Oczywiście, i muszę przyznać, że ta perspektywa jest nader kusząca.

- Jesteś twardym człowiekiem, Fletcher. - Wyszła za próg, zanim zdążył odpowiedzieć. -
Zatem do jutra.

Rozłożyła parasolkę i odeszła z szelestem spódnic.

Pół godziny później Annora siedziała w gabinecie Adaira Ramsaya na tym samym krześle co poprzedniego wieczoru.

- Widziałaś się z nim? - Gospodarz przeszedł od razu do rzeczy.

- Tak, zaprosiłam go do Dunston.

- Przyjedzie?

- Chce to przemyśleć. Jutro da mi odpowiedź.

- Jesteś w stanie skusić każdego mężczyzną. Co poszło nie tak?

- Dziękuję za komplement, ale rzeczywiście w tym przypadku nie mogę chyba mieć pretensji do siebie. Prawdopodobnie problem leży nie we mnie, tylko w nim.

- Co masz na myśli?

- Sądzę, że wnuczka MacDonalda bardziej przypadła mu do gustu.

- Tak ci powiedział?

- Oczywiście, że nie! Zresztą może faktycznie nie jest nią zainteresowany. W końcu bez namysłu powiedział, że przejmuje się jedynie jej sytuacją. Podejrzliwość leży jednak w naturze kobiecej... szczególnie podejrzliwość w stosunku do innych kobiet.

- Musisz go jakoś namówić, by zamieszkał w Dunston, żebyś mogła go mieć na oku. Chcę wiedzieć, dokąd chodzi, z kim się spotyka i co próbuje udowodnić.

- Zrobiłam, co mogłam - powiedziała i natychmiast uświadomiła sobie, że ta odpowiedź nie mogła się księciu spodobać. Zdenerwowała się.

Adair trzasnął ręką w stół, przewracając kałamarz. Annora wpatrywała się jak zahipnotyzowana w powiększającą się powoli ciemną plamę i, nie wiadomo dlaczego, przyszło jej do głowy, że przypomina krew.

- Musisz więc zrobić więcej, niż możesz - wycodził. - Ostrze gam. Nie zawieź mnie w tej sprawie.

Krew zastygła jej w żyłach. Wiedziała już, jak czuje się człowiek zaproszony do tańca przez diabła. Przeszył ją dreszcz.

- Powtórzyłam zaproszenie i jasno dałam do zrozumienia, że dotyczy to także i łoża. Co jeszcze mogłabym zrobić?

Adair odwrócił się w fotelu i przez chwilę wyglądał przez okno. Popadł w zamyślenie.

- Może udałoby się wykorzystać wnuczkę MacDonalda do naszych celów, niezależnie od tego, czy Fletcher jest z nią związany, czy też nie - mruknął. - Nawet jeśli on troszczy się tylko o jej pomyślność, to pewnie chciałby oszczędzić jej przykrości. Tacy jak on są zwykle niebywale pełni współczucia dla wszystkich, dla których los nie był tak łaskawy jak dla nich. Widzisz? Z każdej sytuacji można znaleźć wyjście.

- Nie mam zamiaru brać udziału w morderstwie.

- Annoro, Annoro - odezwał się zaskakująco miękkim głosem. - Czy wspominałem o morderstwie? Martwa dziewczyna nie byłaby dla nas użyteczna. Zaplanowałem po prostu małą niespodziankę, która kogoś tak opiekuńczego jak księżę Caithness musi skłonić do działania.

Annora zmarszczyła czoło, pełna nieufności wobec genialnych pomysłów Adaira. Był jak diabeł, który potrafi przyjmować różne postacie, ale obecna próba wcielenia się w rolę świetlistego anioła nie zdołała jej oszukać. Poczula suchość w gardle; przełknęła z trudem ślinę.

- Nie wiem - wykrztusiła.

- W czym problem? Powinnaś być zachwycona. Dzięki temu księżę z entuzjazmem rzuci się w twoje ramiona. A tego właśnie chcesz, prawda?

- Tak - potwierdziła, czując rosnące przerażenie. - Tego właśnie chcę.

Niespodziewana wizyta Annory i jej zaproszenie do Dunston sprawiły, że Fletcher zaczął rozmyślać nie o Annorze, lecz o Cathleen.

Późnym popołudniem doszedł do wniosku, że nie jest już w stanie dłużej trzymać się od niej z dala. Wiedział, co dziewczyna myśli. Na pewno uważała, że ją opuścił. Nie mógł jej tak ranić, nie próbując przynajmniej w jakiś sposób tego wytłumaczyć. Oczywiście wykluczone było powiedzenie prawdy - że trzyma się od niej z daleka, by nie narażać jej na niebezpieczeństwo. Jednak musiał się z nią zobaczyć, choćby pod pretekstem zabrania rzeczy pozostawionych w chacie zagrodnika.

Jadąc do Cathleen, wyczarowywał przed oczami jej obraz, uśmiech, jakim go powita. Myślał, że całkowicie nad sobą panuje, skoro udało mu się przez dwa dni powstrzymać od spotkania z ukochaną. Miał zamiar zachowywać się w sposób dyplomatyczny, dworny, ze współczuciem i delikatnością.

Nie spodziewał się natomiast, że będzie go przepełniać tak głęboka miłość.

Ta myśl uczyniła go bezbronnym. Musiał nagle uporać się z całkiem nieoczekiwaną sytuacją. Nie chciał dopuścić, by do tego doszło, ale wszystko poszło nie tak, jak miało być.

Ona musiała zmierzyć się ze swą rozpaczą.

On miał do spełnienia misję, na którą czekał przez całe życie.

To nie czas na miłość.

A jednak się zakochał. I nic już nie można było z tym zrobić. Musiał jakoś z tym żyć.

Miłość do Cathleen sama w sobie komplikowała sytuację, a na domiar złego Fletcher nie miał pojęcia, jak powinien się w związku z tym zachować, jak dać sobie z tym radę.

Postanowił na razie nie mówić jej o swych uczuciach, żeby jeszcze bardziej nie zagmatwać i tak trudnej sytuacji. Zobaczy się z nią, ale tylko na chwilę. I żadnych przejawów uczuć. Żadnych emocji.

Mogę to zrobić, wmawiał sobie. Dam radę. Jestem silny...

Cathleen usłyszała stukot końskich kopyt i zanim jeszcze wyrzała przez okno, wiedziała, kto nadjeżdża. Odsunęła firankę i patrzyła zachwycona, bo wjeżdżający na podwórze Fletcher wyglądał tak pięknie, jak żołnierz z oddziału kawalerii górskiej Jej Królewskiej Mości.

Podbiegła do drzwi i otworzyła je gwałtownym szarpnięciem, zanim jeszcze gość zeskoczył z siodła. Gdy tylko dotknął stopami ziemi, rzuciła mu się w ramiona.

- Myślałam, że już nigdy nie przyjedziesz - szepnęła z ustami wtulonymi w jego pierś.
- Jeszcze nigdy nie czułam się taka samotna, taka odizolowana od świata. Och, Fletcher, tak strasznie za tobą tęskniłam. Nie miałam pojęcia, czym jest samotność, dopóki nie utraciłam równocześnie dwóch najważniejszych dla mnie ludzi... ciebie i dziadka.

- Cathleen, nigdy mnie nie stracisz. Nie wiesz o tym? Zamknęła oczy i przytuliła się do niego.

- Bałam się, że wróciłeś do Caithness i już więcej cię nie zobaczę.

Jęknął, uniósł jej głowę i spojrzał w oczy.

- Cathleen, jak mogłaś pomyśleć, że mógłbym wyjechać bez pożegnania? Czy nie rozumiesz, że łatwiej mi obywać się bez powietrza niż bez ciebie?

Nie zostawiając jej czasu na odpowiedź, dotknął wargami jej ust i zaczął całować zaborczo i gwałtownie. Taki pocałunek powinien był ją przestraszyć, ale przypomniawszy sobie rozpacz, która przepełniała ją w ostatnich dniach, cierpienie, jakim była dla niej nieobecność Fletchera, silniejsze niż pustka po stracie ukochanego dziadka. Teraz wiedziała, czuła to każdym fibrem ciała, że kocha Fletchera, że to on jest tym jednym jedynym i to od chwili, gdy po raz pierwszy spojrzała na niego przy studni.

Kochać i nie móc kogoś mieć. To okropne.

- Wejźmy do środka - powiedział ochryłym głosem. Objął Cathleen i razem weszli do domu.

Zapaliła lampę, która rozjaśniła ciemności, jakie zapadły po zachodzie słońca. Potem

odwróciła się i spojrzała na Fletchera, stojącego bardzo blisko, w promieniach bladożółtego światła.

- Wiesz, dlaczego przyjechałem? - zapytał.

- Tak, żeby mi powiedzieć, że nie chcesz się już ze mną spotykać.

Nie była w stanie oderwać od niego wzroku; jego włosy wyglądały w świetle lampy jak ogień, a skóra nabrała odcienia starego złota. Cathleen zastanawiała się, czy zdoła przeżyć rozstanie z nim.

Najukochańszy, myślała. Serce mego serca. O ileż lepiej było mi na świecie, zanim uległam twoim czarom. Kochać. Pragnąć. Potrzebować tak bardzo i zostać niezaspokojoną. Jak zdołam stawić czoło kolejnym porankom, wiedząc, że wstaje następny kolejny dzień bez ciebie?

Odwróciła się od niego w obawie, że zaraz się rozpłaczę. Podeszła do fotela dziadka i usiadła.

- Nie chodzi o to, że nie chcę się z tobą spotykać - powiedział Fletcher. - Chodzi o to, co jest dla ciebie najlepsze.

- A ty oczywiście wiesz, co dla mnie najlepsze. - Cathleen nie była w stanie ukryć rozżalenia.

- Nie utrudniaj mi tego, co i tak jest dla mnie bardzo skomplikowane.

- Trudno ci mnie odepchnąć? - Skrzyżowała ramiona na piersi.

- A niech to! Nie odpycham cię. Rzecz w tym, że chwila jest nieodpowiednia. Nie możesz tego zrozumieć? Ty potrzebujesz czasu, by otrząsnąć się po śmierci dziadka, a ja muszę kontynuować poszukiwania.

Uśmiechnęła się smutno i spojrzała w oczy ukochanego.

To nie jest prawdziwy powód, pomyślała. On coś przede mną ukrywa. Jak mam sprawić, by zrozumiał, co czuję. Dlaczego tak strasznie cierpię, skoro wiem, że nigdy nie między nami nie będzie?

Fletcher podszedł do niej i ukląkł przy jej fotelu. Był tak blisko, że wstrzymała oddech.

- Cathleen...

- Nie. Nic nie mów. Proszę. Daj mi trochę czasu. Ostatnio trudno mi być silną. - Znów naszła ją chęć do płaczu, lecz próbowała powstrzymać łzy. Nie wolno jej się przed nim rozkleić. Łzy muszą poczekać, aż on odjedzie. Wtedy będą mogły popłynąć. Fletcher nie może się dowiedzieć, że ona czuje się jak stara szmaciana lalka, podarta i zapomniana.

- A niech to! - zawołał i zamknął oczy, jakby nagle poczuł ból, ale Cathleen wiedziała, że próbuje się jej oprzeć. - Jest za wcześnie, nie rozumiesz? Nie spodziewałem się

tego. Nie tutaj. Nie teraz. - Otworzył oczy, które zdawały się palić dziewczynę swym żarem. Ściągnął ją z fotela i porwał w ramiona. - Boże, pomóż mi. Pomóż nam obojgu - jęknął, przytulając ją mocno do piersi.

Przez dłuższą chwilę siedzieli razem na podłodze, obejmując się nawzajem w milczeniu. Cathleen poddała się całkowicie. Nie była w stanie mu się opierać, choć rozsądek podpowiadał, że powinna zachować ostrożność. Wstrzymała oddech, zamknęła oczy i wdychała zapach Fletchera, rozkoszując się jego dotykiem, czując jednocześnie podniecenie i niepokój. Nie powinno jej aż tak na nim zależeć.

- Cathleen, Cathleen, tak straszliwie to utrudniasz... -przerwał wreszcie ciszę.

Położyła mu palce na ustach.

- Nic nie mów - szepnęła. - Bez słów łatwiej nam się poro zumieć. Obejmij mnie.

Jęknął i ukrył twarz w jej włosach.

- Utrudniam ci, tak mówiłeś? - zapytała. - Jestem jak dziecko, które drażni złego psa. Trudno mi zrozumieć, że to się może dla mnie źle skończyć.

- To nie twoja wina. Wiem. Tyle sprzysięgło się przeciw nam. Czasem wydaje mi się, że zostaliśmy przeniesieni tu z innych czasów, wrzuceni w sam wir wydarzeń i nie umiemy znaleźć drogi powrotnej. To dla mnie niełatwe, ale zdaję sobie sprawę, że tobie jest jeszcze trudniej. Ja przynajmniej potrafię dać sobie radę z pragnieniem ciebie.

Cathleen nie odezwała się.

- Rozumiesz, co chcę ci powiedzieć?

Wyprostowała się i jej ciało zeszytywniało, gdy dotarło do niej znaczenie słów Fletchera. Czując, że serce przestało jej bić, zdobyła się tylko na cichy szept.

- Tak.

Odsunął się leciutko i spojrzał na nią.

- Nie jestem pewien, czy dobrze rozumiałaś. Rozumiem, jak się musisz czuć. Wiem, że kiedy rozum i ciało dyktują co innego, człowiek musi się czuć rozdarty. Twoje ciało mnie pragnie, Cathleen. Pragnie mnie już od dłuższego czasu.

- Tak, to prawda - szepnęła. Spojrzała mu głęboko w oczy i nabrała pewności, że on także jej pożąda. Niewiele wiedziała o tym, co się dzieje między kobietą i mężczyzną, ale odnosiła wrażenie, że Fletcherowi niełatwo przychodzi zachowanie kontroli nad własnym ciałem.

Pragnął jej. Widziała to w jego oczach, słyszała w jego głosie. Palące łzy popłynęły po policzkach dziewczyny i zaczęły kapać na jej złożone dłonie.

- Chciałabym, żeby istniał jakiś sposób -wyszeptała. -Pragnę cię, Fletcher, ale to pragnienie

nie może zostać spełnione. Jestem jak dziecko. Chciałabym mieć wszystko naraz. Pragnę cię tak bardzo, że o niczym innym nie jestem w stanie myśleć, lecz paraliżuje mnie strach, że mogłabym umrzeć taką śmiercią jak mama. Boję się tego. O te swoje lęki. Potykam się na każdym kroku. Gdybym umiała znaleźć jakieś wyjście... ale nie umiem.

Przez dłuższy czas wpatrywał się w nią, wreszcie przerwał ciszę.

- Istnieje pewien sposób - powiedział. Wziął ręce Cathleen, otoczył nimi swą szyję i przyciągnął dziewczynę do siebie. Widziała, jak jego oczy ciemnieją z namiętności, gdy pochylał nad nią głowę, i nagle stwierdziła, że bezwiednie przysuwa się do niego, wychodzi mu naprzeciw.

Miękkie, ciepłe usta mężczyzny spoczęły na jej wargach, a jego ciało napierało na nią, popychało ją do tyłu, dopóki nie spoczęła na szydełkowym dywaniku. Fletcher opadł na *nią*, a jego ciężar był dla niej upragniony i jakże cudowny.

Pocałowała go z dręczącą ją od tak dawna bolesną wręcz tęsknotą, okazując mu w ten sposób uczucia, których nie potrafiła ubrać w słowa. Odpowiedział pocałunkiem tak pełnym pożądania, że Cathleen gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Jak? Jaki to sposób? - szepnęła, uwalniając na moment usta.

- Ufasz mi?

Powierzylaby mu życie, duszę. Będzie mu ufać aż do ostatniego tchu. Zawierzy mu pod każdym względem.

- Tak, ale... - Uśmiechnęła się. - Widzisz, i znów wracają te przekłete wątpliwości.

- Za dużo myślisz. Choć raz komuś zaufaj. Zaufaj mnie. Nie skrzywdzę cię. Nie oszukam. Nie zajdziesz ze mną w ciążę, ale musisz mi zaufać. Pragnę się z tobą kochać, Cathleen. Czy zaufasz mi na tyle, by mi się oddać? Czy wystarczy ci moje słowo honoru, że nie zajdziesz w ciążę?

- Nie rozumiem. - Nie próbowała ukryć troski w głosie i błysku niepokoju w oczach.

- Zrozumiesz - rzekł miękko. - Zaufaj mi, a pokażę ci, w jaki sposób... możemy mieć to, czego oboje pragniemy.

Po raz pierwszy, od kiedy się spotkali, zahamowania Cathleen zdawały się zniknąć i poczuła się nagle swobodna jak wiatr. Oboje stali się wolni. Mogli bez przeszkód się dotykać, badać nawzajem swe ciała, czuć. Nawet nie przyszło im do głowy, że mogliby przenieść się do sypialni i zrobić wszystko, jak należy. Ba, nie pomyśleli nawet o rozebraniu się.

W ogóle nie myśleli...

Działali jedynie pod wpływem emocji, pod wpływem zbyt długo skrywanych, zbyt długo trzymany na uwięzi uczuć.

Cathleen wielokrotnie wyobrażała sobie, jak by się czuła, gdyby Fletcher był przy niej blisko, gdyby jej dotykał, lecz te wyobrażenia bardzo odbiegały od rzeczywistości. Rzeczywistość okazała się o niebo wspanialsza. W żyłach dziewczyny krążyła czysta rozkosz, a zachwyt śpiewał jej w duszy. Fletcher objął jej głowę dłońmi, całował aż do utraty tchu, a potem wyjął spinki z włosów, wplątał palce w ogniste loki i wyznał szeptem, że marzył o tym od chwili, gdy zobaczył ją po raz pierwszy.

- Od początku twoje włosy pociągały mnie najbardziej. Boże, dziewczyno, jesteś dla mnie stworzona.

Cathleen nie zdawała sobie nawet sprawy, że rozpiął guziki jej sukienki, dopóki nie poczuła, że rozwiązuje troczki koszuli. Po chwili jego gorące dłonie dotknęły jej piersi.

Przewrócił się na plecy i nagle znalazła się nad nim. Drżała na całym ciele. Zamknęła oczy i pochyliła się nad ukochanym, szukając po omacku ustami jego gorących warg. Jedną rękę oparła, dla utrzymania równowagi, na piersi Fletchera. Jej ciało płonęło pod jego dotykiem.

Czuła drżenie jego rąk i domyśliła się, że zachowanie kontroli nad sobą wymaga od niego nie lada wysiłku. Delikatnie pochylił głowę dziewczyny ku sobie i rozchylił wargi, jakby prowokując Cathleen, zapraszając ją, by pogłębiła pocałunek. Posłuchała tej niemej prośby. Gdy poczuła przepływające przez nią rozedrgane fale gorąca, jej mięśnie wreszcie się rozluźniły i ufnie opadła na niego całym ciężarem.

Cienie przeszłości i przyszłości rozwiały się jak dym, pozostały jedynie marzenia. Cathleen leżała, gładząc jego szyję i skronie. Nagle usłyszała, że Fletcher gwałtownie wciąga powietrze, sprawiło jej to dużą przyjemność. W tej pozycji, leżąc na nim, górując nad nim, czuła swą siłę, moc.

- Boże -jęknął. -Tysiące pragnień, a tak ograniczony wybór.

- Ufam ci - wyszeptała Cathleen, pokrywając jego twarz setkami pocałunków. - Ufam ci... ufam ci... ufam ci...

Tyle tylko zdołała powiedzieć, ale sądząc po jego reakcji, to wystarczyło, bo całował ją i całował, aż odchodziła od zmysłów. Ilekroć się odsuwał, jej usta niecierpliwie szukały jego ust.

- Pragniesz mnie - powiedział.

Cathleen wiedziała, że to nie było pytanie, nie mogła jednak powstrzymać się od odpowiedzi.

- Tak, aż do tej chwili sama nie wiedziałam jak bardzo. Fletcher zsunął sukienkę z jej ramion i uwolnił z ubrania.

Piersi dziewczyny ocierały się leciutko o jego twarz, a ich koniuszki stwardniały z

pożądania. Otoczył jedną brodawkę ciepłymi wilgotnymi wargami i w tym momencie z gardła Cathleen wyrwał się niski jęk. Fletcher zajął się drugą piersią, wziął do ust drugi twardy koniuszek, a jego dłoń sunęła wzdłuż nóg dziewczyny, pochwyciła spódnicę i podciągnęła ją w górę, aż do talii. Rozsunął jej nogi kolanem i wtedy usłyszał, że Cathleen gwałtownie wciąga powietrze z przerażenia.

- Chcesz, żebym przestał?
- Nie, ale boję się.
- Wiesz, co się dzieje między mężczyzną a kobietą?
- Tak, widziałam zwierzęta... O mało się nie udławił.
- Dość pospolity błąd. I dość przerażający. Uwierz mi, to nie *jest* całkiem tak samo.

Mężczyzna nie zmusza kobiety, by stanęła na czworakach, i nie wchodzi w nią od tyłu.

- Strasznie się cieszę!
- Wiesz, co się dzieje, kiedy mężczyzna wchodzi w ciało kobiety? Co sprawia, że może ona mieć dziecko?

- Tak. Męskie nasienie.
- A czy wiesz, że mężczyzna może kochać się z kobietą i nie zostawić w niej swego nasienia?

- Jak? - zapytała i wyczuła, że Fletcher się uśmiecha.
- To pytanie, o którym marzy każdy mężczyzna - wyszeptał jej do ucha. - Chodź... pokażę ci jak.

Podciągnął kolano wyżej i Cathleen gwałtownie złapała powietrze. A potem miejsce kolana zajęły jego dłonie i dziewczyna poczuła, że robi się wilgotna z pożądania. W następnej chwili zsunął jej majtki i przeniósł ręce na płaski brzuch, potem na piersi, które obejmował, gładził, drażnił, aż nabrzmiały w jego dłoniach, a wówczas zaczął okrywać je pocałunkami.

- Gdziekolwiek cię dotykam, jesteś rozkoszna. Czuję się jak dzieciak, który dobrał się do słoja z cukierkami. Sam nie wiem, po który teraz sięgnąć.

- Po usta - wyszeptała.

Słowa Fletchera działały równie podniecająco jak dotyk.

- Pocałuj mnie - szepnęła, gdy usta Cathleen zbliżyły się do jego warg. Nie miała już władzy nad własnym ciałem, które nagle stało się samodzielne, niezależne od jej woli bytem, jak pozbawiona steru łódź, która zatacza spirale, wciągana w wir namiętności. Każde dotknięcie Fletchera, każda pieszczota popychała tę łódkę - stęsknione ciało dziewczyny - w innym kierunku. Czuła się jak bezcenny brylant, którego każda płaszczyzna chwytła światło, odbija je i oślepia ją swym blaskiem.

Jak cudownie jest się z kimś kochać! Z kimś, komu można zaufać. Zaufać... Od tej chwili już zawsze będzie kojarzyć to słowo z Fletcherem. Nieważne, że kroczyła teraz ścieżką, po której nigdy jeszcze nie szła, nieważne, że zabierał ją w nieznanne światy, skoro mogła mu całkowicie i bez reszty zaufać. Wiedziała, że on zawsze dotrzymuje słowa.

- Rozpustnica - mruknął - Wiedźma, która rzuca uroki. Omotałaś mnie swoją niewinnością, swoimi dziecięcymi ustami.

To wspaniałe, że może z nim być tak jak kobieta jest z mężczyzną, a jednak nie ryzykuje tego szarpiącego serce horroru, tej paraliżującej świadomości, do czego to może doprowadzić. Jeszcze niedawno nie uwierzyłyby, że będzie w stanie kochać się z mężczyzną i nie martwić się, że może zajść w ciążę.

Zatraciła się w tym ciele napierającym na jej ciało i tylko przelotnie pomyślała, że mogłoby być jeszcze lepiej, gdyby nie jej odwieczny strach.

Cathleen poczuła, że Fletcher nie gładzi już jej piersi tylko je ssie, i nagle uświadomiła sobie, że w niezauważalny dla niej sposób zmienili pozycję, że teraz on jest nad nią i oboje są całkiem nadzy.

To ją zaskoczyło i rozbawiło. Pomyślała, że Fletcher musiał to robić nieraz, bo tylko dzięki bogatej praktyce mógł osiągnąć takie mistrzostwo w tej dziedzinie, że nawet nie zauważyła zdejmowania ubrań. Ciekawe, co jeszcze wyćwiczyłeś do perfekcji, Fletcherze? Nie, nic nie mów. Pokaż mi to...

Jej dłonie zaczęły badać ciało mężczyzny, muskularne plecy, lędźwie, odkrywały jego nagość, cudowną, piękną, upragnioną. Ogarnęła ją fala miłości, tak silna, że zaczęła mieć wątpliwości, czy kiedykolwiek zdoła wrócić do równowagi. A wtedy Fletcher dotknął jej w miejscu najbardziej intymnym i zrozumiała, że i pod tym względem wykazał się mistrzostwem, bo tylko bogatym doświadczeniem można wytłumaczyć, że wiedział, gdzie i jak długo dotykać, by doprowadzić ją na skraj szaleństwa, ale nie przekroczyć tej krawędzi.

Rozzarzona namiętnością Cathleen wiała się pod nim, mruzczała jakieś słowa bez związku, próbując wyrazić to, co czuje. Tylko jej ciało było najwyraźniej zdolne do porozumienia się z Fletcherem, kierowało się własną wolą i zdało się wiedzieć instynktownie, co robić, by jeszcze zwiększyć rozkosz i swoją, i jego.

- Kocham cię, Cathleen. Chodź ze mną. Chodź.

Powoli wprowadzał w nią twardy członek. Aż pisnęła, kiedy poczuła go w sobie, zaskoczona, że nie doznaje bólu, tylko nieustające pragnienie.

- Och, kochanie - wyszeptał i wszedł w nią głęboko.

Gdy Cathleen gwałtownie wciągnęła powietrze, pocałował ją. Ból ustąpił niemal natychmiast. Zaczęła poruszać się coraz szybciej i szybciej, aż bała się, że rozpadnie się na kawałki z rozkoszy.

Fletcher podniósł jej kolana. Spojrzała w dół i pomyślała, że chyba jeszcze nigdy nie widziała niczego równie pięknego, równie fascynującego i podniecającego, jak widok tego poruszającego się w niej mężczyzny.

Nagle poczuła, że jego ciało tężeje. Fletcher zaklął cicho i szybko się z niej wysunął. Jego gorąca, długa, twarda męskość napiera na jej brzuch. Po chwili usłyszała jego cichy jęk i wyszeptane bez tchu przeprosiny, a potem wytrysło na nią gorące, wilgotne nasienie.

Dotrzymał słowa.

Ta myśl wstrząsnęła nią. Dotrzymał słowa. Ten piękny, cudowny mężczyzna bardziej dbał o jej potrzeby niż o swoje. Dotrzymał słowa... i Cathleen poczuła, że jeszcze nigdy nie kochała go tak bardzo jak w tej chwili. I nigdy tak bardzo jak teraz nie cierpiała z powodu swego panicznego lęku przed urodzeniem dziecka.

- Dobrze się czujesz? - zapytał z troską.

- Tak - odpowiedziała, zdziwiona, że można w jednym króciutkim słowie zawrzeć tyle uczuć.

- Żałujesz tego, co się stało?

- Nie.

- W takim razie o co chodzi?

- Kocham cię. - Przyciągnęła go z całej siły. - Po prostu to. Tak bardzo cię kocham i sama nie wiem, co z tym fantem zrobić.

- Coś wymyślimy - stwierdził i przewrócił się na bok, pociągając ją za sobą. A kiedy leżała już z głową wtuloną w jego pierś, szepnął: - No i tyle zostało z moich niezłomnych męskich postanowień.

16

Fletcher został jeszcze na kolacji, a potem odjechał. Cathleen nakarmiła sowy, sprzątnęła kuchnię i przebrała się w nocną koszulę.

Zapadała już w sen, gdy usłyszała rzenie konia i kucyka na padoku. Wiedziała, że to nie Robert ani Fionn, bo obaj byli wcześniej i nakarmili zwierzęta. Powiedziała sobie, że to pewnie jakieś nieporozumienie między zwierzętami, które zaraz minie, ale w tym momencie hałas przybrał na sile.

Zaczęły kopać w ogrodzenie, a rzenie zdradzało ich trwozę. Nawet w sypialni Cathleen słyszała, że konie biegają dookoła padoku jak oszalałe i biją kopytami o ściany stodoły i drągi ogrodzenia.

Odrzuciła koldrę, zerwała się, chwyciła leżący w nogach łóżka szlafrok i wybiegła z pokoju, wkładając go po drodze.

Już miała zapalić lampę, kiedy stwierdziła, że nie ma takiej potrzeby, bo pomieszczenie jest jasno oświetlone wpadającymi przez okno jaskrawymi czerwonymi płomieniami, które rzucały dziwaczne cienie na przeciwległą ścianę. Podbiegła do okna, odsunęła firankę i osłupiała. Płomienie strzelały wysoko w niebo, jak długie zakrwawione palce, rozdzierające szponami czerni nocy.

Chata zagrodnika.

Cathleen wybiegła z domu. Serce waliło jej dziko, a krew szybciej krążyła w żyłach, szybciej nawet, niż niosły ją stopy. Kiedy dobiegła na miejsce, serce nieomal rozsadzało jej klatkę piersiową. Natychmiast zrozumiała, że chaty nie da się już uratować, bo cała strzecha stała w ogniu. Zostaną wyłącznie grube kamienne mury.

Dziewczyna zakryła ręką twarz, by osłonić ją od żaru, i cofnęła się o krok. Gorąco było tak straszliwe, że nie można się było zbliżyć choćby o centymetr. Z chaty wydobywały się gęste chmury ciemnoszarego, gryzącego dymu i Cathleen rozkaszała się. Oczy ją piekły, w gardle paliło i przez chwilę nie była w stanie się ruszyć.

Stała w miejscu jak wmurowana i przyglądała się, jak pożar pochłania chatę. Próbowwała pocieszyć się myślą, że to nie jej dom płonie.

Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że ogień często się rozprzestrzenia, wiatr roznieca od nowa przygasający pożar i rzuca słup płomieni wysoko w niebo. Wokół wirowały w powietrzu drobiny popiołu i iskry, jedna z nich opadła jej na policzek i tam zgasła. Cathleen poczuła swąd płonącego ciała i rwący ból. Szybko strzepnęła z twarzy dopalający się okruch, lecz oparzyła przy tym rękę.

Prędko pobiegła do stodoły po łopatę i zaczęła zasypywać piaskiem tłącą się ziemię wokół chaty, aby ogień nie przeniósł się na dom.

Przerwała na chwilę, by otrzeć pot z czoła, i wtedy usłyszała, że ktoś ją woła. Gdy podniosła wzrok, dostrzegła nadjeżdżających galopem Skene'ów.

Robert zeskoczył z konia i podbiegł do Cathleen.

- Dokończę to z Fionnem - powiedział, wyjmując z jej rąk łopatę. - Nie musisz tu stać, dziewczyno. Idź do domu i odpocznij. Niewiele już zostało do zrobienia. Ogień musi się wypalić.

- I tak nie byłabym w stanie teraz zasnąć - wychrypiała. - Zostanę tutaj.

I została, dopóki ogień nie wygasł. Przybyło jeszcze kilku sąsiadów, głównie, by pogapić się na zniszczenie i wygłosić opinie o przyczynie pożaru.

Wreszcie Cathleen stwierdziła, że nie pozostało już nic do zrobienia, i nagle dotarło do niej, że stoi przed połową mieszkańców Glengarry w nocnej koszuli, więc pospiesznie podziękowała Robertowi i Fionnowi za pomoc i schroniła się w domu.

Była tak wykończona, że padła na łóżko jak kłoda i natychmiast zasnęła.

Kiedy się obudziła, pokój zalany był jasnymi promieniami porannego słońca, które wdierały się do wnętrza przez otwarte okno, a poruszający żółtymi muślinowymi firankami wiatr przynosił zapach spalonego drewna.

Rozejrzała się i stwierdziła, że leży bez przykrycia, na kołdrze. Musiała spać bardzo niespokojnie, bo koszula nocna i szlafrok owinęły się wokół jej nóg jak kajdany. Podjęła słabą próbę uwolnienia się i opadła na łóżko, ciężko dysząc i walcząc z falą mdłości, wywołanych wczorajszym dymem.

Leżała i czekała, aż mdłości miną, i nagle uświadomiła sobie, że mieszka sama, więc jeśli coś jej się stanie, jeśli zachoruje, to nikt się nawet o tym nie dowie ani nie przejmie.

Odpoczywała jeszcze przez chwilę, po czym zebrała wszystkie siły i usiadła. Poczowała zawroty głowy, ale za to w pozycji siedzącej mdłości były słabsze. Gdy wreszcie zwlokła się z łóżka, popatrzyła na siebie, zobaczyła na koszuli czarne wypalone dziury.

Podeszła do lustra i obejrzała pęcherz na policzku. Potem zerknęła na rękę, lecz nie znalazła pęcherza od oparzenia. Pewnie zdarła go, kopiąc łopatą, bo w tym miejscu widniała czerwona świeża rana.

Choć grzanie wody jedną ręką było nie lada wyczynem, jakoś dała sobie radę z przygotowaniem kąpieli. Długo musiała się moczyć i szorować, zanim udało jej się pozbyć zapachu dymu z włosów. Wreszcie ubrała się i zwinęła wilgotne jeszcze włosy w węzeł. Przygotowała okład na poparzony policzek. Nasmarowała też dłoń i zabandażowała ją najlepiej, jak mogła.

Postanowiła, że jeśli do jutra nie będzie poprawy, wybierze się do doktora Scotta.

Robert i Fionn przyjechali tego ranka nieco później, by nakarmić inwentarz i zająć się pracami na farmie. Cathleen z wdzięcznością pomyślała o tym, jak to dobrze, że Fletcher zorganizował dla niej pomoc, i w tym momencie uświadomiła sobie, że on prawdopodobnie wcale nie wie, że chata spłonęła.

Przyjedzie, jak tylko się dowie, pomyślała.

Minął dzień. Przyszła noc, nastał poranek. Ojciec i syn Skene'owie pojawili się bardzo wcześnie i przynieśli złą nowinę: jelonek Batszeba zniknął.

- Chyba nie myślicie, że ogień...

- Nie, nie sędzę, żeby się spalił - stwierdził Fionn. - Myślę, że przeraził się ognia i uciekł.

- Jest taki mały.

- Na pewno ktoś się nim zaopiekuje. Jest bardzo przyjacielski. Nie ma powodu do nadmiernego zmartwienia. - Chłopak uśmiechnął się pocieszająco. - Są wszystkie pozostałe zwierzęta?

- Tak, są.

- A co z ręką?

- Jątrzy się. - Cathleen popatrzyła na zabandażowaną dłoń.

- Powinnaś się wybrać do doktora Scotta.

- Mam taki zamiar.

- Zaprzęgnę konia do powozu.

Fionn zniknął tak szybko, że Cathleen nie zdążyła mu podziękować. Pobiegnął prosto do stodoły, ona zaś, patrząc na niego, myślała o długich nogach Fletchera.

Wkrótce znalazła się w gabinecie doktora, który przemył jej oparzenie czymś, co paliło o wiele bardziej niż ogień, i zabandażował rękę. Powiedział, że musi przez kilka dni oszczędzać tę rękę i nie powinna jej moczyć. Kiwnęła głową.

W drodze powrotnej spotkała ją kolejna niebezpieczna przygoda.

Gdy skierowała powozik na wąską dróżkę u podnóża wznoszących się nad strumykiem skał, usłyszała z góry odgłos toczących się kamieni. Podniósłszy głowę, zobaczyła ogromny głaz, toczący się w dół urwiska w lawinie drobniejszych kamieni. Leciał prosto na nią. Nie było czasu na myślenie.

Cathleen instynktownie zasłoniła głowę rękami. Sekundę później została zasypana kamykami, usłyszała rozsadzający czaszkę łoskot i poczuła, że leci w powietrzu. Wylądowała z hukiem i w tej samej chwili usłyszała rozpaczliwe rżenie kucyka.

Otworzyła oczy i zobaczyła przedziwną rzecz. Ogromny głaz uderzył w tył powozu,

ale zniszczył tylko oparcie, podłoga pozostała nietknięta. Ciężar skały przygniótł tył powozu do ziemi, podczas gdy ulokowane pośrodku koła, działając jak przeciwwaga, uniosły przód do góry, niczym huśtawkę.

Biedna Flora nadal była zaprzęgnięta, ale jej waga nie wystarczała, by zrównoważyć ciężar głazu, wisiała więc w powietrzu i przebierała nogami w daremnych próbach dotknięcia kopytami ziemi.

Gdyby Cathleen nie była tak śmiertelnie przerażona, roześmiałyby się na widok biednej Flory, galopującej wysoko nad ziemią.

Siedziała i zastanawiała się, jakim sposobem wydostać się z powozu, gdy usłyszała stukot kopyt nadjeżdżającego konia. Podniosła wzrok i spojrzała w szeroko uśmiechniętą twarz Fletchera.

- Fletcher! Tak się cieszę, że cię widzę- powiedziała na widok, nie wiedząc czemu, rozbawionej twarzy ukochanego.

Kiedy Fletcher dowiedział się o pożarze, natychmiast wyruszył do Cathleen, ale nie zastał jej w domu. Fionn powiedział, że wybrała się do doktora Scotta, więc ruszył za nią, jednak gdy tylko minął zakręt, jego oczom ukazał się najdziwniejszy widok, jaki w życiu widział.

Spostrzegł obiekt swych poszukiwań, siedzący w malutkim powoziku, którego tył przywalony został wielkim głazem, przód zaś uniosł się i wisiał w powietrzu ponad metr nad ziemią, wraz z zaprzężonym doń kucem, który oznajmiał wszem i wobec, że ta sytuacja bynajmniej go nie cieszy.

Fletcher osadził konia w miejscu i w tym momencie zobaczył promienny uśmiech Cathleen. Odczuł ulgę, że nic jej się nie stało, i uśmiechnął się, uradowany.

Wyglądało to piekielnie zabawnie.

- Słyszałem o kobietach, które zadzierają nosa aż pod niebo, ale ty chyba przesadziłaś, nie sądzisz?

- Byłabym wdzięczna, gdybyś zaproponował nam pomoc, zamiast stać tu i naśmiewać się z naszej opłakanej sytuacji. W końcu o mało nie zginęłam.

Otrzeźwiło to Fletchera i odebrało mu chęć do śmiechu. Błyskawicznie zeskoczył z siodła, zdjął dziewczynę z powozu i porwał w objęcia. I dopiero wtedy zauważył jej oparzony policzek i zabandażowaną rękę.

- Jesteś ranna - powiedział, dotykając leciutko pęcherza na twarzy Cathleen. -Twoja

śliczna, biedna buzia. Czy bardzo boli?

- Nie. Doktor Scott twierdzi, że słusznie postąpiłam, kładąc okład na oparzenie.

- Będziesz miała bliznę?

- A jeśli nawet, jakie to ma znaczenie? - Opuściła głowę. - Nigdy nie należałam do wioskowych piękności.

- Dla mnie to ma znaczenie - powiedział cicho. - Powinno się mnie rozerwać końmi za to, że zostawiłem cię samą.

- Fletcher, to nie twoja wina. Zdarzył się wypadek. Mogło być gorzej.

Kuc znów zarżał i zaczął wierzgać jeszcze energiczniej.

- Czy mógłbyś jakoś pomóc Florze? Biedaczka jest już całkiem wyczerpana.

Fletcher najpierw usadził Cathleen wygodnie w cieniu, a potem dopiero wziął się do oswoadzania zwierzęcia z pętającej go uprzęży.

Kiedy tylko Flora dotknęła kopytami ziemi, natychmiast rzuciła się do ucieczki.

- Nie martw się, popędzi wprost do domu - powiedział z uśmiechem, widząc zaniepokojenie na twarzy Cathleen.

- Wiem, martwię się raczej tym, w jaki sposób ja się tam dostanę.

- Zawiozę cię.

Posadził dziewczynę w siodle za sobą i ruszył w stronę jej domu. Droga nie była długa, jechali w milczeniu. Cathleen z przyjemnością objęła go w pasie i oparła policzek o jego plecy.

Fletcher tymczasem zastanawiał się nad serią nieszczęśliwych wypadków, jakie zaczęły przytrafiać się Cathleen. Wiedział, dlaczego tak się dzieje.

Rozumiał, że niezależnie od tego, jak bardzo mu na niej zależy, musi zdobyć się na coś więcej niż tylko trzymanie się od niej z dala. Musi zrobić coś, co przekona jego wroga, że Cathleen kompletnie go nie interesuje. Bo dopóki Adair będzie podejrzewał, że coś łączy go z tą dziewczyną, będzie się starał ją wykorzystać, by wywrzeć nacisk na Fletchera. A najlepszym sposobem, by odsunąć od Cathleen Adaira, było przyjęcie zaproszenia Annory.

Serce ścisnęło mu się na myśl o tym, co musi zrobić dla zapewnienia ukochanej bezpieczeństwa.

Wjechali na podwórze. Fletcher zatrzymał konia, zsiadł, postawił Cathleen na ziemi i zaprowadził ją do domu.

- Jesteś ponury jak śmierć na chorągwi. Co cię gryzie? - zapytała, odwracając się i patrząc mu w oczy.

- To nie ma nic wspólnego z tobą. Chodź bliżej, chciałbym się przyjrzeć temu

oparzeniu.

Odwróciła się.

- Doktor już się tyra zajął. Nic więcej nie możesz zrobić. Nawet tak bardzo nie boli.
- W takim razie już pojedę.

Popatrzyła mu w oczy. Wiedział dokładnie, w której chwili uświadomiła sobie, co się dzieje, bo dostrzegł to w jej spojrzeniu. Cathleen zrozumiała, że on już tu nie wróci.

Cierpiał na myśl o tym, że musi jej to zrobić, a jeszcze trudniej było powstrzymać się od wszelkich wyjaśnień, lecz jak miał powiedzieć, że wprowadza się do Annory, żeby przekonać Adaira, że z nią, Cathleen, nic go nie łączy? Jak miał wytłumaczyć, że musi ją zranić, by uratować jej życie? Gdyby wiedziała, że robi to dla niej, na pewno by się nie zgodziła.

Więc jeśli miał ją chronić, musiał zadać jej ten cios.

- Chcę ci coś dać, zanim wyjedziesz. - Głos dziewczyny był cichy, pełen przygnębienia i bólu. Odwróciła się i wyszła z pokoju.

Podeszła do biurka dziadka, otworzyła szufladę i wyjęła kopertę. Wróciła do Fletchera i podała mu ją.

- Weź ją. To dla ciebie.

Na kopercie było wypisane jego nazwisko. Rozpoznał charakter pisma Davida i spojrzał na Cathleen, oczekując wyjaśnienia.

- Znalaziono to przy nim - powiedziała drżącymi ustami. - Podejrzewam, że miał zamiar wysłać ten list do ciebie, ale... już nie miał szansy.

Słyszał drzenie głosu dziewczyny, widział zbierające się w jej oczach łzy. Jeszcze nigdy w życiu nie pragnął niczego tak bardzo, jak wziąć ją teraz w ramiona, lecz wiedział, że nie wolno mu tego zrobić. Bo nietrudno było przewidzieć, co się stanie, jeśli tylko jej dotknie.

Przysiągł sobie, że pewnego dnia jakoś jej to wszystko wynagrodzi, że przez całe życie będzie dbał, by Cathleen już nigdy więcej nie cierpiała i by już nigdy nie zwątpiła w jego miłość. Nie mógł wskrzesić Davida, postanowił jednak dopilnować, by już nigdy niczego jej nie zabrakło.

Ale nawet w chwili, gdy podejmował w duchu to postanowienie, wiedział, że to za mało. Ona tak strasznie cierpi. Czyż nie ma dla niej zmiłowania? To moja rozgrywka, lecz najwyższą cenę zapłaciła Cathleen. Chciałbym wziąć na siebie ten ból. Chciałbym cierpieć za nią. Nie mogę znieść widoku jej męki, myślał.

A jednak wiedział, że nadal będzie ją ranił.

Wyjął list z koperty. David pisał, że szukał w kościele i w księgach ziemskich

przechowywanych w St. Abb's, ale nie znalazł niczego podejrzanego. Zauważył wprawdzie, że brakowało kilku stron z interesujących ich lat, nie było jednak sposobu dowiedzieć się, co się z nimi stało.

Dokładnie przestudiowałem zapiski kościelne i znalazłem dowody ciągłości jego linii genealogicznej, potwierdzające jego roszczenia.

David kończył list wyrazami żalu, że nie udało mu się niczego wykryć.

Odpowiedź na nasze pytania musi gdzieś być. Modlę się, by Bóg naprowadził Cię na nią kiedy nadejdzie właściwy czas.

Fletcher czytał ze ściśniętym gardłem. Kłębiło się w nim zbyt wiele uczuć, lecz nie umiał znaleźć słów, którymi mógłby je wyrazić. Wyjrzał przez okno i zauważył kuca, stojącego przy wejściu na padok.

- No cóż, skoro nie mam tu już nic do roboty, zajmę się przynajmniej przed wyjazdem twoim wierzchowcem.

- Nie ma potrzeby. Robert się nim zaopiekuje... albo Fionn. Jeszcze raz dziękuję, że ich do mnie przysłałeś.

- Przynajmniej tyle mogłem dla ciebie zrobić. Rozejrzę się jeszcze za jakąś kobietą, która pomogłaby ci w pracach domowych.

- Nie potrzebuję nikogo do pomocy w domu. Nie musisz tego dla mnie robić.

- Zrobię to nie dla ciebie.

Cathleen poczuła się nagle piekielnie zmęczona, więc tylko machnęła ręką.

- Wszystko jedno. Nie chcę się z tobą spierać. Dziękuję za pomoc. - Westchnęła. Odwróciła się i popatrzyła w odległy kąt pokoju.

Pobiegł wzrokiem za jej spojrzeniem. Wpatrywała się w fotel dziadka. Domyślił się, że przypominała sobie, jak się kochali, jak ściągnął ją z tego fotela i wziął w ramiona. Przeklinał się w duchu za to, co się stało.

Gdyby te tajemnicze wypadki wydarzyły się wcześniej, gdyby wiedział, że dziewczynie będzie grozić niebezpieczeństwo, gdyby wiedział, że później będzie zmuszony odwrócić się od niej, nigdy by nie dopuścił do takiego incydentu. Przecież wiedział doskonale, z jaką kobietą ma do czynienia, wiedział, co będzie myślała, i jak bolesna będzie dla niej jego zdrada.

Spojrzał na Cathleen ze smutkiem, jakby błagał o wybaczenie, i modlił się w duchu, by zdołała się domyślić, co kryje się na dnie jego serca, aby dostrzegła miłość w głębi jego oczu. Poprosił ją kiedyś, by mu zaufała, i zrobiła to.

Bardzo chciał, by nadal mu ufała.

- Skoro niczego już nie potrzebujesz, będę jechał - powiedział.

- Tak będzie najlepiej. Wiem, że masz jeszcze wiele do zrobienia, a ja ostatnio bardzo się zaniedbałam w działalności charytatywnej.

- W takim razie do zobaczenia. - Fletcher uchylił kapelusza.

- Uważaj na siebie.

Pochylił głowę, a potem szybko odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju.

Zobaczył jeszcze, że Robert i Fionn wprowadzili Florę na padok i dali jej jeść, a potem wsiadł na konia i ruszył do Dunston, do Annory. Zniknął z życia Cathleen niemal w ten sam sposób, w jaki się w nim pojawił.

Zaufaj mi, Cathleen. Zrozum, o co w tym wszystkim chodzi, błagał w duszy, ale nagle przemknęło mu przez myśl, że to bardzo po męsku - oszukiwać kobietę, którą się kocha, modląc się jednocześnie, by to zrozumiała.

Wiedział, że prosi o zbyt wiele, nawet w stosunku do tak niezwykłej kobiety jak ona. A jednak nie przestawał modlić się w duchu: Panie, zapal w jej sercu światło zrozumienia...

17

Cathleen nie mogła zrozumieć.

Już w chwili, gdy dojechali do domu, uświadomiła sobie, że więcej go nie zobaczy, nie oznaczało to jednak, że rozumiała, dlaczego tak ma być.

Dlaczego Fletcher kochał się z nią, a potem odwrócił się do niej plecami?

Spacerowała wzdłuż brzegu jeziora, które zdawało się tonąć w nadciągającej znad morza mgle. Czuła płynące po twarzy gorące łzy, które mieszały się z wiszącą w powietrzu chłodną, przejmującą wilgocią.

Jak ona ma bez niego żyć?

Myślała, że tego nie przeżyje, ale czas mijał... trzy dni, cztery. Niedługo będzie tydzień.

A on ciągle nie wracał. W głębi serca wiedziała, że nie wróci nigdy.

W niedzielę rano poszła do kościoła. Po mszy stała w drzwiach i gawędziła z pastorem. I nagle usłyszała wesoły kobiecy śmiech. Rozejrzała się i zobaczyła przejeżdżający nieopodal elegancki powóz.

Ale to nie widok siedzącej z tyłu Annory Fraser zranił Cathleen do żywego, tylko widok rozpartego obok niej Fletchera, który obejmował ją niedbale ramieniem, wyciągniętym wzdłuż oparcia, patrzył na nią z góry i śmiał się z czegoś, co ona powiedziała.

Cathleen była zdruzgotana, widząc go z inną. Stała bez tchu, z mocno bijącym sercem. A przecież po tygodniu rozdierającej tęsknoty była pewna, że jej serce umarło.

Cały świat Cathleen roztrzaskał się jak rozbite szkło i leżał w kawałkach u jej stóp. Zaczęła mrugać gwałtownie, żeby powstrzymać cisnące się do oczu łzy, i jakoś zdołała odzyskać panowanie nad sobą, ale żałowała, że nie znajduje się w tej chwili w jakimkolwiek innym miejscu na ziemi.

- Cathleen? - zaniepokoił się pastor. - Dobrze się czujesz?

- Tak, oczywiście.

- Tworzą ładną parę, prawda? - stwierdził, patrząc w ślad za znikającym powozem.

- Owszem, oboje są bardzo przystojni.

- Muszę jednak przyznać, że nie byłem zachwycony, kiedy dowiedziałem się, że księżę zamieszkał w Dunston. - Poczciwy Robert zachmurzył się.

- W Dunston? A ja myślałam... Wydawało mi się, że wrócił do Caithness.

- Nie, gości u Annory już od tygodnia.

Okazało się, że nic nie boli tak strasznie jak zdrada. Cathleen odwróciła się i powoli ruszyła do swego powozu. Nie mogła uwierzyć, że Fletcher, zwracając się ku innej kobiecie, świadomie ją upokorzył, w końcu jednak musiała przyjąć to do wiadomości. Nie była w stanie wymyślić żadnego innego wytłumaczenia.

W drodze do domu jej myśli krążyły wokół dziadka. Dobrze, że on tego nie widzi. Wiedziała, że gdyby żył, musiałyby mu wszystko wyznać. Czy powiedziałby, że została słusznie ukarana za to, że kochała się z Fletcherem bez uświęcenia ich związku sakramentem małżeństwa? Nie wiedziała dlaczego, ale była pewna, że dziadek by tego nie powiedział.

Och, dziadku, jeszcze nigdy nie potrzebowałam cię tak bardzo jak w tej chwili...

Przyjechała do domu zrozpaczona, z ciężkim sercem. Nie poszła do swojego pokoju ani do kuchni, by przygotować obiad. Weszła do gabinetu, usiadła w fotelu dziadka i przepłakała tam większą część popołudnia. Kiedy zabrakło jej już łez i wstrząsał nią suchy szloch, powiedziała sobie stanowczo, że płacz dobrze jej zrobił, bo pozwolił nieco złagodzić ból.

Przypomniała sobie, co dziadek zawsze powtarzał:

- Płacz oczyszcza płuca, obmywa twarz, przydaje oczom blasku i stępia ostrze bólu, wypłacz się więc do syta.

Wzięła głęboki, drżący oddech i otarła oczy ręką fartuszka. W tej chwili nie pozostało jej nic innego, jak tylko czekać, cierpliwie czekać, aż do jej życia wróci spokój, jak po najdłuższej nawet zimie zawsze nadchodzi wiosna.

Poszła do kuchni, żeby zaparzyć sobie filiżankę herbaty, i przysięgła sobie w duchu, że nie wyjdzie z domu, dopóki nie przestanie cierpieć z powodu zdrady Fletchera, dopóki znowu nie stanie się sobą.

Cathleen nie mogła dotrzymać danej sobie obietnicy, bo w środę mały Robbie McHugh wrócił do domu z gorączką. Dwa dni później zmarł. Następnego dnia umarła pani Bowie. Po trzecim zgonie doktor Scott postawił diagnozę: gorączka tyfusowa.

Choroba zaatakowała najpierw najuboższe dzielnice, w których większość ludzi korzystała z jednej studni i zawsze były problemy ze ściekami. Stamtąd rozprzestrzeniła się na inne rejony miasteczka i pod koniec pierwszego tygodnia dotarła już do najbardziej oddalonych farm. Od czasu wojny z Anglią Glengarry nie zaznało podobnego nieszczęścia.

Cathleen, która dzień i noc pracowała u boku doktora Scotta, nie miała zbyt wiele czasu, by rozmyślać o Fletcherze i Annorze, co było dla niej błogosławieństwem. Otaczało ją tyle cierpienia i śmierci, że doprawdy nie potrzebowała dodatkowych zmartwień.

Uznała za nader dziwne, że właśnie wtedy, kiedy poświęcała się całkowicie chorym, kiedy nie miała ani sił, ani czasu, by pomyśleć o Fletcherze, wtedy właśnie on przypomniawszy sobie o niej i trzykrotnie się zjawił, by się z nią zobaczyć.

- Przyjechał Fletcher Ramsay - powiedziała żona doktora Scotta, wchodząc do pokoju, gdzie dziewczyna asystowała lekarzowi.

- Czego on może chcieć? - Cathleen podniosła wzrok, całkowicie zaskoczona.

- Chce wiedzieć, jak się czujesz. Mówi, że chciałby z tobą porozmawiać.

- Powiedz mu, że czuję się świetnie, ale nie mam czasu na rozmowę.

Kiedy przyjechał powtórnie, Cathleen znów odmówiła spotkania z nim.

- Chciałby z tobą porozmawiać, choćby przez chwilę - stwierdziła żona doktora.

- Powiedz mu tylko, że wszystko w porządku i nie ma powodu, by sprawdzał, co się ze mną dzieje. Doktor Scott zawiadomi go, gdyby coś się stało.

Dwa dni po drugiej wizycie Fletchera zachorował doktor Scott, lecz nie przerwał pracy.

- Ja nie mam czasu na chorowanie - stwierdził stanowczo i Cathleen musiała przyznać mu rację, bo już przeszło połowa ludzi w miasteczku zapadła na gorączkę tyfusową.

Kiedy późnym wieczorem dziewczyna wróciła do domu, była zbyt zmęczona, by wziąć

sobie coś do jedzenia. Podobnie jak tej nocy, gdy gasiła pożar, padła w ubraniu na łóżko i natychmiast zapadła w bardzo głęboki sen, znamionujący skrajne wyczerpanie.

Nie miała pojęcia, jak długo ktoś walił w drzwi, zanim się obudziła. Kiedy wreszcie otworzyła oczy, serce jej ścisnęło się z lęku, bo przyszło jej do głowy, że pewnie pogorszył się stan doktora Scotta.

Z wysiłkiem zwlokła się z łóżka i poczłapała do drzwi. Zatkąło ją wręcz, gdy stwierdziła, że w drzwiach stoi Fletcher Ramsay z miną tak ponurą, jak zawodowa płaczka.

Zrewanżowała mu się równie mrocznym spojrzeniem.

- Czego chcesz?

- Przyjechałem sprawdzić, co się z tobą dzieje.

- Sądziłam, że pani Scott ci powiedziała. Wszystko w porządku.

- Chciałem osobiście się o tym przekonać.

- Dlaczego?

- Martwiłem się o ciebie.

- Nie martw się. Potrafię zadbać o siebie, a gdyby coś było nie tak, jest przecież doktor Scott.

- Widziałem się z nim. Ten człowiek jest zbyt chory, by zadbać o siebie, nie mówiąc już o tobie.

- Napisał do Edynburga z prośbą, by przysłano tu więcej lekarzy.

- Cathleen... proszę. Czy mogę wejść?

- Jestem zmęczona. Muszę jutro wstąpić. Dziękuję, że przyjechałeś, ale w przyszłości nie trudź się, proszę. Gdyby coś mi się stało, gdybym kiedyś uznała, że jesteś mi potrzebny, pošlę po ciebie.

- Cathleen...

- Niezależnie od tego, co masz mi do powiedzenia, nie chcę tego słuchać. - Próbowała zatrzaskać mu drzwi przed nosem, lecz nie zdołała, bo włożył stopę w szparę.

- Chciałbym wytłumaczyć...

- Nie trudź się. Nie interesuje mnie nic, co mógłbyś mieć do powiedzenia. Jestem przekonana, że miałeś powód, żeby postąpić tak, jak postąpiłeś. Jeśli jesteś szczęśliwy, mogę się tylko cieszyć wraz z tobą. Proszę, nie przyjeżdżaj tu więcej... I zabierz stopę spomiędzy drzwi!

Fletcher nawet nie drgnął.

Cathleen nie dała mu szansy powiedzieć nic więcej, całym ciałem napała na drzwi w nadziei, że wystarczy jej siły, choć czuła się wyjątkowo słaba. Doznała prawdziwej satysfakcji, kiedy okazało się, że jej siły są jednak wystarczające i stopa intruza cofnęła się.

Zaryglowała drzwi i oparła się o nie, czekając, aż ustanie gwałtowne bicie serca. Oddychała głęboko i wsłuchiwała się, jak kiedyś, w oddalający się stukot kopyt konia Fletchera.

W końcu doktor Scott ogłosił, że epidemia tyfusu chyba zaczyna wygasać, ale dwa dni później stan jego zdrowia znacznie się pogorszył, a po trzech dniach już nie żył.

Cathleen nadal pomagała chorym, mimo braku wskazówek lekarza. Okazało się, że potrafi funkcjonować, chociaż miała jeszcze mniej czasu na sen. Minęły dwa dni, potem cztery.

Tydzień po śmierci doktora Scotta przybyło wreszcie trzech lekarzy z Edynburga. Dziewczyna spodziewała się, że po ich przyjeździe będzie miała nieco mniej pracy, ale okazało się, że jest równie zajęta, jak dotychczas. Dopiero po dwóch tygodniach nastąpił zasadniczy spadek liczby nowych zachorowań.

Ponieważ epidemia najwyraźniej zaczynała wygasać, dwóch lekarzy zdecydowało się wrócić do Edynburga. Dwa dni później Cathleen została znów wyrwana ze snu w środku nocy, ale tym razem to nie Fletcher Ramsay walił do drzwi.

Została wezwana do zamku Glengarry, gdzie zachorowała część służby. Pojechała natychmiast. Zaprowadzono ją do Angusa MacTavisha, którego stan był najpoważniejszy.

I rzeczywiście, spośród trzech zarażonych tylko on znajdował się w stanie krytycznym. Zaczął się właśnie trzeci tydzień jego choroby, a w tym właśnie okresie tyfus nasila się szczególnie i zagrożenie życia jest największe.

Gdy Cathleen weszła do pokoju chorego, pomywaczka Beitris, która opiekowała się chorym, zerwała się z krzesła.

- Cieszę się, że przyjechałaś. Wydaje mi się, że on nie przeżyje tej nocy. Jestem taka przerażona. Błagam, nie każ mi tu zostać. Boję się śmierci. Nie chcę się zarazić. Proszę, powiedz, że mogę odejść.

Cathleen widziała, że nie może spodziewać się pomocy ze strony spanikowanej dziewczyny, więc skinęła głową.

- Idź odpocząć. Ja z nim zostanę.

- Dziękuję! - Beitris rozplakała się i pocałowała ją w rękę, a potem wybiegła z pokoju chorego.

Cathleen podeszła do wezwłowia Angusa i wzdrygnęła się na widok potężnego niegdyś, ogromnego mężczyzny, z którego teraz została skóra i kości.

Niewiele mogła dla niego zrobić, obmywała tylko jego ciało chłodną gąbką, by obniżyć wysoką temperaturę. Angus, słaby jak dziecko na skutek krwawienia jelitowego, mógł przełknąć tylko kilka łyżek wodnistej zupy.

Przez pięć dni Cathleen siedziała przy nim dzień i noc, opuszczając pokój chorego jedynie na krótko, żeby się umyć i odrobinę odpocząć w sąsiednim pomieszczeniu.

Pewnego dnia, gdy szła do kuchni, by wziąć sobie coś do jedzenia, zatrzymała ją Beitris.

- Jego wysokość chce cię widzieć, panienko! - zawołała pomywaczka.

- Po co?

- Jego wysokość nie powiedział, a ja, niech święci Pańscy mają mnie w swej opiece, nie pytałam. Nigdy nie odważyłabym się o cokolwiek zapytać jego wysokości.

Cathleen pokiwała głową ze zrozumieniem.

- Chodź za mną, panienko, zaprowadzę cię do niego - rzekła Beitris.

Cathleen zmarszczyła czoło. Zastanawiała się, czego ksiązę Glengarry może od niej chcieć. Doszła do wniosku, że pewnie chodzi o Angusa i zarazę. Najprawdopodobniej Adair niepokoił się po prostu możliwością rozprzestrzenienia się tyfusu wśród służby, ale idąc za Beitris po schodach do pokoju, w którym miała się spotkać z księciem, nie przestawała łamać sobie głowy, czy nie ma jeszcze innej przyczyny tak stanowczego wezwania przed oblicze pana tego zamku.

Została wprowadzona do małego gabinetu, w którym oczekiwał na nią ksiązę.

- Wejdz - powiedział, odwracając się od okna. Popatrzył na Cathleen i ruchem głowy wskazał jej krzesło. - Może masz ochotę usiąść?

- Nie, mogę postać.

- Ale mnie to przeszkadza. Siadaj - rzekł z naciskiem. Dziewczyna usiadła, poprawiła spódnicę i utkwiała wzrok

w twarzy księcia. Przez chwilę patrzył jej w oczy w milczeniu, jakby oczekiwał, że spuści wzrok, dając mu tym samym nad sobą przewagę.

Ale ona siedziała nieporuszona i bez drgnienia wpatrywała się wprost w niego.

Adair usiadł w końcu za niewielkim biurkiem i położył dłonie na blacie.

- Chciałbym ci podziękować, że tak ofiarnie i bezinteresownie poświęcasz swój czas. Angus był poważnie chory i gdyby nie ty, nie miałby najmniejszej szansy na przeżycie.

- Cieszę się, że mogłam pomóc. Angus to porządny człowiek. I mam nadzieję, że wkrótce wyzdrowieje.

- Tak, wkrótce wyzdrowieje - powtórzył Adair, świdrując ją wzrokiem.

Cathleen czuła się niepewnie. Poprawiła się na krześle i czekała na dalsze słowa księcia.

Milczenie przedłużało się i zaczęła się zastanawiać, czy to wszystko, co miał jej do powiedzenia. Już chciała wstać i przeprosić, kiedy wreszcie się odezwał.

- Skoro już tu jesteś, może mogłabyś mi odpowiedzieć na kilka pytań.
- Dotyczących czego?
- Różnych spraw... po prostu, by zaspokoić moją ciekawość.
- Nie rozumiem.
- Przez pewien czas mieszkał z tobą księżę Caithness.
- Księżę nie mieszkał ze mną. Wynajmował od dziadka chatę zagrodnika - sprostowała Cathleen. - Ostatnio chata spłonęła, ale już po jego wyjeździe.
- Tak. Słyszałem, że obecnie zamieszkał w Dunston.
- Też tak słyszałam. - Kiwnęła głową.
- Jestem trochę ciekaw, czemu on spędza tyle czasu w Glengarry.
- W takim razie proponuję zapytać o to księcia. Mnie on się nie zwierza.
- No nie, trudno mi w to uwierzyć - wycedził Adair. -Mógłbym się założyć, że kobieta

tak ładna jak ty bez trudu obudzi zainteresowanie księcia.

- Kobieta, która obudziła zainteresowanie księcia, jest Annora Fraser. Proszę jej postawić te pytania. Księżę i jego rodzina od lat przyjaźnili się z moim dziadkiem. Po jego śmierci bardzo rzadko widywałam Fletchera Ramsaya.

- A więc przyjechał tu w rodzinnych interesach, tak?

- Nie wiem, czy można to nazwać interesami rodzinnymi. Wydaje mi się, że miał do załatwienia jakieś sprawy w Glengarry. O ile wiem, urodził się tutaj i mieszkał tu do ósmego roku życia. To zrozumiałe, że chciał odwiedzić miejsce swego urodzenia. Prawie nie znał ojca, który zmarł, gdy księżę był małym chłopcem, więc pewnie chciał posłuchać opowieści o nim.

- Jakich opowieści?

Cathleen zaczynała boleć głowa i marzyła tylko o tym, by wrócić do domu. Nie widziała w tym wszystkim sensu. Co, na litość boską, ten człowiek chciał od niej usłyszeć? Mimo jego widocznych wysiłków, by zachowywać się wobec niej przyjaźnie, była zdenerwowana. Zaczęła wiercić się na krześle.

- Całkiem zwyczajnych wspomnień -odpowiedziała. -Chciał się dowiedzieć, jaki był jego ojciec. Z kim się przyjaźnił. W jakich miejscach bywał. Kto zna o nim jakieś ciekawe historyjki. Czy to dziwne, że człowiek chce poznać swą przeszłość?

Natychmiast spostrzegła, że jej nieskrywana irytacja źle podziałała na księcia.

- Widzę, że popełniłem błąd, sądząc, że można z tobą porozmawiać. Wyraźnie coś ukrywasz. Ciekawe co? - Obrzucił ją lodowatym, twardym spojrzeniem. - Jaki jest twój

stosunek do księcia?

Cathleen zerwała się na równe nogi.

- Jest moim przyjacielem. Tylko przyjacielem. I naprawdę uważam, że to nie pańska sprawa, wasza wysokość. Sądzę, że pańskie zainteresowanie księciem przekroczyło granice ogólnie przyjętego dobrego tonu.

- Zalecałbym ci nie mieć nic wspólnego z księciem Caithness - powiedział i uśmiechnął się zimno.

- Od pewnego czasu nie mam z nim nic wspólnego. - Cathleen spojrzała na drzwi i już chciała ruszyć w ich stronę, kiedy głos księcia zatrzymał ją w miejscu.

- Mam powody sądzić, że on nie jest tym, za kogo się podaje. Chodzą słuchy, że zaangażował się w działalność wywrotową. Wszelkie związki z nim mogą wplątać człowieka w paskudną historię.

Zachłysłęła się powietrzem. Spojrzała na Adaira.

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi, książę, i sądzę, że pańska troska przypomina ryglowanie drzwi obory, z której już dawno ukradziono bydło. Książę Caithness wyprowadził się z naszej chaty zagrodnika i, jak już wspominałam, od śmierci dziadka prawie go nie widuję.

- Może wyraziłbym się jaśniej...

- A może szczeka pan pod niewłaściwym drzewem. Przyjechałam do zamku Glengarry, żeby dbać o zdrowie tutejszych pracowników. I nie życzę sobie być przesłuchiwana czy brana na spytki. Jeśli ma pan pytania dotyczące księcia Caithness, nikt nie odpowie na nie lepiej niż on sam.

Twarz księcia mocno poczerwieniała. Ciemne przenikliwe spojrzenie przesuwalo się po dziewczynie z taką odrazą, jakby miał przed sobą rój komarów. Pod tym uporczywym wzrokiem skóra dziewczyny pokryła się gęsią skórka.

Nie podobał jej się ten człowiek. Przerazał ją. Prowokowanie go było głupim posunięciem. Przysięgła sobie w duchu, że będzie trzymała buzię na kłódkę.

- Miałem nadzieję, że okażesz się rozsądna. Wiem, że dziadek nie zostawił ci zbyt wielkiej fortuny. Jako pan tej ziemi mam obowiązek troszczyć się o ludzi pozostających pod moją opieką. Musisz wiedzieć, że należę do tych, którzy są przekonani, iż każdy dobry uczynek powinien zostać nagrodzony. Gdybyś przypadkiem przypomniała sobie coś, co mnie interesuje, nie wahaj się zapukać do moich drzwi o każdej porze dnia i nocy. Daj mi jakąkolwiek ciekawą informację, a sowiec cię wynagrodzę. Myślę, że mnie zrozumiałaś.

- Tak, zrozumiałam doskonale.

Książę Glengarry wstał i obszedł biurko. Wziął Cathleen pod ramię i odprowadził do drzwi.

- Dam ci czas, żebyś dobrze sobie przemyślała moje słowa. Może zmienisz zdanie i kiedy indziej porozmawiamy sobie o interesujących mnie kwestiach. Kiedy trochę ochłoniesz.

- Nie mamy o czym mówić. Czas nie wpłynie na zmianę mojego stanowiska. Uczono mnie, żebym zajmowała się swoimi sprawami i pozwoliła, by inni zajmowali się swoimi. Powiem księciu o pańskim zainteresowaniu. Może będzie skłonny osobiście zapukać do pańskich drzwi i odpowiedzieć na wszystkie pytania.

To stwierdzenie najwyraźniej Adaira rozbawiło. Cathleen przeszył dreszcz na widok krzywego uśmiechu, rozciągającego powoli jego usta.

- Możesz mu powiedzieć, co zechcesz, dziewczyno. Ale jeśli żywisz do niego jakiegokolwiek uczucie, radziłbym ci poważnie się nad tym zastanowić. Nie chciałbym, żeby młody książę stracił głowę z tak błahego powodu. Pod wpływem gniewu mógłby zrobić coś, czego potem oboje byście żałowali.

Cathleen ogarnął taki gniew i przerażenie, że przez chwilę nie mogła się poruszyć. Zrozumiała, z jakiego typu człowiekiem przyszło jej się zmierzyć. Popelniła poważny błąd, sądząc, że uda jej się przedstawić pobyt Fletchera w Glengarry w całkiem niewinnym świetle. W ten sposób sama wplątała się w jego sprawy, bo miała pełną świadomość, że Adair jej nie wierzy.

Musiała zebrać wszystkie siły, by wyjść wreszcie z gabinetu. Uznała, że nie powinna zostać w zamku Glengarry ani chwili dłużej, a przynajmniej nie dziś. Musiała się stąd wydostać, zanim diabelski duch tego miejsca skała i ją. Potrzebowała czasu do zastanowienia.

W drodze do domu niespokojne myśli kłębiły się w jej głowie. Pragnęła natychmiast pobiec do Fletchera i opowiedzieć mu o wszystkim, ale bała się.

Bała się o niego.

Bała się o siebie.

W końcu doszła do wniosku, że lepiej trzymać język za zębami. W jednym Adair miał rację. Gdyby powiedziała Fletcherowi, ten dążyłby do konfrontacji ze swoim wrogiem, a to spowodowałoby tylko dodatkowe komplikacje. Najlepszym wyjściem było zignorować tę rozmowę, by Adair doszedł do wniosku, że Cathleen przywiązuje do niej nie większą wagę niż do brzęczenia uprzykrzonej muchy.

W ciągu kilku najbliższych dni Cathleen wielokrotnie obawiała się, że Angusowi MacTavishowi nie uda się wygrać batalii z tyfusem. Kiedy jednak przetrzymał atak gorączki,

wiedziała już, że najdalej za cztery tygodnie stanie na nogi.

Gdy zaczął odzyskiwać siły, stawał się coraz bardziej dociekliwy. Jedno z pierwszych pytań, jakie jej zadał, dotyczyło księcia Caithness.

- Dlaczego on tyle czasu spędza w Glengarry?

Cathleen poczuła, że serce w niej zamiera, bo to pytanie zabrzmiało bardzo podobnie do tych, które zadawał Adair, ale nie widziała powodu, żeby nie odpowiedzieć na nie szczerze. Angus zdążył już poinformować ją o swej niechęci do księcia Glengarry. Kiedy powiedziała mu o ojcu Fletchera, przyznał, że przed laty dotarły do niego jakieś pogłoski na ten temat.

- A wierzysz w to? - zapytała.

- Jestem w stanie uwierzyć we wszystko, co dotyczy księcia Glengarry. To okrutny i przebiegły człowiek. Powiedz mi, czego właściwie księżę szuka?

Wy tłumaczyła najlepiej, jak umiała. Kiedy wspomniała o braku dowodów na to, że Bride Ramsay była żoną Douglasa Ramsaya, chory zaczął słuchać z rosnącym zainteresowaniem.

- Wielu Ramsayów zostało pochowanych tutaj, w Glengarry. Może i ta, która cię interesuje.

- Przeszukaliśmy cmentarz. - Opowiedziała mu wszystko, łącznie z tym, jak ukryli się w kaplicy.

- A więc szukaliście tylko na cmentarzu przy kaplicy?

- Tak. A są inne?

- Jest jeszcze jedno miejsce pochówków. Mniejsze i starsze. Księżę wiele lat temu otoczył je murem, teraz jest już niemal całkiem zarośnięte i dobrze ukryte wśród drzew. Znajduje się tam tylko kilka grobowców, pochodzących z o wiele wcześniejszego okresu niż te za kaplicą.

- Gdzie to jest?

Angus udzielił jej wskazówek, czym zmęczony się do tego stopnia, że nie był w stanie dłużej mówić. Siedziała przy nim, dopóki nie zasnął, a potem wysunęła się z pokoju.

Szczekanie psów wyrwało księcia Glengarry z zamyślenia. Zrobił kleksa i patrzył z rosnącą wściekłością na rozlewającą się po liście plamę. Zaklął szpetnie i cisnął pióro na blat biurka. Zerwał się na równe nogi, podszedł do okna i wyjrzał na dwór.

Dostrzegł biegnącą przez trawnik kobietę. Trzymała się blisko żywopłotu, a potem zaczęła się przedzierać przez krzaki. Natychmiast domyślił się, kim ona jest, nie wiedział natomiast, dokąd zmierza. Do stajni szło się w przeciwną stronę. Tędy mogła trafić wyłącznie na stary cmentarz.

A więc to tak! Książę Caithness ci się nie zwierza? No, no, no. Trzeba się zastanowić, co z tym fantem zrobić. Może zaaranżujemy dla ciebie jakąś drobną niespodziankę, panno Lindsay... jakiś przerażający drobiaźdzek, który skłoni cię do powiedzenia mi, co wiesz. Szkoda, by ktoś tak ładny i młody miał skończyć tak jak jego dziadek.

18

Zerwał się wiatr, który kołysał gałęziami drzew i nadymał spódnicę Cathleen, gdy szła w stronę starego cmentarza. Kiedy dotarła na miejsce, nie zauważyła nic, co przypominałoby otoczone murem miejsce pochówków, w jednym tylko Angus miał rację: wszystko było całkowicie zarośnięte.

Gdy kolejny podmuch wiatru poruszył gałązkami bluszczu, dostrzegła pod nimi coś, co wyglądało na kamienną ścianę. Przyjrzała się dokładniej i uznała, że to może być ten właśnie mur. Szła wzdłuż niego, zaglądając pod bujnie rozrośnięty bluszcz, i udało jej się wreszcie odnaleźć wejście. Serce waliło jej jak młotem, kiedy odrywała pnącza, żeby oczyścić dostęp do furtki. Popchnęła ją. Zawiasy całkiem zardzewiały i trudno było uchylić bramę, w końcu jednak wysiłek Cathleen został nagrodzony i furтка ze skrzypieniem uchyliła się nieco.

Dziewczyna zerknęła za siebie, żeby się przekonać, czy nikt jej nie obserwuje, i wśliznęła się do środka.

Zgodnie z tym, co mówił Angus, groby były tutaj znacznie, znacznie starsze niż pozostałe. I najwyraźniej nikt o nie nie dbał, bo gdziekolwiek zwróciła oczy, widziała jedynie bujnie rozkrzewioną roślinność i całkowite opuszczenie. Zastanawiała się, dlaczego postawiono wokół tego cmentarza wysoki kamienny mur, i poczuła dreszcz podniecenia.

Co książę chciał ukryć za tym murem?

Miała nadzieję, że dowód, którego szukał Fletcher.

Pomimo opuszczenia i zaniedbania cmentarzyk był piękny jak ogród. Pod osłoną wysokich murów, zabezpieczone przed porywistymi wichrami znad wrzosowisk, róże czuły się jak w niebie i z wdzięczności rozkwitały wszystkimi najdelikatniejszymi barwami, jakie tylko można sobie wymarzyć. Większość z nich stanowiły róże pnące, a ponieważ nie było nikogo, kto by je przycinał i kontrolował ich wzrost, obrosły wszystko, wokół czego mogły się opleść. Długie pędy zwisały z drzew, girlandy pysznych kolorów zdawały się łączyć różne drzewa i przesycaly ten ukryty

rodzinny cmentarz oszałamiającą wonią.

Cathleen rozejrzała się uważnie i po pewnym czasie wśród tej orgii bujnej wegetacji dostrzegła zarysy starych nagrobków. Zaczęła oglądać jeden grobowiec po drugim, odsuwając na bok pnącza, czasem zeskrobując mech z inskrypcji. Szukała grobu Bride Ramsay.

Już miała się poddać po obejrzeniu połowy grobowców, gdy natrafiła wreszcie na coś interesującego.

To nie był grób Bride, tylko ojca Fletchera, Bruce'a Ramsaya. Po chwili stanęła przed grobowcem, który mógł być jakoś związany ze sprawą. Inskrypcja głosiła:

*Madeline de Compiegne Ramsay,
Ukochana żona Alexandra Ramsaya.*

Cathleen gapiła się przez chwilę na napis i starała się pobudzić pamięć. Przypomniała sobie, że w zapiskach kościelnych, które przeglądali, znajdował się dowód, iż Alasdair Ramsay miał syna imieniem Alexander.

Czyżby ten Alexander był bratem poszukiwanego przez Fletchera Douglasa?

Jeszcze raz uważnie przyjrzała się kamieniowi w nadziei, że znajdzie informację, iż Alexander i Douglas byli braćmi, bo to by dowodziło, że ten Douglas był również synem Alasdaira.

Obejrzała jeszcze kilka nagrobków i stanęła jak wryta na widok kolejnego. Dreszcz przebiegł jej po krzyżu.

*Douglas Ramsay
Ur. 1715, zm. 1765*

Nie było tam żadnej wzmianki o żonie, niczego, co łączyłoby Douglasa z Bride, stanowiło jednak dowód, że istniał naprawdę. Cathleen odeszła od tego grobu i przyglądała się innym. Trzy grobowce dalej znalazła to, czego poszukiwała.

*Bride Ramsay
Ur. 1720, zm. 1780.*

Ogarnęło ją zarówno podniecenie, jak i rozczarowanie, bo choć na kamieniu widniało nazwisko Bride Ramsay, brakowało adnotacji, że była żoną Douglasa.

Cathleen opuściła cmentarzyk, starannie zamknęła za sobą furtkę i zasłoniła ją gałązkami

bluszczu. W drodze do domu martwiła się, że nie odnalazła dowodu, którego Fletcher potrzebował, pocieszała się jednak, że przynajmniej po części jej się udało. Myślała o tym, że gdzieś musi być dowód na to, że Alexander i Douglas byli braćmi, synami Alasdaira Ramsaya.

Czuła wyraźnie, że taki dowód istnieje.

Kiedy znalazła się w domu, wykąpała się i zjadła trochę zupy, ale była zbyt wyczerpana, by dokończyć ten skromny posiłek. Wyciągnęła się na łóżku, spodziewając się, że zapadnie w sen równie szybko, jak zwykle. Sen jednak nie nadchodził.

Gdy tylko zamykała oczy, widziała pod powiekami kamień nagrobny z napisem: Bride Ramsay.

Czy wiadomość, że udało jej się go odnaleźć, podniesie Fletchera na duchu?

Fletcher. Fletcher. Fletcher. Jakże to imię ją prześladowało. Czy już nigdy nie zazna spokoju?

Uderzyła pięścią w poduszkę. Już samo jego imię sprawiało, że odzywał w niej ból. Dlaczego właściwie zawracała sobie głowę oglądaniem kamieni nagrobnych? Dlaczego jej na tym zależało? Przecież to jego poszukiwania. To nie jej sprawa. Przecież porzucił ją dla innej kobiety.

- Dlatego, że niesienie pomocy innym leży w twojej naturze - usłyszała głos dziadka. Głos tak czysty i donośny, jakby stał u jej wezgłowia.

Następnego dnia pojawiły się trzy nowe zachorowania na tyfus i Cathleen zaczęła się już zastanawiać, czy epidemia nigdy się nie skończy. Próbowwała skupić się na pracy, ale cały czas myślała wyłącznie o odnalezionym grobie Bride Ramsay.

Pomimo cierpienia na samą myśl o tym, że zobaczy Fletchera u boku Annory Fraser, postanowiła, że nie zatrzyma tej informacji dla siebie. Zdecydowała się pojechać do Dunston, kiedy tylko skończy dzisiaj pracę. Nieważne, co jej zrobił, nieważne, jak przez niego cierpiała. Nie mogła ukrywać przed nim czegoś tak istotnego.

Pojechała więc do Dunston. Zatrzymała się przed ogromnym, wygiętym półkuliście budynkiem, który okalał kamienny dziedziniec. Wysiadła z powozu i ruszyła ku frontowemu wejściu. Zastukała do potężnych dębowych drzwi, wzmocnionych żelaznymi okuciami i nabijanych gwoździami.

Kiedy lokaj otworzył, Cathleen stanęła oko w oko z wiszącymi na ścianach portretami, które zdawały się patrzeć na nią w taki sposób, że miała ochotę natychmiast stąd uciec.

- Przyjechałam zobaczyć się z księciem Caithness - wykrztusiła.

- Tędy, proszę. - Lokaj wprowadził ją do salonu i oznajmił: - Proszę tu poczekać. Powiadomię panią Fraser.

- Aleja chcę rozmawiać z księciem Caithness! - zawołała za nim, lecz nawet jeśli lokaj dosłyszał jej słowa, nie dał tego po sobie poznać.

Westchnęła z irytacją.

Po chwili do salonu weszła Annora. Wyglądała zjawiskowo pięknie w obłoku lawendowego jedwabiu. Cathleen spojrzała na swoją uszytą w domu sukieneczkę, której różany niegdyś kolor wyblakł tak, że przypominał blade wieczorne niebo, i pomyślała, że trudno się dziwić, iż Fletcher wybrał tego rajskiego ptaka o barwnym upierzeniu, a nie niepozorną szkocką kuropatwę.

- Panna Lindsay, cóż za miła niespodzianka. Duncan powiedział, że przyjechała pani spotkać się z panem Fletcherem.

- Tak, odkryłam coś, czego szukał. Myślę, że ucieszy go ta wiadomość.

- O, na pewno. Może mi pani przekazać tę wiadomość, na pewno mu powtórzę. Wkrótce się ściemni. Jestem pewna, że chciałaby pani jak najszybciej wracać do domu.

- To prawda, muszę jednak spotkać się z nim osobiście.

- Obawiam się, że to niemożliwe.

- Nie ma go tutaj?

Annora miała niezbyt pewną minę.

- Jest... jest tutaj, oczywiście, nie wiemy jednak gdzie. Często nam tak znika i pojawia się niespodziewanie, nie wiadomo skąd, kiedy przestajemy już go szukać. Jestem pewna, że sama pani wie, jaki on jest.

- Tak, wiem.

- Posłałam Dunkana, żeby się za nim rozejrzał - powiedziała wesoło Annora. - Ale może minąć sporo czasu, zanim go znajdzie.

- Poczekam.

- Jak sobie pani życzy. - Uśmiech Annory zniknął. Wyszła z salonu, szeleszcząc jedwabiem.

Cathleen czekała przeszło godzinę.

Zbliżał się zmrok i stwierdziła, że dłużej nie może już *czekać*. Nie chciała znaleźć się na drodze po zapadnięciu ciemności. Opuszczając wspaniały salon, miała nadzieję, że zdoła wymknąć się stąd niepostrzeżenie.

Gdy Fletcher wszedł do holu, zobaczył skradającą się na paluszkach Cathleen. Przez chwilę był tak zaskoczony, że zamarł bez ruchu.

- Cathleen! - zawołał wreszcie, gdy dziewczyna była już o krok od drzwi wyjściowych.

- Co ty tutaj robisz?

Odwróciła się do niego.

- Przyjechałam, żeby przekazać ci pewną informację, której szukałeś, ale zrobiło się już późno.

- Z pewnością Dunkan nie zostawił cię tu, przy drzwiach. -Fletcher gniewnie ściągnął brwi.

- Nie, łaskawie pozwolili mi posiedzieć w salonie. Właśnie wychodzę.

- Nie możesz jeszcze wyjść! - zawołał, wpatrując się w nią. -Dopiero przyjechałaś.

- Jestem tu już przeszło godzinę, zresztą to nieważne. Muszę już iść. Nie chcę znaleźć się na drodze po zmroku.

- Ja także nie chciałbym, żebyś podróżowała po ciemku. -Fletcher wziął dziewczynę pod ramię. - Przykro mi, że tak długo czekałaś. Chodź ze mną.

- Nie... Proszę! - Na jej twarzy widać było panikę. - Nie chcę tam wracać. Nie podoba mi się w tym domu. Nie powinnam była tu przyjeżdżać. Proszę. Muszę iść.

Spojrzenie Fletchera złagodniało.

- W takim razie wyjdźmy na dwór. - Wziął ją pod rękę i wyprowadził na zewnątrz. Rozkazał, by zaprzężono konie do powozu.

- To nie będzie potrzebne. Przyjechałam powozem dziadka.

- W takim razie pošlę jutro kogoś, by go odprowadził. Czekałaś zbyt długo, przepraszam cię za to. Mogę przynajmniej odwieźć cię do domu.

Próbowała oponować, ale nie chciał tego słuchać.

- Cathleen, pozwól mi przynajmniej na to.

- To nie jest konieczne.

- W tej sprawie ja decyduję. Jesteś tak zmęczona, że zaraz zaczniesz potykać się o własne stopy. A poza tym ja naprawdę chcę odwieźć cię do domu. Odmówisz mi tej przyjemności?

Rzuciła mu wymowne spojrzenie, które dawało do zrozumienia, że dziewczyna byłaby raczej skłonna uwierzyć w to, że kurczaki mają zęby, niż w to, że Fletcher ma ochotę spędzić z nią sam na sam choćby dwie minuty.

Och, najdroższa Cathleen, widzę, że nic nie rozumiesz... że już mi nie ufasz, pomyślał.

- Wiem, że pewnie mi nie uwierzysz, ale nic się między nami nie zmieniło. Wiele bym dał, byś mi zaufała.

- Nie wierzę ci - odpowiedziała i po jej twarzy przemknął mroczny, bolesny cień.

Fletcher osłupiał na widok jej reakcji. To była dla niego gorzka pigułka, bo sądził, że dziewczyna ucieszy się na jego widok i będzie wdzięczna za propozycję odwiezienia jej do domu. Myślał, że kiedy zapewni ją, że nic się między nimi nie zmieniło, wszystko będzie w porządku i Cathleen wybaczy mu, jak zawsze mu wybaczała, bo taka już była jej natura. W swej arogancji z góry założył, że skoro przyjechała do niego, to wystarczy, by powiedział kilka miłych słów, które, jego zdaniem, pragnęła usłyszeć, a wszystko będzie jak dawniej.

Kiedy się nad tym głębiej zastanowił, doszedł do wniosku, że miłość, którą tak szczerze mu ofiarowała, należy do niego raz na zawsze i może po nią sięgnąć, ilekroć tego zapragnie. Wystarczy, by wyciągnął rękę. Żył w przekonaniu, że dziewczyna będzie go zawsze kochała, nie stawiając żadnych wymagań.

Teraz zastanowił się, czy nie podzielić się jednak z nią podejrzeniami, że to Adair stoi za śmiercią Davida, i nie wyznać, że Annora Fraser obchodzi go tyle co zeszłoroczny śnieg.

Czy Cathleen uwierzy, jeśli powie, że to wszystko był jedynie podstęp, wynikający z lęku o jej życie?

Jedno spojrzenie na dumnie zadarty podbródek dziewczyny, na jej nieustępliwie dumną minę wystarczyło, by zrezygnował z tego pomysłu. Morderczy wyraz jej twarzy odzwierciedlał zapewne uczucia do niego. Może wkrótce będzie mógł wszystko jej powiedzieć. Starał się mieć nadzieję, że kiedy wreszcie zdecyduje się na ten krok, nie będzie za późno.

W panującym w stajni półmroku Annora położyła rękę na ramieniu woźnicy. Odwrócił się ku niej.

- Nie zaprzęgaj do karety. Weź mniejszy powóz. Nie chciała bym, żebyś siedział zbyt daleko od nich. Chcę dokładnie wiedzieć, o czym będą ze sobą rozmawiać. Będziesz moimi oczami i uszami, rozumiesz?

- Tak. Pani chce, żebym przysłuchiwał się ich rozmowie. Kiwnęła głową.

- Przyjdź do mnie zaraz po powrocie. Nie zapomnij.

- Nie zapomnę - zapewnił woźnica.

Obserwowała, jak zaprzęga konie do mniejszego powozu. Uśmiechnęła się. Nie spocznie, dopóki się nie dowie, jakie to ważne wiadomości przywiozła do Dunston panna Lindsay. To musiało być coś niezwyklej wagi, skoro dziewczyna zdecydowała się zapomnieć o własnym upokorzeniu porzuconej kochanki.

Annora stała w cieniu mrocznej stajni i obserwowała powóz, który minął budynek stajni i potoczył się w stronę drogi. Uśmiechnęła się do siebie. Niech sobie porozmawiają, pomyślała.

Wiedza to potęga.

Kiedy usiedli w powozie, Cathleen spojrzała na Fletchera. Nie odzywał się, pożerał ją tylko wzrokiem, jakby chciał utrwalić w pamięci każdy, najmniejszy nawet, szczegół jej wyglądu. Wiedziała, że on dokonuje porównania. Nie, nie porównywał jej z Annorą, bo porównywanie ich nie miało najmniejszego sensu. Tamta to skończona piękność. Piękność, którą ona nigdy nie była.

Nie, porównywał Cathleen, jaką zachował w pamięci, z dziewczyną, którą miał przed sobą. Poczula, że jej serce zaczyna wywijać koziółki. Ileż to czasu minęło od chwili, gdy wyciągała wodę ze studni i patrzyła na zbliżającego się konno mężczyznę?

Bardzo się zmieniła od tego dnia. Bardziej niż on, co do tego nie miała wątpliwości. Niezależnie od tego, co swego czasu czuła do tego mężczyzny, nigdy nie miała złudzeń co do własnej osoby, co do swego wyglądu, co do swej pozycji w świecie. Co Fletcher myślał, gdy jego błękitne oczy przesuwaly się po jej sylwetce? Czy zastanawiał się, jak mogło mu kiedyś zależeć na kimś takim jak ona? A może po prostu było mu żal dziewczyny, która przestała go już pociągać?

Odwróciła głowę i wyjrzała przez okno, za którym przesuwaly się doskonale utrzymane trawniki Dunston.

- Jak to dobrze znów cię zobaczyć - odezwał się Fletcher.

- Daruj sobie próby nawiązania rozmowy. Nie mam ci nic do powiedzenia.

Wyraz jego twarzy dowodził, że jej słowa spełniły swoją rolę. Dziwne. Ranienie go nie sprawiało jej wcale takiej satysfakcji, jakiej oczekiwała. Znów odwróciła się do okna i oparła czoło o szybę. Poczula mdłości.

- Wyglądasz na zmęczoną. Nadal opiekujesz się chorymi na tyfus?

- Tak.

- Wydaje mi się, że ostatnio jest mniej przypadków nowych zachorowań.

- Owszem, modlimy się, żeby rzeczywiście najgorsze było już za nami.

- Mam nadzieję, zarówno dla twojego dobra, jak i dla dobra wszystkich innych. Schudłaś.

Cathleen wiedziała, że straciła na wadze, ale słowa Fletchera sprawiły jej przykrość. Pewnie zauważył także inne rzeczy, o których przez grzeczność nie wspomniał: fioletowe cienie

pod oczami, które straciły dawny blask, i matowe włosy, o których kiedyś mówił, że błyszczą własnym światłem.

- Tęskniłem za tobą.

Cathleen poczuła, że robi jej się słabo. Ze wszystkiego, co mógł powiedzieć, te słowa zaboląły najbardziej. Mówił coś, czego nie czuł, bo nagle ogarnęły go wyrzuty sumienia... to było prawie nie do zniesienia. Jeszcze nigdy nie czuła takiego gniewu.

- Trudno mi w to uwierzyć, to takie sentymentalne.

- To wcale nie jest sentymentalne, zapewniam cię - rzekł z uśmiechem i sięgnął po jej rękę.

Zabrała dłoń.

- To zresztą nieważne i nie ma nic wspólnego z powodem, dla którego przyjechałam do Dunston. - Narzuciła sobie dystans w stosunku do Fletchera, chciała być daleka, konkretna, bardzo oficjalna.

Z jego spojrzenia wywnioskowała, że postanowił na razie pozwolić sprawom toczyć się własnym trybem. Cathleen była usatysfakcjonowana, ale i rozczarowana równocześnie, że zrezygnował z prób przekształcenia ich wzajemnych stosunków w bardziej przyjacielskie.

- Mówiłaś, że udało ci się coś znaleźć.

- Owszem. I to coś ważnego. Wiem, gdzie jest pochowana Bride Ramsay. I Douglas.

- Mów dalej.

Fletcher siedział bez słowa, kiedy dziewczyna w zimny, bezosobowy sposób relacjonowała, jak odkryła grobowiec Bride, i wyrażała domniemanie, że Douglas i Alexander byli braćmi.

- Żona Alexandra miała na imię Madeline. Także jest tam pochowana. Pewnie będziesz chciał zobaczyć to na własne oczy.

- Oczywiście! - Pochylił się i pochwycił dłonie dziewczyny, zanim zdążyła je cofnąć. - Cathleen, nie masz pojęcia, co to znaczy.

Wyrwała mu swoje ręce.

- Oczywiście, że wiem. Dlatego przyjechałam. Nie chciałabym jednak łudzić cię próżną nadzieją. Nie ma tam najmniejszej wzmianki, że Douglas był synem Alasdaira ani że Bride była żoną Douglasa, nadal nie masz więc potrzebnego dowodu.

- Rozumiem, ale to pierwszy ślad, na jaki udało nam się trafić. Przynajmniej wiem wreszcie ponad wszelką wątpliwość, że Douglas i Bride naprawdę istnieli. To już coś.

- Tak, od tego można zacząć, lecz to dopiero początek - stwierdziła Cathleen. Podniosła na niego oczy, ale kiedy popatrzył na nią, szybko odwróciła wzrok. - Musisz być bardzo ostrożny, gdy wybierzesz się do zamku Glengarry.

- To jasne, nikt nie wie lepiej ode mnie, jakim podstępny draniem jest Adair. Będę ostrożny.

- Jeśli przyjedziesz po zmierzchu, będę już po pracy i pokażę ci, gdzie są te groby.

- Nie chcę, żebyś się do tego mieszała - powiedział stanowczo.

- Już się kiedyś o to spieraliśmy, pamiętasz? - Cathleen uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Nie, nie zapomniałem. I nie pozwolę, żebyś wplątywała się w tę sprawę. Nie cieszy mnie, że pętasz się wokół zamku Glengarry. To zbyt niebezpieczne. Obiecuj mi, że nie będziesz już ryzykować.

- Zobaczymy - mruknęła. Odchyliła głowę na oparcie i zamknęła oczy. - Nie chcę już rozmawiać. Jestem zbyt zmęczona.

- Nie zamierzasz przestać, prawda? Będziesz nadal rozdawać siebie innym, aż w końcu nic ci nie zostanie. Ja...

Fletcher dostrzegł sine kręgi pod oczami dziewczyny, która zapadła nagle w głęboki sen, jak człowiek umęczony ponad miarę, i nie dokończył zdania. Delikatnie wziął ją w ramiona.

Pomimo skrajnego wyczerpania Cathleen czuła, że powinna położyć temu kres, ale jej ciało było zbyt zmęczone, by usłuchać rozkazu. Z westchnieniem poddała się rozkoszemu uczuciu, że znajduje się znów w ramionach Fletchera.

Nawet jeśli miało to trwać tylko przez krótką chwilę.

19

Annora przyjechała nazajutrz do zamku Glengarry wczesnym rankiem, ale nie zastała Adaira. Zapytała o Angusa.

- Jest chory, pani - poinformowała ją ochmistrzyni. - Ma tyfus, przez ostatnie tygodnie był już jedną nogą w grobie.

- Zaprowadź mnie do niego - poprosiła Annora, a kiedy kobieta spojrzała na nią ze zdziwieniem, dodała: - To mój stary znajomy. Pracował u mojego ojca, kiedy jeszcze byłam dzieckiem.

Ochmistrzyni pokiwała głową.

- Tędy proszę.

Po chwili Annora siedziała już przy łóżku Angusa.

- Jesteś pewien, że nie mogę nic dla ciebie zrobić? ~ zapytała. Chory lekko pokręcił głową.

- Czuję się już o niebo lepiej - powiedział słabym głosem. -Panna Lindsay przychodziła do mnie codziennie. Jestem pewien, że nawet doktor nie zrobiłby dla mnie więcej.

- Przykro mi, że nie przyjechałam wcześniej. Nie miałam pojęcia, że jesteś chory.

- Jak się dowiedziałas?

- Od ochmistrzyni.

- Więc przyjechałaś tu z innego powodu?

- Miałam sprawę do Adaira.

Angus spochmurniał.

- Annoro, unikaj kontaktów z tym człowiekiem. Jemu nie można ufać. Nie mówiłem ci o tym wcześniej, bo nie chciałem cię straszyc.

- O czym mi nie mówiłeś?

- Adair jest odpowiedzialny za śmierć Bruce'a Ramsaya.

- Ojca Fletchera?

- Tak.

- Skąd wiesz? - Annora oddychała szybciej, ręce jej się trzęsły.

- Nieważne skąd. Dowiedziałem się od kogoś, kto wiele lat pracował u księcia. Powiedział mi o tym przed śmiercią.

- Dlaczego u niego pracujesz, skoro wiesz o nim takie rzeczy?

- Dla mnie jest już za późno. Znasz jego siłę, jego potęgę. Bałbym się odejść. Wszystkim, którzy rzucili pracę u księcia, przytrafiały się nieszczęśliwe wypadki. Każdy, kto stąd odejdzie, zginie.

- Ale jeśli tu zostaniesz...

- Jeśli ktoś jest zbyt stary, by pracować, ale trzyma głowę na kłódkę, to książę nadal się nim opiekuje. Nigdy jednak nie można stąd odejść. Nigdy.

- Nie wierzę ci.

Angus ciągnął, nie zwracając uwagi na jej słowa:

- Tak jak ty, większość z nas całkowicie nieświadomie dała się wplątać w jego zbrodnie i teraz już nie ma dla nas odwrotu. Jesteśmy współwinni jego występków. Gdybyśmy zaczęli mówić, obciążilibyśmy samych siebie.

Annora była bardziej przerażona niż kiedykolwiek w życiu. Postanowiła nie przekazywać Adairowi żadnych informacji, bo jeśli Angus miał rację, książę Glengarry mógł skrzywdzić

Fletchera i Cathleen Lindsay.

Nie chciała, żeby ta dziewczyna zdobyła Fletchera Ramsaya, ale to nie znaczy, że chciała widzieć ją martwą. A przy okazji jego.

Znała Angusa od dawna. Wiedziała, że mówi prawdę, choć brzmiało to jak horror. Z niepokojem przyjrzała się choremu. Kiedy mówił, jego twarz przypominała zastygłą maskę.

Annora nie chciała go zmartwić, więc nie mogła przyznać, że już została wplątana w sprawki Adaira i że ona także nigdy nie będzie mogła wystąpić z jego służby.

- Obiecaj mi - prosił chory. - Obiecaj mi, że wyrwiesz się z jego sidła, dopóki jeszcze możesz.

- Pomyślę o tym, ale teraz muszę już iść. Wrócę tu jeszcze, żeby się z tobą zobaczyć.

- Nie - zaprotestował słabo. - Nie wracaj tutaj w ogóle, a już w żadnym razie po to, by mnie odwiedzić. Gdyby stało ci się coś złego... nie chciałbym mieć tego na sumieniu.

- Nic mi się nie stanie - stwierdziła z buńczucznym uśmiechem i pomyślała, że chciałyby w głębi duszy mieć tę pewność, która zabrzmiała w jej głosie. Czuła się niemal chora. Niedobrze jej się robiło na samą myśl o tym, że Adair był odpowiedzialny za śmierć ojca Fletchera. Nie miała dotychczas nic przeciwko temu, by tu czy tam trochę powęszyć, lecz teraz nie będzie tego robić.

Nie chciała mieć na rękach krwi.

Ale jak z tym skończyć? Siedziała w tym po uszy, czy jej się to podobało, czy nie. Adair nie należał do ludzi, z którymi można dyskutować. Litość także była mu obca. Zawarła pakt z diabłem, a skoro już raz, jak mówił Angus, została wplątana w zbrodnie Adaira, była współwinna i nie miała szansy ucieczki.

Ręce jej drżały i w gardle wyszło ze strachu, postanowiła jednak, że przynajmniej przez pewien czas będzie próbowała prowadzić z Adairem pewną grę. Nadal będzie przekazywać mu informacje, ale z opóźnieniem. Co znaczy jeden mały dzień różnicy? A dzięki temu Adair dostanie wiadomość już po tym, jak Fletcher z Cathleen wybiorą się oglądać grobowce. Zresztą przecież ta dziewczyna już je widziała i twierdzi, że na cmentarzysku nie ma żadnego dowodu; nic, co dałoby Fletcherowi do ręki argumenty, których potrzebował; nic, co mogłoby sprawić, by Adairowi grunt usunął się spod nóg.

Angus uniósł się i oparł na łokciach. Jego głos zdradzał skrajne wyczerpanie.

- Obiecaj mi, że nie dasz się w to wplątać, Annoro. Przy sięgnij mi, że będziesz się trzymać z dala od tego... tego siedliska zła.

Przełknęła z trudem ślinę i spojrzała w stronę drzwi. Jeszcze nigdy w życiu tak bardzo nie pragnęła znikąd uciec. Chciała biec, biec, biec nieprzerwanie, dopóki nie znajdzie się z dala od

Glengarry, z dala od Szkocji.

- Będę się trzymać z dala, jeśli tak ci na tym zależy - obiecała i ruszyła do drzwi. Już wychodziła, gdy po raz ostatni dobiegł ją głos Angusa.

- Wypłacz się z tego, Annoro. Dopóki możesz... dopóki nie jest jeszcze za późno.

Kiwnęła głową i wyszła. Szła długim korytarzem, zmartwiała ze strachu i bez odrobiny nadziei w sercu na wyrwanie się z matni.

Nazajutrz po wizycie Annory u Angusa Cathleen spotkała się z Fletcherem w lasku za zamkiem Glengarry. Zapadał zmrok. Słońce stało już bardzo nisko na niebie, kiedy poprowadziła go do muru niemal całkowicie ukrytego wśród roślinności. Stał z boku, gdy Cathleen podnosiła pędy bluszczu w poszukiwaniu wejścia na cmentarz. Dopiero kiedy wreszcie udało jej się znaleźć furtkę, podszedł i otworzył ją, by mogli wejść do środka.

- Tędy. - Dziewczyna, lekko stąpając po trawie, odchyłała gałęzie krzewów, schylała się pod zwisającymi z drzew pnączami. Zatrzymała się pod starym dębem.

Fletcher nie spuszczał z niej oczu. Obserwował, jak prosta zielona sukienka faluje wokół jej nóg, kiedy porusza się z wdziękiem samy.

Powtarzał sobie w duchu, że to nie czas i miejsce na sprawy delikatniejszej natury. Ruszył w jej stronę i niemal minął kamień nagrobny, lecz nagle zatrzymał się i powoli odwrócił.

Bruce Ramsay

Książa Glengarry

Wiele czasu minęło od chwili, gdy był tak blisko ojca. Ukląkł i dotknął palcami liter napisu.

- Ktoś próbował usunąć słowa: książę Glengarry - powiedział.

- Tak, już wcześniej to zauważyłam - rzekła Cathleen, która do niego podeszła.

- Kiedy to wszystko się skończy, każę zrobić nowy pomnik.

- Z datami. Jak na innych.

Fletcher zacisnął ręce w pięści. Wszystko wróciło: gniew, pragnienie zemsty i konfrontacji z Adairem Ramsayem. Próbując się opanować, wyrwał kilka ździebeł z porośniętego trawą pagórka, kryjącego kości jego ojca.

- Nie zapomniałem - wyszeptał. - Pamiętam wszystko, czego mnie nauczyłeś. Wszystko, co było dla ciebie ważne. Pamiętam. Przez cały ten czas, gdy byłem daleko, stałeś przy mnie,

prowadziłeś mnie jak latarnia morska. Nigdy nie zapomnę. Kochałem cię. I kocham cię teraz.

Poczuł, że ręka Cathleen lekko dotyka jego ramienia; poczuł też na ręce gorące łzy płynące z oczu dziewczyny.

- Chciałabym, żeby żył... chciałabym go poznać - szepnęła.

- Ja także - odpowiedział cicho.

Wstał i odwrócił się do Cathleen. Zdołał już opanować przyływ wzruszenia. Jego twarz przypominała żelazną maskę.

- Prowadź - powiedział.

Otarła twarz wierzchem dłoni.

- Pozostałe groby są tam.

- Wszystko w porządku - mruknął i uśmiechnął się. - Nie ma powodu do łez. Mój ojciec bardzo dawno odszedł z tego świata, był w nim jednak stale obecny.

- Kocham cię, Fletcher.

- I ja ciebie też.

Odwróciła się od niego i ruszyła naprzód. Szła od grobu do grobu, odczytując inskrypcje, dopóki nie podeszli do grobowców Bride i Douglasa.

Fletcher stał w milczeniu i wpatrywał się w imiona, których tak długo szukał. Tak jak Cathleen mówiła, na nagrobkach zostały wyryte jedynie imiona oraz daty urodzin i śmierci. Nie było dowodu, że Bride była żoną tego właśnie Douglasa ani że ten był synem Alasdaira. Tak wiele i tak mało zarazem.

- Przykro mi, że nie ma nic więcej - szepnęła, patrząc na groby.

- Mnie też. Mamy jedynie pewność, że istniała jakaś Bride Ramsay i że żył kiedyś człowiek nazwiskiem Douglas Ramsay.

- Ale to nie znaczy, że był to twój Douglas.

- Ani moja Bride - mruknął, niezdolny ukryć rozczarowania w głosie. - To niczego nie dowodzi. Mogli być kuzynami, nawet rodzeństwem. Chodźmy, nie ma sensu dłużej tu sterczeć. Poczuję się lepiej, kiedy znajdziesz się już bezpiecznie w domu.

Ruszyli do wyjścia, kiedy nagle wzrok Fletchera przyciągnął inny grób.

Dziewczyna spojrzała na nagrobek, który widziała już wcześniej. Spoczywała pod nim Madeline de Compiegne Ramsay.

- O co chodzi? - zapytała.

- Nie jestem pewien - odpowiedział, nie odrywając oczu od nagrobka. - Dziwne, ale mam wrażenie, że widziałem już kiedyś ten napis.

- Nie mogłeś go widzieć. Od wieków nikt tu nie zaglądał.

- Wiem, ale jest w nim coś dziwnie znajomego.

- Znajomego? - Cathleen znów spojrzała na kamień i wzruszyła ramionami. - Nie mogłeś tego dawniej widzieć. Może samo nazwisko jest ci znajome. Dość dużo czasu poświęciłeś na przeglądanie zapisków. Jestem przekonana, że niejednokrotnie natrafiłeś na nazwisko Madeline Ramsay.

- Możliwe - Zmarszczył czoło; nie mógł się pozbyć jakiegoś dziwnego przeczucia.

Odwrócił się, Cathleen stała w cieniu za jego plecami. Uśmiechnął się słabo, ujął rękę dziewczyny w obie dłonie i delikatnie pogładził kciukiem wewnętrzną stronę nadgarstka.

- Wygląda na to, że znów jesteśmy w punkcie wyjścia.

- Nie, tylko tak ci się wydaje, bo jesteś rozczarowany. Masz teraz dowód, że Bride Ramsay istniała naprawdę i została pochowana u boku kogoś, kto nazywał się Douglas Ramsay. Teraz pozostaje ci tylko dowiedzieć się dlaczego.

- Naprawdę tylko tyle? - Uśmiechnął się smutno. - Jak zawsze jesteś optymistką. Czy wiesz, że samo przebywanie w twoim towarzystwie podnosi mnie na duchu?

- Cóż, zaraz zrobi się całkiem ciemno, na razie jednak wyraźnie widzę, że twarz, którą mam przed sobą, to chyba najbardziej przygnębione oblicze, jakie w życiu widziałam. Gdybyś był w choć trochę gorszym nastroju, musiałbyś chyba tonąć w rozpacz - stwierdziła Cathleen.

Spojrzał na dziewczynę, na buzię elfa i serdeczny uśmiech, i uświadomił sobie, że te słowa miały podnieść go na duchu. Cathleen najwyraźniej nie знаła potęgi swego uśmiechu i Fletcher pomyślał, że *to* chyba jedyna ładna dziewczyna, która nie próbuje kokietować. Wszystko w niej było równie naturalne i świeże, jak to wieczorne powietrze, które wciągał w płuca. Poczł dziwny ucisk w klatce piersiowej.

Dlaczego właśnie ona?

Dlaczego spośród wielu znanych mu kobiet właśnie ta jedna tak na niego działała? Dlaczego wszystko go w niej zachwycało?

- Chodź już - powiedziała, biorąc go za rękę. - Dotychczas mieliśmy szczęście i nikt nas nie zauważył, ale wolałabym dłużej nie kusić losu.

- A jeśli powiem, że lubię stać z tobą w zapadającym mroku, i to tak bardzo, że gotów jestem zaryzykować odkrycie, by móc jeszcze przez chwilę potrzymać cię za rękę?

- Powiedziałabym, że masz nie po kolei w głowie. Jeśli już koniecznie chcesz trzymać mnie za rękę, to chodź ze mną. Będzie na to mnóstwo czasu, kiedy wreszcie stąd wyjdziemy.

- Obiecujesz? - zapytał i przyciągnął ją bliżej. Zobaczył wyraz paniki w jej oczach i zrozumiał, że posunął się za daleko, że ona naprawdę nie czuje się tu pewnie zarówno z

powodu lęku przed ciemnością, jak i, co ważniejsze, dlatego, że nadal czuła ból odrzucenia. A on o jednym tylko myślał w tej chwili: o tym, że pragnie być z nią znowu.

- A gdybym powiedział, że chcę się z tobą kochać?
- Poradziłabym, żebyś co sił w nogach pognał do Dunston i powiedział to Annorze.

To był twój wybór.

- Czyżby? Taka jesteś tego pewna?
- Tak, jestem pewna, ale z twoich słów wnoszę, że ty masz maleńki problem. Jeśli nie jesteś w stanie się zdecydować, może powinieneś skupić się na czymś innym.

Zaintrygowała go.

- Na czymś innym? Na przykład?
- Na przykład na wskoczeniu na siodło i wyniesieniu się stąd.

Obeszła go dookoła i ruszyła do wyjścia. Fletcher poszedł za nią do furtki. Kiedy doszli do miejsca, w którym zostawili wierzchowce, nie mógł powstrzymać się od śmiechu na widok dziewczyny, dosiadającej tłustego włochatego kuca górskiego o imieniu Flora.

- Byłabym wdzięczna, gdybyś przestał się ze mnie wyśmiewać. Mój powóz, jak doskonale wiesz, został zniszczony.

- Wyśmiewać się z ciebie? Nie mógłbym być tak nikczemny, nawet wtedy, gdybym patrzył, jak szorujesz nogami po ziemi.

- Owszem, wyśmiewasz się. I wcale nie szoruję nogami po ziemi.
- Widywałem już większe kozy.
- Pewnie w Ameryce. Podobno tam wszystko jest większe. Nawet bufoni.

Fletcher wybuchnął tak serdecznym śmiechem, że z trudem wsiadł na konia. Jechał za nią i zastanawiał się, czy dziewczyna nie marznie, bo po zachodzie słońca zrobiło się chłodno.

Trzymali się z dala od głównego gościńca, wybierając kręte boczne drogi i bezdroża, przejeżdżali obok ostrych skał, którymi usiana była dolina, przez pewien czas podążali z biegiem wartkiego strumienia, który zdawał się śpieszyć na spotkanie z rzeką Garry. Minęli kilka domów farmerów i opuszczonych chat zagrodników, spłoszyli parę stad owiec i oszczekało ich kilka psów.

Fletcher nie zauważył nawet, że dotarli do domu Cathleen, dopóki nie zobaczył czarnych zgliszczy chaty zagrodnika, w której mieszkał swego czasu. Wjechali na podwórze.

Dziewczyna siedziała jeszcze przez chwilę w siodle i patrzyła na dom. Inspekcja najwyraźniej wypadła pozytywnie, bo zanim Fletcher zdążył zeskoczyć z siodła i pomóc jej zsiąść z kuca, stała już pewnie na ziemi.

- Daj mi to - powiedział, odbierając jej wodze. - Przed odjazdem zajmę się twoją zapasioną Florą i nie mów mi, że Robert to zrobi. Wiem, że po zmroku nie przyjdzie.

- Tylko obchodź się z nią ostrożnie. Po ostatnim wypadku z wozem zrobiła się nieco płochliwa.

- Będę delikatny - obiecał, zastanawiając się, czy Cathleen wyczuła aluzję w jego głosie.

Zdecydowanie zauważyła, bo nawet w ciemnościach widać było oznaki nagłego onieśmienia. Spuściła głowę, podeszła do domu i tak zdecydowanie zatrzasnęła za sobą drzwi, jakby chciała dać mu odprawę.

Fletcher roześmiał się i zaprowadził kuca na padok, po drodze fałszywie pogwizdując. Po chwili wrócił do domu.

Zastał Cathleen w kuchni. Zdążyła już rozpaścić ogień i nastawiała właśnie czajnik, żeby zagotować wodę na herbatę. Nie słyszała jego wejścia, więc mógł przez chwilę napawać się jej widokiem.

Choć nadal była młodą, pełną energii, zdrową dziewczyną, wyraźnie straciła na wadze po śmierci dziadka. Suta spódnica maskowała nieco chudość, ale stanik sukienki był za luźny, choć starała się to ukryć pod dużą chustą, którą skrzyżowała na piersi i związała na plecach.

Odwróciła się i krzyknęła na jego widok, a jej ręka powędrowała ku sercu.

- Nie słyszałam twojego wejścia - powiedziała.

Fletcher domyślał się, że ma ochotę kazać mu się zbierać, ale wrodzona dobroć nakazywała zaprosić go na herbatę. Stał bez słowa i czekał, ciekaw, co zwycięży, urażona kobieca duma czy wrodzona dobroć.

- Zostaniesz na herbacie?

Uśmiechnął się. Dobroć była dominującą cechą charakteru Cathleen i nie było szansy, by cokolwiek wzięło nad nią górę.

- Z przyjemnością. - Wszedł do kuchni, zatrzymał się o kilka kroków od dziewczyny i oparł się o skrzynię. Z tego miejsca bez trudu mógł ją obserwować.

Przyjrzał się uważnie jej twarzy, zastanawiając się, dlaczego uważa ją za tak piękną, skoro jej urodę psuły nieco zbyt wydatne kości policzkowe, trochę za pełne wargi i wyzywający podbródek. Może z powodu niezwykłych, fiołkowych oczu, których odcień był jedyny w swoim rodzaju, charakterystyczny tylko dla Cathleen. Te oczy lśniły i były pełne życia. Może z powodu delikatnego nosa bądź idealnie zarysowanych brwi? A może chodzi o cerę, która łączy w sobie świeżość powietrza Glengarry i górskich potoków.

- Herbata będzie za chwilę - powiedziała Cathleen.

Fletcher doszedł do wniosku, że po prostu jej twarz i figura pozostają w idealnej harmonii z dzikimi wrzosowiskami i rozsianymi wśród nich samotnymi stromymi skałami, dzięki czemu dziewczyna robi wrażenie nieodrodnej córki szkockich gór. W kuchni zapadła cisza.

- Przejdź do gabinetu, zaraz przyniosę herbatę - odezwała się w końcu nieco podenerwowanym głosem.

Patrzyła w ślad za Fletcherem. Poruszał się z wyjątkowym wdziękiem, mógłby bez żadnych ćwiczeń brać udział w uroczystej paradzie. Weszła do swego pokoju i sięgnęła po leżącą na małym biurczku Biblię. Zanurzyła pióro w atramencie i zapisała imiona, które widziała dzisiaj na nagrobkach. Wykaligrafowała: *Madeline de Compiegne Ramsay i Alexander Ramsay* oraz *Bride Ramsay i Douglas Ramsay*. Usiadła z westchnieniem satysfakcji. Imiona zostały zapisane, więc już ich nie zapomni.

Odłożyła Biblię i wróciła do kuchni, by przygotować herbatę.

Po chwili Cathleen zaniósła dwie filiżanki do gabinetu, w którym czekał Fletcher.

- Pamiętam, że pijesz herbatę bez żadnych dodatków, więc nie wzięłam tacy. - Ustawiła filiżankę na stoliku w pobliżu fotela, na którym siedział.

Sama zajęła miejsce naprzeciw niego.

- Jak sobie radzisz? Jesteś w stanie uporać się z całą pracą na farmie?

- Tak. Robert i Fionn bardzo mi pomagają. Dzięki tobie.

- Przynajmniej tyle mogłem dla ciebie zrobić. Nie zareagowała na jego słowa.

- Wszyscy są dla mnie tacy dobrzy. Dziadek był niezwykle kochanym i szanowanym człowiekiem.

- To prawda. Cieszę się, że ludzie ci pomagają. Czy jesteś pewna, że nic więcej nie mogę dla ciebie zrobić?

- Tak - odparła pośpiesznie i zmieniła temat. - Jutro rano znów wybieram się do zamku Glengarry, żeby sprawdzić, co się dzieje z Angusem. Zapytam go o Madeline Ramsay.

- Nie chciałbym, żebyś zadawała jakiegokolwiek pytania ani żebyś tam weszła - powiedział Fletcher i natychmiast poczuł się skończonym draniem na widok wyrazu twarzy Cathleen, robiącej wrażenie balonika, który ktoś bezmyślnie przekłuł i z którego uszło całe powietrze. - Trzymaj się z dala od zamku i Adaira Ramsaya. Nie chodzi o to, że nie doceniam twojej pomocy.

- W takim razie o co? O mnie? Boisz się, że jeśli włączę się w twoje poszukiwania, będziesz musiał spędzać ze mną więcej czasu?

Dopiero w tym momencie w pełni zdał sobie sprawę ze spustoszeń, jakich jego zdrada dokonała w duszy dziewczyny. Westchnął. Nie był pewien, co w tej sytuacji zrobić. Nie chciał jeszcze głębiej wciągać Cathleen w swoje sprawy, ale kontynuowanie farsy z Annorą Fraser

przysporzyłoby jej tylko jeszcze więcej bólu i bardziej by go od niej oddaliło. Bał się, że może znaleźć się w punkcie, z którego nie będzie już odwrotu, i że jeśli nawet wyzna jej wtedy całą prawdę, nie będzie to już miało dla niej żadnego znaczenia.

Nie mógł podjąć takiego ryzyka.

Odstawił filiżankę na stolik, wstał i przesunął swój fotel w ten sposób, że gdy usiadł, ich kolana niemal się stykały. Wyjął filiżankę z drżących palców Cathleen i odstawił ją na stolik.

- Co robisz?

- Wiesz, co robię.

- Sądzę, że powinieneś już iść.

- A ja sądzę, że pora szczerze porozmawiać - oświadczył.

- Postaw swój fotel na poprzednie miejsce. Stamtąd też możesz mówić.

- Nie, nie mogę.

- Dlaczego?

- Bo chcę być blisko ciebie.

- Wstrętne dla Jahwe są usta kłamliwe, lecz w prawdomównych ma upodobanie - mruknęła. - Księga Przysłów.

- To nie jest kłamstwo. Chcę być blisko ciebie, Cathleen. Chcę być fizycznie tak blisko ciebie, jak bliska jesteś memu sercu.

- Już w to wierzę!

- To, co zrobiłem... ta sprawa z Annorą... to jest bez znaczenia. Nie możesz tego zrozumieć?

- Nie musisz mi się z niczego tłumaczyć. To, co robisz, to wyłącznie twoja sprawa.

- Nie, to nie jest wyłącznie moja sprawa. Wiem, co o tym myślisz... i jak się czujesz.

Spojrzała na niego takim wzrokiem, jakby mu chciała powiedzieć, że nie może mieć pojęcia, co ona czuje.

- Jesteś przekonana, że kochałem się z tobą, żeby zaspokoić swoją żądzę, bez śladu uczucia. A potem pojechałem do Dunston i zamieszkałem z Annorą. Ale to nie jest tak, jak myślisz. Nigdy nie kochałem się z Annorą Fraser i nie pragnąłem tego.

- To po co tam pojechałeś?

Odsunął fotel i wstał. Przeszedł przez pokój dwa czy trzy razy i zatrzymał się przy oknie. Wsunął ręce do kieszeni, odchylił głowę do tyłu i zamknął oczy.

Co robić?

Stał tak przez dłuższą chwilę, starając się rozważyć wszystkie konsekwencje i podjąć

odpowiednią decyzję. W końcu uznał, że musi być szczery wobec Cathleen. Nie chciał ryzykować, że ją straci. I nie mógł ryzykować jej dalszego działania w jego sprawie. Jeśli dziewczyna w pełni zrozumie niebezpieczeństwo, na jakie się naraża, sama będzie się trzymała z dala od niego i jego poszukiwań.

Wreszcie odwrócił się od okna i zaczął mówić, ani na chwilę nie odwracając wzroku od jej twarzy.

- Próbowałem cię chronić. To wszystko... to udawanie, że zależy mi na Annorze, i przeprowadzka do Dunston... miało na celu chronienie ciebie.

- Przed czym?

- Nie tak to miało wyglądać. - Fletcher potrząsnął głową. - Pragnąłem, żebyś była bezpieczna. Cathleen, nie chciałem cię przestraszyć ani przysporzyć ci dodatkowego cierpienia.

- Bezpieczna? Przestraszyć? O czym ty mówisz? Podszedł do dziewczyny, wziął ją za rękę i podniósł z fotela.

Objął ją i mocno przytulił.

- Nie chciałem ci tego mówić, ale nie pozostawiasz mi wyboru. Muszę powiedzieć ci prawdę w trosce o twoje bezpieczeństwo.

- Nic z tego nie rozumiem.

Fletcher widział na jej twarzy niepokój i trwogę. Śliczne fiołkowe oczy pociemniały ze strachu. Był aż do bólu świadom jej bliskości, czuł zapach jej włosów, skóry, wpatrywał się w naturalnie czerwone usta, zbyt wydatne według kanonów kobiecej urody, ale wprost stworzone do pocałunków. Zaciśnął zęby, by odegnąć niestosowne w tej chwili myśli. Nie czas na romantyzm. Teraz musi być silny, bo za chwilę Cathleen będzie potrzebowała całej jego siły.

Nagle wydała mu się niezwykle krucha, zapragnął mówić jej wyłącznie dobre rzeczy, nie miał jednak wyboru. Aby zatrzymać ją przy sobie, aby uchronić ją od niebezpieczeństwa, musiał sprawić jej ból. Nabrał głęboko powietrza i pomodlił się w duchu.

- Śmierć twojego dziadka to nie był wypadek.

Słyszał określenie, że krew odpłynęła komuś z twarzy, lecz nigdy dotychczas nie zdarzyło mu się tego widzieć.

- Nie, to nie może być prawda- szepnęła. Odsunęła się nieco, by spojrzeć mu w oczy, jakby pragnęła odczytać w nich zaprzeczenie tym słowom, ale zobaczyła jedynie uczciwość i szczerość. Ukryła twarz w dłoniach i pokręciła głową. - Kto mógłby chcieć zabić dziadka? Wszyscy go kochali. Nie miał wrogów.

- Nie miał... do czasu, gdy ja pojawiłem się w mieście.

Cathleen drgnęła i opuściła rękę. Fletcher widział zbierające się w oczach dziewczyny

łzy, które miały za chwilę spłynąć po policzkach.

- Adair - wyszeptała z trudem, jakby jakiś potworny ciężar przygniatał jej klatkę piersiową i wyciskał powietrze z płuc. - Uważasz, że zamordował dziadka za to, że próbował ci pomóc?

- Jestem tego pewien. Nawet sposób, w jaki został zamordowany... aż za bardzo przypomina okoliczności śmierci mojego ojca. Nigdy nie przyszło ci do głowy, że mógł maczać w tym palce?

- Tylko raz. To było zaraz po pogrzebie... ale trudno mi uwierzyć, że ktoś mógłby być tak szalony, tak niepomny na swą duszę nieśmiertelną, by nie cofnąć się przed zabójstwem sługi bożego. Nie, nie wierzę, że nawet Adair mógłby być do tego zdolny.

Nagle Cathleen odwróciła się i usiadła w fotelu. Jej twarz była bez wyrazu. Dziewczyna wpatrywała się przed siebie niewidzącym wzrokiem i powoli kręciła głową. Wyglądała jak żywe wcielenie udręki. Po chwili rozszlochała się.

- Och, dziadku, nie w ten sposób. Dlaczego musiałeś tak zginąć? Zawsze tyle ludziom dawałeś. To niesprawiedliwe. Zasłużyłeś przynajmniej na godną śmierć.

Fletcher ukląkł przed Cathleen i wziął ją za rękę.

- Teraz rozumiesz chyba, dlaczego pojechałem do Annory. Gdyby Adair choć podejrzewał, że zapadłaś mi w serce, posłużyłby się tobą, by mnie ugodzić.

- Tak, rozumiem. - Śliczne oczy dziewczyny wpatrywały się w niego, ale łzy nie przestawały spływać po jej twarzy. - Dobrze, że mi powiedziałaś. Rozumiem, dlaczego wyjechałeś, choć teraz jeszcze trudniej mi się pogodzić ze śmiercią dziadka. Ale i to z czasem minie.

Fletcher poczuł dreszcz pożądania i współczucie równocześnie. Ogarniał go żar, lecz czuł też zimny dreszcz, który spływał wzdłuż kręgosłupa.

Kciukiem ocierał ślady łez z jej policzków.

- Kiedy będzie już po wszystkim, zrobię, co w mojej mocy, poświęcę resztę życia na starania, byś już nigdy więcej nie cierpiała.

Wpatrywała się w niego badawczo, a potem niepewnie przytuliła się, jakby w odpowiedzi na jego ciepłe słowa. Przyciągnął ją bliżej. Odwróciła głowę i pocałowała jego nadgarstek, a potem przytuliła policzek do jego ręki.

Kiedy pocałował jej kark, usłyszał, że natychmiast zaczyna szybciej oddychać. Wsunął palce w jej włosy, nie przejmując się brzękiem spadających na podłogę spinek. Jedwabista, pachnąca fala opadła na jego dłonie niczym wodospad.

Szeptał jej imię raz po raz, jak litanie, jak sonet ułożony na jej cześć. To za mało, pomyślał. Niezależnie od tego, jak blisko się do niej przytulił, ciągle było to dla niego za mało, wciąż czuł ten dręczący niedosyt.

Drżąc z podniecenia, okrywał jej twarz pocałunkami, przesuwając językiem wzdłuż delikatnej krzywizny ucha, gładził jej plecy. Cathleen była żywym ucieleśnieniem jego marzeń, realizacją pragnień, bohaterką tysięcy snów.

Należała do niego. Urywany oddech Fletchera mieszał się z jej oddechem. Delikatnie przygryzał wargi dziewczyny w pocałunku, napierał torsem na jej piersi. Nie był już w stanie myśleć racjonalnie, pragnął jej do szaleństwa, ale w głębi serca czaiło się poczucie, że robi błąd, że nie powinien jej teraz brać. Nie powinien wykorzystywać rozpaczki dziewczyny, by zaciągnąć ją do łóżka.

I to poczucie dało mu siłę, by przerwać pocałunek i odsunąć się od Cathleen.

Ciało Fletchera aż dygotało z wściekłości, nawet jego rozsądek nie był w stanie tego pojąć. Przez chwilę nie mógł wykrztusić ani słowa, więc siedział po prostu w milczeniu i tulił głowę dziewczyny do piersi.

- Wybacz - zdołał wyszeptać po dłuższej chwili.

Rzuciła mu dziwne spojrzenie, potem odwróciła się i spuściła głowę.

- Dlaczego przestałeś? - zapytała.

Pragnęła go i cierpiała. Widząc to, poczuł się jeszcze gorzej.

- Bo zasługujesz na więcej, niż mógłbym ci dać. Wniosłem w twoje życie jedynie śmierć, rozpacz i zbrodnię. Tylko brałem, nie dając nic w zamian. Jesteś zbyt niewinna, zbyt ufna. Nigdy nie nauczyłaś się, byś była ostrożna wobec takich ludzi jak ja. Ben Franklin powiedział: „Człowiek owładnięty namiętnością jeździ na szalonym koniu”.

- Jaki Ben?

- Benjamin Franklin jest... był... zresztą nieważne. Tak naprawdę to chcesz wiedzieć, dlaczego przestałem. - Wzruszył ramionami. - Sam nie wiem. To na pewno nie kwestia honoru. Od chwili, gdy cię spotkałem, ani jedna szlachetna myśl nie przyszła mi do głowy. A jednak się opamiętałem. Może dlatego, że dostrzegłem w tobie piękno, którego nie chcę ci odebrać ani zniszczyć.

- Nie jestem taka słabiutka.

- Nie, ale jesteś wrażliwa. - Wstał i podniósł Cathleen z fotela. Ucałował jej dłoń i ruszył do wyjścia. Zrozumiał teraz, jak musi się czuć skazaniec, wchodzący po schodach na szubienicę.

- A może zostałbyś na kolacji?

- Gdybym został, moja słodka Cathleen, nie skończyłoby się na kolacji. Chcę o wiele, wiele więcej, niż proponujesz.

Milczała, ale Fletcher wyczytał w jej oczach, że jego słowa sprawiły jej przyjemność.

- A gdybym ci to zaproponowała?
- Prześpij się z tym - odpowiedział z uśmiechem. - A jeśli nadal będziesz tak uważała, zastanowimy się podczas następnego spotkania, co z tym fantem zrobić.
- Prześpij się z tym - szepnęła i uśmiechnęła się nieśmiało.
- Śpij. - Pogłaskał ją po policzku. - Cieszę się, że przynajmniej jedno z nas będzie w stanie zasnąć.

20

Annora zerknęła nerwowo na Adaira, żałując, że dała się kiedyś wciągnąć w jego sprawki. Nie czuła się dobrze. Potwornie bolała ją głowa i sądziła, że ma gorączkę. Nie bez powodu zresztą. Martwiła się. Nie wiedziała, jak daleko może się posunąć, by nikt nie został skrzywdzony. Nie była idiotką i zdawała sobie sprawę, że nie ma takiej granicy, przed którą Adair by się cofnął, zdecydowany zatrzymać Glengarry za wszelką cenę. Oczywiście nie będzie spokojnie tolerował śledztwa Fletchera. Na samą myśl o tym przeszedł ją dreszcz.

- Zaczynaj wreszcie, nie zamierzam tracić z tobą całego dnia. Co masz mi do powiedzenia?
- dopytywał się Adair, świdrując ją tak przenikliwym wzrokiem, że mimo woli przypomniawszy sobie wszystko, co powiedział o nim Angus.

Oblizwała wargi. Tak jej zaschło w ustach, że miała kłopoty z mówieniem, za to dłonie jej zwilgotniały.

- Cathleen Lindsay przyjechała do Dunston, żeby zobaczyć się z Fletcherem. Zdaje się, że odkryła jakieś groby...

- Groby? Tutaj? W Glengarry?

- Tak. Mówiła o grobowcach Bride i Douglasa oraz jakiejś kobiety, która miała na imię Madeline.

Adair pokiwał głową.

- Na starym cmentarzu - powiedział. - Czy Fletcher wybiera się tutaj, żeby je obejrzyć?

- Tak, ale ta dziewczyna twierdziła, że na nagrobkach nie ma żadnych informacji... niczego, co mogłoby stanowić dowód.

- To prawda. Nie ma tam żadnych użytecznych informacji, w przeciwnym bowiem razie Bruce Ramsay wykorzystałby je przed laty. Ale to bez znaczenia. Księżę Caithness będzie chciał

sam się przekonać. - Adair wstał z fotela. - Rozmieścę tam dodatkowe strażę.

Annora wierciła się niespokojnie w fotelu ze wzrokiem wbitym w splecione na kolanach dłonie.

Gospodarz stał nad nią przez chwilę, jakby rozważał jakiś problem.

- Kiedy panna Lindsay przyjechała do Dunston? - zapytał. - Którego dnia?

Przełknęła głośno ślinę, lecz spojrzała prześladowcy prosto w oczy. Wiedziała, że nie wolno jej okazać strachu.

- Którego dnia... - Jej z początku ochryply głos nagle się załamał. - Przedwczoraj.

- Przedwczoraj - powtórzył Adair i poczerwieniał z wściekłości. Jeszcze nigdy nie wyglądał równie groźnie, jak w tej chwili. - Przedwczoraj! A ty dopiero dzisiaj mi o tym mówisz?

- Przyjechałam wcześniej, ale cię nie zastałam - odpowiedziała słabym, niepewnym głosem.

Położył dłonie na biurku i pochylił się do przodu.

- Ostrzegam cię, Annoro, ostrzegam cię ten jeden jedyny raz. Nie okłamuj mnie. Nigdy!

- Ja nie...

Podniósł rękę, żeby jej przerwać, i uśmiechnął się lodowato.

- Nie kręć. Daję ci ostatnie ostrzeżenie. Zrozumiałaś?

- Zrozumiałam - wyszeptwała.

- Co? Mów głośniej! Chcę mieć pewność, że dobrze się zrozumieliśmy, ponieważ od tego zależy twoje życie.

- Zrozumiałam. Dokładnie zrozumiałam.

- To dobrze, bo drugiej szansy nie dostaniesz.

Jadąc do Dunston, Fletcher podjął decyzję, że przeniesie się znów do Glengarry. Zajmie pokój, który poprzednio wynajmował od wdowy MacAlister.

Schodząc ze swoimi rzeczami po schodach, spotkał wracającą do domu Annorę.

- Wyjeżdżasz? - Wskazała wzrokiem bagaże w jego rękach.

- Tak będzie najlepiej.

- Dlaczego?

- Mam do wykonania pewne zadanie, a ty mnie rozpraszasz.

- Dziękuję za komplement. - Uśmiechnęła się z wahaniem. - Ale nie chcę, żebyś wyjeżdżał.

- Muszę. Od początku wiedziałas przecież, że nie zamieszkać tu na stałe.

- To z jej powodu?
- O kim mówisz?

Annora oblizwała wargi. Była blada i zdenerwowana.

- Wiesz, o kim mówię. O Cathleen Lindsay.
- Nie, to nie z jej powodu - skłamał Fletcher.
- Gdzie zamieszkaż po wyjeździe z Dunston? W jej domu?

- Zdaje się, że wiesz więcej niż ja. Wynajmę pokój u wdowy MacAlister. Ale najpierw wpadnę na krótko do Caithness, żeby odwiedzić ciotkę.

- Fletcher, jesteś mi potrzebny. Proszę, nie wyjeżdżaj. Zwrócił uwagę, że dziwnie się wyraziła. Był jej potrzebny? To

nie miało sensu. Dziwaczne było nie tylko to sformułowanie. Ta kobieta w ogóle zachowywała się niespotykanie, jakby działała pod przymusem.

- Muszę wyjechać, Annoro.

Stała, wyłamując palce. Resztki krwi odpłynęły z jej twarzy i wyglądała jak duch.

- Fletcher, sam... sam nie wiesz, co robisz.

- Stało się coś złego - stwierdził, przyjrzawszy się jej uważnie. - Powiedz, o co chodzi, Annoro. Może będę mógł ci pomóc. Martwisz się czymś? Boisz się czegoś?

Potrząsnęła głową i roześmiała się lekko, ale to nie był jej zwykły, naturalny śmiech, który dobrze znał. Był to śmiech sztuczny, wymuszony.

- Nie, niczego się nie boję. Dlaczego miałabym się bać? Po prostu nie chcę, żebyś wyjechał. Czy to takie dziwne? Miałam pewne związane z tobą plany... plany znacznie wykraczające poza uprzejmą konwersację przy obiedzie.

- Wiem - rzekł cicho. - Przykro mi. Jesteś piękną kobietą...

- Ale, jak się domyślam, niewłaściwą kobietą.

- Tak - przyznał i westchnął głęboko. - Nie jesteś tą właściwą kobietą.

Twarz Annory straciła blask, a ramiona opadły w geście rezygnacji. W głębi jej ślicznych oczu Fletcher dostrzegł błysk rozpacz. Odsunęła się na bok.

- Idź więc - powiedziała. - Idź i niech diabli porwą cały świat. Zawahał się.

- Jesteś pewna, że nie dzieje się nic złego? Kiwnęła głową i otworzyła przed nim drzwi.

- Niech cię Bóg prowadzi.

Musnął jej policzek lekkim pocałunkiem, wyszedł, wsiadł na konia i zniknął z życia Annory Fraser.

Miał szczęście. Decyzja opuszczenia Dunston okazała się bardzo rozsądna, bo

następnego dnia właścicielka tej posiadłości zapadła na tyfus.

Dwa tygodnie później Cathleen została wezwana do Dunston. Opuchnięta od płaczu gospodyni, pani Farquar, czekała na nią w drzwiach.

- Bogu niech będą dzięki, że pani przyjechała, panno Lindsay. Boję się, że moja pani nie przeżyje tej nocy. Gorączka kompletnie wyniszczyła jej organizm. Jest nieprzytomna, a jej ciało płonie żywym ogniem.

- Zrobię, co w mojej mocy - powiedziała Cathleen i pospieszyła za gospodynią do pokoju Annory. Znalazła ją w bardzo złym stanie.

Spędziła w tym pokoju dwa dni i dwie noce, prawie nie śpiąc, jeśli nie liczyć krótkich chwil drzemki, które udawało jej się złapać, kiedy Annora zapadała w sen. Była zmęczona ponad wszelkie wyobrażenie, bo przez ostatnie tygodnie zupełnie się nie oszczędzała. Nie potrafiła już odróżnić dnia od nocy i zdarzało się, że nawet kiedy miała okazję, nie mogła zasnąć.

- Czy można być tak zmęczonym, żeby nie móc spać? -zapytała dziewczyna pani Farquar.

- Owszem, człowiek może tak rozregulować własny organizm, że ciało nie potrafi już normalnie funkcjonować. Określa się to słowem: zęczenie się, i mam wrażenie, dziewczyno, że pod tym względem bardzo wobec siebie zawiniłaś. Spójrz tylko na siebie. Wybacz, że ci to mówię, ale wyglądasz, jakbyś zaraz miała się przewrócić. Jesteś blada jak śmierć, a oczy zapadły ci się w głąb czaszki. Jesteś chuda jak tyczka, a ręce ci się trzęsą i wyglądają jak kawałki surowego mięsa.

Cathleen zerknęła na swe drżące dłonie. Były czerwone i opuchnięte od nieustannego wyżymania mokrych ręczników, którymi chłodziła ciało Annory. Musiała to robić, żeby obniżyć temperaturę.

- Wyglądasz jak śmierć. Rób tak dalej, dziewczyno, a nikt nie będzie miał z ciebie najmniejszego pożytku, a już najmniej ty sama. Musisz odpocząć, panienko. I to porządnie. Posiedzę przy mojej pani, a ty idź się wyspać.

Cathleen zostawiła panią Farquar przy Annorze, a sama poszła do położonego po drugiej stronie korytarza pokoju i położyła się do łóżka, nie mogła jednak zasnąć. Po jej policzkach zaczęły spływać łzy i po chwili cała trzęsła się od płaczu. Szlochała tak długo, że miała wrażenie, iż jej ciało więcej już nie zniesie, ale im bardziej płakała, tym więcej miała powodów do łez.

To było bardzo dziwne, bo sama nie wiedziała, dlaczego właściwie zaczęła płakać. Ale kiedy już zaczęła, wróciły upiory przeszłości, które zepchnęła do najodleglejszego zakątka mózgu i

nigdy nie pozwalała im wychynąć na światło dzienne.

Roniła łzy z wielu powodów: z powodu straty matki; lęku przed porodem; utraconych lat, kiedy nie była w stanie kochać i być kochaną; dzieci, których nigdy nie będzie miała; mężczyzny, za którego nigdy nie wyjdzie; dziadka, którego uwielbiała... i z powodu Fletchera, jedyne go mężczyzny, którego pokochała, choć ta miłość pozbawiona była nadziei na przyszłość. Płakała także nad sobą, nad wszechogarniającym poczuciem osamotnienia, nad przemożną siłą, która kazała jej oddawać swe siły innym, ale zapominać o sobie.

Dlaczego z takim trudem przychodziło jej powiedzieć: nie?

Płakała, aż wreszcie, krańcowo wyczerpana, zapadła w sen.

W ciągu kilku następnych dni Fletcher dwukrotnie odwiedził ją w Dunston. Za pierwszym razem uprzedził Cathleen, że jedzie do zamku Caithness, ale wróci tak szybko, jak tylko będzie to możliwe.

Za drugim razem zostawił wiadomość. Przekazała ją pani Farquar.

- Jego lordowska mość kazał ci powiedzieć, że skoro nie potrafisz sama o siebie zadbać, najął panią MacGillvry, żeby ci gotowała.

- Panią MacGillvry?

- To najlepsza kucharka w górach Szkocji.

- Mówił coś jeszcze?

- Tak, powiedział, że będzie cię zaopatrywał w pożywne jedzenie, ale ma nadzieję, że nie musi wynajmować kolejnej osoby, która by pilnowała, abyś je jadła.

Cathleen podziękowała pani Farquar i nagle poczuła się o wiele mniej zmęczona niż przed chwilą. Powiedział przecież, że zawsze przy niej będzie. Wiedziała, że Fletcher należy do ludzi, którzy dotrzymują słowa.

Psy wyły, kiedy Annora obudziła się i zobaczyła twarz Cathleen Lindsay. W pierwszej chwili nie miała pojęcia, gdzie się znajduje. Była oszołomiona, jak ptak porwany przez wicher i poniesiony daleko od swego gniazda.

- Jak się pani czuje? - Cathleen uśmiechnęła się i położyła chorej rękę na czole. - Chłodne, po raz pierwszy od kilku tygodni.

- Jak... od jak dawna tu jesteś?

- Już ponad dwa tygodnie.

- Chorowałam tak długo?

- Była pani bardzo poważnie chora, Annoro.

- Tak - przyznała. Próbowwała podnieść się i oprzeć się na łokciach, ale opadła bezwładnie na poduszkę, słaba jak dziecko.

- Proszę nie próbować jeszcze siadać - poradziła Cathleen. -Zaraz poproszę panią Farquar. Pewnie poczuje się pani lepiej, kiedy zostanie umyta i przebrana w czyste rzeczy. A potem poproszę, by przysłano pani z kuchni trochę zupy ugotowanej przez panią MacGillvry. Jestem przekonana, że to panią wzmocni. A potem porozmawiamy.

- Pani MacGillvry jest tutaj?

- Nie, ale Fletcher zapłacił jej, żeby gotowała dla wszystkich chorych domowników.

Annora przez chwilę wpatrywała się w Cathleen. Ta dziewczyna poświęciła dwa tygodnie swego życia na opiekę nad kimś, kto nie był dla niej zbyt miły. Annorze trudno było zrozumieć takie poświęcenie. Może dlatego Fletcherowi tak bardzo zależy na niej, że jest tak ofiarna dla wszystkich, niezależnie od tego, kim są i czego potrzebują.

- Jestem pewna, że Fletcher wynajął panią MacGillvry dla ciebie, a nie dla mnie czy kogokolwiek innego - powiedziała Annora.

- Nonsens. Jemu bardzo, ale to bardzo zależy na pani.

- Może, ale to ciebie kocha.

- Mówi pani jak w gorączce. - Cathleen pogłaskała ją po ręce. - Poproszę panią Farquar.

- Wrócisz?

- Jak pani zje.

Cathleen przysłała do Annory kilka godzin później. Kiedy wchodziła do pokoju, znów usłyszała wycie psów. Spojrzała na panią Farquar, która wstała ze stojącego u wezgowia łóżka krzesła.

- Niech pani poprosi, żeby ktoś zajął się tymi psami. Podnoszą straszny raban.

- Natychmiast się tym zajmę.

Cathleen zbliżyła się do łóżka chorej.

- Jak się teraz pani czuje?

- Jestem zmęczona.

- Trochę czasu upłynie, zanim wrócą pani dawne siły. Ale wrócą. Musi się pani tylko uzbroić w cierpliwość.

- Przepraszam, że tak strasznie cię wymęczyłam - wyszeptała Annora. - I dziękuję za wszystko, co dla mnie zrobiłaś. Pani Farquar mówiła, że gdyby nie ty, byłoby już po mnie.

- Zawsze była pani w rękach Boga. - Cathleen uśmiechnęła się. - A nie można sobie

wyobrazić lepszych rąk.

Annora westchnęła, odwróciła głowę i wyrzała przez okno.

- Chciałabym mieć twoją wiarę, twoją mądrość.

- Och! Mój dziadek nie zgodziłby się, że wiara i mądrość mogą iść ręką w rękę. Lubił powtarzać: „Im mniej wiesz, tym większa jest twoja wiara”.

- Twój dziadek był wspaniałym człowiekiem - stwierdziła Annora, widząc cień smutku na twarzy dziewczyny.

- To prawda. Był dla mnie wszystkim. Aż do jego odejścia nie rozumiałam w pełni, co to jest strata.

- Nie miałam dotychczas okazji, żeby ci powiedzieć, jak bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało.

- Dziękuję - szepnęła Cathleen i wygładziła koc na nogach chorej. - A teraz powinna się pani trochę przespać.

Ta zdobyła się na słaby uśmiech.

- Przespałam kilka tygodni. Rozmowa to najlepszy sposób, żeby upewnić się, że naprawdę żyję.

- Żyje pani i nadal jest bardzo piękna. - Cathleen odgarnęła włosy z czoła Annory.

Chora widziała w jej oczach ciepło i szczerłość. Ujęła dłoń dziewczyny, podniosła ją do ust i pocałowała, a potem przytuliła ją do swego policzka.

- Rozumiem teraz, dlaczego ludzie nazywają cię aniołem.

- Proszę tak nie mówić - rzekła wyraźnie zażenowana Cathleen, spuszczać wzrok. - Nie jestem aniołem. Daleko mi do tego.

- Dla mnie zawsze będziesz aniołem miłosierdzia. - Annora dostrzegła roztargniony wyraz oczu Cathleen. - O czym myślisz?

- Przypomniałam sobie o czymś.

- O czym?

- Kiedy powiedziała pani o aniele miłosierdzia, przypomniałam sobie, że dziadek zawsze tak o mnie mówił.

- Czy już wiadomo, jak to się stało?

- Nie. Niektórzy twierdzą, że koń się spłoszył. Inni utrzymują, że dziadek jechał zbyt blisko skraju urwiska. A Fletcher sądzi... -Głos Cathleen zamarł.

- Co sądzi Fletcher? - Annora przyjrzała się uważnie swojej opiekunce.

- On... on czuje się po prostu trochę winny.

- Dlaczego? Przecież bez wątplenia nie miał z tym wypadkiem nic wspólnego.

- Oczywiście, że nie. Rzecz w tym, że dziadek wracał wówczas z St. Abb's, gdzie pojechał, żeby sprawdzić dla niego pewne dokumenty. I Fletcher jest przekonany, że dziadek żyłby do dziś, gdyby tam nie pojechał. Więc widzi pani...

Cathleen mówiła dalej, ale Annora już jej nie słuchała. Serce waliło jej jak oszalałe, uszy wypełniło głośnie, uporczywe brzęczenie. Przypomniała sobie swoją rozmowę z Fletcherem w miasteczku. Przypomniała sobie także, że dokładnie powtórzyła wszystko Adairowi Ramsayowi.

Dobry Boże, czyżby to jej informacja zabiła Davida?

Serce Annory biło tak szybko, że bała się, iż lada moment pęknie. Zaczęła gwałtownie mrugać, żeby powstrzymać cisnące się do oczu łzy.

- Poczulałam się bardzo zmęczona. Chciałabym się przespać. Psy znowu zaczęły wyć.

Cathleen odwróciła się do okna, żeby wyjrzeć, i Annora zobaczyła, że dziewczyna zmarszczyła czoło.

- Te psy wyją nade mną - szepnęła Annora.

- Nonsens. Wyją, bo kazałam wyrzucić je na dwór.

- Nie, wyją nade mną - upierała się chora. - Podobno psy wyją, kiedy ktoś z domowników ma umrzeć.

- Pokonała pani tyfus. Gdyby miała pani umrzeć, nastąpiłoby to już dawno.

- Może. - Annora odwróciła głowę. Wiedziała swoje. Wiedziała... w głębi serca wiedziała po prostu, dlaczego wyją psy. I dziwna sprawa: kiedy to zrozumiała, przestała się bać. Leżała spokojna, odprężona, serce przestało jej szaleńczo walić. Przerazenie rozwiało się bez śladu, zastąpione przez spokój, jakiego nigdy dotychczas nie zaznała, absolutny i zupełny spokój.

- Jak się pani czuje?

- Dobrze. Dziękuję, że przyszłaś, Cathleen... dziękuję za wszystko, co dla mnie zrobiłaś.

- Proszę się przespać. - Dziewczyna pogłaskała chorą po rękę. - Sen dobrze pani zrobi.

Annora słyszała, jak jej anioł miłosierdzia wychodzi z pokoju i cicho zamyka za sobą drzwi. Otworzyła oczy i wpatrywała się w sufit, nieświadoma, że płynące z jej oczu łzy moczą poduszkę. Znów próbowała usiąść, ale okazało się, że nadal nie ma dość sił. Leżała więc i wsłuchiwała się w wycie psów. Wyły nad nią. Jakie to dziwne, pomyślała, że nawet wiedząc, iż to wycie zwiastuje jej śmierć, nie czuje żalu.

Najbardziej bolała ją świadomość, że była odpowiedzialna na śmierć Davida

MacDonalda.

Następnego dnia Annora obudziła się drżąca i pokryta zimnym potem. Prawie nie spała, zarówno na skutek rozmyślań o śmierci Davida MacDonalda, jak i żalostnego wycia psów. Była bardzo słaba, ale zmusiła się do wstania z łóżka. Sama nie wiedziała, że ma w sobie tyle siły. Ubrała się i wyruszyła do zamku Glengarry.

Zanim dotarła na miejsce, trzęsła się jak w febrze, lecz nic nie mogło jej powstrzymać. Nic nie mogło już uchronić jej od śmierci, która - wiedziała o tym doskonale - była nieunikniona.

Kiedy jechała konno do Glengarry, poczuła nagle dziwną pewność, że anioł śmierci przyszedł po nią, gdy zmagiła się z tyfusem. Teraz stało się dla niej jasne, że została oszczędzona, by móc wypełnić swe zadanie. Zadanie konfrontacji z Adairem Ramsayem. Z chwilą wypełnienia swej misji będzie martwa... martwa, jak malwy rosnące w ogrodzie.

Kiedy prowadzono ją do biblioteki, przyszło jej na myśl, że co prawda nie zdoła przywrócić Davida MacDonalda do życia, ale przynajmniej odpokutuje za to, że przyczyniła się do jego śmierci.

21

Wyglądasz jak duch - stwierdził książę. Annora nie zareagowała.

- Musisz mieć jakieś szczególnie ważne wieści, skoro postanowiłaś wstać z łoża boleści.
- Przyjechałam, żeby ci powiedzieć, że nie chcę już dłużej brać udziału w twoich sprawkach.

- O czym ty mówisz, Annoro?

- Mam już dosyć tego wszystkiego... tego węszenia, szpiegowania. Koniec.

- A weksle na hipotecę Dunston?

- Oprotestuj je. Sprzedaj. Zjedz na śniadanie. Nie obchodzi mnie, co z nimi zrobisz.

Adaira wyraźnie rozbawił jej bunt.

- Może uda mi się sprawić, by znów zaczęło cię to obchodzić?

- Nieważne, jakie argumenty wymyślisz. Teraz już mnie nie dosięgniesz. Wiem, że zabiłeś Davida MacDonalda, i chcę, żebyś zapamiętał, że jeżeli cokolwiek, podkreślam: cokolwiek

przydarzy się Cathleen Lindsay lub Fletcherowi Ramsayowi, zeznam wszystko, co o tobie wiem.

- To byłby poważny błąd. - Dostrzegł wyraz przerażenia na twarzy Annory. Jej lęk był tak wyraźny, że niemal czuł jego zapach. Działał na niego jak afrodyzjak, wywoływał przyływ sił.

- Zabiłeś go - powiedziała. - Zabiłeś sługę bożego! Jak mogłeś?

Adair wstał z fotela, obszedł biurko i stanął obok Annory. Uśmiechnął się do niej tym chłodnym, pewnym siebie uśmiechem, którego oddziaływanie na ludzi zdążył już dokładnie poznać.

- Ja go nie zabiłem, tylko kazałem go zabić.

Zerwała się na równe nogi i rzuciła się na Adaira. Wpadła w szal. Jej ostre jak orle szpony paznokcie zostawiły głębokie rysy w czole księcia. Krew zalała mu prawe oko, ograniczając pole widzenia. Zamachnął się i uderzył ją tak mocno, że poleciała na stół.

Jej długie czarne włosy rozsypały się i opadły na twarz. Patrzyła przez nie jak przez gęsty welon na swego prześladowcę.

- Morderca! Krwawy zbrodniarz! Gdybym mogła, udusiłabym cię własnymi rękami. Zabiłeś go i Cathleen też próbowałeś zabić! Mam nadzieję, że będziesz za to gnął w piekło!

Adair podniósł rękę, żeby znów ją uderzyć, ale wstrzymał się, widząc, jak bardzo jest wyczerpana. Zrozumiał, że już mu nie zagraża.

Oslabła, drżąca kobieta wyglądała, jakby miała za chwilę zemdleć. Ukryła twarz w dłoniach i rozszlochała się.

Adair odwrócił się. Stanął przy kredensie, w którym trzymał alkohole, nalał szklaneczkę i podszedł do Annory.

Podniosła głowę i spojrzała na niego spoza zasłony z włosów. Zobaczył na jej policzku czerwony ślad po uderzeniu i łzy w oczach. Dziwne! Nie widział przerażenia.

- Proszę, wypij to, Annoro.

Spojrzała na szklaneczkę, potem znów na niego. Wzięła alkohol drżąca dłonią i Adairowi przez ułamek sekundy wydawało się, że widzi jej uśmiech. A potem uniosła kieliszek, jakby wznosiła toast. Jakby wiedziała. Przez chwilę obawiał się, że chluśnie mu tym w twarz, ale zaraz uspokoiła się i odprężyla.

- Nie wiedziałam dotychczas, Adairze, że jesteś aniołem śmierci. - Podniosła kieliszek do ust i wypila wino. - A teraz chciałabym wrócić do domu.

- Zaraz wezwę twój powóz. - Wziął ją pod łokieć i pomógł jej wstać.

- Przyjechałam konno. Poradzę sobie, i zabierz swoją rękę splamioną krwią, morderco! - Wyrwała mu się i ruszyła do drzwi.

Stał bez ruchu i obserwował jej chwiejny krok.

Annora dotarła do stajni. Zamierzała wsiąść na konia i jak najszybciej wrócić do domu, ale nie była w stanie wspiąć się na siodło.

Nagle z cienia wynurzył się Angus. Jakie to niesamowite zrządzenie losu, pomyślała, że ostatnim człowiekiem, którego w życiu widzi, jest mężczyzna, który był jej pierwszą miłością.

- Angusie, pomóż mi wsiąść - poprosiła słabym głosem. Podszedł i wziął ją w ramiona.

- Nie powinnaś jeszcze wychodzić na dwór - powiedział. - Jesteś słaba jak nowo narodzone jagnię.

- Muszę wracać do domu. Szybko.

- Nie ma powodu do pośpiechu. Odpocznij chwilę. Sprowadzę powóz i odwiozę cię.

- Nie. - Widząc, z jaką miłością patrzy na nią ten duży, poważny mężczyzna, podniosła rękę i pogłodziła go po policzku. - Zawsze zjawiałeś się, gdy cię potrzebowałam. Wiesz, powinnam była wyjść za ciebie. Mielibyśmy już tuzin przepięknych koni i tyleż dzieci. Naprawdę cię kochałam, Angusie.

- Tak. Wiem. Nie mów nic więcej.

Jęknęła i zgięła się wpół, złamana bólem.

- Co ci jest, Annoro?! Potrząsnęła głową.

- Nie mam już czasu - wyszeptała. - Angusie, zostałam otruta.

- Otruta? O czym ty mówisz?!

- Adair... Otruł mnie.

- Nie! - Jęknął w udręce. - Tylko nie to! Tylko nie ty, Annoro! Nie pozwolę ci umrzeć!

- Uspokój się. Pogodziłam się z Bogiem. - Znów jęknęła. Ból wbijał się w nią jak sztylet, skręcał jej wnętrzności, palił żywym ogniem. - Obiecuj mi, że im pomożesz.

- Komu?

- FJetcherowi - wyszeptała. - I tej dziewczynie. Wiesz, on zabił jej dziadka... Adair kazał go zamordować, tak jak zamordował ojca Fletchera... i teraz mnie. Angusie... - Próbowała jeszcze coś powiedzieć, ale już zaczęła zapadać się w ciemność.

- Jestem tutaj. - Nadal trzymał ją w ramionach. Pochylił się nad nią i wyszeptał: - Jestem tutaj, Annoro. Zawsze będę przy tobie. Nie opuszczaj mnie.

Nagle drgnęła, odsunęła się od niego i spróbowała usiąść. Podtrzymał ją w pozycji siedzącej.

- Światło - powiedziała. - Taka cudowna jasność. Anielskie światło. Zabierz mnie. Uwolnij mnie od tego bólu. Jestem gotowa.

- Annoro, nie odchodź... nie zostawiaj mnie. Wzniosła oczy ku górze.

- Wybacz mi, Ojczy, bo zgrzeszyłam. W twoje ręce oddaję duszę moją.

- Annoro! - krzyknął Angus, wpatrując się w ukochaną.

Powoli osunęła się na ziemię. W tym momencie jej dusza opuściła ciało.

Adair wszedł do stajni i zobaczył, że Angus trzyma Annorę w ramionach.

- Umarła? - zapytał.

Angus nie odpowiedział.

- Zadałem ci pytanie. Umarła?

Potęźnie zbudowany mężczyzna powoli podniósł głowę.

- Tak.

Chłodny, nieporuszony Adair przez chwilę przyglądał się Annorze.

- Była piękną kobietą. Szkoda, że nie nauczyła się robić właściwego użytku ze swej urody. Piękność i współczucie nie idą ze sobą w parze.

- Ona już nie żyje - powiedział głucho Angus, patrząc w bok. Mięśnie szczęki wyraźnie grały mu pod skórą. - Pozwól jej spoczywać w spokoju.

- W spokoju? Byłbym niezwykle rad. Przysporzyła mi sporo problemów. Nawet nie umarła tak, jak zaplanowałem. Dałem jej truciznę o powolnym działaniu. Miałem nadzieję, że umrze w domu. To pewnie skutek tyfusu. Zawieź ją w pobliże domu i tam zostaw na drodze razem z koniem. Pomyślą, że wybrała się na przejażdżkę, zanim całkiem wydobrzała. Tyfus wiele osób zabija z opóźnieniem, więc nikt nie będzie niczego podejrzewać. Ludzie uznają ją po prostu za kolejną ofiarę epidemii.

Angus nawet nie drgnął.

- Słyszałeś, co powiedziałem?

- Tak.

- W takim razie rusz się. Zabierz ją stąd, a kiedy już się z tym uporasz, znajdź Gavina MacPhaila i przyślij go do mnie.

Była już dziesiąta wieczorem, kiedy Gavin MacPhail wsunął się do biblioteki Adaira.

Ciało Annory zostało znalezione kilka godzin wcześniej.

- Czemu to tak długo trwało? - warknął księżę. - Już dawno po ciebie posłałem.

- Dostałem wiadomość dopiero przed dwiema godzinami - wyjaśnił. - Przyjechałem najszybciej, jak mogłem. Słyszałeś o Annorze Fraser? Znaleziono ją martwą na drodze w pobliżu Dunston.

- Wiem o tym, idioto! Musiałem ją zabić.

- Stała ci na drodze?

- Tak, chciała się ode mnie uwolnić.

- A księżę Caithness? - zapytał ostrożnie Gavin. - Czy on coś podejrzewa?

- Nie w sprawie śmierci Annory, jeśli o to ci chodzi. Przynajmniej jeszcze nie, ale on i wnuczka Davida MacDonalda weszli wokół Glengarry. Znaleźli stare groby za ogrodzeniem.

- Nic im to nie da. Nie znajdą tam niczego, co mogłoby mu pomóc.

- Jednak wydarzyło się za dużo - oznajmił Adair. - On jest nazbyt zdeterminowany.

Nie mam zamiaru zwlekać, aż będzie za późno. Znajdź ich.

- Kogo?

- Fletchera Ramsaya i Cathleen Lindsay, ty idioto!

- A jak już ich znajdę?

- To ich zabij. Zabij oboje.

Za bardzo przejmujesz się śmiercią Annory. - Fletcher patrzył z troską na Cathleen.

- Płaczcie nad sobą, nie nad zmarłymi - szepnęła, ocierając oczy. - Jeremiasz.

- Cathleen, boli mnie widok twoich łez.

- Nie mogę przestać płakać. Pracowałam tak ciężko... tygodniami walczyłam o jej życie i straciłam ją w chwili, kiedy już myślałam, że wyzdrowiała.

- Niekiedy tak się właśnie dzieje. Czasami śmierć przychodzi niespodziewanie - powiedział Fletcher.

- Wcale nie przyszła niespodziewanie. Annora wiedziała, że umrze.

- Jak to wiedziała?

- W ostatnich kilku dniach dziwnie się zachowywała. Przez cały ten czas psy nie przestawały wyć. Ona to słyszała, słyszała i wiedziała, co to oznacza.

- Słyszała wycie psów i dlatego wiedziała, że umrze? - Fletcher obrzucił ją dziwnym spojrzeniem.

- Wcale się nie dziwię, że nie rozumiesz. Ale gdybyś wychowywał się w Szkocji, wierzyłbyś w tego typu przepowiednie -stwierdziła Cathleen.

- Że wycie psów oznacza śmierć?

- Tak. Od niepamiętnych czasów wiadomo, że wycie domowych psów zwiastuje śmierć kogoś z domowników.

- Cathleen, przecież to tylko zbieg okoliczności, nic więcej - powiedział takim tonem, jakby chciał zamknąć temat.

- Nie - zaprzeczyła spokojnie. - Nie było cię tutaj i nie widziałeś jej. Nie widziałeś, z jaką rezygnacją mówiła o śmierci.

Fletcher spojrzął z góry na dziewczynę. Stała koło niego na pogrzebie Annory i z całej siły przyciskała do piersi Biblię. Łzy spływały po jej policzkach, gdy patrzyła na trumnę i słuchała słów pocieszenia, które wygłaszał pastor Robert Cameron podczas pochówku kolejnej ofiary epidemii tyfusu.

Chociaż Fletcher próbował przekonać Cathleen, że w śmierci Annory nie było niczego podejrzanego, to jednak sam nie był tego do końca pewien. Z pozoru przyjął za dobrą monetę oficjalną przyczynę zgonu, bo nie chciał spotęgować niepokoju Cathleen, ale w głębi duszy wcale nie miał pewności.

Jakie związki łączyły Annorę z Adairem?

Nie mógł się pozbyć wrażenia, że istnieje powiązanie pomiędzy jego poszukiwaniami, Adairem Ramsayem, Annorą i śmiercią Davida. Nie zamierzał niepokoić Cathleen swymi podejrzeniami, pomogły mu one jednak podjąć decyzję. Decyzję opartą na jednym fakcie.

Zbyt wiele osób zmarło, i to takich, które były w ten czy inny sposób związane z jego poszukiwaniami. Chociaż te poszukiwania były dla niego bardzo ważne, czuł, że nie powinien ich kontynuować, bo miał graniczące z pewnością przekonanie, że jeśli Adair postanowi zabić kolejny raz, ofiarą padnie Cathleen.

- Postanowiłem z tym skończyć - oświadczył, kiedy wyszli z cmentarza. Uderzył lejcami konia, przynaglając go do szybszego biegu.

Siedząca obok niego Cathleen przytrzymała ręką czepek.

- Z czym chcesz skończyć?

- Z poszukiwaniami.

- Poddajesz się? Wycofujesz? Pozwolisz Adairowi wygrać? -Osłupiała.

- Tak.

- Dlaczego?! - Złapała się siedzenia powozu, żeby nie spaść. -Czy mógłbyś trochę zwolnić i podać mi przynajmniej jeden rozsądny powód, dla którego rezygnujesz?

- Bo nie warto - odpowiedział, ściągnając lejce.
- Nie warto? Śmierć dziadka nie jest tego warta? Jak możesz tak mówić?
- Nie to miałem na myśli.
- Nawet się nie waży dopuścić do tego, żeby śmierć wspaniałego starego człowieka poszła na marne. Nie pozwól, by okazało się, że umarł na próżno.

Fletcher zatrzymał powóz, odwrócił się do dziewczyny i ujął jej dłonie.

- Cathleen...
- Nie próbuj niczego tłumaczyć. Nie mam zamiaru słuchać niczego poza obietnicą, że się nie poddasz.
- Robię to ze względu na ciebie - wyznał, biorąc ją w ramiona.
- To tylko wymówki. Nie robisz tego dla mnie, bo ja cię o to nie proszę. Nigdy bym cię o to nie poprosiła. Nigdy, słyszysz?
- Cathleen... gdybyś wysłuchała moich racji, zrozumiałabyś, że chcę to zrobić właśnie ze względu na ciebie.
- No to nie rób tego dla mnie!

Westchnął, zdenerwowany niemożnością wyłożenia swoich racji w taki sposób, by je zrozumiała.

- Nie chciałbym, żeby coś ci się stało. Nie boję się o siebie, tylko o ciebie. Kocham cię. Możesz to zrozumieć?

Odepchnęła go i odsunęła się na drugi koniec ławeczki. Spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie, nie mogę. Jeszcze miesiąc temu mieszkałeś z Annorą. Teraz, kiedy umarła, nagle zakochałeś się we mnie. Ty chyba sam nie wiesz, czego chcesz.
- Na pewno w to nie wierzysz. Podobnie jak ja.
- Nie, Fletcherze. Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. Jeśli pozwolisz, żeby Adair Ramsay zatrzymał to, co ci ukradł, nie będę chciała cię znać. Jeśli nie udowodnisz, że jest kłamcą, oszustem i mordercą, to ja to zrobię. - Oczy Cathleen błyszczały z gniewu. Próbowała złazić z powozu.

- A dokąd ty, do licha, się wybierasz? - W ostatniej chwili zdążył złapać ją za ramię.
- Pójdę do domu na piechotę.
- Dlaczego?
- Mam zamiar znaleźć dowód, którego ty boisz się szukać.
- Nie znalazłabyś nawet własnej głowy. - Fletcher prychnął.
- Możliwe, ale zaczynam mieć wątpliwości, czy ty w ogóle masz głowę.

Rozbawiła go tym stwierdzeniem.

- Dobrze. Odpowiedz mi na jedno pytanie. W jaki sposób chcesz znaleźć dowód, skoro mnie się to nie udało?

- Jeszcze nie wiem - odparła. - Ale znajdę sposób, nawet gdybym miała przekopać... Zaraz, jak ona miała na imię? - Siegnęła po Biblię, którą położyła na ławeczce obok siebie, otworzyła ją i odczytała pierwsze imię, które było tam zapisane. - Nawet gdybym miała odkopać szczątki Madeline de Compiegne Ramsay.

Fletcher złapał się za głowę i gwałtownie odwrócił w stronę Cathleen.

- Co ty powiedziałaś?!

- Co? - Popatrzyła na niego zdumiona.

- Powiedz to jeszcze raz.

- Co mam powiedzieć jeszcze raz? - Zamknęła Biblię i spojrzała na Fletchera podejrzliwie.

- Nazwisko kobiety, którą chcesz ekshumować.

- Madeline de Compiegne Ramsay. I nie mów mi, że się pomyliłam, bo jestem pewna, że nie. Zapisałam je sobie, żeby nie zapomnieć. - Otworzyła Biblię i pokazała mu palcem nazwisko. - Widzisz? Tu zanotowałam. Madeline de Compiegne Ramsay.

Biblia! De Compiegne!

To nazwisko eksplodowało w głowie Fletchera jak bomba.

- Mam! - zawołał. - Właśnie tam widziałem poprzednio to nazwisko.

- Gdzie?

- W Biblii schowanej w starym kufrze mamy.

- W jakiej Biblii? W jakim kufrze? Fletcher, co ty wygadujesz? Dobrze się czujesz?

Porwał ją w objęcia i ucałował z radością.

- Jesteś wspaniałą, cudowną dziewczyną. Właśnie dałaś mi wskazówkę, której szukałem.

- Naprawdę? - Spojrzała na niego z zaciekawieniem.

- Naprawdę.

- A co takiego ci dałam? - spytała wyraźnie zaskoczona. Wybuchnął śmiechem.

- Powiem ci, jeśli obiecasz, że w drodze do domu ani razu mi nie nawymyślasz.

- Jeśli nie będziesz wygłaszać kretyńskich oświadczeń, że zaprzestajesz poszukiwań, to nie będę na ciebie krzyczeć.

- Zgoda. A teraz co do imienia Madeline de Compiegne. Wiedziałem, że już je kiedyś spotkałem, ale nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie i kiedy. Dopóki nie wyjęłaś swojej Biblii. Wtedy mnie olśniło. Właśnie w Biblii!

- Nie chciałabym cię rozczarować, aleja zostałam wychowana na Piśmie Świętym i mogę

cię zapewnić, że w Biblii nigdzie nie pada imię Madeline. Jest Maria, jest Magdalena, ale nie Madeline.

- Nie chodzi o tekst Pisma Świętego ani o imię Madeline. Chodzi o to nazwisko, de Compiegne. To ono wydawało mi się znajome.

Cathleen jęknęła, słysząc jego wymowę francuskiego nazwiska.

- De Compiegne także nie występuje w Biblii.

- Ale w tej, o której mówię, ono jest ~ odparł.

- W jakiejż to Biblii? - Skrzyżowała ramiona na piersi.

- W Caithness jest taki stary kufer. Od lat stoi w pokoju mojej mamy. Znalazłem w nim starą francuską Biblię. Mogę przysiąc, że na wewnętrznej stronie okładki zostało wypisane właśnie to nazwisko: Madeline de Compiegne.

- No cóż, w takim razie okazuje się, że rzeczywiście udało mi się dać ci wskazówkę - oznajmiła z zadowoloną miną. Wskazała palcem na siebie i spojrzała na Fletchera z wyższością. - Mnie! Osobie, która nie umiałaby znaleźć własnej głowy!

- W porządku, pomyliłem się... po raz pierwszy w życiu.

Cathleen dała mu kuksańca w bok.

- Nie będziesz dawał fałszywego świadectwa, Księga Wyjścia.

- Wcale nie dawałem fałszywego świadectwa, ja po prostu skłamałem.

Oboje wybuchnęli śmiechem, który naprawdę dobrze im zrobił. Przez chwilę jechali w milczeniu, wreszcie przerwała je Cathleen.

- Co masz zamiar zrobić, skoro znalazłaś nowy trop?

- Pojedziemy do Caithness, żeby przyjrzeć się tej Biblii.

- My?

- My. Ty i ja. Z pewnością zdajesz sobie sprawę, że nie możesz tutaj zostać. Nie byłabyś bezpieczna.

- Nie mogę jechać z tobą do Caithness. - Zmarszczyła czoło i potrząsnęła głową.

- Dlaczego?

- Mam obowiązki w domu.

- Na przykład?

- Zwierzęta i prace polowe.

- Którymi pod twoją nieobecność mogą zająć się Robert i jego syn.

- Sowy muszą być karmione dość często.

- Daj je Fionnowi. Sama mi mówiłaś, że kocha te ptaszki.

- To prawda.

- W takim razie pozwól mu zabrać te sieroty do domu i tam się nimi zajmować.
- Zapominasz o tyfusie.
- Już wygasa. - Fletcher znów zatrzymał powóz. - Cathleen, ludzkości udało się jakoś przetrwać całe wieki bez ciebie. Jestem pewien, że nadal jest do tego zdolna.

22

Następnego dnia wczesnym rankiem wyruszyli do zamku Caithness. Pojechali konno, by szybciej dotrzeć na miejsce.

Po dwóch godzinach niebo pociemniało i z oddali dobiegł łoskot grzmotów, przypominający kanonadę artyleryjską. Niebo raz po raz przecinały oślepiające błyskawice, rozświetlając wrzosowisko jak w słoneczny letni dzień. Zaczęło padać. Najpierw duże pojedyncze krople, potem coraz gęstsze, aż wreszcie świat przesłoniła jednolita kurtyna ulewnego deszczu.

Przeptywający w pobliżu strumyczek, który poprzednio wesoło szemrał, zmienił się w huczący, rwący potok. Zerwał się silny wiatr, siekący strumieniami lodowatego deszczu. Wdzierał się nawet pod czepek Cathleen. Wkrótce była całkowicie przemoczona, a nakrycie głowy obwisło żałośnie.

Fletcher wiedział, że sam nie wygląda lepiej, bo także przemókł, a ściekające z ronda kapelusza strużki wody dostawały się pod kołnierz i wsiąkały w koszulę.

Cathleen dygotała z zimna. Fletcher z niepokojem rozejrzał się, ale wszędzie była tylko trawa, gdzieniegdzie kępy drzew i rozmokłe, błotniste drogi.

- Musimy znaleźć jakiś szałas - powiedział, lecz grzmot prawie zagłuszył jego słowa. - Zjedźmy tu z głównej drogi. Bezpieczniejsi będziemy na wrzosowiskach, z dala od wysokich drzew.

Dziewczyna kiwnęła głową i podjechała bliżej. Zjechali na węższy trakt, wiodący przez wrzosowiska. Pobliska kępa drzew trzeszczała pod naporem wiatru. Ten dźwięk, w połączeniu z opadającymi z gałęzi liśćmi, płoszył konie.

Zrobiło się tak ciemno, że obawiali się, iż nie zdołają dostrzec szałasów. Jechali już co najmniej godzinę, kiedy nagle w świetle błyskawicy zobaczyli w oddali zarys domu.

Gdy podjechali bliżej, rozbłysła kolejna błyskawica. Dzięki temu dostrzegli duży dom

farmerski z dachem krytym strzechą. Pies pasterski zaczął na nich szczekać, gdy podeszli do drzwi.

Poza tym nie było śladu życia.

- Wejź do środka - powiedział Fletcher, który pierwszy zeskoczył na ziemię i pomógł Cathleen zsiąść z siodła. - Ja zajmę się końmi.

Wiedział, że jest zwykle dość nieśmiała i wzdraga się przed wejściem do cudzego domu bez zaproszenia, ale teraz dygotała z zimna, przemoczona do suchej nitki, co powinno było stanowić wystarczający bodziec. Nie omylił się.

Cathleen bez protestu ruszyła w stronę domu, grzęznąc po kostki w błocie. Drzwi nie były zaryglowane. Zapukała. Nikt nie zareagował, więc zapukała po raz drugi. I trzeci. Nacisnęła klamkę, a wtedy nagły poryw wiatry wyrwał jej drzwi z ręki i z głośnym łoskotem uderzył nimi o ścianę.

- Chyba ktoś krzyczy! - zawołała.

Fletcher odwrócił się. Był pewien, że to tylko wiatr.

- Wejź do środka - powtórzył.

Kiwnęła głową i schyliła się, żeby zdjąć zabłocone buty, zanim wejdzie do chaty, a potem zaczęła się mocować z wiatrem, żeby zamknąć za sobą drzwi.

Fletcher wprowadził konie do stodoły i wszedł do domu. Dziewczyna stała tuż przy wejściu i drżała na całym ciele.

- Co tu robisz? - zapytał.

- Czekam, aż oczy przyzwyczają się do ciemności.

Fletcher zaklął, bo i on kompletnie nic nie widział. Po kilku minutach, kiedy ich oczy przywykły do mroku, dostrzegł leżącą przy kominku stertę drewna na podpałkę.

- Jest tu kto?! - zawołał i rozejrzał się po chacie.

- Wydaje mi się, że nie - powiedziała Cathleen. - Ale dom nie wygląda na opuszczony. Jest porządnie utrzymany i umeblowany.

- Tak, może właściciele po prostu wyszli.

- Myślisz, że możemy tu zostać?

- Nie mamy wyboru. Na dworze leje jak z cebra. Fletcher znalazł stojącą na stole lampę i zapalił ją. Żłocisty

blask zalał pokój, przepędzając ponury mrok.

- No, teraz lepiej - zauważył.

- Tak - potwierdziła Cathleen, nie przestając dygotać z zimna i tęsknie wpatrując się w kominek.

Fletcher uśmiechnął się, żeby chociaż w ten sposób dodać jej otuchy, i rzekł:

- Zaraz wezmę się za rozpalenie ognia, ale najpierw chciałbym się tu trochę rozejrzeć.

Cathleen kiwnęła głową. Przez chwilę rozcierała ramiona, żeby się trochę rozgrzać, potem podeszła do kominka, jakby się obawiała, że Fletcher zapomni o obietnicy.

On tymczasem zapalił następną lampę i ruszył w głąb domu. Znalazł się w małej sypialni, w której stało starannie wykonane małe łóżeczko. W tym momencie usłyszał dochodzący spoza sąsiednich drzwi jęk, podbiegł więc bliżej i stał przez chwilę, nasłuchując.

Panowała jednak cisza. Zapukał. Nikt nie odpowiedział, więc ostrożnie uchylił drzwi i zajrzał do środka.

Na łóżku leżała młoda kobieta w widocznej ciąży i w dodatku poród najwyraźniej trwał już od pewnego czasu. Do licha! Tego już za wiele... i to w takiej chwili!

Mimo panującego w pokoju przejmującego chłodu koszula kobiety i pościel były mokre od potu. Miała bladą twarz, czoło szare i błyszczące. Fletcher nie znał się na porodach, ale nie miał wątpliwości, że coś jest nie w porządku.

Poczuł się bardzo niezręcznie, ale wszedł do pokoju, bo zdał sobie sprawę, że nieznajoma potrzebuje pomocy.

- Wszystko w porządku? - zapytał cichym głosem, bojąc się ją przestraszyć.

Otworzyła oczy i natychmiast wyciągnęła do niego rękę. Kurczowo zacisnęła palce na jego kurtce, jakby nigdy nie zamierzała jej puścić.

- Pomóż mi - wyszeptała. - Umieram. Dziecko nie może się urodzić.

- Wszystko będzie dobrze - zapewnił i pogłaskał ją po ręce. - Czy poza tobą ktoś tu jest?

- Nie ma nikogo. - Puściła Fletchera, zbyt słaba, by nadal zaciskać palce, i zaczęła toczyć głową z boku na bok.

- A mąż?

- Pojechał po doktora - wyszeptała z trudem. - Bardzo dawno. Pomóż mi. Czuję, że umieram.

Serce waliło mu jak oszalałe. Wierzył w każde słowo tej kobiety. Naprawdę wyglądała na umierającą, a on nie miał pojęcia, co robić. Nie mógł odejść, zostawić jej w takim stanie.

Cathleen...

Odwrócił się w stronę drzwi, by po nią pójść, i zobaczył, że stoi w progu. Dostrzegł przerażenie na jej twarzy i ręce, zacisnięte kurczowo na mokrej spódnicy, i natychmiast zrozumiał, że nie przyjdzie mu z pomocą. W jej oczach była ta sama groza, którą widział tamtego dnia na łące, kiedy zobaczyła rodzącą owcę.

- Cathleen...

- Nie - szepnęła.

- Kochanie, ta kobieta potrzebuje naszej pomocy. Jest całkiem sama. Jest jakiś problem i dziecko nie może się urodzić. Musimy jej pomóc.

Cathleen wpatrywała się we Fletchera jak zahipnotyzowana.

- Nie - szepnęła znowu i zaczęła się cofać. - Nie mogę. Przecież wiesz, że nie mogę! - krzyknęła, odwróciła się i biegiem wypadła z pokoju.

Dogonił ją w kuchni, złapał za ramię i odwrócił twarzą do siebie.

- Dobrze, do cholery! Zrobię sam, co będę mógł. Ale mogłabyś przynajmniej rozpać ogień w kominku. - Potrząsnął nią, żeby wyrwać ją z transu. - Możesz rozpać ogień?

- Tak - szepnęła.

Próbował przypomnieć sobie, co się działo, kiedy jego matka rodziła i przychodziła jej przyjaciółka, Molly Polly, aby pomóc.

- Nastaw i zagotuj wodę - polecił. - I rozejrzyj się za czystymi ręcznikami, nożem i jakimś sznurkiem.

Stała na środku kuchni z twarzą zmartwiałą ze zgrozy i przerażeniem w oczach.

- Rusz się, do licha! Postaraj się przynajmniej mi pomóc! Chyba nie chcesz, żeby ta kobieta umarła tylko dlatego, że ty się boisz?

Cathleen nadal stała jak słup.

Serce mu zmiękło; objął ją i przytulił.

- Wszystko będzie dobrze - wyszeptał. - Nie martw się, kochanie. Tym razem będzie inaczej. Tym razem ja jestem przy tobie. Nie dopuszczę, żeby stało się coś złego. Nie będzie jak z twoją matką. Obiecuję ci, że jej się uda. Ale musisz mi pomóc. Rozumiesz?

Kiwnęła głową.

- Możesz mi pomóc?

- Tak - wyszeptała ledwie dosłyszalnie. - Rozpalę ogień.

- Dobra dziewczynka. Teraz poznaję moją Cathleen. Podszedł do miednicy i starannie wyszorował ręce. Kiedy

wytarł je i odwrócił się, stwierdził, że dziewczyna zdążyła już rozpać ogień pod kuchnią.

- Potrzebujesz pomocy? - zapytał.

- Nie, poradzę sobie.

- Zmów za mnie modlitwę - powiedział, mijając ją w drodze do pokoju rodzącej.

- Już to zrobiłam.

Fletcher odetchnął głęboko.

- Chyba jeszcze nigdy nie czułem się taki samotny. Cathleen spojrzała na niego ciepło.
- Nie bój się i nie lękaj się, ponieważ z tobą jest Jahwe, Bóg twój, wszędzie, dokądkolwiek

pójdiesz - powiedziała. - Księga Jozuego.

Rzucił jej ostatnie spojrzenie i ruszył do pokoju, w którym leżała rodząca kobieta. Tym razem nie otworzyła oczu.

- Spróbuję pani pomóc - powiedział - ale muszę uczciwie przyznać, że nie mam pojęcia o odbieraniu porodów. Jeśli potrafi pani coś mi doradzić, błagam, niech pani powie.

Kobieta słabo pokręciła głową.

- Za późno - wyszeptała. - Dziecko się nie urodzi.

Fletcher usłyszał jakiś dźwięk i podniósł wzrok. W drzwiach stała Cathleen, z kociołkiem wrzątku. Błada jak ściana, patrzyła na niego oczami pełnymi lęku.

- Przynieś wodę bliżej, żebym mógł sięgnąć - poprosił. Ani drgnęła.

- Do licha - mruknął, podszedł do niej i wziął naczynie. - Idź i przynieś resztę rzeczy.

Pospiesz się!

Ledwie zdążył zanieść kociołek do łóżka, Cathleen znów stanęła w drzwiach. Oddychała coraz szybciej, a na jej twarzy malowała się groza. Fletcher podszedł, wyjął jej z rąk przyniesione przedmioty i rozłożył je na czystym ręczniku na stoliku przy łóżku.

- Cathleen, coś idzie źle. Nie wiem co. Dziecko nie może się urodzić. Musisz mi pomóc.

Nie odezwała się.

- Cathleen! Słyszałaś?

- Tak - szepnęła.

- Proszę. Pomóż mi. Pomóż jej.

- Nie mogę. - Oczy dziewczyny były pełne łez.

- Przecież wiem, że nie należysz do ludzi, którzy stoją, patrzą i nawet nie ruszą palcem, kiedy ktoś umiera. Czy twój strach jest ważniejszy niż życie tej kobiety?

Milczała bardzo długo i kiedy Fletcher uznał już, że przegrał tę batalię, podeszła bliżej i zatrzymała się jakiś metr od niego. Oczy miała szkliste, a oddech urywany, ale spojrzała na kobietę.

- Pomagałaś przecież lekarzowi - prosił Fletcher. - Musisz wiedzieć, co jest nie tak. Cathleen, ta nieszczęśnica wygląda tak, jakby poród trwał już od wielu godzin. Co to może być? Pomóż mi.

- Może dziecko jest źle ułożone - odezwała się po bardzo długim czasie, kiedy zwątpił już, czy zdoła uzyskać jakąkolwiek pomoc ze strony zmartwiałej dziewczyny.

- Źle ułożone?

- Nóżkami do przodu. Tak się nie urodzi - mówiła, patrząc na kobietę.

Fletcher zobaczył, że Cathleen chwieje się na nogach.

- Weź głęboki oddech. Nie zostawiaj mnie teraz. Potrzebuję cię! Wyglądasz, jakbyś miała zemdleć. Powiedz, co mam robić. Skąd mam wiedzieć, czy dziecko jest ułożone nóżkami do przodu?

Odetchnęła głęboko i odwróciła głowę.

- Wyczujesz stopę - wykrztusiła. ~ Będzie z przodu. Wyczuć stopę? Jak?!

Przypomniał sobie podobny problem ze źrebiącą się klaczą. Noga źrebięcia była *na* zewnątrz i jedynym sposobem, w jaki ojczym mógł pomóc klaczy, było włożenie ręki do środka i odwrócenie źrebięcia tak, żeby mogła wyjść najpierw główka.

Fletcher spojrział na ogromny brzuch kobiety i poczuł, że oblewa go fala gorąca. Była zasadnicza różnica między włożeniem ręki do środka klaczy i kobiety. A poza tym, jak się upewnić, że właśnie na tym polega problem? Przez chwilę czuł zawroty głowy, ale powiedział sobie, że tu nie ma czasu na skrępowanie czy obawy. Wystarczała w zupełności jedna osoba całkowicie sparalizowana lękiem.

Spojrzał na Cathleen. Wyglądała, jakby w każdej chwili miała zemdleć. Jeśli włożenie ręki w ciało tej kobiety jest niezbędne, to nie ma się nad czym zastanawiać. Nie mógł dopuścić, by umarła.

Chciał odgarnąć wilgotne włosy z czoła położnicy, lecz przypomniał sobie w porę, że przed chwilą starannie wyszorował ręce, poprzestał więc na paru słowach, które miały ją uspokoić i podnieść na duchu.

- No, dobrze. Zobaczmy, co my tu mamy - powiedział i odkrył prześcieradło. Koszula podwinęła się, odsłaniając ogromny brzuch. Nogi kobiety były szeroko rozłożone. Instynktownie wyczuł, że należy je podciągnąć i zgiąć w kolanach, by mieć lepszy dostęp.

Położył rękę na brzuchu. Był twardy jak kamień. Wyczuł skurcze. Główki dziecka nie było widać, natomiast pościel poniżej bioder przesiąknięta była krwią. Wsunął rękę do kanału rodniego i dotknął... czegoś.

- Jezu, stopa! Wyczuwam stopę dziecka - szepnął i spojrział na Cathleen.

Patrzyła na niego. Potem przeniosła wzrok na łóżko i na widok krwi zbladła jak ściana.

- Co mam teraz robić? - pytał Fletcher natarczywie, w obawie, że dziewczyna zemdleje, zanim mu coś doradzi. - Powiedz, co mam robić!

- Odwróć je. - Przytrzymała się poręczy łóżka, żeby nie upaść. - Musisz je odwrócić.

Dobra, powiedział sobie w duchu. Trzymasz stopę. Co masz z nią zrobić? Musisz

wepchnąć ją do środka. Wepchnij ją tak głęboko, jak tylko się da, a później sprawdź, czy uda ci się przekreślić dziecko.

Zamknął oczy i zaczął modlić się szeptem.

- Boże, to z pewnością czemuś służy. Jestem pewien. Na pewno nie zrobiłeś tego dla zabawy. Panie... nie tak... nie zostawisz mnie z tym samego. Jesteśmy razem, prawda? Jesteś przy mnie.

Oczywiście nie spodziewał się odpowiedzi, ale szczerza modlitwa nigdy nie zawadzi, a dobry Bóg niewątpliwie wiedział doskonale, że ta modlitwa naprawdę płynęła z głębi serca.

Kobieta jęknęła i Fletcher poczuł, że musi działać natychmiast. Znów zlokalizował stopkę dziecka.

- Dotykam stopy, Cathleen. Trzymam ją. Jak mam ją odwrócić?

- Wepchnij nóżkę z powrotem.

Wpychał stopę prawą dłonią, a lewą położył płasko na brzuchu kobiety, która jęknęła i zaczęła się wrywać.

Zerknął na Cathleen. Wpatrywała się w niego z nieprzytomnym wyrazem twarzy. Wydawało mu się, że pcha już przez całą wieczność, i właśnie pomyślał, że nic z tego nie wyjdzie i trzeba popробować czego innego, kiedy poczuł, że stopka drgnęła.

- Poruszyła się! Na Boga, poruszyła się!

Lewą ręką wyczuł, że pupa dziecka jest w dole brzucha matki, w złym miejscu. Kiedy stopka cofnęła się, zaczął oburącz naciskać brzuch, starając się przesunąć pupę do góry, by główka znalazła się w dole. Poczuł, że dziecko lekko się poruszyło, potem trochę mocniej.

Kiedy główka zaczęła wyraźnie przesuwać się w dół, Fletchera ogarnęło takie uczucie, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie zaznał. Wiedział, że nigdy nie zapomni tej chwili uniesienia. Nie miał jednak zbyt wiele czasu na upajanie się sukcesem, bo gdy tylko główka znalazła się we właściwej pozycji, kobieta zaczęła jęczeć i dyszeć. Pod rękami czuł potężne skurcze.

Zostawił lewą rękę na brzuchu rodzącej i zmienił pozycję. Ogarnął go niewyobrażalny zachwyt, gdy dostrzegł nagle pokrytą ciemnymi włoskami maleńką główkę, wylaniającą się z kanału rodnego. Drobnutka pomarszczona buzia odwróciła się w jego stronę. Potem pojawiło się jedno ramię, po chwili drugie. A sekundę później mokre, oślisłe dziecko zsunęło się w jego ręce.

Usłyszał, że Cathleen gwałtownie wciąga powietrze, i uśmiechnął się od ucha do ucha. To był chłopiec... z całym niezbędnym wyposażeniem.

Serce Fletchera waliło, mało nie rozsadzając klatki piersiowej. Ze wzruszenia, dumy i lęku.

Spojrzał na dziecko i potrząsnął nim. Chłopczyk sapnął, poruszył drobniutkimi rączkami i znieruchomiał. Fletchera ogarnęło przerażenie. Ponownie potrząsnął maleństwem, bo nic innego nie przyszło mu do głowy, i wtedy niespodziewanie wydało z siebie łoście królewski ryk.

To był najpiękniejszy dźwięk, jaki Fletcher w życiu słyszał.

Trząśł się jak idiota, za którego się w tym momencie uważał, i nie miał pojęcia, co dalej robić. Popatrzył na wodę, ręczniki, nóż. Do czego służą? Zerknął na Cathleen, ale ona nadal robiła wrażenie pogrążonej w hipnotycznym transie.

Przyjrzał się dziecku, nadal połączonemu pępowiną z matką. Może po to ten nóż?

Położył noworodka na łóżku obok matki i popatrzył bezradnie na Cathleen. Wpatrywała się w dziecko, które kręciło główką na obie strony, i nie zwracała uwagi na to, że Fletcher patrzy na nią błagalnie.

Odwrócił się więc do położnicy. Wiedział, że musi przeciąć pępowinę, lecz nie miał pojęcia, w którym miejscu. I nagle Cathleen znalazła się u jego boku. Obwiązała sznurkiem pępowinę tuż przy brzuszku dziecka.

- Przetnij tutaj, koło sznurka - powiedziała.

Fletcher zrobił to, co kazała.

Kręcące główką maleństwo stało się teraz samodzielną istotą ludzką, niepołączoną już z matką. Fletcher poczuł ogromną satysfakcję. Podniósł w górę noworodka, nie zwracając najmniejszej uwagi na to, że obaj są powaleni krwią.

Z rozanielonym uśmiechem odwrócił się do Cathleen, która patrzyła teraz na niego nie z przerażeniem i grozą, lecz z całkowitym, bezgranicznym podziwem.

- Chłopiec - oznajmił, podsuwając jej noworodka pod nos. - Najwspanialszy mały chłopczyk, jakiego w życiu widziałem.

Zdawał sobie sprawę, że szczyrzy zęby jak głupek, ale nic nie mógł na to poradzić. Stał z dzieckiem na rękach i patrzył na Cathleen, pragnąc jeszcze choćby raz w życiu zobaczyć taki wyraz jej twarzy.

Nie wzięła maleństwa na ręce, po prostu stała bez ruchu i wpatrywała się w nie.

- Chłopiec - powiedziała.

- Nie ma co do tego żadnych wątpliwości - odparł i podał jej noworodka.

Wyciągnęła ramiona i wzięła dziecko z jego rąk. I rozplakała się.

Fletcher pomyślał, że niepotrzebnie dał jej niemowlę, więc wyciągnął ręce, by je od niej zabrać. Dopiero teraz zauważył krew i uznał, że Cathleen właśnie dlatego się rozplakała.

- Przepraszam - powiedział. - Widzę, że nie postąpiłem najmądrzej. Wiem, co ci to musi przypominać... jak potwornie musiałaś się czuć, patrząc na to.

- Nie o to chodzi - szepnęła i przytuliła dziecko do siebie. -Rzecz w tym, że to było najcudowniejsze, najwspanialsze i najświętsze wydarzenie, jakie w życiu widziałam.

- Tak, to prawda - mruknął cicho.

- A ty jesteś najwspanialszym człowiekiem na świecie. Wspanialszym, niż mogłabym sobie wymarzyć.

W tym momencie, po tym, co właśnie przeżył, Fletcher gotów był się z nią zgodzić.

23

Cathleen umyła dziecko i matkę. Dopiero teraz dowiedzieli się, że nazywa się Mary MacMillan. Po nakarmieniu syna powiedziała, że nada mu imiona Fletcher Lindsay, na cześć ich obojga. Kiedy matka i dziecko zasnęli, Cathleen z Fletcherem wymknęli się z pokoju i zamknęli za sobą drzwi.

- Teraz pora zadbać o siebie - oznajmił Fletcher. - Co mamy na kolację?

- Nie ma dla mężczyzny lepszych rzeczy pod słońcem niż jedzenie, picie i małżeństwo, Eklezjasta - zacytowała dziewczyna z uśmiechem i ruszyła do kuchni.

Wybierała produkty na zupę, a Fletcher siedział na niskim zydłu i przyglądał się jej.

Na dworze szalała burza, ale tu było tak miło i przytulnie, że głowa wkrótce mu opadła. Po pewnym czasie Cathleen obudziła go, podsuwając mu pod nos łyżkę parującej zupy.

Po chwili zajrzała cichutko do pokoju Mary.

- Oboje śpią.

- To chyba dobrze.

- Tak. - Nagle poczuła się onieśmielona i zaczęła się zastanawiać, czy Fletcher myśli o tym samym co ona. - Sądzę, że i my powinniśmy się trochę przespać.

- Wiem, że jesteś zmęczona. Połóż się w sypialni, a ja zostanę tutaj - powiedział i przysunął sobie fotel do kominka.

- Nie ma mowy. Ty idź do łóżka, a ja zostanę przy ogniu. Obrzucił ją dziwnym spojrzeniem.

- Nie mogę się na to zgodzić. Żadna z moich gości nie mogłaby zaznać spoczynku, gdybym wylegiwał się w puchowym łożu, podczas gdy ty kulilibyś się w tym ciasnym

foteliku.

- Właśnie odebrałeś poród i żadna z moich kości nie mogłaby zaznać spoczynku, gdybym wiedziała, że ty śpisz w fotelu.

- Hm, w takim razie mamy tylko dwie możliwości do wyboru - oświadczył z szerokim uśmiechem.

- Tylko dwie?

- Tak. Albo oboje będziemy spać w fotelu, albo oboje będziemy spać w łóżku.

- Hm. - Cathleen starała się dokładnie naśladować dźwięk, jaki wydał przed chwilę Fletcher. - Skoro tak to ujmujesz, to wybieram łóżko.

- Zawsze uważałem cię za mądrą dziewczynę. - Zerwał się z fotela i porwał ją na ręce. Ukryła twarz w ciepłym zagłębieniu jego szyi.

Och, Fletcherze, Fletcherze... jak ja cię kocham, pomyślała.

On tymczasem otworzył stopą drzwi sypialni, podszedł do łóżka i dopiero przy nim postawił Cathleen na podłodze. I zaraz zaczął ją rozbierać.

- Musisz szybko pozbyć się tych mokrych ubrań - wytłumaczył. - Nie chcę, żeby moja dziewczyna się przeziębiła.

- To samo dotyczy ciebie - odparła, rozpinając guziki jego koszuli.

Kiedy oboje byli już nadzy jak nowo narodzony maluch, Fletcher otoczył Cathleen ramionami, pocałował i nie wypuszczając jej z objęć, przewrócił się na łóżko. Zarzuciła mu ręce na szyję i zaczęła przeczesać palcami jego włosy.

- Byłam dziś bardzo z ciebie dumna. Byłeś wspaniały.

Prychnął lekceważąco, ale widziała, że jej słowa sprawiły mu ogromną przyjemność.

- To ja byłem z ciebie dumny-powiedział. - Nie poradziłbym sobie bez twojej pomocy.

- Poradziłbyś sobie beze mnie znakomicie.

- Nie. Oczywiście, to był tylko poród, czyli zupełnie naturalna sprawa, z którą kobiety radziły sobie przez wieki bez żadnej pomocy. Ja w tej dziedzinie nie miałem żadnego doświadczenia, ale...

Cathleen zakryła mu usta ręką i roześmiała się.

- Przestań wreszcie gadać, mój ty najwspanialszy, kochany mężczyzno. I pocałuj mnie.

Posłuchał bez najmniejszego oporu. Całował ją z miłością, która przepelniała mu serce, i pieścił czule jej ciało. Jego dłonie zsuwały się coraz niżej...

Podniecenie uczestniczeniem w przyjściu na świat dziecka w wyraźny sposób

ustępowało miejsca całkowicie innemu podnieceniu.

- Czy sądzisz, że Mary może nas usłyszeć? - Cathleen wydawała się z lekka zaniepokojona.

- Wątpię, a gdyby nawet, to co? Urodziła dziecko, więc zapewne doskonale wie, co się dzieje, kiedy mężczyzna i kobieta znajdują się razem w łóżku. - Zamilkł na chwilę. - A może szukasz wymówki, bo chciałabyś, żebym przestał?

- Bądź łaskaw nie gadać głupstw. Pragnę cię. Pragnę cię tak bardzo, że nie jestem w stanie myśleć o niczym innym. - Pocałowała go w usta, rozchylając wargi.

- Cathleen... kochanie... - Wsunął dłoń pomiędzy jej uda. - Boże, jesteś śliska jak pstrąg i wilgotna jak...

- Błagam, nic więcej nie mów! - zawołała ze śmiechem. - Potrzebuję co najmniej miesiąca, żeby strawić ten komplement. Niektórym kobietom mężczyźni ofiarowują kwieciste poematy, innym szepczą do ucha słodkie zaklęcia miłosne, a mnie co się trafia? - Pocałowała go. - „Śliska jak pstrąg”! Fletcher, gdzie ty się nauczyłeś takich zwrotów?! Najwyraźniej rozpierała go duma.

- Sam nie wiem. To chyba wrodzony talent.

- To nie jest talent.

- Czy już ci kiedyś mówiłem, że za dużo gadasz? - Nie dał jej szansy na odpowiedź. Przetoczył się na nią, przygniótł do łóżka i kolanem rozsunał jej uda. Jednym silnym pchnięciem wbił się w nią do końca.

Cathleen gwałtownie złapała powietrze.

- To zdecydowanie lepsze od rozmowy - powiedział, poruszając się w niej powoli i rytmicznie. Wkrótce jednak Cathleen poczuła, że pchnięcia stają się szybsze, silniejsze, wreszcie jęknęła i zaczęła szybko oddychać. - Należysz do mnie - wy szeptał Fletcher. - Kiedy ta noc dobiegnie końca, będziesz mogła myśleć wyłącznie o mnie. Będziesz moja, teraz i na zawsze, czy tego chcesz, czy nie. Nie pozwolę ci odejść, Cathleen. Stałaś się częścią mnie. Już nigdy się ode mnie nie uwolnisz. Nigdy.

Cathleen bezwiednie poruszyła się pod nim. Wchodził w nią głębiej i głębiej; pragnął, by zapamiętała, jak to jest być kochaną, i to po mistrzowsku. To szaleństwo zdawało się nie mieć końca, bo Fletcher poddał się nienasyconemu pragnieniu, by wejść w nią głębiej, poruszać się szybciej, by każde pchnięcie przewyższało poprzednie. Wreszcie jednak poczuł, że zbliża się chwila ostatecznego spełnienia.

Jęknął i Cathleen zrozumiała, że on musi ją opuścić lub wypełni ją swym nasieniem.

Objęła go kurczowo.

- Cathleen...

- Nie - wyszeptała.

- Cathleen... kochanie... proszę... Obiecałem ci.

- Nie! - Otoczyła nogami jego biodra i jeszcze mocniej objęła go ramionami. - Pragnę cię. Całego. Nie zostawiaj mnie teraz.

Zdażył tylko przykryć jej wargi ustami i natychmiast poczuła jego spełnienie. Drżał na całym ciele i wbijał się w nią coraz mocniej. A potem nie była już w stanie myśleć o niczym, bo porwał ją za sobą w jakieś światy poza bólem, poza rozkoszą, w światy doznań czystych i absolutnych.

- Boże! - krzyknęła. - Nie wiedziałam! Nie wiedziałam!

- Teraz już wiesz - szepnął, doganiając ją w drodze do gwiazd. - I postaram się, żebyś nigdy nie zapomniała.

Cathleen wiała się pod nim, z trudem łapiąc powietrze, wbijając paznokcie w jego plecy i wyginając się, jakby chciała stopić się z nim w jedno ciało.

- Chodź ze mną - wyszeptał. - Chodź.

Krzyknęli równocześnie i przez chwilę byli w świecie poza rzeczywistością, roztopili się, zmienili w jakąś bezcielesną istotę, zanim wreszcie wrócili do swoich ciał, a otaczający ich realny świat powoli zaczął wracać na swe miejsce, w miarę jak stopniowo odzyskiwali zdolność postrzegania i rozumienia.

Ale nawet wówczas Cathleen, spoczywając nadal w objęciach Fletchera, wiedziała, że od tej chwili już nic nie będzie dla żadnego z nich takie jak poprzednio.

Sporo czasu minęło, zanim całkiem wróciła do siebie, leżąc w objęciach Fletchera z głową opartą o jego tors. Ich ciała nadal pokryte były potem i śladami miłosnych zmagania. On oddychał ciężko, głęboko, a ona wystukiwała palcami na jego piersi rytm bicia jego serca, wysyłającego jej sygnały miłości.

- Dlaczego mnie zatrzymałaś? - zapytał. - Nie wiedziałas, że możesz przez to zająć w ciąży?

- Wiedziałam - odpowiedziała, całując jego tors, szyję, wargi.

- Dlaczego?

Co miała mu odpowiedzieć? Jak wytłumaczyć, że od chwili, gdy zobaczyła narodziny dziecka Mary, prawie nie może myśleć o niczym innym niż o własnym dziecku? Jak znaleźć słowa, które przekonają Fletchera, że tak bardzo go kocha, iż zapragnęła mieć z nim dziecko; tak bardzo, że bardziej już kochać nie można?

- Bo pragnęłam i tej części ciebie - wyszeptała, myśląc o tym, że tego już nic jej nie

odbierze.

Odpowiedź najwyraźniej go zadowolila, bo zamilkł i pieścił plecy dziewczyny, całując od czasu do czasu jej włosy.

- Kiedy zorientowałeś się, że to chłopiec? - zapytała, ciekawa, czy miał jakieś przecucie co do płci rodzącego się dziecka Mary.

- Jak zobaczyłem jego... to znaczy...

Dusiła się ze śmiechu, nie mówiąc, że nie o to jej chodziło.

- Spij już, kochanie - szepnął, okrywając ją kocem. - Mały Fletcher MacMillan już o świcie będzie miał rozliczne wymagania i będziesz musiała się *nim zająć*.

Uśmiechnęła się, bo nic nie mogłoby sprawić jej większej przyjemności. Westchnęła z zadowoleniem, zamknęła oczy i odpłynęła w sen.

Obudziła się wczesnym rankiem, kiedy przyjechał mąż Mary, Ian, i przywiózł lekarza.

Usłyszała tętent zbliżających się koni, więc obudziła Fletchera i szybko się ubrała. W chwili, gdy weszła do dużego pokoju, drzwi otworzyły się gwałtownie i w progu stało dwóch mężczyzn.

- Kim pani jest? - zapytał wyższy, kiedy ochłonął z pierwszego zdumienia na jej widok.

Cathleen wyjaśniła, kim jest i co robi w tym domu, przedstawiła też Fletchera, który właśnie wszedł do pokoju.

- Pewnie jest pan mężem Mary - domyślił się Fletcher.

- Tak, nazywam się Ian MacMillan, a to doktor Ross. -Mężczyzna nagle zmarszczył czoło. - Moja żona...

- Czuje się świetnie - wpadł mu w słowo Fletcher. - I ma pan wspaniałego zdrowego syna. Wiem, bo sam go odebrałem.

Doktor Ross poszedł z Ianem do pokoju Mary. Po chwili szczęśliwy ojciec wyszedł z wyrazem absolutnego zachwyty na twarzy.

- Mary powiedziała mi, co się wydarzyło. Nie wiem, jak państwu dziękować?

- Cieszę się, że mogliśmy pomóc - stwierdził Fletcher. -Sądzę, że zrewanżowaliśmy się za miskę gorącej zupy i wygodny nocleg. Martwiliśmy się tylko o pana.

- O tak, ja miałem piekielną noc. - Ian westchnął. - Od wyjazdu z domu prześladował mnie cholerny pech. Zanim zdążyłem się przeprawić, rzeka zerwała most. Musiałem straszliwie nadłożyć drogi, żeby dojechać do wsi, a kiedy wreszcie znalazłem doktora, znowu musieliśmy jechać tą samą okrężną drogą. Umierałem ze strachu o żonę.

W tej chwili z pokoju Mary wyszedł lekarz.

- Możesz już do niej wejść - zwrócił się do Iana. - I z nią, i z dzieckiem wszystko jest w porządku.

Ian pobiegł do pokoju żony z szerokim uśmiechem na ustach, a lekarz zwrócił się do Fletchera:

- Wykonał pan piekielnie dobrą robotę. Sam nie zrobiłbym tego lepiej.

- Cieszę się, że znalazłem się tutaj w odpowiedniej chwili, ale wolałbym nie przeżywać ponownie tego doświadczenia - wyznał Fletcher. Objął Cathleen i uśmiechnął się do niej. - Jakkolwiek wówczas miałem co do tego pewne wątpliwości, teraz wierzę, że Bóg w swej niezmierzonej mądrości zawsze doskonale wie, co robi. Dał mi siłę, bym mógł zrobić, co trzeba, ale to Cathleen dała mi wiedzę o tym, co należy wykonać.

Spojrzała na niego z uśmiechem.

- Mądrość zawsze wygrywa z siłą, Księga Przysłów - zacytowała i ucieszyła się, słysząc pełen ciepła śmiech Fletchera.

24

Wyruszyli do zamku Caithness zaraz po obiedzie. Znowu byli w drodze, podążając ku swemu przeznaczeniu, ku domowi Fletchera. Cathleen kiwała się w siodle w rytm końskich kroków i czuła narastające podniecenie. Wkrótce zbliżą się do zachodnich wybrzeży Szkocji, krainy granitowych skał, mrocznych wrzosowisk i porośniętych lasami górskich dolin.

I choć okolica robiła wrażenie ponurej i melancholijnej, a mgła wisiała nisko nad ziemią, dusza dziewczyny pławiła się w blasku słońca.

Westchnęła i popatrzyła na plecy jadącego tuż przed nią Fletchera. Czy była gdzieś na świecie kobieta szczęśliwsza od niej, skoro kochał ją i opiekował się nią taki mężczyzna?

Jechali aż do zmroku, zatrzymali się tylko na krótki odpoczynek nad brzegiem niewielkiego jeziora.

- Możemy rozejrzeć się za jakimś schronieniem w okolicy albo kontynuować podróż, aż dotrzemy do Caithness, ale to może być późno - powiedział Fletcher, podając swej towarzysze wodę do picia.

Wzięła kubek i zastanawiała się przez chwilę nad jego słowami.

- Nie jestem zmęczona. Możemy jechać dalej – postanowiła wreszcie. Kierowała nią zarówno niecierpliwość, by jak najszybciej zobaczyć zamek Caithness, jak i ostrożność. Rozejrzała się. - Poczuję się lepiej, gdy znajdziemy się pod osłoną murów, gdzie nie będę musiała się obawiać, że Adair lub jego ludzie rzucają się na nas z nienacka.

- Moja dziewczyna - powiedział Fletcher z uznaniem i pomógł jej usiąść w siodle. Wskoczył na swego konia i znów ruszyli. On nieco na przedzie, a Cathleen tuż za nim.

Moja dziewczyna... Uśmiechnęła się do jego pleców. Podobał jej się sposób, w jaki wymówił te słowa, nie jak Szkoci, tylko z wyraźnym amerykańskim akcentem, który w jej uszach brzmiał bardzo uwodzicielsko.

Było już po północy, gdy wjechali pomiędzy jodły, porastające brzegi spienionej rzeki. Mgła przerodziła się, zaczęło padać i zrobiło się znacznie chłodniej. Dziewczyna zastanawiała się przez chwilę, czy nie warto byłoby włożyć płaszcza, ale kiedy spojrzała na wilgotną spódnicę i zakiet, doszła do wniosku, że płaszcz bardzo szybko by przemókł.

- To już niedaleko - powiedział Fletcher, odwracając się w siodle. - Dasz radę?

- Oczywiście, jeśli ty dasz radę, to ja także.

Roześmiał się i Cathleen ucieszyła się, że mogła poprawić mu humor.

Długo jechali wzdłuż brzegu rzeki, a kiedy drzewa zaczęły się przerzedzać, skręcili w stronę wysokiej, stromej góry, której wierzchołek tonął w chmurach. Droga stawała się coraz trudniejsza, zwężona dodatkowo przez kamienie, które stoczyły się z wierzchołka.

Cathleen odchyliła się do tyłu i rozmasowała obolały krzyż. To była okropna noc i zastanawiała się teraz, czy była przy zdrowych zmysłach, kiedy postanowiła kontynuować podróż, która z każdą chwilą bardziej przypominała ciężką pokutę. Całe jej ciało było obolałe, przemoczone i zziębnięte.

Wreszcie droga stała się mniej stroma i szersza, wjechali na szczyt i zaczęli zjeżdżać w dół. Wkrótce wydostali się z gór i znaleźli się w porośniętej rzadkim lasem dolinie. Księżyc od czasu do czasu wyglądał spoza chmur, zalewając ziemię słabym światłem.

Jeszcze mila i ujrzeni przed sobą drogę. Kiedy w nią skręcili, wreszcie go zobaczyła. Caithness. Ogromny, czarny, zwały.

Następnego ranka Fletcher z rozbawieniem obserwował ciotkę, lady Dorothy Lamont, która zwiesiła swój długi arystokratyczny nos i oglądała Cathleen z kamiennym dostojeństwem, próbując odgadnąć, kim jest ta dziewczyna: kochanką, spotkaną po drodze biedaczną, nad którą siostrzeniec zlitował się i zabrał ją ze sobą, towarzyszką podróży czy też kobietą, wobec której miał

poważne zamiary. Kiedy dokonywał prezentacji, ciotka nawet najmniejszym drgnieniem twarzy nie zdradzała, którą wersję wybrała.

- Ciociu, chciałbym ci przedstawić pannę Cathleen Lindsay.
- Panno Lindsay - powiedziała ciotka i skinęła głową.

Jej siostrzeniec pomyślał, że takiego gestu spodziewałby się po królowej Wiktorii w chwili skazywania jakiegoś nieszczęśnika na śmierć.

Zaczął opowiadać ciotce o swoim i Cathleen imienniku oraz o przygodzie z Mary MacMillan.

- I sam przyjąłeś poród? - zapytała ciotka, rzucając dziewczynie pytające spojrzenie.
- Cathleen miała swego czasu wstrząsające przeżycie związane z porodem, które zostawiło głęboki uraz psychiczny.
- Doprawdy? A ile dzieci pani ma, panno Lindsay?
- Ja... cóż... nie mam męża... to znaczy, nigdy nie byłam mężatką - wyjąkała dziewczyna, czując niejasno, że nie tylko nie wyjaśniła niczego, ale jeszcze pogorszyła sprawę.
- Masz dzieci, nie będąc mężatką? - zapytała Dorothy.

Fletcher wybuchnął śmiechem.

- Zabrnęliśmy w ślepy zaułek i mam poczucie, że to ja sprowadziłem rozmowę na niewłaściwe tory, więc i ja muszę to wszystko wyjaśnić.
- Zrób to, jeśli potrafisz, albo poślij po sole trzeźwiące - zażądała ciotka.

Cathleen wbiła wzrok w ciężkie zielone zasłony z aksamitu, zasłaniające okno bawialni, do którego Fletcher podprowadził ciotkę, by wyjaśnić jej pokrótce przeżycia Cathleen z dzieciństwa i jej paniczny lęk przed porodem. Zakończył wyjaśnienia opowieścią o tym, że narodziny małego Fletchera MacMillana zmieniły nastawienie dziewczyny.

- Jesteś wnuczką Davida MacDonalda?
- Tak.

Twarz lady Lamont natychmiast złagodniała; pojawił się na niej wyraz dobroci.

- Wszystko byłoby o wiele prostsze, ty łajdaku, gdybyś zaczął od tego - zwróciła się do siostrzeńca i, nie dając mu szansy wytłumaczenia się, uśmiechnęła się do Cathleen. - Byłam niezwykle wysokiego mniemania o twoim dziadku. Przykro mi z powodu jego śmierci.
- Umarł po części z mojej winy - wtrącił Fletcher i wytłumaczył ciotce okoliczności, które doprowadziły do zgonu pastora.
- Oczywiście dobrze zrobiłeś, przywożąc ją tutaj - oznajmiła lady Lamont macierzyńskim tonem. - Ale powinno się rozerwać cię koźmi za to, że wiozłeś ją bez przyzwoitki. Czy ani przez chwilę nie pomyślałeś o jej reputacji?

- Nie było na to czasu - bronił się Fletcher. - A poza tym, co to za różnica?

Kamienny spokój lady Lamont prysł jak bańka mydlana.

- Może w Ameryce to żadna różnica, ale w Szkocji kobiety nie zwykły podróżować z mężczyznami bez przyzwoitki. Od rzucenie tej tradycji mogłoby przynieść nader opłakane skutki.

- Jakie opłakane skutki? - zapytał Fletcher, rzucając Cathleen porozumiewawcze spojrzenie.

- Małżeństwo - oświadczyła ciotka. - Nie mogę...

Ale on już jej nie słuchał. Wpatrywał się w Cathleen, która zbladła jak duch i nerwowo wyłamywała sobie palce. Jej oczy, jeszcze przed chwilą nieco zaspane, teraz były szeroko otwarte, a usta rozchyliły się ze zdumienia.

- W takim razie możesz się uspokoić, bo ja bynajmniej nie uważam tego za opłakany skutek - zwrócił się do ciotki z ożywieniem. - Prawdę mówiąc, takie rozwiązanie niezwykle mi odpowiada, bo już od dłuższego czasu wiem, że chciałbym poślubić Cathleen.

Filizanka roztrzaskała się na podłodze. Roześmiałyby się, gdyby nie była tak zaszokowana. Małżeństwo?!

Obserwowała opuszczającą pokój starszą panią, a potem siedziała już tylko, czując, że cisza, która zapadła, zaciska się wokół niej jak- pętla. Z niezrozumiałych względów nie była w stanie podnieść oczu na Fletchera, jakby mogła przez to położyć kres czarom, pod których urokiem znajdowała się przez chwilę.

- Gniewasz się, Cathleen? - Fletcher zdecydował się przerwać milczenie.

- Nie, tak daleko jeszcze się nie posunęłam. Raczej zdrętwiałam.

- Przecież to nie powinno stanowić dla ciebie niespodzianki. Doskonale wiesz, co do ciebie czuję.

- Wiem, że ci na mnie zależy, ale to nie jest równoznaczne z małżeństwem. Naprawdę, nie miałam zielonego pojęcia...

- Sądzisz, że mógłbym robić z tobą to, co robiłem, i potem radośnie pójść sobie, zostawiając ci jedynie niesławę?

- Przeszło mi to przez myśl - przyznała. - Ośmielę się zauważyć, że przypuszczalnie nie proponowałeś małżeństwa każdej kobiecie, z którą się kochałeś... A może tak było?

- Raczej nie.

- Dlaczego więc tym razem jest inaczej?

- Ty jesteś inna. Inne są moje uczucia w stosunku do ciebie. Wszystko jest inne. I w ogóle co to za pytanie?!

- Twoja ciotka uważa, że jesteś odrobinę nieroztropny. -Wzruszyła ramionami.

- Nie obchodzi mnie opinia ciotki! - Fletcher podszedł do Cathleen. - To nie ona prosi cię o rękę.

- Może powinieneś jednak zainteresować się jej opinią, bo robi wrażenie kobiety, która ma dobrze poukładane w głowie. I ewidentnie jest do ciebie bardzo przywiązana.

- Może i jest do mnie przywiązana, ale to nie z nią chcę się ożenić i to nie ona jest w tobie zakochana. To ja. - Postukał się palcem w pierś. - Wyjdź za mnie, Cathleen.

- Fletcher, ja nie mam żadnego posagu. Jestem sierotą... wnuczką biednego wiejskiego pastora... i starą panną. Mam już dwadzieścia pięć lat, a sam wiesz, że nie jest to stosowny wiek do zamążpójścia. Nie jestem też dobrze urodzona, nie mam tytułu ani żadnych widoków na dostanie go w przyszłości.

- Nic z tych rzeczy nie ma dla mnie znaczenia. – Przyciągnął ją i pocałował.

Cathleen weszła za Fletcherem do pokoju jego matki. Stała przez chwilę w progu, przyglądając się rzeczom, które ta nieznana jej kobieta gromadziła od dzieciństwa aż do czasu, gdy stała się dorosła. Ten pokój przemówił do Cathleen od pierwszego wejrzenia, zdawał się zapraszać, by wstąpiła i zabawiła w nim przez chwilę.

Przekroczyła próg i weszła do środka. Dawna mieszkanka tego pokoju wywarła przemożny wpływ na mężczyznę, którego Cathleen szanowała i kochała. Pokój zdawał się przyzywać ją, oferował mądrość stuleci i całkowite zrozumienie. Czowała się w nim mile widziana i akceptowana i odnosiła wrażenie, że obcuje z samą z Maggie Mackinnon.

Fletcher szybkim krokiem przemierzył sypialnię matki i podszedł do starego, ale solidnego okutego kufra.

Cathleen z rozbawieniem obserwowała, jak wyrzucał niecierpliwie rzeczy z kufra, wyglądając przy tym jak mały chłopiec, który dobrał się do pudła z zabawkami.

- Jest! - zawołał, kiedy już wszystko leżało na podłodze.

Dziewczyna z narastającym podnieceniem przyglądała się, jak Fletcher podnosi drugie dno i wyciąga ze skrytki wielką, oprawną w skórę Biblię z wypłowiałymi złotymi literami na okładce. Gdy otworzył księgę, Cathleen usiadła na łóżku obok niego.

- Jest! Widzisz? - Odwrócił tomisko, żeby Cathleen łatwiej mogła odczytać napis. Nawet teraz wymagało to sporo wysiłku, bo pismo było niezwykle ozdobne, z licznymi zawijasami i motywami kwiatowymi.

Napis był w języku francuskim.

- Brigitte de Compiegne. Honfleur, France, 1740 - odczytała i podniosła wzrok na

Fletcher. - Tutaj jest jednak imię Brigitte, nie Madeline.

- Rzeczywiście, nie Madeline, ale to nieważne. Ważne jest nazwisko: de Compiegne.
- To francuskie nazwisko - powiedziała Cathleen, zrozpaczona jego wymową. - Trzeba czytać: „de-ka-pień”, a nie „de-kom-pieg-ne”.
- Nie miałem pojęcia, że znasz francuski - zdziwił się.
- Nauczyłam się od dziadka. Właściwie nie brałam lekcji, ale spędziłam z nim tyle wieczorów, że stopniowo zaczęłam rozumieć. - Znów spojrzała na zapisane w Biblii nazwisko. - Pewnie to były siostry. Brigitte i Madeline.

W tej chwili usłyszeli za plecami jakiś hałas; odwrócili się równocześnie i spostrzegli wkraczającą do pokoju Dorothy.

- Tak właśnie myślałam, że tu was znajdę - oświadczyła i zwróciła się do siostrzeńca: - Co ty zamierzasz zrobić? Zagadać ją na śmierć?

Fletcher roześmiał się, ale ciotka nie patrzyła już na niego. Przesunęła wzrokiem po rozrzuconej na podłodze zawartości kufra i utkwiała oczy w Biblii.

- Znalazłeś coś?
- Niewiele - przyznał. - Możemy tylko podejrzewać, że Brigitte de Compiegne z Biblii to siostra Madeline de Compiegne, pochowanej w Glengarry.
- To już coś - stwierdziła ciotka.
- Ale nie to, czego mi trzeba - odparł Fletcher, marszcząc czoło. - Wszystko, czym dysponuję, to przypuszczenie, że Brigitte i Madeline były siostrami, przy czym Madeline wyszła za Alexandra Ramsaya, prawdopodobnie brata Douglasa. Ale nadal nie wiem o Douglasie i Bride Ramsayach nic, poza tym, że oboje zostali pochowani na terenie zamku Glengarry.

Nagle Cathleen zerwała się na równe nogi.

- No jasne! To jest to! - zawołała. - Douglas i Alexander byli braćmi, a poślubili siostry!

- Może w tym coś jest - mruknął Fletcher i zamyślił się na chwilę. - Nie, to niemożliwe. Douglas był przecież mężem Bride, nie Brigitte.

- Masz rację. - Entuzjazm dziewczyny rozwiął się jak kamfora. Usiadła znów na łóżku.

- Bride to celtycki odpowiednik Brigitte - wtrąciła się ciotka Dorothy. - Myślę, że panna Lindsay wpadła na właściwy trop. One prawdopodobnie były siostrami. W tamtych czasach zdarzało się dość często, że siostra wychodziła za mąż za brata męża. A to oznacza, że obie panny pochodziły z Honfleur we Francji. - Tu ciotka wskazała napis w Biblii.

- To możliwe - mruknął w zamyśleniu Fletcher. - Na grobie Bride widnieje data urodzin: tysiąc siedemset dwadzieścia. Tu, w Biblii: tysiąc siedemset czterdzieści. Miała dwadzieścia lat.

- Odpowiedni wiek do małżeństwa - zauważyła ciotka Dorothy.

- Jeśli były siostrami i pochodziły z Honfleur, to najprawdopodobniej ślub odbył się we Francji i tam też muszą być zapiski dotyczące tego wydarzenia! - zawołała Cathleen z rosnącym znów podnieceniem. Fletcher zbladł. Trzęsły mu się ręce.

- To dlatego nikomu nie udało się znaleźć żadnych informacji na ten temat. - Spojrzał na stary kufer. - A rozwiązanie problemu było przez cały czas tutaj... pod naszym nosem.

Fletcher schował Biblię na dawne miejsce, ułożył rzeczy na powrót w kufrze, zatrzasnął wieko i starannie je zaryglował. A potem ruszył w stronę drzwi.

- Dokąd idziesz? - Cathleen zerwała się i podążyła za nim. - Chyba nie zamierzasz natychmiast jechać do Honfleur?

- Nie, idę do biblioteki, żeby poszukać tego Honfleur, a jeśli rzeczywiście jest we Francji, to cię uduszę.

- Nie byłabym na twoim miejscu taka zuchwała - oświadczyła Cathleen, słysząc za plecami chichot jego ciotki.

Fletcher wyszedł z pokoju, więc dziewczyna pognąła za nim.

- Zaczekaj!

Pozostawiona sama Dorothy powoli wstała z łóżka.

- Zapomniałam już, jakie to męczące być młodym - mruknęła pod nosem i ruszyła za nimi w stronę biblioteki, lecz nie jak podskakujący szczeniak, tylko jak stateczny, mądry stary pies.

Zanim Cathleen dotarła do biblioteki, Fletcher zdążył już rozłożyć na biurku mapę Francji. Żeby się nie zwijała, przytrzymał jeden róg szkłem powiększającym, drugi - kałamarzem, trzeci - odlaną z brązu figurką psa myśliwskiego, a ostatni - kryształowym przyciskiem do papieru.

- Znalazłeś? - zapytała bez tchu, wpadając do biblioteki.

- Tak, to małe miasteczko nad Sekwaną, niedaleko Hawru. Cathleen pochyliła się nad mapą i odnalazła maleńką kropkę, oznaczającą Honfleur.

- Taki mały punkcik, a tak wiele znaczy.

- Miejmy nadzieję, że po przyjeździe tam rzeczywiście stwierdzą, iż wiele znaczy - powiedział Fletcher.

- Na szczęście łatwo tam dojechać. Hawr jest na wybrzeżu. A stamtąd już niedaleko, w górę Sekwany. Kiedy wyjeżdżamy?

- My?

- Tak, my. - Cathleen skrzyżowała ręce na piersi i wystukiwała rytm stopą o podłogę.

- Fletcher, chyba nie masz zamiaru mnie tutaj zostawić, prawda?

- Ależ tak - oświadczył z niewinną miną. - Chcę przede wszystkim, żebyś była bezpieczna, a nigdzie nie będziesz tak bezpieczna, jak w zamku Caithness, pod opieką ciotki Dorothy.

- To jest także moje śledztwo, nie tylko twoje. A na wypadek gdybyś zapomniał, pozwól sobie powiedzieć, że zainwestowałam w nie dotychczas bardzo wiele. I jeśli sądzisz, że będę tu siedziała, robiąc na drutach, podczas gdy ty wypuścisz się na poszukiwanie przygody swego życia, to bardzo się mylisz. Albo mnie ze sobą zabierzesz, albo pojedę za tobą na własną rękę.

- Chyba że każę trzymać cię tutaj jako więźnia.

- Nie ośmielisz się!

- Owszem, ośmielę się.

- I nic ci z tego nie przyjdzie! - zabrzmiał niespodziewanie głos ciotki Dorothy, która wtargnęła do biblioteki jak zimowy wichur. - Każę ją wypuścić natychmiast po twoim wyjeździe.

Siostrzeniec wytrzeszczył oczy na ciotkę.

Przez chwilę nie odzywał się. Nie miał odwagi. Czekał, aż przejdzie mu nieprzeparta chęć, by jej przyłożyć.

Nagle zobaczył, że Cathleen rozjaśniła się jak zapalona lampa; oczy zabłysły jej wesoło, a usta rozciągnęły się w szerokim uśmiechu.

- Dziękuję, ciociu - mruknął zgryźliwie. - Dobrze wiedzieć, że w potrzebie rodzina stanie murem za człowiekiem.

- Panna Lindsay stanie za tobą murem... jeśli jej na to pozwolisz.

- Cathleen nie należy do rodziny! - zawołał, ale widząc ponurą minę dziewczyny, dodał pośpiesznie: - Na razie.

- Wybacz, chłopcze, lecz nie mogę się z tobą zgodzić, ponieważ właśnie w tym pokoju wyjawiałeś w sposób nie budzący najmniejszych wątpliwości swoje intencje, i to w mojej obecności. W moim rozumieniu oznacza to formalne zaręczyny, a jako naręczona Cathleen

staje się członkiem rodziny.

- Odkąd to jesteś taką formalistką?

- Od kiedy to jest niezbędne. Przemyśl to, drogi chłopcze. Mówiłeś, że znalazła potrzebne ci wskazówki i to ona zdołała złożyć je w logiczną całość... z moją niewielką pomocą, pragnę nadmienić.

- Właśnie -rzekła Cathleen. -Toja znalazłam grób Madeline i to ja domyśliłam się, że chodzi o siostry i braci.

- A ja powiedziałam ci, że Bride to celtycka wersja imienia Brigitte - dodała Dorothy. - A co ty odkryłeś?

- Powód, żeby trzymać język za zębami.

- I nie zapominaj, że to ja znam francuski, a to może się okazać użyteczne - dobiła go Cathleen.

- Dobrze, już dobrze, możesz jechać. Mam tylko nadzieję, że nie będę tego żałował do końca życia.

- Nie będziesz - obiecała skwapliwie dziewczyna i serdecznie pocałowała w policzek najpierw Fletchera, a potem jego ciotkę.

W tym momencie do biblioteki weszła gospodyni, pani MacCauley.

- Pod drzwiami stoi jakiś dżentelmen, który chciałby się z panem zobaczyć, wasza lordowska mość.

- Podał nazwisko?

- Tak, powiedział, że nazywa się Ian MacMillan i że odebrał pan jego dziecko - odparła gospodyni.

Widząc utkwione w siebie trzy pary oczu, Fletcher poczuł się nieco stropiony.

- Powiedz panu MacMillanowi, że przyjmę go w swoim gabinecie,

- Czego on może chcieć? Chyba nie stało się nic złego z małym Fletcherem? - zaniepokoiła się Cathleen po wyjściu gospodyni.

- Kiedy przestaniesz zadawać mi pytania, to pójdę się dowiedzieć. - Fletcher mszył w stronę drzwi, ale zaraz zawrócił. -Nie martw się, jestem pewien, że maleństwu nie stało się nic złego, a nawet gdyby tak było, to nie sądzę, by Ian MacMillan pędził tutaj, by nam o tym powiedzieć. Zaczekaj tu z cocią Dorothy - powiedział i pocałował Cathleen w nos.

Gdy wszedł do gabinetu, gość siedział w fotelu pod ścianą, ale natychmiast zerwał się i zdjął czapkę z głowy.

- Wasza lordowska mość! Cieszę się, że znów pana widzę. Teraz robi pan wrażenie o wiele bardziej wypoczętego niż w czasie naszego poprzedniego spotkania.

- Pan natomiast robi wrażenie nieco niedospanego. Czyżby najmłodszy MacMillan nie dawał spać?

- To prawda, wasza lordowska mość. Nie daje pospać. - Ian roześmiał się.

- Proszę usiąść. Ma pan ochotę na brandy albo kieliszek porto?

- Nie, dziękuję. - Ian, usiadł w fotelu. - Muszę wracać do domu, jak tylko skończymy rozmowę. Po szklaneczce brandy kusiłoby mnie, żeby zostać dłużej.

- W takim razie co sprowadza pana do Caithness? - zapytał rozbawiony Fletcher.

- Wczoraj wydarzył się dziwny incydent - powiedział Ian, mnąc czapkę w rękach. - Przyjechał do nas jakiś człowiek i pytał o pana.

- Naprawdę? Przedstawił się?

- Nie, a kiedy zapytałem go o nazwisko, powiedział, że może je podać wyłącznie panu.

- To rzeczywiście dziwne. O czym pan z nim rozmawiał?

- Najpierw powiedziałem mu, że pana nie znam, ale wtedy wpadł we wściekłość, złapał mnie za kołnierz i zaczął mówić takim niskim, groźnym głosem, że bałem się, iż zrobi mi coś złego. Powiedział, że jest pewien, iż kłamie, i jeśli chcę zatrzymać swoją ładniutką żonkę i nowo narodzone dziecko, lepiej, żebym powiedział mu wszystko, co wiem.

Fletcherowi zaschło w ustach.

- Musiałem mu powiedzieć. - Ian popatrzył na niego przepaszająco. - Kiedy powiedziałem, że przypadkowo przejeżdżał pan koło mojego domu, znów mnie złapał i twierdził, że wie, iż mieszkał pan u mnie przez kilka dni. Chciał wiedzieć, dlaczego spędził pan tam tyle czasu i co nas łączy.

- I co mu pan powiedział?

- Prawdę. Że odebrał pan poród.

- Uwierzył?

- Tak, chyba mi uwierzył, lecz sądzę, że nie to chciał usłyszeć.

- I co się potem stało?

- Nic. Wyjechał, ale widziałem, że był wściekły.

- To był niski człowiek o twarzy łasicy i siwych rzadkich włosach?

- Nie, był dość młody i rudy, a nie siwy. Niski, mocno zbudowany. Przypominał raczej buldoga niż łasicę.

Opis nie pasował do Adaira Ramsaya, ale był to pewnie ktoś wysłany przez niego.

Gavin MacPhail miał rude włosy... Fletcher wstał i obszedł biurko dookoła, Ian także się podniósł.

- Wydawało mi się, że powinien pan o tym wiedzieć.

- Cieszę się, że pan przyjechał. - Fletcher położył mu rękę na ramieniu. - Dziękuję, że zadał pan sobie tyle trudu.

- Przynajmniej w ten sposób mogłem się choć trochę odwdziaczyć za to, co pan zrobił dla Mary i dla mnie.

- A skoro już mowa o Mary... Chciałbym za pana pośrednictwem przekazać coś mojemu imiennikowi.

- Och, nie musi pan tego robić, wasza lordowska mość.

- Robię to dla własnej przyjemności. - Fletcher otworzył szufladę biurka i wyjął mały woreczek pełen monet. - Proszę to odłożyć dla młodego panicza Fletchera. Cathleen na pewno chciałaby, żeby studiował na uniwersytecie w Edynburgu.

Ian wybuchnął śmiechem, lecz spoważniał, kiedy spojrzał na woreczek.

- To za dużo, wasza lordowska mość. Nie mogę tego przyjąć.

- Proszę wziąć to dla syna.

- Dziękuję.

- I pozdrowienia dla żony ode mnie, a od Cathleen ucałowania. - Fletcher odprowadził Iana do frontowych drzwi.

- Przekażę, wasza lordowska mość. I jeszcze raz dziękuję.

O co w tym wszystkim chodzi? - Cathleen, weszła do holu, gdy tylko Fletcher zamknął za gościem drzwi. Spojrzał na nią podejrzliwie.

- Podśluchiwałaś?

- Tak, bo to jedyny sposób, żeby się czegoś dowiedzieć. Jak sądzisz, kim był ten człowiek, który do nich przyjechał?

- Ktoś na usługach Adaira, oczywiście.

- Czy to oznacza, że jesteśmy śledzeni?

- To bardzo prawdopodobne.

- W takim razie musimy być ostrożni podczas podróży do Hawru.

- Wyjdziemy w środku nocy. Jeśli szczęście nam dopisze, nie zorientują się, że się gdzieś wybraliśmy, a już na pewno nie za granicę.

- Musimy włożyć ciemne stroje i wybrać ciemne konie. - Wciągnięta bez reszty w intrygę

Cathleen nie zdołała ukryć podniecenia w głosie. - Podziękowałeś Ianowi, że tu przyjechał?

- Podziękowałem. I dałem mu coś dla małego Fletchera.

- To bardzo ładnie z twojej strony.

- Przynajmniej tyle mogłem zrobić dla człowieka, który najprawdopodobniej ocalił nam życie - stwierdził Fletcher. - Nie przyszło mi do głowy, że Adair może nas ścigać aż do Caithness.

Widocznie jest naprawdę poważnie zaniepokojony.

- A więc musimy być jeszcze ostrożniejsi.

- Tak. I dzięki Ianowi będziemy. Czuję, że cena za nasze głowy jest całkiem pokaźna.

Cathleen przeszył dreszcz.

- Za nasze głowy? Za moją też?

- Za każdy kosmyk włosów barwy czerwonego wina. A teraz chodź tu do mnie, dziewczyno, i daj mi buzi. Podobno niebezpieczeństwo budzi w mężczyźnie bestię i zwiększa jego ochotę na amory.

Roześmiała się i dała mu całusa.

- Chyba wszystko zwiększa twoją ochotę na amory - powiedziała. - Nawet czyste powietrze.

- Owszem, to także - przytaknął i wziął ją w ramiona.

25

Wyjechali do Francji w środku nocy.

Słońce już wstało, zanim mały stateczek z Cathleen i Fletcherem na pokładzie przepłynął kanał i zawinął do Hawru, ważnego francuskiego portu u ujścia Sekwany.

Cathleen grzała się w promieniach słońca na pokładzie stateczku, który wiózł ich w górę rzeki do Honfleur. Była zatopiona w myślach. Raz jeszcze przeżywała wszystko, co wydarzyło się od dnia, w którym spotkała Fletchera. Jak wiele zmieniło się wtedy w jej spokojnym, uporządkowanym życiu. Niegdyś nawet w najśmielszych snach nie mogłaby sobie wyobrazić, że podróżuje po świecie, żyjąc w grzechu z mężczyzną, który nie został jej poślubiony. Właściwie dawniej przez myśl by jej nie przeszło, że mogłaby wyjść za mąż, a już w żadnym wypadku, że mogłaby tego pragnąć. Nie, nie byłaby w stanie w to uwierzyć, nawet gdyby obwieścił jej to stojący przed nią w blasku chwały Gabriel Archanioł.

W Honfleur pierwsze kroki skierowali do gospody Le Petit Chat, w której wpisali się do rejestru gości jako małżeństwo.

Cathleen zerknęła do książki, żeby odczytać, co Fletcher napisał. Sir Gaylord Hawthorne i lady Hawthorne.

Zmarszczyła czoło i popatrzyła na niego z dezaprobatą.

- Uważam za absolutnie niezbędne, byśmy zamieszkali razem. Nie chcę ani na chwilę spuszczać cię z oka - wyjaśnił.

Dopiero wtedy zrozumiała, że jest po prostu ostrożny, bo nie ma pewności, czy nie są śledzeni.

Kiedy zamknęli za sobą drzwi niewielkiego pokoju na pierwszym piętrze, podeszła do okna i wyrzała na podwórze, przez które jakaś dziewczynka próbowała przepędzić stadko niesfornych gęsi.

Czy tej małej ktoś kazał ich szpiegować? Cathleen zirytowała się, widząc, że jest na najlepszej drodze, by wpaść w manię prześladowczą. Co się z nią dzieje? Stała się chorobliwie podejrzliwa w stosunku do wszystkich ludzi bez wyjątku i nie mogła przestać myśleć o nasłanych przez Adaira zbirach.

- Jak się czujesz? - Fletcher stanął tuż za nią i położył jej rękę na ramionach.

Postanowiła nic mu nie mówić, żeby go bez potrzeby nie zdenerwować.

- Dobrze, jeśli nie liczyć tego, że żołądek przyrósł mi już do kręgosłupa. Nakarmisz mnie czy pozwolisz, bym umarła z głodu? - Siliła się na lekki ton, choć nie było jej lekko na sercu.

Odwrócił ją twarzą do siebie i lekko pocałował w usta.

- Ja myślę wyłącznie o tym, żeby się z tobą kochać, a tobie tylko jedzenie w głowie.

Stała na palcach, żeby oddać mu pocałunek. Fletcher, bądź mądry, pomyślała. I silny.

- A gdzieś jest powiedziane, że nie można łączyć jednego z drugim? - zapytała kuszącym głosem.

- Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że tego typu zapis znajduje się w „Księdze abstynencji”, w rozdziale dwudziestym.

Cathleen roześmiała się i otoczyła go ramionami.

- Chyba nie jestem w nastroju do lektury. A jeśli natychmiast mnie nie nakarmisz, nie będę miała siły czytać.

- Za chwilę wracam. - Wybiegi z pokoju, ścigany śmiechem dziewczyny, ale zatrzymał się na chwilę w progu i nakazał: - Zamknij za mną drzwi i nie otwieraj nikomu poza mną.

- Nawet właścicielowi zajazdu? - zapytała, choć i bez ostrzeżeń Fletchera nic wpuściłaby nikogo.

- Nikomu, nawet właścicielowi - powiedział i rzucił jej przekorne spojrzenie. Za chwilę wracam z czymś do jedzenia, a wtedy przekonamy się, czy dotrzymujesz słowa.

- Ten, kto jest sumienny w drobiazgach, jest też sumienny w sprawach dużej wagi - powiedziała. - Święty Łukasz.

- Mam nadzieję, że z pełnym brzuchem także będziesz o tym pamiętała. - Z tymi słowami cicho zamknął za sobą drzwi i zawołał jeszcze na odchodnym: - Zarygluj drzwi!

Dopiero kiedy opuściła zapadkę, usłyszała aprobujący pomruk Fletchera i jego oddalające się kroki.

Cathleen siedziała na łóżku, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Serce zaczęło jej mocniej bić. Rozejrzała się po pokoju za czymś, co mogłoby posłużyć za broń na wypadek, gdyby ktoś wyważył drzwi.

Przestań, pomyślała. Robisz się przesadnie tchórzliwa. Bóg chce, żebyś była czujna, a nie żebyś trzęsała się ze strachu przed własnym cieniem.

Wstała, podeszła do drzwi i przyłożyła do nich ucho.

- Kto tam?

- To ja, twój wierny Fletcher. Otwórz.

Uśmiechnęła się i odsunęła zasuwę. Wpadł do pokoju, wyjął coś spod płaszcza i podał jej.

Spojrzała na niezbyt apetyczną białą masę, pokrytą zielonkawym nalotem.

- Czy to coś kiedyś żyło, czy też zawsze było martwe?

- Nie jestem pewien. A jak sądzisz?

- Chyba zawsze było martwe. Co to jest?

- Ser. - Fletcher wyjął jeszcze zza pazuchy bochenek chleba i butelkę wina i postawił wszystko na stole pod oknem. - Nie zastanawiaj się, tylko weź się do jedzenia. Wyłaziłem ze skóry, żeby zdobyć chociaż to.

- W życiu nie jadłam zielonego sera. - Cathleen wpatrywała się w odrażającą bryłę.

- Niecały jest zielony, tylko w niektórych miejscach - stwierdził Fletcher, przyjrząwszy się uważniej.

- Ograniczę się do chleba - oświadczyła, wręczając mu wzgardzony ser.

Odłamał spory kawałek i włożył do ust.

- Mmm... pyszne!

Dziewczyna wzięła ze stołu chleb, podeszła do łóżka i usiadła. Z najwyższym wysiłkiem zdołała oderwać kawałek długiego, suchego bochenka. Włożyła go do ust, przez chwilę żuła ostrożnie i bez powodzenia starała się przełknąć. Miała sucho w ustach i twarde trociny uwięzły jej w gardle.

- Popij tym. - Fletcher podał jej szklaneczkę wina.

Wypiła łączywie. Odłamała kolejny kawałek chleba i żuła go w podobnym skutkiem jak poprzednio. Bez popicia nie sposób go było połknąć. W końcu westchnęła i padła na łóżko.

- Mogłabym spać przez tydzień.

- A gdzie się podział twój sumienny w drobiazgach, sumienny w sprawach dużej wagi św. Łukasz? Czyżbyś zapomniała?

- Nie. - Przeciągnęła się jak najedzony kot i położyła wygodnie na boku. - Odpoczywam tylko i czekam, żebyś się na mnie rzucił. - Zamknęła oczy.

- Spij. Teraz bardziej potrzebny ci wypoczynek niż moja miłość - powiedział Fletcher, tuląc ją w ramionach.

Cathleen zaskoczyło jego zachowanie; spodziewała się, że będzie chciał się z nią kochać. Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Próbujesz się wymigać?

- Niezupełnie. Mojej siły woli nie wystarczy na długo. -Podłożył jej poduszkę pod głowę.
- Idź spać, póki trzymam na wodzy swoje zmysły.

Cathleen zamknęła oczy. Była śpiąca i rozluźniona. Fletcher nad nią czuwał, miała więc poczucie, że nie może jej spotkać nic złego.

Kiedy się obudziła, było prawie całkiem ciemno. Spojrzała w stronę okna i spostrzegła zatopionego w myślach Fletchera, który stał, opierając się obu rękami o framugi.

Był całkiem nagi, wspaniały, podobny bogom. Cathleen nie mogła oderwać od niego oczu. Piękny. Doskonały. Pomyślała, że tak musiał wyglądać Adam w chwili stworzenia, czuła drzemiącą w nim siłę, widoczną w napiętych mięśniach, ugiętym kolanie, uniesionych ramionach i pochylonej do przodu głowie. Wyglądał tak, jakby czekał, by tchnięto weń życie.

„I Pan Bóg ulepił człowieka z prochu ziemi, i tchnął w jego nozdrza oddech życia; i człowiek stał się istotą żyjącą...”

Nawet w słabym świetle Cathleen widziała cień owłosienia na ramionach i nogach Fletchera,

twarde mięśnie pośladków i długie, zgrabne nogi.

Gdzieś w głębi brzucha poczuła ukłucie pożądania. Zapragnęła, by się odwrócił.

- Kochaj się ze mną - wyszeptała cichutko.

Odwrócił się natychmiast, ale w jego postawie Cathleen dostrzegła wahanie.

- Chciałem, żebyś wypoczęła - powiedział. - Byłaś wykończona.

- Ty też.

- Nie mogłem zasnąć.

- Ja mogłam.

- Jak niewiniątko.

- Nie takie już niewiniątko, odkąd spotkałam ciebie. - Widząc reakcję Fletchera, pomyślała, że lepiej było ugryźć się w język.

Usiadł przy niej na łóżku i pogłaskał ją po twarzy.

- Żałuję, że stało się to w taki sposób - powiedział. - Nie żałuję jednak, że się z tobą kochałem. W innej sytuacji już dawno potraktowałbym cię uczciwie.

- Wiem. - Ucałowała jego dłoń.

- Kocham cię - wyszeptał i pocałował ją w policzek, szyję, kark.

- Udowodnij to.

Położyła rękę na jego udzie i przesunęła ją w dół. Poczua na nodze jego dłoń.

- Masz tak delikatną skórę. Jest w dotyku...

Cathleen gwałtownie złapała powietrze, kiedy dotarł do zbiegu jej ud.

- Boże - jęknął. - Jesteś gładka i ciepła jak aksamit.

Położył się na niej, rozsunał kolanem jej uda i zaczął się o nią ocierać. Natychmiast rozłożyła nogi. Przemknęła jej przez głowę myśl, że bardzo szybko zapomniała o wszystkim, czego ją uczono. Była wnuczką pastora, ale nawet tysiąc mszy nie zdołałoby zdławić instynktownej reakcji jej ciała.

Przez chwilę wpatrywał się w nią, a potem przypadł do jej ust. Całował ją długo, mocno, głęboko.

- Wejdz we mnie - poprosiła. Wyciągnęła rękę i sama wprowadziła go w siebie.

- O Boże, nie potrafię ci się oprzeć. - Wsunął się w nią z jękiem i cały stęzał w napięciu, nie mogąc już posunąć się dalej.

Cathleen uniosła kolana i wciągnęła go głębiej. Gdy Fletcher zaczął się poruszać powolnymi, długimi pchnięciami, delikatnie gładziła napięte, twarde mięśnie jego pleców.

- Zbyt szybko - szepnął. - Za bardzo cię pragnę, by móc się powstrzymać.

Dziewczyna poczuła, że całe ciało Fletchera ogarnia drzenie, potem napięły się

mięśnie jego nóg, a pośladki się ścisnęły. Wypełniło ją ciepło jego spełnienia i jej ciało zadrżało, a z ust wydarł się niski, gardłowy jęk, który Fletcher tak uwielbiał.

Zaraz potem przetoczył się na bok, pociągnął ją ze sobą i przytulił.

- Spij - szepnął.

Nie chciało jej się spać, bo coś ją niepokoiło. Bała się o niego, bała się, że mu się coś stanie, co mogłoby jej go odebrać.

Jak dziadka...

Zamknęła oczy. Leżała z głową opartą o tors Fletchera, wsłuchując się w bicie jego serca. Tak wiele się wydarzyło od tego dnia przy studni, kiedy podniosła w górę wzrok i zobaczyła zbliżającego się wysłannika niebios, który miał na zawsze odmienić jej życie. I odmienił je, dając jej o wiele więcej, niż wziął. Nie pozwól, Panie, by coś mu się stało, proszę stwórcę. Błagam, Boże, chroń tego człowieka i daj mi go...

Leżała tak, wsłuchując się w coraz spokojniejszy rytm uderzeń jego serca i coraz głębszy oddech.

- Kocham cię - szepnęła, choć wiedziała, że Fletcher jej nie słyszy.

Ale nie miało to dla niej znaczenia.

Obudziło go bicie dzwonów z pobliskiego kościoła. Lewe ramię miał zdrętwiałe. Otworzył oczy i spojrzał na Cathleen. Uśmiechnął się na widok burzy długich, falujących włosów i uświadomił sobie, jak idealnie ta dziewczyna do niego pasuje. Kiedy wyjeżdżał do Szkocji, wielu rzeczy się spodziewał, ale w żadnym razie nie tego, że odnajdzie tu miłość swego życia. Wsunął rękę pod głowę Cathleen, bo musiał wstać z łóżka, a nie chciał jej budzić.

- Która godzina? - zapytała sennie i uśmiechnęła się. - Dzień dobry.

Pocałował ją.

- Dzień dobry, kochanie. Jeśli wierzyć kościelnym dzwonom, siódma. - Znów ją pocałował. - Wstaję i ubieram się. Ty możesz się jeszcze trochę przespać.

- Ubierasz się? A dokąd chcesz iść?

Wstał z łóżka i podszedł to gotowalni. Nalał wody do miski i umył twarz. Cathleen nie mogła oderwać od niego oczu. Jaki piękny jest nagi mężczyzna, pomyślała. I jaki smutny musiał być Bóg, kiedy mężczyzna zgrzeszył, uświadomił sobie swą nagość i ukrył cudowne ciało pod ubraniem.

Fletcher wytarł twarz i odwrócił się do dziewczyny.

- Muszę wynająć jakiś powóz. Bóg jeden wie, ile rejestrów będziemy musieli przejrzeć, ile kościołów i cmentarzy odwiedzić.

- Poczekaj, pójde z tobą.

- Zostań. To nie potrwa długo. Prześpij się jeszcze. Wrócę, zanim się obejrzysz. I przyniosę coś do jedzenia.

Cathleen usiadła, oparła się o zagłówek i skrzyżowała ręce na piersi.

- Kiedy wynajmowałeś dla nas wspólny pokój, twierdziłeś, że musisz mnie bez przerwy mieć na oku, a teraz chcesz mnie tu zostawić całkiem samą?

- Być może nie był to jedyny powód, dla którego chciałem, żebyśmy mieli wspólny pokój - stwierdził, uchylając się przed lecącą w niego poduszką.

Tuż przed wyjściem znów przypomniał, żeby zaryglowała za nim drzwi.

Kiedy dłuższy czas nie wracał, Cathleen ubrała się i postanowiła zejść na dół. Umierała z głodu i nie mogła się już doczekać powrotu ukochanego. Może oberżysta będzie miał coś do jedzenia, co zaspokoi przynajmniej pierwszy głód? Pomyślała przelotnie o Adairze, ale stwierdziła, że dopóki nie opuści gospody, będzie bezpieczna.

Wyszła z pokoju i ruszyła słabo oświetlonym korytarzem w stronę schodów. Położyła rękę na poręczy i zaczęła schodzić na dół, gdy dobiegły ją jakieś głosy.

Mężczyźni rozmawiali po francusku, więc nie próbowała przysłuchiwać się wymianie zdań, jej uwagę przykuło dopiero nazwisko Ramsay, wymówione po angielsku.

Zamarła.

- Ramsay? *Mais non, monsieur.* -Właściciel zajazdu wyjaśnił, że nie ma takiego nazwiska w spisie gości.

- Amerykanin. Podróżuje z młodą ciemnowłosą Angielką.

Nawet w zajeździe znaleźli ich ludzie Adaira. Z mocno bijącym sercem Cathleen cichutko, na palcach cofnęła się na schody. Weszła na piętro i puściła się pędem do pokoju. Zaryglowała za sobą drzwi. Pospiesznie wrzuciła do torby rzeczy swoje i Fletchera i podbiegła do okna.

Otworzyła je i wychyliła się, by poszukać jakiejś drogi ucieczki. Padający w nocy deszcz wymył z dachu kilka czerwonych dachówek i pozostawił na podwórzu spore kałuże.

W tym momencie na dziedziniec wtoczył się niewielki powozik, rozbryzgując błoto. Zatrzymał się w środku największej kałuży. Po chwili drzwiczki uchyliły się i wysiadł jej ukochany.

- Fletcher! - zawołała cichutko.

Kiedy spojrział w górę, wskazała ręką za siebie.

- Oni tu są. Zostań przy powozie. Schodzę. - Wyrzuciła przez okno torbę z ich dobytkiem.

- Zaczekaj, już do ciebie idę! - krzyknął.

- Nie, nie ma czasu! - Podpełzła na skraj dachu na czworakach, wyjrzała ostrożnie i stwierdziła, że Fletcher stoi tuż pod nią. Powoli, ostrożnie usiadła na krawędzi i spuściła nogi z dachu.

- Złap mnie! - zawołała i zsunęła się.

- Cathleen!

Spadła wprost w wyciągnięte ramiona Fletchera.

- Cieszę się, że przynajmniej w niektórych sprawach masz do mnie pełne zaufanie.

- Szybko, nie mamy czasu - powiedziała, gdy tylko postawił ją na ziemi.

Pobiegli do powozu. Fletcher otworzył drzwi i wepchnął dziewczynę do środka.

- Trzymaj się! - zawołał, wskoczył na siedzenie obok niej, wystawił głowę za okno i polecił woźnicy ruszać z kopyta.

Powóz ani drgnął.

Cathleen wystawiła głowę i powtórzyła polecenie Fletchera po francusku.

Woźnica cmoknął i pojazd ruszył z gwałtownym szarpnięciem. Cathleen z całej siły uczepliła się siedzenia.

- Nie mów tego - ostrzegł Fletcher.

- Czego?

- Że uprzedzałaś mnie, iż będę potrzebował kogoś znającego francuski.

- Nie powiem.

- Co się tam działo? Ktoś przyszedł na górę?

- Nie. Usłyszałam rozmowę oberżysty z jakimiś dwoma mężczyznami. - Opowiedziała mu, co się wydarzyło.

Najwyraźniej bardziej się przejął faktem, że nie została w pokoju, niż wiadomością, że są poszukiwani.

- Jeśli nie umiesz odpowiednio się zachować i robić, co ci każę, to będę musiał odesłać cię do Caithness.

- Już będę grzeczna. - Spojrzenie Cathleen wyrażało skrucę.

- Rozpoznasz któregoś z tych ludzi?

- Nie, zatrzymałam się na schodach, nie zeszłam na dół, więc ich nie widziałam.

- To dobrze. I tak wiemy, kto i po co ich wysłał. Położyła mu rękę na ramieniu.

- Sądzisz, że wysłał ich tylko na przeszpiegi, czy też mają zrobić nam krzywdę?

- Coś mi mówi, że są tu nie tylko po to, żeby nas szpiegować.
- Chcesz powiedzieć...
- Nie pozwolę, żeby coś ci się stało. Obronię cię. Obiecuję.

Przysunęła się bliżej, wsunęła mu dłoń pod rękę i ukryła twarz na jego ramieniu. Nie chciała, by Fletcher zobaczył smutek na jej twarzy. Jak miała mu powiedzieć, że to nie o siebie się boi? Wiedziała, że ją obroni. Nawet za cenę własnego życia...

26

Przejrzeli księgi parafialne w dwóch kościołach, zanim woźnica zawiózł ich do małego wiejskiego kościółka, zwanego St. Benedictine.

Ksiądz, ojciec Sebastian, okazał się niezwykle pomocny, a co więcej, ku zadowoleniu Fletchera, mówił po angielsku.

Poinformował ich, że rodzina de Compiegne od wieków uczęszcza do jego kościoła.

- Ten kościół został wybudowany na ziemi i za pieniądze tej rodziny. Na dziedzińcu kościelnym zostało pochowanych wielu de Compiegne'ów. Na najstarszym nagrobku widnieje data tysiąc sto sześćdziesiąty trzeci rok.

- Interesują mnie czasy o wiele późniejsze. Ojciec Sebastian kiwnął głową i wyjrzał przez okno.

- Pan Bóg zesłał nam kolejny piękny dzień. Chcieliby państwo zobaczyć przykościelny cmentarzyk?

- Może. Jeśli gdzie indziej nie uda nam się znaleźć tego, czego szukamy. Czy moglibyśmy zobaczyć księgi parafialne z zapiskami dotyczącymi małżeństw i chrzcin?- zapytał Fletcher. - Najbardziej interesuje nas początek osiemnastego wieku.

- Oczywiście. Pokażę je państwu z przyjemnością.

Zaprowadził ich do niewielkiego pokoju, wypełnionego od podłogi aż po sufit półkami z książkami. Na środku stał długi stół i cztery krzesła.

- Interesujące państwa lata powinny być w tych księgach. - Zdjął z półki dwa opasłe tomiska i położył je na stole. - Przyjdę później, żeby zobaczyć, jak państwu idzie.

Serce Cathleen waliło z podniecenia, kiedy patrzyła, jak Fletcher drżącymi rękami otwiera pierwszą księgę. Strona po stronie, zaciskając zęby, przeglądał zanotowane w księdze

parafialnej nazwiska.

Nagle serce dziewczyny przestało bić jak szalone. Ogarnął ją niesamowity spokój i poczuła, że ogarnia ją jakieś dziwne ciepło.

Fletcher odetchnął głęboko, zamknął oczy i odchylił głowę do tyłu, jakby starał się zapanować nad uczuciami.

- Co to? - zapytała, zerkając do księgi.

- To jest... tutaj - powiedział łamiącym się z emocji głosem. -Po tylu latach wreszcie jest. Dowód. Moja rodzina. Jestem prawowitym księciem, tak jak mówił ojciec.

Cathleen spojrzała na stronicę zapisaną wyblakłym, ale całkowicie czytelnym brązowym inkaustem. Miała przed oczami informację o zawarciu związku małżeńskiego pomiędzy Alexandrem Ramsayem, synem Alasdaira Ramsaya, księcia Glengarry, a Madeline de Compiegne, córką księcia de Compiegne. Sześć miesięcy później, 23 czerwca 1740 roku, odbył się ślub Douglasa Ramsaya, syna Alasdaira Ramsaya, księcia Glengarry, z Brigitte de Compiegne, córką księcia de Compiegne.

To był dowód. Wystarczający dowód. Douglas i Alexander byli braćmi, synami Alasdaira Ramsaya, księcia Glengarry. A Brigitte i Madeline, jak słusznie się domyślali, były siostrami.

Szukali dalej i natrafili wreszcie na notatkę, że rok później Brigitte i Douglas Ramsayowie ochrzczili nowo narodzonego syna Iana.

- Nie ma wzmianek o następnych dzieciach - zauważyła Cathleen.

- Widocznie Douglas i Brigitte zabrali syna i pojechali do Szkocji. Zbiega się to w czasie z datą śmierci Alasdaira.

- Jasne. Po śmierci Alasdaira Douglas został księciem i dlatego wrócił do Szkocji - stwierdziła Cathleen.

- Gdyby tylko mój ojciec wiedział...

- Jestem pewna, że wie - szepnęła, dotykając ramienia Fletchera.

- Och, ty z tą swoją niewzruszoną wiarą. Czasami... - Urwał, nie kończąc myśli.

- Czasami co?

- Czasami chciałbym mieć twoją wiarę.

- Możesz mieć.

Fletcher potrząsnął głową.

- Obawiam się, że na to już trochę za późno.

- Nigdy nie jest za późno. W najbliższych dniach zdarzy się coś, co cię zbliży do Boga.

- Może. - Przyciągnął ją do siebie. - A do tego czasu musisz mieć wiarę za nas oboje.
- Mam.
- Jeśli cię poproszę, żebyś tu na mnie poczekała, zrobisz to? -Pocałował ją lekko.
- Dokąd idziesz?

- Porozmawiać z ojcem Sebastianem. Muszę znaleźć skrybę. Te zapisy powinny zostać skopiowane przez osobę urzędową, żeby dokument był legalny i mógł stanowić dowód dla sądu w Edynburgu.

- Zaczekaj!
- Tak? - Fletcher zatrzymał się w pół kroku.
- Dokąd idziesz?
- Przecież mówiłem, odnaleźć ojca Sebastiana, a potem przywieźć skrybę.
- Do ojca Sebastiana możesz iść, ale nigdzie poza tym.
- Dlaczego?
- Bo nie znasz francuskiego.

Nie był zachwycony, lecz musiał przyznać jej rację.

- Dobrze, pójdziemy razem.
- Sądzę, że byłoby lepiej, gdyby...

- Absolutnie nie! - Fletcher *nawet nie* próbował ukryć irytacji. - Nie pójdziesz sama i koniec dyskusji.

- Wysłuchaj mnie - poprosiła. - Ludzie Adaira szukają mężczyzny i kobiety, nie samej kobiety... i to mówiącej po francusku.

Jak przewidywała, zgodził się z nią i pozwolił jej iść, chociaż przedtem wygłosił długi wykład na temat zachowania ostrożności.

Zanim dotarła do miasta, zrobiło się ciepło. Cathleen marzyła o zdjęciu czepka, ale nie miała odwagi, zdając sobie sprawę, że kolor włosów mógłby ją zdradzić. Przez okno powozu przyglądała się ulicom Honfleur, mijanym straganom i sklepom, w których toczył się normalny codzienny handel. Dla niej jednak ten dzień nie był taki jak wszystkie inne. Poczowała dreszcz niepewności.

Nagle powóz zatrzymał się i woźnica zaczął coś krzyczeć. Dziewczyna wychyliła się przez okno.

- Co się stało?
- Ulicę zablokował wywrócony powóz! - odkrzyknął.

- Kiedy go usuną?

Wzruszył ramionami.

- Kto wie? Może za kilka minut, a może za parę godzin.

Cathleen znów wyjrzała przez okno.

- Wsiądę tutaj. Jeśli droga zostanie odblokowana przed moim powrotem, jedź pod adres, który ci podałam, i tam na mnie poczekaj.

- *Qui, mademoiselle.*

Cathleen wysiadła i ruszyła wąską, krętą uliczką, brukowaną kocimi łbami, po których trudno było stapać. Powietrze stało się jeszcze cieplejsze i bardziej wilgotne, zrobiło się duszno. Odpięła górny guzik sukni.

Na rogu skręciła w następną uliczkę. Nie było tu ani sklepów, ani ludzi. Cathleen zatrzymała się, niepewna, czy przypadkiem nie zablądziła. W tym momencie usłyszała za sobą tupot nóg.

Widząc zmierzających ku niej dwóch mężczyzn, rzuciła się do ucieczki uliczką tak wąską, że trudno było się nią poruszać, zwłaszcza że wszędzie wałały się sterty śmieci i odpadków. Za późno zauważyła zagrożenie: to była ślepa uliczka. Już po chwili oba mężczyźni wpadli w ten sam zaułek.

Dziewczyna przycupnęła za ogromną beczką i wstrzymała oddech, by nie czuć smrodu rozkładających się odpadków i lichy wie czego jeszcze. Błoto oblepiało jej ręce i ubranie. Coś małego i obrzydliwego przebiegło jej po ręce. Szarpnęła ją, obryzgując przy okazji błotem przód sukni. Żołądek tak wywracał jej się od smrodu, że nie wiedziała, czy nie wymiotuje.

Nawet najgorsze śmieci, nawet najpaskudniejszy smród są jednak lepsze od śmierci, powtarzała sobie w duchu.

Ścigający ją mężczyźni zwolnili. Byli blisko. Już nie biegli. Szli powoli i rozglądali się bacznie. Słyszała ich głosy, ale nie rozróżniała słów. Zdawała sobie sprawę, że odnalezienie jej to tylko kwestia czasu.

Rozejrzała się w poszukiwaniu czegoś, czym mogłaby się bronić, nie dostrzegła jednak niczego poza starą siecią rybacką i równie starym koszem.

- Tu jej nie ma. Dokąd mogła pójść?

- Nie mam pojęcia. Musi być tu gdzieś w pobliżu. Przecież oba widzieliśmy, że skręciła w ten zaułek.

- Tak, ale teraz najwyraźniej jej tu nie ma.

Strach miał metaliczny smak. Pan jest moim pasterzem...

Serce waliło jej jak młotem, kiedy recytowała w myślach psalm trzydziesty trzeci.

Kiedy idę doliną w cieniu śmierci... Ale nie tylko to mogła zrobić. Macała błoto, dopóki nie udało jej się dosięgnąć sieci rybackiej i kosza. Zacisnęła na nich palce.

Nie lękam się zła...

Wsluchiwała się uważnie w męskie głosy, dopóki nie nabrała pewności, że prześladowcy już ją minęli.

Bo ty czuwasz nade mną...

Cathleen zerwała się i narzuciła sieć na jednego z mężczyzn.

Zaklął szpetnie, odwrócił się i spojrzał na dziewczynę. Jego twarz była przerażająca - wstrętne blizna przecinała ją poziomo *od* lewej skroni do prawej szczęki, zniekształcając *nos*. Mężczyzna nie miał jednego oka.

Cathleen krzyknęła z przerażenia. Przez chwilę stała bez ruchu, sparaliżowana strachem, co napastnik wykorzystał, uwalniając jedną rękę. Odskoczyła do tyłu, widząc, że próbuje ją złapać. Na szczęście w tym momencie potknął się, stracił równowagę i runął jak długi.

Drugi z prześladowców wpatrywał się w Cathleen z nienawiścią. Cofnęła się, ale rzucił się do przodu, próbując ją chwycić. Zdażyła odskoczyć w bok, lecz napastnik zabłoconą łapą złapał ją za włosy. Czowała drapiące pazury i ostry ból, kiedy ciągnął ją za nie.

Zagryzła zęby i szarpnęła się z całej siły. Włosy zostały wyrwane z cebulkami, cierpienie opłacało się jednak, bo zdołała się wyrwać. Odwinęła się, energicznie wsadziła mu kosz na głowę, przytrzymując oburącz, i przez chwilę szarpała nim.

Stary kosz rozpadł się na kawałki, resztki wikliny rozprysły się we wszystkie strony i opadły na bruk. Napastnik zatoczył się, ale utrzymał się na nogach. Patrząc w jego szalone oczy, bezbronna Cathleen zastanawiała się, czy cios był wystarczająco silny.

Przeciwnik nawet nie krzyknął, tylko zwałił się bezwładnie na ziemię.

- A jego wrogowie będą łykać kurz - wyszeptła. - Psalm.

Nie spojrzała ponownie na napastnika, odwróciła się na pięcie i pobiegła co sił w nogach tą samą drogą, którą tu przybyła. Pędziła, dopóki nie zaczęło jej kłuć w boku, dopóki ból nie zaczął rozsadzać jej płuc. Wtedy zwolniła, ale nie przestawała biec. Dwukrotnie potknęła się na nierównym bruku, upadła i poobcierała *ręce*.

Wydostała się wreszcie z wąskich zaułków na szerszą ulicę i zobaczyła nadjeżdżający powóz.

- Ratunku! - krzyknęła. - Na pomoc!

Wóznica zatrzymał konia, zeskoczył z kozła i podbiegł do niej.

- Co się stało, *mademoiselle*!

Była tak zdyszana, że nie mogła wydusić z siebie ani słowa. Pomógł jej dojść do powozu i otworzył przed nią drzwi. Kiedy wpadła do środka, wysapała ciężko dysząc:

- Zawieź mnie do skryby. - Postanowiłam jednak nie iść na piechotę.

- *Oui, mademoiselle*, to rozsądna decyzja - pochwalił woźnica i pognął konia. – *Je n'ajjamais d'espirit qu'au bas de l'escalier*.

- Tak, zawsze najlepiej kierować się rozsądkiem - przyznała mu rację.

Po godzinie stała już u boku Fletchera i przyglądała się, jak skryba kopiuje potrzebne im zapiski. Skóra głowy nadal ją paliła, a pościerane dłonie piekły niemiłosiernie i Cathleen zaczęła się nieco użalać nad sobą. W końcu musiała stawić czoło dwóm niebezpiecznym typom, a Fletchera najwyraźniej niewiele to obeszło.

Oczywiście nie opowiedziała mu o tym incydencie, ale na kobiecą logikę nie miało to najmniejszego wpływu. Wprawdzie musiała uczciwie przyznać, że Fletcher zauważył jej oplakany wygląd, gdy wysiadła z powozu, lecz w głębi serca miała jednakże żal, że bez oporów zadowolił się niezbyt zręcznym kłamstwem, gdy powiedziała, że potknęła się i upadła.

W tym momencie marzyła tylko o jednym: by znaleźć się w jego ramionach i porządnie się wypłakać. Przysunęła się nieco w nadziei, że ukochany odczyta z jej oczu, czego w tej chwili potrzebuje.

Fletcher pociągnął nosem. Po chwili jego nozdrza znów się poruszyły i na twarzy pojawił się grymas obrzydzenia.

- O co chodzi? - zapytała.

- Czujesz coś? - Nadal węszył z niesmakiem.

- Nie. A ty?

- Zdecydowanie tak.

- Co to za zapach?

- Odpadków. Starych, rozkładających się odpadków.

- Och! Nie mam pojęcia, skąd mógłby pochodzić ten odór. -Spojrzała na suknię i dostrzegła ohydne wilgotne plamy. Zerknęła też na dłonie. Wyglądały tak, jakby błoto wypływało jej spod paznokci.

Bez słowa schowała ręce za plecami i odsunęła się o kilka kroków.

Chciałbym nadużyć uprzejmości księdza, zwracając się do niego z jeszcze jedną

prośbą... - powiedział Fletcher do ojca Sebastiana, kiedy dokumenty zostały skopiowane i skryba wyszedł.

- Z radością pomogę, w czym tylko będę mógł.

- Te księgi są dla mnie niezmiernie ważne. Pewni ludzie daliby wszystko, by zniszczyć dowody, które tu znaleźliśmy.

Ojciec Sebastian uśmiechnął się *do* niego ze zrozumieniem.

- Ukryję je w bezpiecznym miejscu, *monsieur*. Proszę się nie obawiać.

- Dziękuję - powiedział Fletcher i podał księdzu kopertę. -Chciałbym złożyć tę ofiarę w dowód wdzięczności.

- Zawsze z radością przyjmujemy ofiarę na rzecz potrzebujących. Niech ci Bóg błogosławi, synu.

Fletcher skinął głową i wziął Cathleen pod rękę.

- Mamy już to, po co przyjechaliśmy, i chciałbym jak najszybciej wrócić z nowinami do Szkocji.

Podniosła na niego wzrok.

- Od razu jedziemy do Edynburga?

- Nie. Najpierw odwiozę cię do Dunston, gdzie będziesz bezpieczna, a potem pojedę do Edynburga. Sam.

Pełen wyższości uśmiech Cathleen nie umknął jego uwagi.

- Dziękuję za troskę, podejrzewam jednak, że przede wszystkim chciałbyś podzielić się dobrą wiadomością z ciotką.

- Zawsze najłatwiej mnie przejrzeć, kiedy próbuję coś ukryć. -Fletcher uśmiechnął się szeroko.

- Owszem, chwilami mam wrażenie, że wiem, o czym myślisz, zanim jeszcze sobie to uświadomisz.

- Pamiętaj, że jesteś daleko od domu. Mów tak dalej, a zostawię cię tutaj.

- Może i masz taką pokusę, ale na pewno mnie nie zostawisz -stwierdziła Cathleen z uśmiechem.

- A to dlaczego?

- Bo kiedy kobieta odda ci serce, to już nigdy nie będziesz w stanie pozbyć się całej reszty.

Ojciec Sebastian spojrzał na Fletchera i wybuchnął śmiechem.

- Módl się za mnie, ojczu.

- Już się modliłem, mój synu. Już się modliłem - zapewnił rozbawiony ksiądz.

Podeszli do wynajętego powozu i Fletcher na migi próbował wytłumaczyć woźnicy, że ma ich zawieźć do Hawru. Kiedy dostrzegł spłoszony wyraz twarzy osłupiałego Francuza, poddał się i poprosił Cathleen:

- No, dobrze. Ty mu powiedz.

Dziewczyna zwróciła się do woźnicy w jego ojczystym języku.

Fletcher pomógł jej wsiąść do powozu, usiadł obok i zamknął drzwi. Francuz krzyknął coś, strzelił z bata i powóz potoczył się do przodu.

Fletcher siedział z rękami na kolanach. Cathleen nagle zwróciła uwagę na jego kosztowny płaszcz i koszulę z najwyższej jakości bawełny, potem jej spojrzenie przyciągnął sygnet herbowy na jego palcu.

Przez okno powozu wpadł promień słońca, odbił się w złotym sygnecie i na chwilę oślepił dziewczynę. Zamknęła oczy, by chronić je przed blaskiem. Kiedy po chwili podniosła powieki, zobaczyła skrzywioną twarz Fletchera.

- Nie mogę w to uwierzyć - powiedział.

- W co nie możesz uwierzyć? - Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Znowu czuję ten sam odrażający smród. Tutaj, w powozie. Nie mam pojęcia, skąd on się bierze.

- Och. Ja też nie wiem - odpowiedziała i pospiesznie schowała ręce za siebie.

Powóz toczył się szybko drogą do Hawru. Fletcher oparł się wygodnie i zamknął oczy, próbując zasnąć, ale przenikliwy smród całkowicie uniemożliwiał sen. Bez przerwy zastanawiał się nad tajemniczym odorem. I nagle przypomniał sobie wygląd Cathleen, kiedy podjechała ze skrybą.

Uchylił jedno oko i zerknął na dziewczynę spod rzęs. Siedziała obok niego jak wcielenie niewinności, ale im więcej o tym myślał, tym dziwniejsza wydała mu się jej reakcja na jego pytanie o dziwny zapach.

Wszystko to wyglądało podejrzanie. I jeszcze ten wyraz jej oczu... Zrobiły się wielkie jak spodki i pełne poczucia winy.

- Może zechcesz mi o tym opowiedzieć? - Skrzyżował ręce na piersi i starał się wyglądać na przenikliwego inkwizytora, ale sam czuł, że bardziej przypomina świętego Mikołaja z wesołym błyskiem w oczach.

- Jak się zorientowałeś? - Westchnęła głęboko, ale zaraz się roześmiała. - Pewnie poznałeś po smrodzie.

- Cathleen, powiedz lepiej prawdę, bo twoje kłamstwa nie są warte funta kłaków. Prawda jest wyryta na twojej twarzy. Powiedz, co się stało.

Usadowiła się wygodnie i opowiedziała mu o swej małej przygodzie.

- Mój Boże! - zawołał Fletcher, kiedy doszła do sieci i kosza. - Powinno się mnie rozerwać końmi za to, że pozwoliłem ci samej jechać. Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdyby coś ci się stało. Nigdy!

- Chciałam jechać...

- Już nigdy nie pozwolę ci zrobić czegoś podobnego.

Roześmiała się.

- Przykro mi z powodu tego, co się stało. Musiałaś być przerażona. - Aż się skręcał na myśl o tych dwóch plugawych drabach, które rzuciły się na Cathleen.

- Owszem, byłam przerażona, ale... ten, kto ucieka przed lękiem, będzie pogrążony w żalu. Jeremiasz.

Przez chwilę patrzył na nią z osłupieniem, a potem wybuchnął serdecznym śmiechem. Do końca życia nie pozbędzie się chyba sprzed oczu obrazu Cathleen wyskakującej nagle zza beczki jak diabeł z pudełka, zarzucającej sieć na jednego z napastników i rozbijającej kosz na głowie drugiego.

- Tak, poznaję moją dziewczynę. - Objął ją i lekko pocałował. Ale natychmiast odsunął się od niej, z trudem łapiąc oddech. Szybko przesiadł się na siedzenie naprzeciwko, otworzył okno i odetchnął głęboko. - To nie był dobry pomysł.

- Aż tak śmierdzi?

- Najdroższa, cuchniesz jak kocie odchody.

Cathleen zerknęła na poplamioną suknię i pociągnęła nosem.

- Nic nie czuję.

- To prawdziwe błogosławieństwo - stwierdził Fletcher i wystawił twarz na powiew wpadającego przez okno świeżego powietrza.

Mieli przed sobą port w Hawrze, skrzący się w ostrych promieniach słońca. Kilka statków i łodzi huśtało się na falach uderzających o burty.

Gdy tylko dotarli do miasta, natychmiast ruszyli do zajazdu i Fletcher zażądał najbardziej aromatycznej kąpieli, jaką można kupić za pieniądze.

Oberżysta obejrzał sobie Cathleen od stóp do głów i zgodził się, że kąpiel musi zostać przygotowana niezwłocznie, po czym opuścił ich pokój z takim pośpiechem, jakby już nie

mógł się tego doczekać.

- Zostań tu i nie otwieraj nikomu poza oberżystą, który przyniesie ci wodę do kąpieli.

Zrozumiałaś?

- Tak. Dokąd idziesz?
- Załatwić dla nas powrót do Szkocji. Chciałbym wypłynąć jak najprędzej.
- Jak tylko przestanę śmierdzieć?
- Właśnie. Kąpiel jest najważniejsza. Na to musimy znaleźć czas - powiedział ze śmiechem i ledwie zdążył uchylić się przed butem, którym w niego rzuciła.

Podeszła do okna, żeby zerknąć na wychodzącego z zajazdu Fletchera. Słońce, którym jeszcze niedawno się rozkoszowali, schowało się za chmurami i ustąpiło miejsca obrzydliwej mżawce, która sprawiała, że dym z kominów i zapachy kulinarne trzymały się przy ziemi, wypełniając brukowane kocimi łbami uliczki.

Cathleen dostrzegła ukochanego, zanim przeszedł na drugą stronę ulicy i skręcił w pierwszą przecznicę, znikając jej z oczu. Zamknęła okno.

Pokojówka wniosła wiadra parującej wody i napełniła miedzianą wannę. Kiedy tylko Cathleen została sama, wskoczyła do kąpieli, wyszorowała się porządnie i dwukrotnie umyła włosy. Rozpierająca ją jeszcze niedawno radość znikła bez śladu. Odczuła to w sposób niemal fizyczny, jakby ktoś wyciągnął jakiś korek i wypuścił z niej całe szczęście.

Jak obco się tutaj czuła. Wszystko, na co popatrzyła, wydawało jej się beznadziejne i zapomniane, samotne i niedostępne.

Wstała i wyszła z wanny. Gorąca, pachnąca woda nie sprawiała jej już przyjemności. Dziewczyna szybko się wytarła i przebrała w czyste ubranie. Osuszyła włosy ręcznikiem i zwinęła je w ciasny węzeł na karku.

Poczuła się nagle potwornie zmęczona i położyła się na łóżku. Wydawało jej się, że otacza ją czarna mgła; wręcz czuła na twarzy ciężką wilgoć. Otarła łzy. Sól paliła poranione dłonie. Cathleen wróciła myślą wstecz do miesięcy, które upłynęły od chwili, gdy spotkała Fletchera.

Kochała go i wiedziała, że i on ją kocha, ale wiedziała także, że nie powinno być do tego dojść. Za bardzo się od siebie różnili, żyli w innym świecie, ich przyszłość rysowała się w zupełnie odmiennych barwach. Przypomniła sobie jego rękę z rodowym sygnetem. Przypomniła sobie, jak oślepiło ją odbijające się w złocie słońce. I nagle uświadomiła sobie, że na tym właśnie polega problem: została oślepią. Nie dostrzegała powodów, dla których nie mogli być razem. Była ślepa na wszystko, co symbolizował ten sygnet. Ślepa na to, kim jest Fletcher, i na swoją pozycję społeczną.

Była jak wrzosy porastające wzgórza. Przez całe życie szarpane wiatrem, potrafiły cieszyć się każdym nowym dniem, lecz były tylko zwyczajnymi wrzosami. Niczym więcej.

Fletcher nie miał takich ograniczeń.

Był jak promień słońca, który ją musnął, wniósł w jej życie światło i ciepło, lecz tylko na chwilę. Wkrótce Cathleen znów pograży się w ciemności, a on pójdzie dalej, rozjaśniać i rozgrzewać innych napotkanych w życiu ludzi.

Ona była jak ziemia.

A on jak wiatr.

Ona była ograniczona przez to, kim była - zawsze solidna, nieruchoma.

On nie znał żadnych ograniczeń i bezruch nie leżał w jego naturze.

Nauczył ją miłości. I to musi jej wystarczyć. Wiedziała, że trzeba szybko z tym skończyć.

Tak będzie lepiej, choć sprawi jej to ból.

Fletcher wrócił po dwóch godzinach i zastał Cathleen pograżoną we śnie. Stał nad nią przez chwilę i podziwiał urodę dziewczyny, ale wyczuwał także jej smutek.

Usiadł przy niej, pochylił się i pocałował ją w policzek. Poruszyła się, lecz nie obudziła. To go jednak nie zniechęciło. Całował każde miękkie zagłębienie, każde ciepłe od snu miejsce. Gładził jej delikatną jak płatek kwiatu skórę. Objął wąską talię dziewczyny, a potem przeniósł ręce na pełne, miękkie piersi.

Każde miejsce było cudowne.

I należało do niego.

Przewrócił dziewczynę na plecy i zaczął rozpinać guziki sukni. Rozsunął stanik i odsłonił cudowne nagie ciało. Całował pachnącą ziołowym mydłem szyję, piersi, podciągnął spódnicę, rozsunął nogi i dotknął ciepłego, wilgotnego miejsca między udami. Usłyszał jęk Cathleen i podniósł wzrok. Jej oczy były szeroko otwarte.

- Kocham cię - powiedziała.

- I ja ciebie kocham. Jesteś taka piękna. Ciałem i duchem. Nigdy nie będę miał dość patrzenia na ciebie. Nawet gdybym dożył setki, każdego dnia będę patrzył na ciebie tak, jakbym cię ujrział pierwszy raz.

Dostrzegł błysk bólu w jej oczach. Chciał ją o to zapytać, ale w tym momencie rozpięła mu spodnie i wzięła do ręki jego członek. Był twardy, gotowy, spragniony jej ciała, potrzebował jej, pożądał jej...

Nie mogąc już znieść słodkiej udręki, rozebrał ją do końca i wszedł w nią jak statek, wpływający do portu. Poruszał się mocno i czuł reakcje jej ciała. Pragnęli się nawzajem tak rozpaczliwie, że niemal bali się chwili całkowitego zjednoczenia, która wyniesie ich ponad światy, ponad wszystko, czego dotychczas doświadczyli, i wraz z którą czas ich wspólnych przeżyć dobiegnie końca.

Kilkakrotnie doprowadzał ją na skraj rozkoszy i zatrzymywał się, choć dręczyła go namiętność, choć wstrząsały nim dreszcze. Raz po raz Cathleen wiała się pod nim, wreszcie wykrzyczała jego imię i wplątała palce w jego włosy, nie pozwalając mu się wycofać. Wygięła się w łuk.

- Teraz - wyszeptwała. - Chodź ze mną - Kochaj mnie. Teraz. Zostaw mi to wspomnienie.

Jęknął i wypełnił ją nasieniem, a siła wytrysku porwała dziewczynę w świat rozkoszy. Jego szeptane nieprzytomnie słowa i jej okrzyki spełnienia zlały się w jedno, jak dwie krople deszczu, które stapiają się w strumyczek ściekający po szybie.

Leżeli złączeni, dopóki nie ostygł żar namiętności, a wieczorny chłód nie osuszył pokrytych potem ciał, ale nawet wtedy pozostał w niej, w tym wilgotnym, ciepłym centrum jej pragnień i jego pożądania. I nawet wtedy, gdy wreszcie się z niej wysunął, nie poruszyli się, ściśle ze sobą złączeni, pełni miłości i życia, jakby w bezruchu mogli zatrzymać czas, powstrzymać to, co nadchodziło.

Fletcher zdawał sobie sprawę, że Cathleen niepokoi się tym, co ich czeka, ale wydawało mu się, że ten lęk wynika z przerażającego doświadczenia, przez które przeszła, więc przyciągnął ją bliżej i zamknął w objęciach. Pragnął dać jej poczucie bezpieczeństwa, pragnął, by czuła, że jest pod jego opieką.

- Już prawie po wszystkim - powiedział, by dodać jej ducha.

- Tak, teraz to już nie potrwa długo. Zaskoczył go jej melancholijny ton.

- Nie martw się, aniołku. Zbyt długo czekałem i zbyt blisko jestem wygranej, by dopuścić, aby któremukolwiek z nas stało się coś złego. Doczekamy szczęśliwego zakończenia, i to razem. Wiele musieliśmy przejść i oboje ponieśliśmy bolesne straty.

- Tak. Pograżeni w smutku, którzy doznali rozpacz. Zrobiło mu się ciężko na sercu.

Po raz pierwszy Cathleen

nie dodała, skąd pochodzi cytat, i Fletcher czuł, że zrobiła to celowo.

- Księga Hioba? - zapytał, jakby dzięki temu wszystko mogło wrócić do normy.

- Izajasza - sprostowała tak ponuro, że mimo woli musiał się roześmiać.

- Ach, Izajasza... proroka, który chodził w worku pokutnym i zapowiadał Sąd Ostateczny.

- Tak. - Przytuliła się do Fletchera i oboje zapadli w sen.

Obudził się w środku nocy i znów się kochali, po czym ponownie zasnęli. Białe światło świtu dopiero zaczynało wsączać się do pokoju, gdy obudził go jej dotyk. Twarda, pulsująca pod pieszczotą jej dłoni męskość aż do bólu pragnęła znowu znaleźć się w jej ciele.

- Cathleen?

- Tak?

- Kocham cię.

Westchnęła i na chwilę zamknęła oczy.

- I ja cię kocham. Bardziej, niż sądzisz.

- Pokaż mi jak.

- Znowu?

- Prowadzimy rachunkowość? - zapytał z uśmiechem.

- Mogłabym się tym zająć... gdyby nie to, że ciągle mnie rozpraszasz.

- Ale lubisz, kiedy cię rozpraszam, prawda?

- Tak. Podoba mi się sposób, w jaki to robisz. - Pocałowała go, a jej dłoń mocniej zacisnęła się na jego członku i zaczęła pieścić go szybciej.

- A ja jeszcze nigdy nie rozpraszałem cię równie chętnie, jak w tej chwili - mruknął, odwrócił się i znalazł się nad nią.

Późnym rankiem wybrali się na nabrzeże. Mgła nadal była bardzo gęsta i wisiała nisko nad ziemią. Ulice były ciche i opustoszałe. Nawet bicie kościelnych dzwonów nie zakłócało ciszy.

Kiedy mijali sklep, Cathleen odwróciła głowę i przyjrzała się sobie w szybie wystawowej. Była chuda i blada.

Fletcher wziął ją pod rękę i przyspieszył kroku. Kiedy podniosła na niego wzrok, ujrzała twarde wyraz twarzy, oczy rozglądające się uważnie wokół, penetrujące podejrzliwie każdą bramę, każdy mroczny wylot małej uliczki. Ich kroki odbijały się echem od ścian domów, przypominając jej odgłos pogoni.

Zadrzała i mocniej otuliła się szalem.

- Zimno ci?

- Nie, ale jestem zaniepokojona.

- Ja też. Będę spokojniejszy, gdy znajdziemy się na pokładzie „Angelique”.

- „Angelique”? Nie mogłeś znaleźć statku noszącego moje imię?

Rzucił jej spojrzenie świadczące o tym, że doskonale wie, do czego Cathleen zmierza, i

uściskał jej ramię na znak wdzięczności za próbę rozładowania napięcia.

- Próbowałem, ale „Niezawodna” odpłynęła dziś rano.

Nie odpowiedziała, bo w tym właśnie momencie skręcili za róg i ich oczom ukazały się zakotwiczone w porcie statki. Poczwała ulgę, choć była to reakcja irracjonalna, bo przecież niebezpieczeństwo równie dobrze mogło czekać na nich w porcie.

I rzeczywiście, niespodziewanie, nie wiadomo skąd, wyłoniło się dwóch mężczyzn.

Cathleen gwałtownie chwyciła powietrze i wpatrzyła się w nich. To byli ci sami ludzie, którym poprzednio uciekła.

- To oni! - zawołała.

Fletcher złapał ją za rękę i ruszył biegiem w stronę mężczyzn. Jednego uderzył tak mocno, że tamten zatoczył się i wpadł na swojego towarzysza.

To dało im nieco czasu na ucieczkę, ale niezbyt wiele.

Po chwili usłyszeli za plecami tupot nóg ścigających ich zbirów. Cathleen biegła najszybciej, jak mogła, ale wkrótce poczuła bolesne klucie w boku. Mimo to biegła dalej. Jednak klucie stawało się coraz silniejsze i dziewczyna wiedziała, że gdyby nie ona, Fletcher mógłby biec o wiele szybciej. Nagle, nie wiadomo skąd, wysunęła się jakaś ręka, która pochwyciła ją i zaczęła ciągnąć do tyłu. Cathleen straciła równowagę i upadła, ale prześladowca potknął się o nią i też się przewrócił. Usłyszała, że Fletcher klnie z wściekłością - zapewne dlatego, że walczył z drugim napastnikiem i nie mógł przyjść jej z pomocą.

Podniosła się na kolana, gotowa odeprzeć atak, lecz nagle uświadomiła sobie, że zbir leży na ziemi bez ruchu, a po kocich łbach płynie krew. Widocznie upadając, uderzył głową o kamień.

Nie wiedziała, czy mężczyzna żyje. Miała nadzieję, że nie.

Ból w boku trochę zelżał, więc jakoś podniosła się z ziemi. Widząc, że Fletcher nadal walczy z napastnikiem, przycupnęła w niszy przy drzwiach jakiegoś sklepu i obserwowała wściekle okładających się mężczyzn. W pewnej chwili zobaczyła, że zbir wyciągnął nóż, więc krzyknęła:

- Fletcher, uważaj! On ma nóż!

To, co potem nastąpiło, wydarzyło się tak szybko, że nie była pewna, co właściwie się dzieje. Widząc lśniący nóż, zataczający łuk w stronę jej ukochanego, znów krzyknęła. Fletcher złapał zbója za rękę i nagle obaj zmienili się w jedną skłębioną masę.

Fletcher był teraz odwrócony plecami do Cathleen. Mężczyźni nadal byli spleceni ze sobą i walczyli o uzyskanie przewagi. Nawet ona nie miała wątpliwości, że są godnymi siebie przeciwnikami. Bojąc się, że jej krzyk może odwrócić uwagę Fletchera, zakryła sobie usta

dłońmi, a potem odwróciła się, ukryła głowę w niszy, nie mogąc znieść tego, co może się wydarzyć.

Nie miała pojęcia, jak długo tak stała z ustami zakrytymi obu dłońmi, zaciśniętymi oczami i twarzą opartą o zimny kamień, wciśnięta w narożnik utworzony przez dwie ściany. Nie pamiętała, by dobiegały ją jakiegokolwiek dźwięki, więc aż podskoczyła, kiedy poczuła dotyk czyjejś ręki na ramieniu.

Odwróciła się pewna, że Fletcher zginął i morderca przyszedł teraz po nią.

- Już po wszystkim.

Ogarnęła ją potworna słabość. Kolana ugięły się pod nią i z pewnością by upadła, gdyby Fletcher nie podtrzymał jej mocnymi ramionami.

Spojrzała na leżącego bezwładnie zbira. Obok dostrzegła zakrwawiony nóż.

- Nie żyje?

- Tak.

- A ten drugi?

- Żyje, tyle że przez pewien czas będzie się zajmować tylko swoją obolałą głową. - Fletcher trzymał Cathleen w mocnym uścisku. - Nic ci się nie stało?

- Nic. Jestem tylko wstrząśnięta. Ale pewnie w najbliższym czasie będę podskakiwać ze strachu na widok własnego cienia.

- Masz powody. Przykro mi, że cię tak naraziłem. Nie zasłużyłaś na to.

- Nie, ale ty także nie - odpowiedziała. - Jesteś ranny?

- Nie, tylko moja duma została zadrażniona. Gdyby Adrian Mackinnon dowiedział się kiedyś, ile czasu zajęło mi odebranie temu typowi noża, nie miałbym życia.

- Adrian? Twój ojczym?

- Tak, człowiek, który nauczył wszystkich swoich synów, jak należy walczyć i w jaki sposób się bronić. A nie ma chyba lepszego miejsca, by się tego nauczyć, niż obozowisko drwali. Tamtejsi mężczyźni są wielcy i potężni jak pnie drzew. - Fletcher wziął dziewczynę za rękę. - Chodźmy. Mam już dosyć Francji.

- Tak, wracajmy do domu.

Kiedy szli nabrzeżem, Cathleen starała się głęboko oddychać, ale świeże morskie powietrze wydawało jej się nieruchome, ciężkie i duszne... jak jej życie.

Wczesnym popołudniem dotarli do Szkocji. Cathleen chciała od razu jechać do Edynburga i sądziła, że udało jej się przekonać Fletchera, lecz kiedy wynajął powóz, zmienił decyzję.

Po ostatnim incydencie z ludźmi Adaira w Hawrze stwierdził, że nie może już dłużej narażać życia ukochanej.

- Odwiozę cię bezpiecznie do Caithness i dopiero wtedy pojedę do Edynburga. Sam.

- Nie chcę jechać do Caithness - odparła Cathleen. - Nie znam spokoju, dopóki nie oddasz tych dokumentów we właściwe ręce. Uważam, że powinniśmy od razu jechać do Edynburga. Tak nakazuje logika.

- Owszem. Adair niewątpliwie dojdzie do tego samego wniosku. Spodziewa się, że natychmiast pojedziemy do Edynburga, i jeśli się nie mylę, już tam na nas czekają jego ludzie. Tak nakazuje logika.

- Może masz rację, - Cathleen zmarszczyła czoło i westchnęła głęboko. - Ale to nie oznacza, że jestem zadowolona z twojej decyzji.

Roześmiał się wesoło.

- Moja kochana, nie potrafisz ukryć rozczarowania. Jest wręcz wypisane na twojej twarzy - powiedział i widząc, że dziewczyna chce *coś* powiedzieć, uciszył ją, kładąc jej palce na ustach. - I nie kłóć się ze mną.

- Jakżebyś śmiała? - zapytała, rozkoszując się brzmieniem jego śmiechu.

Za tym także będę tęskniła, pomyślała.

Jechali w milczeniu. Cathleen zamknęła oczy, ale nie spała, pomimo miarowego kołysania powozu i wygodnych, miękkich siedzeń.

- O czym myślisz? - zapytał w końcu Fletcher.

- Zastanawiałam się tylko... - zaczęła, otwierając oczy.

- Nad czym?

- Nad tobą.

- A konkretnie?

- Jak już pojedziesz do Edynburga, to co dalej?

- Dopilnuję, żeby dokumenty znalazły się bezpiecznie we właściwych rękach.

- A potem?

Tym razem to on zmarszczył czoło. Wyraźnie nie podobał mu się kierunek, w jakim zmierzała rozmowa. Odwrócił głowę i zaczął wyglądać przez okno, jakby w ten sposób mógł zmienić bieg myśli Cathleen.

Ale ona nie dała się odwieść od tematu.

- Wybierzesz się do Glengarry, tak?

- Nie wiem. A co za różnica? - Zacisnął szczęki.

- Zasadnicza, bo oboje wiemy, że jeśli wybierzesz się do Glengarry, to w jednym tylko celu. Nie zadowolisz się wyłącznie odzyskaniem tytułu, prawda?

- Adairowi nie wolno ufać. Dopóki on żyje, ja nie mogę być pewien własnego bezpieczeństwa.

- Nie zgadzam się z tobą. Kiedy prawda wyjdzie na jaw i odzyskasz tytuł, będzie miał związane ręce, bo gdyby cokolwiek ci się stało, on byłby pierwszym podejrzanym.

- Wiele mi z tego przyjdzie, jeśli będę martwy! – prychnął Fletcher. - On maczał palce w wielu morderstwach. Skąd wiesz, że nie będzie chciał się mścić? Jesteś gotowa podjąć takie ryzyko?

Cathleen nie odpowiedziała. Była wstrząśnięta, bo wiedziała, jakim typem człowieka jest Fletcher. Znała również Adaira Ramsaya. Jeśli się spotkają, jeden z nich będzie musiał zginąć.

Wiedziała, jak długo Fletcher żył pragnieniem, by uporządkować wszystkie rodzinne sprawy, ale teraz już mu to nie wystarczało. Teraz, kiedy miał tytuł w zasięgu ręki, chciał jeszcze więcej. Zdawała sobie sprawę, że w znacznej mierze jest to efekt niebezpieczeństwa, jakie groziło jej ze strony Adaira.

I choć robiło jej się ciepło na sercu na myśl o tym, że Fletcher pragnie ją chronić i zapewnić jej bezpieczeństwo, to nie mogła znieść myśli, że właśnie ona jest źródłem żądzy zemsty. Męczyło ją poczucie winy. Serce ją bolało i czuła, że musi przynajmniej spróbować go powstrzymać.

Fletcher westchnął i zapytał.

- Cathleen, dlaczego tak strasznie się tym przejmujesz? Pozwól mi się tym zająć. Nie ma powodu, żebyś się tak zamartwiała.

- Mam powody. Wiem, do czego doprowadzi twoje spotkanie z Adairem. Wiem, że myślisz o morderstwie. Jeśli do niego pójdziesz, jeden z was zginie. I niewykluczone, że to będziesz ty. Czy tak pojmujesz miłość?

Zamknął oczy. Oparł głowę o oparcie, jakby chciał uciąć tę rozmowę.

Nie odrywała od niego wzroku, ale minęło wiele czasu, zanim się odezwał. Kiedy

wreszcie to zrobił, nie otworzył oczu, nie spojrzął na Cathleen.

- Nawet w Biblii obowiązuje zasada: oko za oko, ząb za ząb.
- Nie zmyjesz krwi krwią.

Powinien być mądrzejszy i nie próbować dyskutować z wnuczką pastora o Piśmie Świętym. Bo ledwo coś wymyślił, natychmiast odpowiadała, że jego słowa zaczerpnięte są ze Starego Testamentu. Otworzył jedno oko i zerknął na Cathleen.

- Dlaczego mam poczucie, że za chwilę zostanę uraczony niestrawną porcją cytatów z Nowego Testamentu?

Uśmiechnęła się.

- Nie odpłacaj złem za zło. Nie szukaj odwetu, a raczej daj wyraz oburzeniu, bo jest napisane: pomsta należy do mnie; ja wymierzę sprawiedliwość, powiedział Pan.

Fletcher spojrzął na dziewczynę, czekając na zakończenie.

- Z listu do Rzymian poinformowała. Widząc jednak, że nawet te słowa nie zrobiły na nim większego wrażenia, osunęła się na kolana. - Proszę. Błagam cię pokornie na klęczkach, byś nie próbował odebrać Adairowi życia. Pozwól, by zajęli się tym prawnicy z Edynburga. Z dowodami, które masz w ręku, nie będzie trudności ze wznowieniem procesu w sprawie śmierci twojego ojca. Nie rób tego, Fletcherze. Nie pozwól, żeby ta historia zrobiła z ciebie człowieka okrutnego.

Podniósł ją, posadził sobie na kolanach i oparł jej głowę na swej piersi.

- Prześpij się, Cathleen.

Zamknęła oczy, starając się ukryć napływające do nich łzy.

„Nie pozwól, żeby ta historia zrobiła z ciebie człowieka okrutnego...”

Te słowa bez przerwy dźwięczały mu w uszach. Słowa Cathleen. Ale także słowa matki, bo również Maggie martwiła się, że rozgrywka z Adairem uczyni z niego kogoś okrutnego.

Fletcher został wychowany w głębokiej czci i szacunku dla kobiet. Uwielbiał ich urodę i czułość, ale cenił także ich rozum, intuicję i rady. Wstrząsnęło nim to, że dwie najważniejsze kobiety jego życia udzieliły mu tego samego ostrzeżenia.

Zaklął w duchu i spojrzął niepewnie na Cathleen, obawiając się trochę tego, co zobaczy.

Wyczuła chyba jego wzrok, bo podniosła powieki i odczytał w jej oczach to, czego najbardziej się obawiał. Mógł mieć swoją zemstę... Albo tę kobietę. Nie mógł mieć i jednego, i

drugiego.

- Cathleen...

- Nie ma o czym mówić. - Odsunęła się od niego i przesiadła się na swe poprzednie miejsce naprzeciwko Fletchera. - Podjąłeś decyzję. Pozostaje mi tylko modlić się, żebyś jej nigdy nie żałował.

Pomyślał, że już jej żałuje, żałuje wszystkiego, co staje między nimi. Wszystkiego, co odbiera mu Cathleen.

Pragnął jej. Co do tego nigdy nie było najmniejszych wątpliwości. Ale jak miał zapomnieć o tym, czym żył przez tyle lat? Jak zapomnieć o snach, w których przychodził do niego ojciec?

Czekał przecież tak długo.

Znów spojrzał na dziewczynę. Odwróciła się od niego, ale i tak wiedział, co oznaczają te zastygłe w nieruchomą maskę rysy twarzy.

Boże! Dlaczego musiało do tego dojść?

Zamknął oczy i próbował uzbroić się przeciwko niej, przeciwko jej prośbie. Na próżno. Zamiast przywołać nienawiść, którą przez tyle lat pielęgnował w sercu, przywołał kochającą twarz matki i pełne miłości, dobre oczy Cathleen. Zamiast wizji zemsty, stanęły mu przed oczami twarze braci i siostr. Zamiast perspektywy odwetu, usłyszał słowa Adriana o istocie człowieczeństwa.

I już wiedział...

Wiedział bez najmniejszych wątpliwości, że to, co zamierzał zrobić, jest niezgodne z tym, co ważne dla nich wszystkich, niezgodne ze wszystkim, co wpajano mu od dziecka.

Jak to się mogło stać? Jak mógł się tak pomylić? Czyżby źle zrozumiał swój sen?

Próbował od nowa przemyśleć to wszystko. Otóż miał osiemnaście lat, gdy zobaczył ojca we śnie. W jakim wieku była wtedy Cathleen?

Miała czternaście lat, czyli o wiele za mało, by mógł się w niej zakochać.

Czy o to chodziło? Dlatego miał czekać? Aby miłość kobiety zawróciła go z drogi odwetu, drogi, która byłaby dla niego zgubna?

Fletcher otworzył oczy i spojrzał na dziewczynę. Siedziała naprzeciwko w szarej jedwabnej sukni, a pyszne włosy koloru czerwonego wina przewięzała czarną wstążką. Była cudowna jak kwiat, aż mu się serce ścisnęło z bólu. Jakaż ona piękna! I jaka smutna. I w tej chwili stracona dla niego. Jak strasznie zabolęła go ta myśl.

- Sądzę, że tak będzie najlepiej, bo przecież zawsze wiedziałam, że to niemożliwe - powiedziała Cathleen.

- Co jest niemożliwe?

- Nasze wspólne życie - odpowiedziała z prostotą. - Łączyła nas tylko moja nadzieja i twoja namiętność, ale nie wola boża.

- O czym ty mówisz, Cathleen?

- Mówię, że możesz mnie kochać, ale nie możesz mnie mieć. A ja będę cię kochać aż po kres moich dni, lecz nie będą to dni spędzone z tobą. Nie możemy się pobrać. Nawet dziadek zdawał sobie z tego sprawę. Kochamy się, ale należymy do innych światów. I te nasze odmienne światy rozdziela nas. Pomimo miłości.

- Cathleen... kochanie...

- Nie. - Przeniosła wzrok z twarzy Fletchera na jego złożone na udach dłonie. Podążył za jej spojrzeniem, nie mógł się jednak domyślić, na co ona patrzy. Dostrzegł tylko swój sygnet z herbem księcia Caithness.

Stracił ją.

Jeszcze nigdy w życiu nie modlił się tak żarliwie jak w tej chwili, gdy błagał Boga, by wskazał mu sposób usunięcia tego, co stało między nimi, by dał mu jakiś znak, wskazał sposób rozwiania obaw i wątpliwości ukochanej.

Nie otwierał oczu, czuł jednak, że ona mu się przygląda. Patrzy. Czeka.

Gdy na nią spoglądam, kocham ją coraz bardziej. Jej miłość jest jak strzała, która wbiła się w moje serce. Jej bliskość ożywia moją duszę. Jaka plagą może być miłość! Myślenie o Cathleen to dla mnie tortura. Siły mnie opuszczają i jestem jak nowo narodzone dziecko, które nie jest w stanie stanąć na własnych nogach. Kiedy na nią patrzę, jestem rozbrojony. W tej twarzy odbija się niebo. Boże, pomóż mi...

Gdy powóz minął zakręt i wyjechał z lesistej doliny, przez okno wpadł promień słońca, odbił się w sygnecie Fletchera i na chwilę oślepił go całkowicie.

Pierścień księcia Caithness!

Natychmiast zrozumiał. Teraz przynajmniej wiedział dlaczego.

- Zrezygnuję, Ze wszystkiego - powiedział, patrząc na sygnet.

- O czym ty mówisz? - Cathleen spojrzała mu w oczy. Jej twarz była biała jak alabaster.

- Mówię o tym, że wszystko, tytuły, majątki, pozycja społeczna... bez ciebie nic dla mnie nie znaczą. Jeśli tylko dzięki temu mogę cię mieć, niech i tak będzie. - Zdjął pierścień z palca i wysunął rękę przez okno.

- Nie! - krzyknęła i złapała Fletchera za nadgarstek. - Nie wyrzucaj go. Nie wolno ci tego zrobić. To dziedzictwo rodowe, pierścień przekazywany kolejnym książętom z twojej krwi. Jesteś odpowiedzialny...

- Wobec samego siebie. Jestem na tyle Amerykaninem, żeby odrzucić tradycję i robić to, na co mam ochotę. A na tyle Szkotem, by o tej tradycji pamiętać.

- Nie pozwolę ci tego zrobić! - zawołała.

- Cathleen, w takim razie powiedz, że wyjdiesz za mnie.

- Ja... - Po jej twarzy zaczęły spływać łzy.

Fletcher sięgnął po jej rękę, położył na niej sygnet i zaciskał nad nim po kolei palce dziewczyny, całując je jeden po drugim.

- Weź go - poprosił. - Nie będę cię zmuszał. Sama zdecyduj. Proszę, żebyś została moją żoną. Jeśli twoja odpowiedź będzie pozytywna, oddasz mi pierścień, zanim pozalotwiam wszystkie sprawy. Jeśli będzie negatywna, zatrzymasz go, a ja wrócę do Ameryki.

- A Adair?

Spojrzał na Cathleen i w jej oczach dostrzegł jedynie miłość, nadzieję i obietnicę. I nagle w jego sercu zapanowała wiosna. Długo powstrzymywana wiosna, która wybucha niespodziewanie i rozkwita tysiącem kwiatów. Wypełniła go całego, oczyściła, uzdrowiła.

- Do diabła z Adairem! - zawołał. - To ciebie pragnę.

Przez długi czas wpatrywała się w niego jak skamieniała, a potem zrobiła najpaskudniejszą rzecz na świecie. Zalała się łzami.

- Nigdy cię nie zrozumiem, nawet gdybym dożył setki. - Fletcher jęknął. - Mówię, że jestem gotów zrezygnować dla ciebie ze wszystkiego, ale okazuje się, że to za mało. Obiecuję więc, że zrezygnuję z tego, o czym marzyłem przez całe życie. I co się dzieje? Zalewasz się łzami!

Teraz Cathleen już głośno szlochała, czego miękkie serce Fletchera nie było w stanie znieść. Objął ją i posadził sobie na kolanach.

- Cathleen, kochanie, o co chodzi? Czy coś zrobiłem źle? Powinienem coś zrobić? A może czegoś nie zrobiłem?

Ramiona dziewczyny zaczęły się trząść i Fletcher kompletnie już zgłupiał. Nagle dotarło do niego, że Cathleen już nie płacze.

Śmieje się!

Przyciągnął ją do siebie i mocno przytulił. W życiu nie czuł takiego zadowolenia jak w chwili, gdy usłyszał jej głębokie, pełne satysfakcji westchnienie.

I wówczas, w tym powozie, postanowił, że powie kiedyś swoim synom, iż nie ma na świecie wspanialszego uczucia niż to, które ogarnia człowieka w chwili, kiedy zdaje sobie sprawę, że jego dziewczyna jest szczęśliwa.

A więc to się właśnie dzieje, gdy przychodzi miłość...

Miłość. Nie zemsta.

Bo to miłość właśnie wzięła go pewnego dnia za rękę i poprowadziła z Ameryki do Szkocji. To miłość chciała, by się spotkali, to miłość sprawiła, że jechał tamtego dnia przez pole, na którym ona stała przy studni.

I to miłość znalazła w jego sercu miejsce dla Cathleen.

Pogłaskała go po policzku. Fletcher spojrzał w dół i zobaczył na jej ustach uśmiech. Z niedowierzaniem potrząsnął głową.

- Odnoszę wrażenie, że przejęłaś kontrolę nad moim losem.

Uśmiechnęła się szerzej, objęła go i złożyła mu głowę na ramieniu.

- Tak, i dzięki temu ocalałam twoją duszę. Fletcherze, nie będziesz tego żałował.

- Będziesz musiała bardzo się starać przez całe życie, żebym nie żałował - powiedział i pocałował ją.

- Przyjmuj ę wyzwanie! - oświadczyła. - Dobrze jest dostawać lekcje od życia i czerpać z nich korzyści.

- A czego ty się z tych lekcji nauczyłaś? - Obrzucił ją sceptycznym spojrzeniem.

Cathleen wzięła jego rękę i wsunęła mu sygnet na palec.

- Nie odpowiedziałas - powiedział, patrząc na pierścień. -Czego się z tych lekcji nauczyłaś?

- Nauczyłam się, że miłość to najsilniejsze więzy, jakie tylko mogą istnieć.

28

Adair Ramsay był wściekły.

Wszedł do gabinetu, w którym czekał Gavin MacPhail. W pokoju było ciemno, bo oświetlała go jedynie jedna stojąca na biurku świeca. Zasłony były zaciągnięte, jakby miały za zadanie zatrzymanie zła wewnątrz pomieszczenia.

Ciemności spowijały wszystko wokół.

Adair lubił mrok. Dopiero w mroku czuł się jak w domu. Mrok działał na niego jak afrodyzjak. Upodobanie do tego, co innych napępniało trwogą, dawało mu poczucie siły. W ciemności czuł się bezpieczny, jakby nikt nie mógł wówczas dostrzec, co on robi, ani dowiedzieć się, co zamierza.

Nie spojrzął na Gavina, nie musiał. I tak wyczuwał woń jego strachu. Sprawiała mu taką rozkosz jak seksualne spełnienie.

Na widok wchodzącego do pokoju księcia Gavin zerwał się na równe nogi, niemal skurczył się przed nim, spuścił oczy. Wyglądał jak zbity pies.

Strach to potęga.

Adair kroczył po zniszczonym wschodnim dywanie. Poczł zapach woskowej świecy i uśmiechnął się. Jego zmysły były wyostrzone. Miał poczucie siły.

Bez słowa okrążył masywne biurko i zasiadł za nim, wpatrując się w Gavina.

- A więc wierny kronikarz przybywa złożyć raport - powie dział głosem słodkim jak miód. -
Co masz mi do zakomunikowania?

Gavin oblizwał wargi. Na jego czole perlily się krople potu; wiercił się nerwowo na krześle.

- Ja... my nie zdołaliśmy go dostać. Zabił jednego z wysłanych przeze mnie ludzi. Drugi został poważnie ranny.

Normalnie Adair zerwałby się z fotela, zaczął biegać po pokoju i miotać gróźby. Dziś nie zrobił żadnej z tych rzeczy.

Dziś był poważny jak prawnik, a jego twarz zastygła w twardą maskę. Wyczuwał, że to właśnie ten chłodny dystans, ta żelazna samokontrola najbardziej przeraża Gavina, który był przyzwyczajony do wrzasków i grózb, a nieznanne mu dotychczas lodowate opanowanie wstrząsnęło nim do głębi. Adair uśmiechnął się. Teraz Gavin uświadomił sobie po raz pierwszy, w co się wplątał i co się z nim stanie, jeśli książę nie doczeka się takich rezultatów, jakich oczekiwał.

Adair zacisnął ręce w pięści, czując przyływ potęgi. Niezwykła moc krążyła w jego żyłach i upajała go jak brandy.

- Co jeszcze? O czym mi nie powiedziałeś? Gavin przełknął z trudem ślinę.

- On znalazł dowód.

- On?

- Książę Caithness. Znalazł dowód ciągłości swej linii genealogicznej.

- We Francji?

- Tak, w Honfleur.

- Jesteś pewien?

- Tak.

- Skąd wiesz?

- Pomógł im miejscowy ksiądz. Ojciec Sebastian.

- Rozmawiałeś z nim?

- Tak.

- I powiedział ci?

Oczy Gavina omiotły pokój i wróciły do Adaira.

- Nie, nie chciał mówić.

- Tortury?

- Nie, nawet to nie pomogło. - Potrząsnął głową.

- Ty idioto! Skoro nie chciał mówić, to skąd wiesz?

- Pojechałem do miasta i dowiedziałem się, że księżę wynajął skrybę i ściągnął go do kościoła, by zrobić formalne odpisy notatek z ksiąg parafialnych.

- Rozmawiałeś z tym skrybą?

- Tak.

- I uciszyłeś go, mam nadzieję?

- Tak.

- A księdza?

- Jego też.

- A co z księgami, z których zrobił wypisy? Zniszczyłeś je?

Gavin znów oblizwał wargi.

- Nie.

- Dureń! Znalazłeś je?

- Nie.

- No cóż, w takim razie nie zostawiłeś mi wyboru - oświadczył Adair.

- Jeszcze nie jest za późno! - zawołał błagalnie Gavin. -Nadal możemy go dopaść... i dziewczynę.

- Gdzie oni teraz są?

- Myślę, że w Szkocji.

- Myślisz?! Idiota! Nie wiesz tego na pewno?

- Straciliśmy ich z oczu w chwili, gdy wypłynęli do Szkocji -wyjąkał Gavin, wpatrując się we własne stopy.

- Edynburg - oświadczył Adair. - Tam pojechał. Nie chciał stracić ani chwili bezcennego czasu. Jeśli ma ze sobą kopie tych dokumentów, będzie chciał bezzwłocznie złożyć jej w odpowiednie ręce.

- Tak, ma pan rację. Pojechał pewnie do Edynburga.

- I tam właśnie się udasz. We/, ze sobą tylu ludzi, ilu będziesz potrzebował. Tym razem chcę, żebyś go powstrzymał, zanim z kimkolwiek porozmawia. Czy to jasne?

- Tak.
- Sukinsyn chce się ze mną rozprawić. Prędzej spotka się ze mną w piekle i ty zresztą także. Jeśli i tym razem ci się nie uda, będzie to ostatnia rzecz, jaka ci się w życiu nie udała.
- Tak, wasza wysokość. Może pan na mnie liczyć.
- Mam nadzieję, że tak. Dla twojego własnego dobra. Jeśli teraz nie zdołasz go powstrzymać, moje dni są policzone... i twoje także. A teraz zejź mi z oczu!

Po wyjściu Gavina MacPhaila Adair zaczął rozmyślać o dziewczynie.

- Oczywiście! - Wstał, opierając się rękami o blat biurka. Zaczął chodzić po pokoju. - Dziewczyna zmienia sytuację.

Fletcher Ramsay bez wątpienia *jest* w niej zakochany, bo zadał sobie wiele trudu, by ją przy sobie zatrzymać. Tylko zakochany mężczyzna mógłby być taki głupi.

Może udałoby się to wykorzystać? Adair uśmiechnął się do siebie. Dziewczyna zmienia sytuację i można wykorzystać ten strzęp informacji, by przewidzieć posunięcia Fletchera.

Oczywiście nie pojedzie natychmiast do Edynburga, bo będzie chciał chronić kobietę, którą kocha.

Adair poczuł się głupcem. Jak mógł zapomnieć o dziewczynie? Biedny, głupi Gavin. Wysłał go niepotrzebnie. Ale to w ostatecznym rozrachunku może okazać się błogosławieństwem. Ostatnio przecież Gavin udowodnił, że potrafi tylko przegrywać.

A przegranych księżę nie zamierzał tolerować.

Jeśli w ogóle czegoś można być pewnym, to tego, że Fletcher zatroszczy się najpierw o bezpieczeństwo dziewczyny, zanim zawiezie swe dowody do Edynburga.

A czyż istnieje dla niej bezpieczniejsze miejsce niż jego dom zamek Caithness?

Niezwłocznie wysłał tam swojego człowieka, by zawiadomił go, gdy tylko Fletcher Ramsay przybędzie do zamku.

AL potem Adair nalał sobie szklaneczkę szkockiej whisky i zasiadł wygodnie za biurkiem, zastanawiając się, w którą pułapkę wpadnie młody księżę Caithness.

Zdmuchnął świecę, by zapadły całkowite ciemności. Jego tytuł był bezpieczny. Fletcher Ramsay nigdy nie zostanie księciem Glengarry z jednej prostej przyczyny: był głupcem, takim samym głupcem jak jego ojciec.

Cathleen wyglądała przez okno powozu, jadąc z Fletcherem przez wrzosowisko. Zapadła noc. Raz po raz mijali wsie z pomalowanymi na biało chatami, pełne ludzi zajazdy i gospody,

kościół i plebanię. Ten widok przywiódł jej na myśl dziadka, którego brak odczuwała coraz silniej od czasu, gdy ponownie stanęła na szkockiej ziemi.

Po paru godzinach powóz zwolnił, bo konie zaczęły wspinać się pod górę. Dziewczyna wyglądała znowu przez okno, ale tym razem widziała tylko kompletne ciemności i fatalną drogę, przecinającą wrzosowiska, po których hulał wiatr, wydając żalosne wycie, jakieś niskie, jęklive zawodzenie.

Zamknęła oczy i zasnęła.

Fletcher obudził ją po kilku godzinach, gdy dojechali do Caithness.

Dziewczyna widziała tylko wznoszące się w górę czarne sylwetki wieżyczek i ciemne okna, ale to wystarczyło, by poczuła się jak w domu.

Fletcher pomógł jej wysiąść z powozu i załomotał do drzwi. Po chwili w całym domu pozapalały się światła.

Usłyszeli wściekle burczenie pani MacCauley.

- Na litość boską, kto wali w drzwi o tej porze? - warknęła, unosząc wysoko latarnię.
- To ja, Fletcher- powiedział, wchodząc do sieni. Cathleen wsunęła się za nim.
- Narobił pan takiego hałasu, że obudziłby pan samego diabła - burczała gospodyni.
- Najwyraźniej - stwierdził Fletcher, rzucając jej wymowne spojrzenie.

Cathleen usłyszała chichot i podniosła wzrok. Ciotka Dorothy schodziła po szerokich, kręconych schodach, zawiązując po drodze pasek szlafroka.

- Masz sukces wypisany na twarzy -oznajmiła. -Rozumiem, że tytuł jest już twój?
- Byłby, gdybyśmy pojechali z dowodami wprost do Edynburga.

Dorothy wodziła wzrokiem od Fletchera do Cathleen i z powrotem.

- Nie pojechaliście od razu do Edynburga? Dlaczego?!
- Przeze mnie - stwierdziła dziewczyna.
- Oczywiście. - Ciotka Dorothy z aprobatą kiwnęła głową i pogładziła dziewczynę po ramieniu. - To była właściwa decyzja, kochanie.

Cathleen wbiła wzrok w podłogę, by nie patrzeć na Fletchera, na którego twarzy niewątpliwie malował się nieznośny wyraz: a nie mówiłem?

Fletcher poprosił panią MacCauley, by przyniosła im do biblioteki coś do jedzenia.

- Mamy jeszcze trochę pracy - dodał i pogonił Cathleen i ciotkę do biblioteki, twierdząc, że nie ma ani chwili do stracenia.

Po długich dyskusjach zgodzili się co do jednego: należy powstrzymać Adaira Ramsaya.

- Jedynym wyjściem będzie srebrna kulka - oświadczyła Dorothy.

Oboje młodzi roześmiali się i Cathleen doszła do wniosku, że właśnie taka chwila beztróskiego śmiechu była niezbędna, by rozładować napięcie, które narastało w ciągu całego dnia. Rozluźniła się wreszcie i poczuła radość, że jest w domu.

W końcu uznali zgodnie, że niezbędne jest bezpieczne dostarczenie zdobytych we Francji dowodów do Edynburga w taki sposób, by nie narażać niczyjego życia.

- Myślisz, że dostał już wiadomość? - zapytała ciotka.

- Tak.

- Ale mówiłeś przecież, że jednego z napastników zabiłeś, a drugi został poważnie ranny.

- Tak, jestem jednak przekonany, że wysłał nie tylko tych dwóch ludzi. Na pewno było ich więcej i pozostali zdążyli przesłać mu wiadomość. Wie, że uciekliśmy.

- A jak sądzisz, dowiedział się, że znaleźliście dowody?

- Nie. Jestem pewien, że ojciec Sebastian nie piśnie ani słowa.

- A skryba? - zapytała Cathleen.

Fletcher zastanawiał się przez chwilę, ale w końcu potrząsnął głową.

- Jeśli ojciec Sebastian nic im nie powie, to jak dowiedzą się o skrybie?

- Mówiłeś przecież, że ci dwaj zaatakowali Cathleen, kiedy jechała po niego - powiedziała Dorothy.

- Oczywiście! - zawołał Fletcher. - Zapomniałem o tym. Mogli za nią iść...

- I przesłać informacje Adairowi - dodała dziewczyna.

- Więc co macie zamiar zrobić? - zapytała Dorothy.

- Nie mam pojęcia, ale jeśli Adair wie, a jestem przekonany, że tak, to będzie obserwował Caithness.

- Możesz wyjechać do Edynburga w nocy - zaproponowała ciotka.

Fletcher potrząsnął głową.

- On jest na to za sprytny. Będzie się tego spodziewał.

- A gdybyś pojechał na wabia? - podsunęła Cathleen.

- W jakim sensie?

- Wyjechałbyś do Edynburga po południu. Człowiek, który obserwuje Caithness, pojechałby oczywiście za tobą, przekonany, że wiesz ze sobą dokumenty. Tyle że ty nie miałbyś ich przy sobie.

- A co bym ze sobą wiozł?

- Nic.

Fletcher skrzyżował ramiona na piersi i rzucił jej pełne dezaprobaty spojrzenie.

- Skoro ja nie wiozłbym dokumentów, to kto by je przewiózł?

- Ja! - zawołały równocześnie ciotka Dorothy i Cathleen.

Fletcher wodził wzrokiem od jednej do drugiej. Rozbawiło go to, że tak szybko utworzyły wspólny front.

- Mogłybyśmy nawet jechać razem - zaproponowała Cathleen. - Jeśli wyjedziemy z twoją ciotką razem, nikt nie będzie niczego podejrzewał. Nawet gdyby ktoś nadal obserwował Caithness, uzna, że po prostu jedziemy spotkać się z tobą w Edynburgu. Nikomu nie przyjdzie do głowy, że mamy ze sobą dokumenty, bo nikt nie będzie w stanie uwierzyć, że powierzyłeś nam coś tak ważnego.

- Niewątpliwie masz rację, ale nie zamierzam wystawiać was na ryzyko - oświadczył Fletcher.

Dziewczyna westchnęła ze zniecierpliwieniem.

- Nie widzę innego wyjścia. Co zrobisz, jeśli będziesz miał przy sobie dokumenty i zostaniesz osaczony przez przeważające siły? My stanowimy twoją jedyną nadzieję.

- W takim razie jestem zmuszony się poddać. - Fletcher uniósł obie ręce nad głowę.

- Nie strój sobie żartów. My mówimy poważnie - upomniała go ciotka.

- Dobrze, już jestem poważny.

- Myślę, że dokumenty powinny zostać ukryte w powozie - zaproponowała Dorothy. - Nawet gdybyśmy zostały zatrzymane, nie znajdą ich przy nas. Nie będą widzieli powodu, by nas skrzywdzić, jeśli nie będziemy z tobą.

- Twoja ciotka ma rację - poparła ją Cathleen. - Jesteśmy twoją jedyną nadzieją na dowiezienie tych dokumentów do Edynburga.

W końcu Fletcher się poddał, nie dlatego, że tak chciał, ale został przegłosowany. No i musiał przyznać, że miały rację.

Tej samej nocy do stajni w zamku Glengarry wpadł galopem jakiś jeździec. Koń był pokryty pianą i wymęczony po długiej jeździe.

Angus MacTavish, wbrew swemu zwyczajowi, nie zajął się koniem osobiście, tylko obudził młodego stajennego i powierzył mu zmęczonego wierzchowca. A sam poszedł do ogrodu na tyłach zamku. Po kilku minutach w oknach biblioteki rozbłysło światło.

Angus ostrożnie podszedł w ciemnościach pod otwarte okno biblioteki i starając się uniknąć smugi światła, przykucnął i słuchał.

Adair odbierał raport od jednego z ludzi, których wysłał, by obserwowali Caithness.

- Przyjechali dzisiaj nad ranem?
- Tak, wasza wysokość.
- Jesteś pewien, że to był książę?
- Tak. Widziałem go na własne oczy i słyszałem, jak mówił z amerykańskim akcentem.

To nie mógł być nikt inny.

- A dziewczyna?
- Też tam była.
- Jesteś pewien?
- Tak, wasza wysokość.
- Dobrze. To oznacza, że nie byli jeszcze w Edynburgu, a to mi daje bardzo potrzebny

czas.

- Chce pan, żebym zajął się księciem, wasza wysokość?
- Nie. Nie mam do was pełnego zaufania. Jak dotąd nic nie szło po mojej myśli. - Adair milczał przez chwilę i w jego oczach pojawił się dziwny błysk. - Zajmę się nim osobiście.
- Tak, wasza wysokość
- Możesz odejść, ale bądź w pobliżu na wypadek, gdybym cię jeszcze potrzebował.

Po jego wyjściu Adair zasiadł przy biurku i uśmiechnął się, zadowolony z rozwoju sytuacji. Tak jak przypuszczał, młody książę popełnił błąd. Poważny błąd, który pozbawi go upragnionego tytułu. Adair miał nadzieję, że pozbawi go także i życia.

Fatalnie się dla niego ułożyło, że dopuścił, by uczucie do kobiety stanęło mu na drodze. Nie pojechał od razu do Edynburga. Postawił ukochaną ponad wszystkim i zawiózł ją do Caithness, kierując się sercem, a nie rozumem.

Głupiec. Cholerny głupiec.

Fletcher Ramsay drogo zapłaci za ten błąd. Teraz już nigdy nie zostanie księciem Glengarry. Bo jakim cudem nieboszczyk miałby otrzymać tytuł?

Adair zacisnął ręce w pięści. Trzeba starannie zaplanować śmierć młodego księcia. Powinno to wyglądać na nieszczęśliwy wypadek.

Jakaż to ironia losu, wszyscy będą ubolewać, że książę Caithness stracił życie w tak tragicznych okolicznościach, podobnie jak przed dwudziestu laty jego ojciec.

Adair pograżył się w myślach. Wiedział, że teraz, kiedy dziewczyna jest już w Caithness, Fletcher nie będzie tracił czasu i natychmiast wyruszy do Edynburga ze swymi dowodami. Najwyższy czas zakończyć tę sprawę raz na zawsze, ale tym razem nie powierzy tak piekielnie ważnej misji żadnemu z tych cholernych idiotów, którzy dla niego pracują.

Tym razem zajmie się Fletcherem Ramsayem osobiście.

Tak jak jego ojcem.

Następnego ranka Adair wpadł do stajni bardzo wcześnie, zanim jeszcze różowy blask świtu rozjaśnił wrzosowiska.

Angus, który zawsze bardzo wcześnie wstawał, rozkładał podściółkę z siana w pustym boksie. Kiedy księżę wszedł, podniósł wzrok.

- Dzień dobry, wasza wysokość.
- Witaj, Angusie. Osiodłaj mi Brigadoona.
- Brigadoona, wasza wysokość? Wybiera się pan na dłuższą przejażdżkę?
- Tak, potrzebuję szybkiego i wytrzymałego wierzchowca.

Angus kiwnął głową i poszedł osiodłać konia. Adair wyszedł przed stajnię i nerwowo przechadzał się tam i z powrotem, z niecierpliwością uderzając się szpicrutą po butach. Zaklął i stał przez chwilę bez ruchu, zastanawiając się, dlaczego Angus tak się guzdrze.

W tej chwili Angus wyprowadził ze stajni wybranego przez Adaira wierzchowca.

Księżę bezzwłocznie wskoczył na wielkie szare zwierzę i spiął je ostrogami. Potężny ogier rzucił się do biegu z niespokojnym rzeniem i po chwili jego wielkie podkowy wybijały szybki rytm, kiedy galopem przebywał mile dzielące Glengarry od zamku Caithness.

Adair zdawał się unosić w powietrzu, kiedy potężny wierzchowiec pędził przez zalane wschodzącym słońcem wrzosowiska, które w tej chwili robiły wrażenie nie fioletowych, lecz poczerwieniałych od krwi. Czuł w ustach smak krwi, słonawy metaliczny smak krwi, a końskie podkowy zdawały się wystukiwać nazwiska ludzi, których kiedyś zamordował.

Adaira ogarnęła radość. Nareszcie ostatecznie zakończy stary spór, który powinien był zamknąć na amen przed wielu laty. Teraz dopiero widział, że popełnił wówczas poważny błąd. Nie powinien był dopuścić, aby Fletcher Ramsay pozostał przy życiu.

Dotyczyło to wszystkich trojga dzieci.

Dotarł do celu podróży, miejsca, w którym droga z Caithness krzyżowała się z traktem do Edynburga.

Zjechał z głównej drogi i skierował wierzchowca na trakt wiodący wzdłuż morza.

Po ponadgodzinnym oczekiwaniu usłyszał wreszcie dźwięk kopyt zbliżającego się konia i dostrzegł księcia Caithness, nadeżdżającego od strony swego zamku.

Adair zaczekał, aż Fletcher niemal zrówna się z nim, i uderzył swego ogiera szpicrutą, równocześnie wbijając mu ostrogi w brzuch.

Brigadoon rzucił się do przodu, wypadł z kępy drzew i pędził galopem ku drodze, kierując się w stronę najwęższego jej odcinka, miejsca, w którym niecałe pół metra dzieliło przejeżdżającego od krawędzi przepaści. W tym miejscu była z jednej strony pionowa skała, a z

drugiej spienione fale i echo dawnych przypliwów, rozdierany cli przez ostre klify, gdzie tylko wyl wicher i ptaki morskie krzyczaly, jakby chialy ostrzec przed tym, co znajduje sie w dole.

Na te droge wpadl Adair na Brigadoonie, ktorego poorane ostrogami boki splywaly krwia, a pysk pokrywala piana.

Lomot kopyt zblizajacego sie wierzchowca zwroutil uwage Fletchera. Odwroutil sie w siodle i zobaczyl czlowieka pedzacego wprost na niego na ogromnym szarym rumaku. Natychmiast zrozumial, ze jezdziec zamierza zepchnac go z drogi.

Tak samo jak ojca...

Nie wiadomo skad, pojawilo sie jasne, oslepiajace swiatlo. Czas stanal w miejscu. Ze swiatla wylonila sie nagle przed oczami Fletchera sylwetka czlowieka pieknego jak aniol, calego w bieli, ktory stanal przed nim na srodku drogi. Byl jakby swietlistym promieniem, jasnijacym niewyobrazalna uroda.

Nagle kon Fletchera stanal jak wryty, jakby takze widzial przed soba zjawe albo jakby jezdziec sciagnal wodze.

I ogromny kon Adaira, zamiast zderzyc sie z rumakiem Fletchera i stracic go w przepasc, tylko lekko zawadzil o jego bark.

Uderzenie nie bylo na tyle silne, by stracic wierzchowca Fletchera w przepasc, wystarczylo jednak, by pekł popreg na Brigadoonie.

A wtedy siodlo, na ktorym siedzial Adair, zsunelo sie z konskiego grzbietu.

Szary ogier zarzal glosno i gwaltownie uskoczyl w prawo, zrzucajac jezdzca poza krawedz klifu, na pewna smierc. Smierc, ktora Adair zaplanowal dla kogos innego.

Bylo juz po wszystkim. Fletcher rozejrzal sie za czlowiekiem w bieli, ktorego widzial na srodku drogi.

Ale nie zobaczyl tam nikogo.

Zsiadl z konia, drzacy i bezsilny. Nie znajdowal zadnego wytumaczenia tego, co sie stalo. To wykraczalo daleko poza zwyczajne doswiadczenie zyciowe. Jaka istota, silniejsza od niego, czuwala nad nim i to wlasnie ona zatrzymala jego konia i uratowala mu zycie.

Godzine pozniej Cathleen i ciotka Dorothy zmierzaly droga do Edynburga w powozie księcia Caithness. Byly zatopione w rozmowie, kiedy nagle woźnica sciagnal lejce i zatrzymal karete. Cathleen poczula, ze serce podchodzi jej do gardla. Spojrzala na swoja towarzyszke.

- Tego sie spodziewalismy. Musimy dobrze wypasc.

- Zawsze marzyłam o tym, żeby zostać aktorką- oświadczyła Dorothy. - Ale nigdy nie sądziłam, że będę miała szansę wystąpić.

Dziewczyna otworzyła drzwi i pomogła starszej pani wysiąść.

- Boże, bądź miłościwi - zawołała Dorothy. - A co ty tu robisz? Wysiadająca za nią Cathleen podniosła wzrok i zobaczyła

Fletchera, trzymającego uzdy dwóch koni. Jednego poznała, to był jego wierzchowiec, ale drugiego widziała pierwszy raz w życiu. Była to ogromna szara bestia bez siodła.

Gdy podbiegła do Fletchera, w głowie kłębiły jej się różne pytania.

- Co tu robisz? Skąd się wziął ten koń? Co się stało? Zostałeś napadnięty?

- Stało się coś przedziwnego - odpowiedział i wziął dziewczynę w ramiona.

- Przedziwnego? To znaczy?

- Nie jestem pewien, czy zdołam to wytłumaczyć. Pewnie uznacie, że zwariowałem, ale przysięgłbym, że widziałem anioła.

- To pewnie słońce - zawyrokowała Dorothy. - Za długo jechałeś bez nakrycia głowy

- Nie, ciociu, nie rozumiesz. - Fletcher westchnął. - To była jakaś istota, ale nie istota ludzka, choć miała ludzką postać.

- Może to był rzeczywiście anioł - powiedziała Cathleen takim tonem, jakby to było zupełnie naturalne. - Jak wyglądał?

- Trudno mi go opisać . bo wokół była taka jasność, jakbym patrzył wprost w słońce. Blask, który zdawał się zatrzymywać wszystko. - I Fletcher opisał swoje przeżycia, opisał, jak pojawienie się tej istoty zatrzymało konia w biegu, dzięki czemu nie zginął. Zakończył swa relacji; stwierdzeniem: - Wiem, że to zabrzmiało dziwnie, ale nie mogę oprzeć się wrażeniu, że to miało jakiś związek z moim ojcem,

- To by idealnie pasowało - stwierdziła Dorothy, która podeszła do skraju drogi i spojrzała na dół, na rozbijające się o skały fale. - Może rzeczywiście widziałeś dzisiaj ducha Bruce'a Ramsaya. W każdym razie to ze wszech miar sprawiedliwe, że Adaira spotkał taki sam los, jaki zgotował twojemu ojcu.

- I jaki zaplanował dla ciebie dodała Cathleen, która podeszła do Dorothy i także spojrzała w dół. Gdy dołączył do nich Fletcher, wsunęła mu dłoń pod ramię. - Bo Pan ześle aniołów, by czuwali nad tobą i wiedli cię po wszelkich drogach twoich. Oni wesprą cię... uchronią, by stopa nie zsunęła ci się ze skały.

Po chwili, gdy już mieli ruszać do Edynburga, woźnica przyniósł siodło Adaira.

Zamierzał wrzucić je na tył, do skrzyni z bagażami, ale nagle zastygł w bezruchu z dziwnym wyrazem twarzy.

- O co chodzi? - zapytał Fletcher.

- Wasza wysokość, wygląda na to, że popręg został przecięty. Fletcher podszedł, popatrzył i przekonał się na własne oczy,

że popręg rzeczywiście został przecięty. Ale przez kogo?

- Naprawdę? - zapytała ciotka.

- Tak - odpowiedział Fletcher.

- Ciekawe, kto to mógł zrobić - zastanawiała się głośno Cathleen.

- Prawdopodobnie sporo osób - mruknął Fletcher. - Adair nie był szczególnie lubiany.

Dorothy znów podeszła do skraju klifu i spojrzała w przepaść.

- Odpowiedni koniec - stwierdziła. - W końcu drań dostał to, na co zasłużył.

Fletcher przywiązał do powozu oba wierzchowce, po czym pomógł paniom wsiąść do środka.

- Jeśli nie macie nic przeciwko temu, pojedę z Walterem na koźle - zaproponowała Dorothy. - Myślę, że macie sobie sporo do powiedzenia, a ja wolę siedzieć na świeżym powietrzu, niż gnieść się w dusznym powozie.

- Nie możesz siedzieć na koźle, ciociu!

- A to dlaczego? Kiedy byłam młodsza, jeździłam tak godzinami. - I zanim siostrzeniec zdążył się odezwać, zwróciła się do stangreta. - No, nie stój tak z osłupiałą miną. Pomóż mi się tam wspiąć!

Fletcher podał rękę Cathleen i pomógł jej wsiąść do powozu. Już miał pójść w jej ślady, gdy nagle odniósł nieodparte wrażenie, że ktoś go obserwuje. Odwrócił się i dostrzegł w cieniu pobliskiej wysokiej skały jeźdźca na koniu. Cathleen, która spojrzała na Fletchera w tym momencie, podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem.

- Angus? - szepnęła.

- Co powiedziałaś? - Fletcher odwrócił się do dziewczyny.

- Ten człowiek. Jestem niemal pewna, że to był Angus.

- Angus? A co on by tu robił? - Fletcher znów odwrócił się, by spojrzeć na tego człowieka, ale już go nie było.

Kiedy powóz zaczął się toczyć drogą do Edynburga, Cathleen i Fletcher jeszcze raz wyjrzeli przez okno, by rzucić ostatnie spojrzenie na skały, o które roztrzaskało się ciało Adaira.

- Kto mieczem wojuje, od miecza ginie - mruknęła dziewczyna. - Ewangelia według Mateusza.

Fletcher objął ją i przytulił.

Ukryła twarz na jego piersi, mocno objęła go w pasie. Trzymał ją w ramionach i wreszcie miał poczucie, że jego życie jest pełne.

Nagle Cathleen podniosła głowę i spojrzała mu w oczy takim wzrokiem, że aż mu dech zaparło.

- Teraz już nic nie stoi na przeszkodzie, byś został księciem Glengarry - powiedziała.

- Nic poza tobą. Mówiłem poważnie, Cathleen. Zrezygnuję z tego bez chwili namysłu, jeśli dzięki temu zdobędę ciebie. -Przeniósł wzrok na lśniący na palcu złoty sygnet książęcy. - Zwróciłaś mi ten pierścień.

- Tak. Dokąd ty pójdziesz, pójdę i ja; gdzie ty zamieszkaasz, zamieszkam i ja; twoi ludzie staną się moimi ludźmi, twój Bóg moim Bogiem; gdzie ty umrzesz, umrę i ja. Kocham cię, Fletcherze Ramsayu. Pomyśl, jaką historię będziemy mieli pewnego dnia do opowiedzenia naszym wnukom.

W jego oczach pojawił się błysk przekory.

- Zanim pewnego dnia zostaniemy dziadkami tych wszystkich wnucząt, najpierw musimy zostać rodzicami.

- Zostaniemy - powiedziała Cathleen ze śmiechem. - Za jakieś siedem miesięcy.

Kiedy minął szok, Fletcher zaczął okrywać jej twarz pocałunkami, powtarzając w kółko pytanie, czy dobrze się czuje. Wreszcie nieco się uspokoił. Trzymając ją w ramionach, poczuł taki spokój, jaki jeszcze nigdy dotychczas nie zagościł w jego sercu, i wiedział, że tak właśnie będzie wyglądało ich życie.

Zawsze wierzył, że nadejdzie kiedyś dzień, gdy odzyska wszystko, co zostało mu odebrane, gdy śmierć ojca zostanie pomszczona i wszystkie krzywdy naprawione.

Minęły już dwadzieścia dwa lata od śmierci Bruce'a Ramsaya, księcia Glengarry. Nastął rok 1879 i Fletcher Ramsay, książę Caithness, został dwudziestym dziewiątym księciem Glengarry.

Prowadząca do Edynburga szeroka droga biegła przez bezludne góry. A ponad nią, na szczycie wysokiej jak wieża skały, której wierzchołek tonął niemal w chmurach, unosiła się dziwna jasność, intensywne światło przypominające płomień gorejący. Zatrzymało się na tym wierzchołku, ciche, niewzruszone i święte, nie poddające się wichrom, mgłom, śniegom i czasowi. Sama esencja Szkocji.

Fletcher zamknął oczy. Miał wrażenie, że ich historia, jego i Cathleen, będzie któregoś dnia częścią historii tego kraju. Opowieścią snującą się wśród bezdrzewnych wrzosowisk, wąskich,

krętych dróg i spokojnych pastwisk, na których poleguje włochate górskie bydło w cieniu starożytnych ruin zamku.

Ich historia stanie się jednym z wątków dziejów Szkocji, znajdzie się wśród burzliwych dramatów królów i królowych, wśród dalekiego echa zapomnianego języka celtyckiego, piskliwych dźwięków kobzy, ryku wzburzonego morza, krzyku ptaków i wszechobecnej ciszy surowych krajobrazów.

Może ich potomkowie przybędą tu pewnego dnia, wiele lat po ich śmierci, pojedą krętą drogą do Edynburga, mijając te właśnie miejsca, w których rozegrała się ta historia. I może, jeśli będą dość wrażliwi, wyczują powiew tajemnicy, zatrzymają się, staną na krawędzi klifu i spojrzą w dół na rozszalałe morze. Zastanowią się nad tym, co wydarzyło się w tym miejscu przed laty, i wyczują, że stanęli na uświęconej ziemi.